

Kontynuacja W OTCHŁANI I MILIONA SŁOŃC



CIEŃ ZIEMI

BETH REVIS

Bestseller „New York Timesa”

Wydawnictwo Dobrej Książki

BETH REVIS

Cienie Ziemi

STARSZY

Kapsuła zaczęła sunąć przed siebie. Gwiazdy zniknęły z pola widzenia i planeta wypełniła całe mozaikowe okno. Podczas gdy moje oczy chłonęły ten widok, reszta ciała zdawała się trwać w stanie zawieszenia. Z jakiegoś powodu to było coś zupełnie innego - widzieć planetę bez otaczającej ją czerni kosmosu. Zupełnie jakby te kolory miały lada moment otoczyć nas i połączyć w całości.

A M Y

Kapsuła przechyliła się w kierunku ziemi, a do mnie dotarło, że tak naprawdę dzieje się dokładnie na odwrót. Wszystko umilkło, nawet wrzaski ludzi po drugiej stronie metalowych drzwi, łomot - oby nie obijających się od ściany ciał, syk raket, przekleństwa Starszego, moje walące serce.

Zbyt mocno kochałam gwiazdy, żeby obawiać się nocy

Sarah Williams

Moim czytelnikom, którzy podążyli w ślad za mną przez wszechświat

Dei gratia

1

AM Y

- Zaczekaj - powiedziałam ze ściśniętym sercem.

Starszy znieruchomiał z palcem nad przyciskiem. Podniósł na mnie wzrok pełen niepokoju, który znaczył zmarszczkami kąćki jego oczu i sprawiał, że Starszy wyglądał staro i smutno. Przed nami, za mozaikowym oknem, lśniła planeta - niebieska, zielona, biała, skrząca się, wcielenie wszystkich moich marzeń. Ale żołądek skręcał mi strach.

Przerażenie.

- Czy jesteśmy gotowi? - zapytałam szeptem.

Starszy wyprostował się, odsuwając się od przycisku.

- Przenieśliśmy z „Błogosławionego” na pokład kapsuły tyle, ile zdołaliśmy - odparł. - Wszystko zostało przymocowane pasami...

- Nawet ludzie - dodałam. Wzięliśmy wzmocnione metalem kable, takie jak ten, z którego skorzystał Starszy, kiedy wyszedł na zewnątrz w skafandrze kosmicznym, i najlepiej, jak tylko się dało, przymocowaliśmy ludzi do komór kriogenicznych, do ścian, do czegokolwiek. Chcieliśmy być pewni, że podczas lądowania na Centauri-Ziemi nie zaczną odbijać się we wnętrzu kapsuły jak gumowe piłeczki. W najlepszym razie można to było nazwać prowizorką. Martwiłam się, że te „pasy bezpieczeństwa” nie wystarczą, ale nie mieliśmy nic innego. Lepiej nie mogliśmy tego zorganizować.

Nie to miałam jednak na myśli, kiedy pytałam, czy jesteśmy gotowi.

Chodziło mi o to, czy jesteśmy gotowi na to, co czeka na nas tam, w dole?

Czy ja jestem na to gotowa?

Na planetę wysłano sondy - wiele z nich jeszcze zanim „Błogosławiony” dotarł do celu - i wszystkie potwierdziły, że Centauri-Ziemia nadaje się do zaludnienia. Tylko że miejsce nadające się do zaludnienia i dom dzieli przepaść.

I są tam potwory.

Potrząsnęłam głową, usiłując odpędzić od siebie tę niepokojącą myśl. Wszystkie ostatnie sondy informowały o nieznanym zagrożeniu, o czymś, co Orion nazywał „potworami”. O czymś tak złym, że pierwszy Najstarszy wolał uwięzić wszystkich na pokładzie „Błogosławionego”, niż wylądować.

Co było gorsze? Potwory... czy ściany?

Spędziłam w potrzasku trzy miesiące. Statek kosmiczny był dla mnie bardziej klatką niż domem. Ale przynajmniej żyłam. Co nas czekało na tej planecie, jakim

niebezpieczeństwom przyjdzie nam stawić czoła?

Teraz miałam jedynie mnóstwo pytań i obaw, a przed sobą wielką, niebiesko-zielono-białą planetę.

Musieliśmy wylądować. Musieliśmy zmierzyć się ze światem tam, w dole. Lepiej umrzeć ze smakiem wolności na ustach, niż żyć długo i udawać, że nie dostrzegamy ścian własnego więzienia.

Powtarzałam sobie, że warto zaryzykować. Bez względu na cenę, jaką zapłacimy, warto uciec z „Błogosławionego”. Powtarzałam sobie to wszystko i próbowałam w to uwierzyć.

Z panelu sterowania migały na mnie światełka. Starszy i ja siedzieliśmy dokładnie naprzeciwko niego, a między nami z podłogi wyrastał olbrzymi metalowy drążek. Na głównym Mostku - w wielkim pomieszczeniu zaprojektowanym z myślą o sprawowaniu kontroli nad całym statkiem - znajdowało się sześć foteli i tuzin paneli sterowania, lecz tutaj, na mniejszym mostku, było ich tylko po dwa. Miałam nadzieję, że to wystarczy. Ze my dwoje wystarczymy.

Wyciągnęłam rękę - w stronę planety za oknem albo panelu sterowania, sama nie potrafiłam tego określić - i Starszy złapał moją drżącą dłoń.

- Damy radę - powiedział bez cienia wątpliwości w głosie.

- Musimy - odparłam.

- Razem?

Przytaknęłam.

Nasze palce uruchomiły przycisk inicjujący procedurę startową.

2

STARSZY

Skomputeryzowany kobiecy głos wypełnił mostek:

- Rozpocznam procedurę startową kapsuły.

Amy, drżąc, wzięła głęboki wdech.

- Wykryto sygnał samonaprowadzający z sondy. Sterowanie ręczne czy automatyczne? - zapytał komputer. Na panelu przede mną zapaliły się dwa nowe przyciski: jeden z czerwonym R, drugi z zielonym A.

Zdecydowanie przycisnąłem A.

- Rozpocznam procedurę startową w trybie sterowania automatycznego - oznajmił radośnie komputer.

W całej kapsule, rozległ się zgrzyt metalu trącego o metal. Łomot. Łoskot. Zupełnie jakby na dachu zaciskały się ostre jak piły tarczowe zębiska olbrzyma.

- Co to? - pisnęła Amy. Trzymała się kurczowo swojego siedzenia niczym kotwicy bezpieczeństwa. Metalowe podłokietniki były pokryte smugami pozostawionymi przez jej palce, jej ciało wciskało się w piankowe obicie.

Przez głowę przeleciały mi dziesiątki możliwości. To był dźwięk, jakby coś pękało - złowieszczy i potworny. Poczulem szarpnięcie w żołądku, kiedy cała kapsuła poruszyła się w dół i do przodu, jak gdyby olbrzymie ramię zakołysało nią, odrywając od „Błogosławionego”. Siedziałem z zapartym tchem, wbity w swój fotel. Zza drzwi prowadzących na mostek dobiegały krzyki przerażenia. Amy zerknęła na mnie z niepokojem wypisanym na bladej twarzy.

- To normalne - stwierdziłem, choć nie byłem pewien, czy sam nie próbuję siebie uspokoić. - Oddzieliliśmy się od głównego kadłuba statku.

Coś nad naszymi głosami zrobiło ka-DAM i cała kapsuła opadła kilka stóp, po czym ustabilizowała się.

- Te r a z oddzieliliśmy się od głównego kadłuba statku - powiedziałem, na co Amy roześmiała się cienkim, nerwowym chichotem, a śmiech szybko zamarł na jej wargach.

- Uruchamiam rakiety odłączające - oznajmił rzeczowo komputer. Napęd trzech małych rakiet wbudowanych u szczytu kapsuły zaczął pchać nas w dół i nasze pole widzenia poszerzyło się. Za oknem ukazała się planeta i przesłoniła nam cały widok.

- Cieszę się, że mamy to okno - rzekła Amy, wyglądając na zewnątrz. Gwiazdy migotały, a planeta - nasz nowy dom - świeciła na nas jasno. W niektórych starych tekstach z Sol-Ziemi opisywano ją jako niebiesko-białą szklaną kulkę. Nic z tych rzeczy. Może na zdjęciu rzeczywiście przypominała szklaną kulkę. Ale tutaj, gdy wisiała tuż przede mną, wydawała się niemal żywa. Jej intensywne kolory ostro kontrastowały z pustą czernią wszechświata.

Owszem, była piękna, ale jeszcze nie wylądowaliśmy na jej powierzchni. Kapsuła znowu przechyliła się do przodu i za drzwiami mostka rozległa się eksplozja krzyków i wrzasków - urywanych, stłumionych odgłosów wydawanych przez ludzi, którzy nie potrafili zapanować nad własnym strachem.

- Miejmy to już za sobą - rzuciłem z determinacją.

- Sprawdzam system sterowania orbitalnego - zaszczębiotał komputer.

Amy gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy gromkie BUM! wypełniło kapsułę.

Chciałem ją chwycić, złapać w objęcia i wyszeptać, że wszystko będzie dobrze. Nie

mogłem jednak się ruszyć. W uszach dudniło mi tętno, waliło tak głośno, że poza nim nie słyszałem niczego innego. Kapsuła wiedziała, co robić - sondy wysłane z „Błogosławionego” na Centauri-Ziemię przesyłały teraz sygnały do jej systemów, nakierowując na najbardziej bezpieczne, najlepsze lądowisko. My musieliśmy jedynie przypiąć się pasami i jakoś przetrwać tę przejażdżkę.

Fala mdłości podniosła się z mojego żołądka i rozeszła po całym ciele, zupełnie tak samo jak przez tę krótką chwilę, gdy spadałem swobodnie w grawiszybie, zanim włączył się ciąg transportujący mnie na następny poziom statku. W głowie poczułem lekkość. Mózg wrzasnął: „Spadam!”. Ogarnęła mnie panika, zacząłem młócić rękami i nogami, usiłując się czegoś chwycić, czegokolwiek. Lecz wokół mnie było jedynie powietrze, co zresztą i tak nie miało żadnego znaczenia, bo przecież nie spadałem. Unosiłem się.

- Niech to gzyf*! - krzyknąłem, spoglądając w dół na pusty fotel, teraz już poza moim zasięgiem, ponieważ unosiłem się kilka stóp ponad nim.

Z ust Amy znów wyrwał się nerwowy chichot, lecz z jej szeroko rozwartych oczu wyzierał strach.

- Nie przypiąłeś się do fotela? - zapytała. Wokół jej twarzy unosiła się chmura rudych włosów, ale przez brzuch i klatkę piersiową biegły szerokie, pokryte pianką pasy, które trzymały Amy mocno na miejscu.

- Eee... zapomniałem - przyznałem. Zamachałem gwałtownie rękami i nogami, lecz nie zmieniłem położenia. No jasne - czujniki grawitacyjne zostały na głównym statku. Wykręciłem szyję w stronę zamkniętych drzwi na mostek. Zastanawiałem się, co czują teraz moi ludzie, kiedy odebrałem im już wszystko, z grawitacją włącznie.

- Trzymaj się! - rzuciła Amy. W jej głosie wciąż pobrzmiwał śmiech. Rozpięła swój pas i gdy zaczęła się unosić, zaczepiła o niego stopą i wyciągnęła obie ręce w moją stronę.

- Durne włosy - wymamrotała, zdmuchując z twarzy złoto-czerwonopomarańczowe pasma. Włosy pływały wokół jej twarzy niczym rozchodząca się na wszystkie strony aureola z miękkich kosmyków. Przypomniałem sobie, jak zobaczyłem Amy po raz pierwszy, gdy ta burza włosów o barwie zachodu słońca okalała jej twarz niczym atramentowe kleksy.

* gzyf, gzyfowy - słowa utworzone od skrótu GZF (Giełda Zasobów Finansowych to organizacja, która finansowała misję „Błogosławionego”) (przyp. red.)

- Nawiązano łączność z sondą - zaszczebiotał komputer. - Sonda wskazuje dogodny obszar lądowania. Kierunek na sondę? Wybierz tak lub nie. - Zaświeciły się dwa przyciski: czerwone N i zielone T.

- Na gzyfa! - warknąłem, próbując dosięgnąć panelu sterowania. Nic z tego - moje

ciało było teraz nieważką masą, a panel sterowania pozostawał poza moim zasięgiem.

- Nie ruszaj się! - krzyknęła Amy. Kostkę miała ledwo zahaczoną o pętlę z pasa bezpieczeństwa. Ale to nie wystarczyło - wyciągała się jak struna, żeby mnie złapać, lecz ja i tak dryfowałem za daleko.

- Wybierz tak lub nie - przypomniał komputer.

- Och, niech to szlag - mruknęła Amy, po czym uwolniła stopę, wybiła się z fotela i wystrzeliła w powietrze.

Wpadła prosto na mnie - ja poleciałem na sufit mostka, a Amy odbiła się ode mnie w stronę podłogi. Zrykoszetowałem w dół, o kilka stóp mijając fotel, ale palcami przejechałem po metalicznej krawędzi panelu i wcisnąłem mrugający przycisk T.

Amy wydała z siebie pomruk frustracji, gdy odbiła się od podłogi i znowu wystrzeliła ku sufitowi. Odepchnęła się od niego nogami, celując w swój fotel.

Stopniowo przesuwalem dłońmi po krawędzi panelu sterowania, aż wreszcie dotarłem na swoje miejsce. Osunąłem się na fotel i zapiałem mocno pas na brzuchu i piersi.

- Uruchamiam system sterowania orbitalnego - komputer ciągnął automatycznie, nieświadomy i obojętny, nie zważając na to, jak bardzo się teraz trząsałem. Nawet przy grawitacji chyba nie byłbym w stanie ustać o własnych siłach.

Kapsuła zaczęła sunąć przed siebie. Gwiazdy zniknęły z pola widzenia i planeta wypełniła całe mozaikowe okno. Podczas gdy moje oczy chłonęły ten widok, reszta ciała zdawała się trwać w stanie zawieszenia. Z jakiegoś powodu to było coś zupełnie innego - widzieć planetę bez otaczającej ją czerni kosmosu. Zupełnie jakby te kolory miały lada moment otoczyć nas i połączyć w całości.

- Och - westchnęła niemal bezgłośnie Amy, gdy złapała się podłokietnika i opadła na swój fotel. Sięgnęła po pas i zapięła go z powrotem.

Ekran przed nią zamigotał, ukazując trzy jasne czerwone kropki nad konturem kapsuły.

- To pewnie rakiety, które wprowadziły nas w ruch - powiedziała. Dotknęła ekranu. Światelka zabarwiły opuszki jej palców czerwoną poświatą.

Jedno z nich zgasło - Amy wciągnęła gwałtownie powietrze i czym prędzej cofnęła dłoń - i nasz widok znowu się zmienił. W samą porę, byśmy mogli zerknąć na dom, który opuszczaliśmy.

„Błogosławiony”.

Bez kapsuły wyrwanej z jego podbrzusza wydawał się zniszczony, okaleczony.

Emocje ścisnęły mnie za gardło. Nie... nie spodziewałem się tego. Nie spodziewałem

się, że będę wyglądał przez okno kapsuły, myślał o tym wszystkim, co za sobą zostawiam, i zastanawiał się, czy gra jest warta świeczki.

„Błogosławiony”. Ten statek był całym moim życiem. Całym światem. Wszystkie moje wspomnienia, przeżycia, wszystko, co we mnie ważne, pochodziło spomiędzy tych wysłużonych stalowych ścian.

A ja go porzucałem.

Jego i ponad ośmiuset ludzi, którzy wciąż na nim przebywali.

W mojej głowie zaroilo się od szalonych wizji. Miałem pchotę wyciągnąć rękę, wyłączyć napęd rakietowy i skierować kapsułę z powrotem na „Błogosławionego”. Nie chciałem lecieć. Nie chciałem zostawiać domu.

Lecz wtedy czerwone kropki na ekranie znowu rozbłysły, rakiety nabrały pełnej mocy, a kapsuła zanurkowała w kierunku planety. Teraz to już nie miało znaczenia. Było za późno.

Nigdy nie wrócę na „Błogosławionego”.

Czerwone światełka na ekranie mrugały, kiedy seria eksplozji rakiet ustawiała kapsułę na właściwej pozycji. Przy braku grawitacji czułem dezorientację - jedynym stałym punktem była Centauri-Zie-mia przed moimi oczami.

- Niesamowite - odezwała się Amy. - Zmierzamy na planetę do góry nogami, tyle że wcale tego nie czuć. – Przeszesała włosy palcami, na próżno starając się je przygładzić, bo zaraz znowu się uniosły.

- Rozpoczynam wejście w orbitę - oznajmił komputer.

Wszystkie trzy czerwone światła zapaliły się i już nie gasły. Rakiety pchały kapsułę do przodu, wprost w kierunku planety. Zerknąłem na Amy: jej oczy były rozszerzone ze strachu, palce zaciskały się na krawędziach podłokietników. Ale wiedziałem - właśnie tego pragnęła. Tylko dając jej Centauri-Ziemie, mogłem sprawić, by była naprawdę szczęśliwa, wynagrodzić fakt, że przez moją bezmyślność została uwięziona na pokładzie „Błogosławionego” z typami pokroju Luthora i ludźmi, którzy nigdy nie zdołają jej zaakceptować.

- Deorbitacja - poinformował komputer.

- Gotowy? - wyszeptała Amy.

- Nie - przyznałem. Chciałem podarować Amy planetę, załowałem jednak, że muszę to zrobić kosztem jedyne go domu, jaki kiedykolwiek miałem.

Kapsuła nabierała prędkości, zmierzając pod ostrym kątem w kierunku planety. Wszystkie trzy światełka na ekranie przed Amy lśniły jasno. Zapaliło się kilka mniejszych, rozproszonych pomiędzy większymi - system odpalał kolejne rakiety, pchając nas coraz

bardziej ku Centauri-Ziemi.

- Uruchamiam wspomaganie wejścia w atmosferę.

Planeta lśniła za mozaikowym oknem. Niebieska, zielona i biała. Widziałem też dziób kapsuły, w nudnym kolorze szarawej zieleni, która pomału stawała się czerwona. Kątem oka dostrzegłem jakieś jasne, srebrzyste iskry, lecz gdy odwróciłem głowę, żeby się im przyjrzeć, kapsuła znów zanurkowała. Wokół okna rozmigotały się pomarańczowe, żółte i czerwone rozbłyski.

Spojrzałem na Amy. Złoty krzyżyk unosił się wokół jej szyi. Chwyliła go i zacisnęła dłoń tak mocno, że pobiegały jej knykcie. Poruszała niemo ustami, wypowiadając słowa, których nie mogłem usłyszeć.

Na panelu sterowania światełka migotały jak oszalałe - rakiety zapalały się i gasły, prowadząc nas zygzakiem, który miał sprawić, jak podejrzewałem, że wytracimy prędkość. Od czasu do czasu dostrzegałem przebłysk planety, ale przez większość czasu okna zasnuwały pomarańczowe i czerwone smugi - czyżby płomienie? Czy tylko ciepło powstałe podczas deorbitacji? Nie miałem pojęcia, nie miałem bladego pojęcia. Na gwiazdy, skąd mi przyszło do głowy, że zdołamy samodzielnie posadzić tę cholerną kapsułę na powierzchni planety?

Coś uderzyło w bok kapsuły - a przynajmniej takie odniosłem wrażenie, bo aż nią zatrzęsło i nagle zboczyliśmy z kursu. Dziesiątki światełek zapalały się i gasły, a komputer zaszczebotał:

- Sygnał samonaprowadzający przerwany. Przechodzę na tryb sterowania ręcznego.

- Co się dzieje? - krzyknęła Amy.

Czerwone światła na suficie mostka rozbłysły, zalewając nas krwawą poświatą. Popatrzyłem na Amy. Widziałem, że zdała sobie sprawę z tego samego, co ja. Coś było nie tak.

- Zderzenie z powierzchnią za piętnaście minut - oznajmił komputer z całkowitym opanowaniem.

- Zderzenie z powierzchnią!? - powtórzyła Amy piskliwym, łamiącym się głosem. - Rozbijemy się!

Serce mi zamarło, gdy zrozumiałem, że miała rację. Chwyliłem za mały ster, który wystawał spod panelu sterowania, i zrobiłem jedyną rzecz, która wydawała się sensowna - z całych sił pociągnąłem go do siebie, w nadziei, że dzięki temu przynajmniej nie zderzymy się z planetą czołowo. Linia horyzontu zakolysała się na naszym ekranie, a panel rozbłysnął kolejnymi światełkami.

- Osiemdziesiąt kilometrów nad powierzchnią ziemi - powiedział komputer. -
Rozpocynam wytracanie prędkości.

Kilka światełek zgasło, a kapsuła jak gdyby opadła - a może to po prostu grawitacja wróciła do gry, wciskając nas w głąb foteli. Amy wydała krótki okrzyk czystego przerażenia.

Coś - słabnąca rakietą? awaria komputera? - znowu zepchnęło kapsułę z kursu. Teraz mogłem przyjrzeć się szczegółowo powierzchni planety - gór, jeziorom i klifom.

O które zaraz mieliśmy się rozbić.

3

AMY

Podobno kiedy człowiek znajdzie się w sytuacji, w której na szali waży się jego życie, takiej jak wypadek samochodowy albo strzelanina, wówczas jego zmysły wskakują na niemal nadludzkie obroty, wszystko zwalnia, a człowiek staje się hiperświadomy otaczającej go rzeczywistości.

Kapsuła przechyliła się w kierunku ziemi, a do mnie dotarło, że tak naprawdę dzieje się dokładnie na odwrót.

Wszystko umilkło, nawet wrzaski ludzi po drugiej stronie metalowych drzwi, łomot - oby nie obijających się od ściany ciał, syk raket, przekleństwa Starszego, moje walące serce.

Nie czułam nic - ani pasa wpijającego się w ciało, ani zaciśniętych kurczowo zębów, niczego. Cała byłam otępiała.

Zniknęły zapachy i smaki.

Jedyne, co w moim ciele wciąż działało, to oczy, a te wypełniał widok, jaki się przede mną roztaczał. Wydawało się, że powierzchnia ziemi jakby skoczyła nam na powitanie, podczas gdy my mknęliśmy na spotkanie z nią. Z rozmazanego obrazu planety pod nami wyłowiłam zarys lądu - kontynent. I w tej samej chwili moje serce ścisnęło pragnienie poznania tego świata i sprawienia, by stał się naszym domem.

Moje oczy chłonęły widok planety - a żołądek skręcał się od świadomości, że nigdy wcześniej nie widziałam tej linii brzegowej. Mogłabym zakręcić globusem i bez trudu rozpoznać miejsce, w którym Hiszpania i Portugalia spotykają się z Oceanem Atlantyckim, zakole Zatoki Meksykańskiej, spiczasty czubek Indii. Ale ten kontynent obniżał się i zakręcał w sposób całkowicie mi obcy, wpadał do nieznanego morza, tworząc półwyspy, których nie znałam, a rozsiane na powierzchni wody wyspy układały się w niezrozumiały dla mnie wzór.

I dopiero ten widok uświadomił mi jedno: być może pewnego dnia ów świat stanie się naszym domem, ale nigdy nie będzie domem, który zostawiłam.

- Gzyf, gzyf, g z y fi - wrzasnął Starszy, ciągnąc za ster tak mocno, że na szyi nabrzmiały mu wszystkie żyły.

Przełknęłam resztki śliny w wyschniętym gardle - to nie była pora na sentymenty.

- Co zrobimy? - zawołałam, przekrzykując piski i wycie panelu sterowania.

- Nie mam pojęcia. Do cholery, n i e mam pojęcia!

Zółtawo-brązowy klif sterczał wysoko, z pozoru celując prosto w kapsułę, i dopiero gdy go minęliśmy, dotarło do mnie, że się o niego nie rozbijemy.

- Zderzenie z powierzchnią za pięć minut. Kapsuła poza ustalonym kursem lądowania - oświadczył komputer całkowicie bezbarwnym głosem. Żałowałam, że to maszyna, a nie żywy człowiek, wtedy mogłabym mu przywalić.

- Czy my się naprawdę rozbijemy? - wydusiłam, odrywając wzrok od widoku za mozaikowym oknem, żeby spojrzeć na Starszego.

Jego twarz była blada i stężała. Pokręcił głową, wiedziałam jednak, że zrobił to bez przekonania.

- Nie, nie rozbijemy się - odparł, choć tak naprawdę chciał powiedzieć: „Nie wiem, możliwe, że tak”.

Natychmiast pomknęłam spojrzeniem na okrągły ekran panelu sterowania - wyświetlała się na nim linia horyzontu, która wirowała teraz chaotycznie.

Podświetlony przycisk niedaleko mnie zaczął migać. Odczytałam widniejący na nim napis: STATECZNIK. Czy to coś dobrego? Nie miałam pojęcia - ale Starszy wyęczał siły, żeby ustabilizować kapsułę, więc naciśnięcie go pewnie by nie zaszkodziło. I choć nie wiedziałam, czy powinnam - uruchomiłam przycisk.

Horyzont poszybował w dół, a potem wysoko w górę, miotając mną na wszystkie strony niczym w jakimś chorym połączeniu kolejki górskiej i karuzeli w Disney World. Świełka pokazały nam małe rakiety, które uruchomiły się u spodu kadłuba, stabilizując kurs, dopóki kapsuła nie wyrównała lotu i nie zwolniła.

- Co do.- zaczął Starszy, lecz urwał, gdy naraz rakiety strzeliły i runęliśmy z niebios prosto w dół.

Spadaliśmy na ziemię, a ja się darłam jak opętana.

Starszy uderzył pięścią najpierw w jeden zestaw przycisków, potem w drugi. Spadaliśmy tak szybko, że widok za oknem rozmył się, a ja widziałam już tylko wielką plamę wymieszanych kolorów.

Horyzont znów opadł, gdy taktyka wciskania kontrolek na oślep przyniosła rezultaty - po czym znów zawiodła - a my wciąż mknęliśmy w dół, w dół. Nagle rakiety wystrzeliły

czerwono-żółtymi płomieniami...

- Dane z czujników powierzchniowych: teren zdalny do lądowania - głos komputera przebił się przez wycie alarmów. - Uruchamiam rakiety, tak czy nie?

Zielone T i czerwone N znów się zaświeciły.

- Wciśnij! - wrzasnęłam i Starszy huknął pięścią w T.

Zobaczyłam, jak z przodu wystrzeliły strumienie biało-niebieskiego ognia i kapsuła szarpnęła, po czym wytraciła prędkość. Od tego nagłego ruchu zaparło mi dech w piersi. A potem wróciły pozostałe zmysły. Wszystko znów stało się prawdziwe. W ustach czułam posmak miedzi - ugryzłam się w wargę do krwi - i już wiedziałam, że zbyt mocno zaciągnięty pas zostawi jeden siniac na mojej klatce piersiowej, a drugi od biodra do biodra. Zza drzwi dobiegał ogłuszający hałas, z którego potrafiłam jednak wyłowić poszczególne okrzyki bólu i niepokoju tysiąca czterystu pięćdziesięciu sześciu pasażerów poziomu kriogenicznego.

I wtedy się zatrzymaliśmy.

Nie wylądowaliśmy - unosiliśmy się ponad wierzchołkami drzew - ale już nie spadaliśmy. Nie rozbijemy się.

Kapsuła nie była całkowicie ustabilizowana. Słyszałam syk dobiegający spod naszych stóp: skierowane prosto w ziemię rakiety utrzymywały nas ponad jej powierzchnią.

- Lądowanie kapsuły? Wciśnij tak lub nie - powiedział spokojnie komputer.

Starszy i ja popatrzyliśmy na siebie. Za tym spojrzeniem nie kryło się żadne znaczenie, żadne słowa - jedynie wspólne nam uczucie. Ulga.

Zamiast sięgnąć do migającego przycisku z T, Starszy złapał mnie za rękę. Jego palce wsunęły się pomiędzy moje. Były śliskie od potu, lecz silne i pewne. Bez względu na to, co miało się stać, co czekało na nas tam, na zewnątrz - zamierzaliśmy stawić temu czoło razem. Starszy przesunął nasze splecione dłonie nad ostatni przycisk i uruchomiliśmy go wspólnie.

Syk cichnął pomału, podczas gdy kapsuła opadała coraz niżej i niżej. Zdałam sobie sprawę, że w trakcie tego szaleńczego lotu wróciła grawitacja i wszystko znowu stało się ciężkie, zwłaszcza przytrzymujący mnie pas. Uwolniłam się z niego i popędziłam do mozaikowego okna. Nasze lądowanie obróciło otoczenie w perzynę - po rosnących najbliższych drzewach został popiół, a ziemia była czarna i lśniąca, jakby się roztopiła. Drzewa - drzewa! Prawdziwe drzewa, prawdziwa ziemia, prawdziwy świat! Na wyciągnięcie ręki!

Z nagłym szarpnięciem, które niemal ścięło mnie z nóg, rakiety wyłączyły się i opadliśmy ostatnich parę stóp na powierzchnię planety.

- Cóż - odezwał się Starszy, spoglądając przez okno na spaloną ziemię - przynajmniej żyjemy.

- Żyjemy - powtórzyłam. Popatrzyłam prosto w jego lśniące oczy. - Żyjemy!

Starszy chwycił mnie za nadgarstek i pociągnął na swoje kolana. Osunęłam się w jego ciepłe, bezpieczne objęcia, a nasze usta zderzyły się w pocałunku pełnym strachu, namiętności i nadziei, jakie niósł ten nowy świat. Całowaliśmy się, jakby to był jednocześnie nasz pierwszy i ostatni raz. Nasze wargi łączyły się desperacko, ciała przywarły do siebie z płomienną furią, jaką budzi tylko radość, gdy człowiek wywinął się śmierci.

Oderwałam się od niego, chwytając łapczywie powietrze. Spojrzałam w oczy Starszego... i przez krótką chwilę widziałam w nich jedynie chłopca, który nauczył mnie wszystkiego o pierwszych pocałunkach i drugich szansach. Ale potem ten obraz rozwiął się i już nie patrzyłam na Starszego. Patrzyłam na Oriona. Zerwałam się z jego kolan i chociaż powtarzałam sobie, że Starszy to nie Orion, wciąż nie mogłam zapomnieć, jak się upierał, że Orion musi wsiąść z nami do kapsuły. Jakby w nagrodę za swoje zbrodnie miał dostać całą planetę zamiast wieczności w komorze.

Starszy znowu wyciągnął rękę w moją stronę, próbując podnieść się z fotela - bezskutecznie.

- Durny pas - wymamrotał i rozpiął go.

Odwróciłam się na pięcie.

Świat był tuż-tuż, za mozaikowym oknem.

Świat.

Nasz świat.

- Udało nam się.

- No - zgodził się Starszy. Nie zdołał ukryć zaskoczenia w swoim głosie. - Udało... -

Gdy to mówił, czułam jego ciepły oddech na karku.

Odwróciłam się, żeby spojrzeć mu w oczy, lecz mój wzrok prześlizgnął się dalej, w stronę drzwi na korytarz, który prowadził na poziom kriogeniczny.

- Moi rodzice - szepnęłam.

W końcu ich odzyskam.

4

STARSZY

Amy odwróciła się bez słowa i rzuciła w stronę zamkniętych hermetycznie drzwi. Jej stopy stuknęły o metalową podłogę, zagłuszając odległe krzyki tysiąca czterystu pięćdziesięciu sześciu pasażerów poziomu kriogenicznego. Wzięłam głęboki, roztrzęsiony wdech. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że naprawdę nam się udało. Pomimo mojej niekompetencji, pomimo tego,

przez co niemal się rozbiliśmy przy lądowaniu...

Urwałem. Przez co tak właściwie niemal się rozbiliśmy? Miałem wrażenie, że coś w nas uderzyło...

- Lądowanie kapsuły zakończone - poinformował komputer. - Po zakończeniu reanimacji zamrożonych proszę przekazać dowodzenie misją najwyższemu rangą oficerowi. Proszę nie opuszczać kapsuły bez wyraźnego rozkazu. Dziękujemy za wkład w misję Giełdy Zasobów Finansowych.

Głos komputera załamał się, po czym zapadła cisza. Ekran na panelu sterowania rozbrzmiał pojedynczym zdaniem:

KOD AUTORYZACJI WOJSKOWEJ:-

To ostatnie słowo - wojskowej - sprawiło, że moim żołądkiem szarpnęło tak samo jak kapsułą nie tak dawno temu. Orion byłby teraz na moim miejscu, gdyby tylko nie bał się wojskowych z Sol-Ziemi tak bardzo, że próbował ich zabić, przekonany, że spróbują zrobić z nas żołnierzy albo niewolników.

Nie potrafiłem myśleć o Orionie tak jak Amy - jak o psychopatycznym mordercy. Bo gdyby nie Amy, być może stałbym się taki jak on. Jaki miałbym wybór? Byłbym taki jak on... albo Najstarszy.

Poza tym bez względu na to, co zaszło, mogłem tylko wierzyć, że Orion i jego strategia były lepsze niż Najstarszy i jego kłamstwa.

Żądanie autoryzacji wojskowej migало przede mną, czekając na kod, którego nie miałem. Po raz ostatni rzuciłem tęsknym wzrokiem na świat za oknem, na bezkresne niebo, a potem odwróciłem się do niego plecami. Słyszałem już strach i ból w głosach moich ludzi. Następny krok należał do zamrożonych, nie do mnie.

Kiedy dotarłem na miejsce, Amy stała przed zamrażarką z komorami kriogenicznymi swoich rodziców i nachylała się nad ludźmi, którzy byli tam przywiązani. Gdy już odsunęli liny zapewniające im bezpieczeństwo podczas lądowania, Amy przepchnęła się między nimi. Jej wzrok przeskoczył natychmiast na odczyty parametrów. Była tak zdeterminowana, że nie dostrzegała, jak ludzie dookoła niej próbują się pozbierać i ustać na własnych nogach po tym, jak unieruchomiono ich przy komorach.

Otoczał mnie chaos. Kit, nasz lekarz, zorganizowała grupę, która biegała po pomieszczeniu, ściągając liny, jakimi na czas lądowania przywiązano pasażerów do stabilnych obiektów. Natychmiast okazało się, że nie był to najlepszy pomysł. Żołądek skręcił mi się w supeł, kiedy Kit nastawiła mężczyźnie wybitny bark. Na twarzach wszystkich widniał taki sam wyraz szoku i przerażenia, jaki widywałem dotąd jedynie na filmach ukazujących

ocalałych z katastrof na Sol-Ziemi.

Kobieta w pobliżu mnie zaczęła krzyżeć. Jej głos odbijał się rykoszetem od metalowych ścian, raniąc uszy czystą zgrozą.

Natychmiast pospieszyli do niej pomocnicy Kit. Czym prędzej uwolnili krzyżącą i jej sąsiadkę, jednak nikt nie miał wątpliwości, że było już za późno - szyję tej drugiej znaczyła ciemnoczerwona pręga. Lina, zamiast ocalić życie, przesunęła się i udusiła biedaczkę.

Podszedłem do kobiety. Krzyk ustał, zastąpiony przez szloch.

Amy wciągnęła powietrze, niemal bezgłośnie, lecz to wystarczyło, żebym okręcił się na pięcie, aby zobaczyć, co się stało.

Rzuciła mi triumfujący uśmiech i dopiero wtedy dostrzegłem, że wszystkie drzwiczki zamrażarki stanęły otworem.

- Naprawdę musisz to robić właśnie teraz? - zapytałem, ruszając w jej stronę.

- Tak - odparła z zawziętością.

- Na dodatek wszystkie? - Potrafiłem zrozumieć jej pragnienie obudzenia rodziców, ale nie potrzebowaliśmy dodatkowej setki zamrożonych w otaczającej nas kakofonii ludzkich głosów.

Dziesiątki pasażerów odniosły obrażenia, a co najmniej jedna osoba... nie, dwie... nie, więcej osób - zginęło. Nie mieliśmy czasu, żeby martwić się cholernymi zamrożonymi, nie teraz, nie po awaryjnym lądowaniu.

Chciałem powiedzieć to Amy, lecz ona powiedziała:

- Mogą pomóc.

Chyba była o tym przekonana, ale raczej nie pomyślała o tym wcześniej, zanim zadałem jej pytanie.

Podbiegła do mnie Kit. Z rozcięcia na jej głowie spływała krew, nie wyglądało to jednak bardzo źle.

- Wszystko w porządku? - zapytała, z troską marszcząc brwi.

Rozejrzałem się. Ludzie spoglądali przed siebie szklanym wzrokiem - uświadomiłem sobie, że byli w szoku. Co prawda liny nie pozwoliły, żeby podczas lądowania awaryjnego objali się po wnętrzu kapsuły, ale cięły ich skórę, oplatały szyje albo zaciskały się tak mocno, że mieli teraz ślady jak po smagnięciu batem.

- Tak - warknąłem. - Wszystko gra.

- Nie, chodzi mi o lądowanie... czy ona... ta planeta... - Kit nie wiedziała, o co tak w zasadzie chciałyby zapytać.

Kącik moich ust uniósł się i przez chwilę nie widziałem metalowych ścian,

otaczających moich zrozpaczonych ludzi, którzy próbowali pozbierać się po lądowaniu. Widziałem tylko niebo.

- Tak - odparłem. - W tej kwestii naprawdę wszystko gra.

Kit odetchnęła z ulgą, a ja zrozumiałem, że w rzeczywistości martwiła się czymś innym: czy ta planeta była tego warta? Również zacząłem się nad tym zastanawiać - była? Moje myśli powędrowały do Shelby, Sterniczki, która nauczyła mnie, jak wylądować. Bez niej naprawdę byśmy się rozbili. Bez względu na to, co zepchnęło nas z kursu, nie zginęliśmy tylko dlatego, że Shelby mnie przeszkoliła.

A ona zginęła, bo ja dokonałem takiego wyboru.

Zamrażarka pełna komór kriogenicznych z sykiem budziła się do życia. Komory wysuwały się z niej z łoskotem, zakładając pod spodem nóżki dla podparcia. Smukłe zautomatyzowane ramiona przesuwaly się po ich powierzchni, unosiły szklane pokrywy i chowały je z powrotem do zamrażarki.

Kapsułę wypełniło mechaniczne buczenie, zagłuszając odgłosy bólu i Jęku wydawane przez pasażerów. Ramiona znowu zawisły nad komorami, tym razem uzbrojone w ostre igły, po czym opadły prosto w dół, wbijając je w lód. Zobaczyłem strumyczki bąbelków - ciepłego powietrza? - bulgoczących w zamrożonym płynie kriogenicznym. Jego poziom już opadał, a na podłodze tworzyły się kałuże. Kąt nachylenia komór, tak łagodny, że nigdy wcześniej nie zwróciłem na niego uwagi, sprawiał, że płyn się z nich wylewał.

Amy nie odrywała wzroku od komór numer czterdzieści jeden i czterdzieści - od swoich rodziców.

Nie potrzebowaliśmy ich. Zamrozeni mogli teraz przynieść jedynie nowe kłopoty. Musieliśmy najpierw zająć się rannymi.

A ja... ja potrzebowałem jej. Potrzebowałem Amy. U mojego boku, a nie wpatrzony w jakieś zamrożone skrzynki. Nawet teraz czułem, że wszyscy z wyjątkiem Amy spoglądali na mnie w oczekiwaniu, że jestem tym, kogo teraz potrzebują. A ja nie miałem pewności, czy zdołam tego dokonać bez jej pomocy.

- Co mogę zrobić? - zapytałem, odwracając się do Kit.

Kit poprowadziła mnie do przeciwległej ściany, gdzie zorganizowała coś w rodzaju punktu segregacji rannych i przydzieliła pielęgniarki do opatrywania pomniejszych ran i stłuczeń. Wciąż pozostawało jednak wielu ludzi, którzy nie mogli czekać na pomoc. Cienkie kable przecinały ich ciała. Nawet ja, laik, widziałem, że potrzebowali zszycia ran. Co najmniej jedna osoba miała wybity bark, tak samo jak tamten człowiek, któremu przed chwilą pomogła Kit. Pod ścianą siedziało jeszcze kilku pasażerów. Nie potrafiłem stwierdzić, czy

dlatego, że zrobili sobie krzywdę i nie mogli stać, czy chodziło o coś innego, coś mniej poważnego. Albo bardziej.

Spojrzałem Kit w oczy. Dostrzegłem w nich desperację. Zaledwie przed paroma dniami była jedynie praktykantką - to Doktorka potrzebowaliśmy, to on potrafiłby sprawnie rozwiązać wszystkie problemy. Sęk w tym, że sam Doktor również stał się jednym z nich.

Kit trzymała w dłoniach kwadratowe, jasnozielone medplasty. Fidus.

- Nie - powiedziałem rozkazującym tonem. Fidus stanowił część „Błogosławionego”. Przez wieki odurzał nas, wymuszał posłuszeństwo. Tu nie było dla niego miejsca. Nie było dla niego miejsca w żadnym świecie bez ścian i kłamstw.

Kit otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale coś w mojej postawie musiało przywołać jej na myśl Najstarszego, bo w milczeniu schowała plastry z fidusem z powrotem do kieszeni.

- Amy! - rzuciłem ostro przez ramię.

- Zaraz - odkrzyknęła, pełna uniesienia, ze wzrokiem utkwionym w rodzicach.

- Amy! - warknąłem.

Spojrzała na mnie z urazą.

- Potrzebujemy pomocy.

- Zaraz - powtórzyła.

- Teraz.

Jadowite spojrzenie, jakie rzuciła mi w odpowiedzi, nie pozostawiało żadnych złudzeń. Ona też dostrzegła we mnie coś z Najstarszego.

Mimo to zostawiła komory kriogeniczne i podeszła do nas. Jej ponura mina zniknęła, gdy dostrzegła rannych, chyba po raz pierwszy.

- Jak mogę pomóc? - zapytała szczerze.

Za jej plecami z komór powoli kapał roztapiający się lód.

5

AMY

Kit kazała mi się przyglądać, podczas gdy sama zakładała mężczyźnie szwy na rozciętej nodze.

- Jak masz na imię? - zapytałam, próbując odwrócić jego i swoją uwagę od krwi spływającej z kolana.

- Heller - mruknął. Pochodził ze średniego pokolenia i chociaż po innych czterdziestolatkach z „Błogosławionego” pomału było już widać wiek, Heller wyglądał, jakby miał kości ze stali, a skórę twardą i wyprawioną. Zerknął z pogardą na swoją ranę, jak gdyby

wściekał się, że ciało ośmieliło się tak go zdradzić.

- Co się stało? - Nie chciałam patrzeć, jak Kit energicznie przeciąga nić chirurgiczną przez jego ciało, osobiście blade i upstrzone plamami krwi. Rzuciłam okiem na roztapiające się komory, a potem z całych sił skupiłam się na rannym. Już i tak pozwoliłam sobie na wystarczająco wiele roztargnienia.

- Niech mnie gzyf, jeśli wiem - burknął. - Siedziałem sobie jak gdyby nigdy nic, cały przywiązany, a tu jakiś kawał żelastwa przejechał mi po nodze i ją rozchłastał.

- Wyłamały się drzwiczki jednej z klatek z królikami - wyjaśniła Kit, mocno zaciągając nić. - Jeszcze parę innych osób oberwało.

- Co się stało z królikami?

Kit wskazała ruchem głowy ścianę w pobliżu laboratorium genetycznego. Powierzchnię metalu znaczyło kilkanaście jasnych, czerwono-białych plam. Przełknęłam gulę, którą poczułam w gardle.

- Widziałaś? - zapytała Kit, zawiązując węzeł na szwie. - Widziałas, jak to robiłam?

- Jakbyś zszywała materiał - odparłam. Co prawda nie naszyłam się zbyt wiele przez całe dotychczasowe życie, ale na statku musiałam się nauczyć, jak obrębiać sobie spodnie.

- Właśnie tak. - Wręczyła mi igłę i nić chirurgiczną. - A teraz idź do następnej osoby.

- Chcesz, żebym kogoś zszyła?

Kit kiwnęła głową.

- A co z tamtą pianką? - zapytałam, mając na myśli ostatni raz, kiedy byłam na poziomie kriogenicznym i Doktorek mnie postrzelił. Kit wycisnęła wtedy na moją ranę piankę, która zasklepiła ją lepiej niż jakikolwiek szew czy bandaż.

- Nie mamy jej zbyt wiele. Lepiej zachować ją na nagłe wypadki.

- Przecież to jest nagły wypadek!

Kit pokręciła głową, klękając już przy następnym rannym.

- Nie wystarczy.

Przez chwilę stałam z zakłopotaniem, niepewna, co powinnam ze sobą zrobić. Starszy kręcił się w pobliżu, ale był pochłonięty niesieniem pomocy. Serce mi puchło z dumy, gdy patrzyłam, jak ludzie odwracają się w jego stronę, a na ich twarzach wbrew wszystkiemu maluje się zaufanie.

Siedząca nieopodal kobieta jęknęła. Jej wzrok spoczywał na trzech martwych ciałach ułożonych u jej stóp, pod ścianą kapsuły. Ciałach tych, którzy nie przeżyli lądowania. Przez chwilę sądziłam, że cierpi właśnie z ich powodu, potem jednak dostrzegłam strumień krwi spływający wzdłuż jej ramienia.

Przycupnęłam obok, ale nie zwróciła na mnie uwagi. Odsunęłam jej koszulę - bark znaczyła nierówna rana. Czerwień ostro kontrastowała z ciemnobrązową skórą.

- Zaraz to pozszywam, dobrze? - powiedziałam, w duchu mając nadzieję, że sprawiam wrażenie pewnej siebie.

Spojrzała na mnie ze strachem w oczach. Myślałam, że może nie chce, żebym się nią zajęła, z powodu tego, kim jestem i jak wyglądam, lecz ona odwróciła z powrotem głowę, nadstawiając bark, jak gdyby składała ofiarę.

- Wiesz, jak to zrobić? - zapytała głosem bez wyrazu.

- Jasne - przytaknęłam. No bo co innego mogłam jej powiedzieć?

Za pierwszym razem pociągnęłam za mocno, wyszarpując nić z ciała. Kobieta syknęła z bólu. Próbowałam ją przeproszać, lecz ona tylko pokręciła głową, z przymkniętymi oczami modląc się - byłam tego pewna - żeby to jak najszybciej się skończyło.

- Jak masz na imię? - Postanowiłam wypróbować tę samą taktykę co z Hellerem.

- Lorin - odparła krótko. Zaczęłam coś paplać, gdy w pewnym momencie zauważyłam, że wargi ma zasznurowane i mocno zaciska powieki.

Nie chciała rozmawiać.

Prowadziłam igłę w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, aż wreszcie znów mogłam oddychać, bo rana była zaszyta.

- Dzięki - wymamrotała Lorin.

Spryskałam ranę środkiem dezynfekującym, po czym skierowałam się do następnej osoby.

Straciłam poczucie czasu. Nie wiedziałam, ile go zostało do przebudzenia rodziców. Próbowałam oderwać umysł od tego, co robię, i moje ciało przeszło w tryb machinalny. Staralam się nie myśleć o tym, że igła przeszywa ciało, nie materiał; nie zwracać uwagi na mokry odgłos, z jakim nić prześlizguje się przez zakrwawioną skórę. Tak bardzo skupiłam się na swoim zajęciu, że gdy ostry, piskliwy wrzask poniósł się echem po pomieszczeniu, aż podskoczyłam, upuszczając igłę.

Tak samo jak pozostali spojrzałam w górę - ale nie zobaczyłam nic, oprócz metalowego sufitu.

- To na zewnątrz - powiedział Starszy głębokim, niskim głosem, kucając obok mnie.

Moje oczy zrobiły się okrągłe.

- Co to było?

- Coś... na zewnątrz.

Mężczyzna, którego nogę właśnie zszywałam, skierował na nas spojrzenie pełne lęku.

- Czy to jeden z tych potworów, przed którymi ostrzegał nas Orion? - zapytał. A ja wstydziłam się przyznać, że dokładnie to samo przyszło mi - i pewnie pozostałym również - do głowy.

Rozejrzałam się. Oczy wszystkich ocalałych pasażerów wpatrywały się w nas dwoje. W niego. Starszego. Czekali na reakcję swojego przywódcy. Jeśli teraz okaże strach, nowy świat powitają z obawą.

- Muszę tam pójść - odezwał się do mnie głosem na granicy szeptu Starszy. - Wychodzę na zewnątrz - dodał, tym razem głośniejszym, tak aby wszyscy go usłyszeli.

Złapałam go za nadgarstek, zostawiając na nim krwawy odcisk.

- Dlaczego?

Ponad naszymi głowami rozległ się kolejny wrzask. Cokolwiek to było - było blisko.

Starszy odciągnął mnie od człowieka, którego zszywałam. Jedna z pielęgniarek zaraz przykłękała obok, żeby mnie zastąpić. Na początek zdezynfekowała upuszczoną igłę.

- Pamiętasz, jak zbiło nas z kursu? - zapytał cicho Starszy.

Przytaknęłam.

- A jeśli to nie był przypadek?

- A co innego? Atak? - W moim głosie pobrzmiwało z wątpienie. - I ty się na mnie wkurzasz, że próbuję obudzić zamrożonych? Jeśli zostaliśmy zaatakowani, to tym bardziej ich potrzebujemy!

- Ciii! - Starszy zerknął ponad moim ramieniem. Na szczęście nikt mnie nie usłyszał. Ale nawet Starszy najwyraźniej zgadzał się ze mną, że pomysł z atakiem to lekki absurd. Owszem, coś jak gdyby zepchnęło nas z trajektorii - ale przecież kapsuła była bardzo stara. Może jedna z rakiet eksplodowała. Może doszło do jakiejś awarii.

- Musimy wiedzieć, z czym mamy do czynienia - stwierdził Starszy.

Przygryzłam wargę.

- Wychodzę - powtórzył.

- W takim razie idę z tobą - odparłam niezwłocznie, bez zastanowienia. Gdy tylko te słowa padły z moich ust, powędrowałam wzrokiem do komór kriogenicznych. Już niedługo.

Nie uszło to uwadze Starszego. Dotknął mojego ramienia.

- Powinnaś zostać. - Chyba mówił tak, żebym nie czuła się winna. - Ale ja m u s z ę wyjść.

Popatrzyłam Starszemu prosto w oczy i zrozumiałam, że jego poczucie odpowiedzialności było większe niż dręczące mnie lęki.

- Cóż, w takim razie przynajmniej nie wychodź bez broni.

STARSZY

- Nie potrafię strzelać - przypomniałem Amy, która buszowała po arsenale.

- Łatwizna - odparła. Wcisnęła mi do ręki ciężki metalowy pistolet. - Już go naładowałam. Tym końcem wyceluj w cokolwiek, co tam zastaniesz, i pociągnij za spust. Bang. I cała filozofia.

Upuściła na moją dłoń dwa małe zielone przedmioty o jajowatym kształcie.

- Granaty z zapalnikiem uderzeniowym - wyjaśniła w odpowiedzi na moje zaciekawione spojrzenie. - Jeśli pistolet zawiedzie, rzuć tym. Wybuchają, kiedy w coś uderzą.

Zrobiłem wielkie oczy. Granaty nie wyglądały na delikatne, ale sama myśl o tym, że eksplodują, wzbudziła mój lekki niepokój.

- Weź też to. - Amy sięgnęła po dużą broń z jakąś rurą rozmiarów mojego ramienia.

- Wystarczy! Ledwo uniosę to, co już mam. Chcę się tylko rozejrzeć.

Kolejny ostry wrzask przeszył powietrze.

- Zaczekaj - powiedziała Amy, patrząc na mnie błagalnie. Jej palce zacisnęły się na moim ramieniu, pochwyciły nadgarstek, przytrzymując z o wiele większą siłą, niż mógłbym ją o to posądzić. - Proszę. Zaczekaj, aż mój tata się obudzi. Żołnierze rozprawią się z tym, co tam czyha. Na tym właśnie polega ich zadanie.

- A na czym polega moje? - zapytałem, delikatnie uwalniając się z jej uścisku. - Mam chronić moich ludzi. Muszę to zrobić.

- Powinni zobaczyć, jak stawiam czoło nowemu światu i niebezpieczeństwom, jakie może kryć. Wtedy zdołają zrobić to samo. Ale jeśli tu zostanę, kuląc się ze strachu i czekając, aż zamrożeni przyjdą nam na ratunek, oni odruchowo pójdą w moje ślady.

- Uważaj na siebie. - Słowa Amy zabrzmiały jak modlitwa. Uciekła przed moim spojrzeniem, a potem szybko cmoknęła mnie w usta. Na jej policzki wystąpił rumieniec. Miałem ochotę wziąć ją mocno w ramiona i wycisnąć na wargach pocałunek wart tego rumieńca.

- Nic mi nie będzie. - Dopiero gdy wypowiedziałem te słowa, zdałem sobie sprawę, że to nieprawda. Kiedy usłyszałem tamten przenikliwy dźwięk na zewnątrz, w pierwszej chwili chciałem zobaczyć to coś, przegnać lęk z twarzy moich ludzi. Ale teraz zaschło mi w ustach, a mój żołądek skręcał się, jak gdyby strach, który w nim czułem, był trującym kwasem. To chyba przez ten arsenał. Taka ilość broni przypominała mi, że dostaliśmy ją nie bez powodu.

Moja dłoń powędrowała do wi-komu za lewym uchem. Uruchomiłem przycisk.

Zamiast zwykłego bip, bip-bip usłyszałem jedynie kliknięcie, kiedy obniżył się i wrócił na swoje miejsce. Zmarszczyłem brwi, a potem nacisnąłem jeszcze raz, tak mocno, że skrzywiłem się z bólu.

Szlag. Sieć wi-komów działała tylko na statku. Przebiegłem palcami po krawędzi przycisku, doskonałego kręgu, który stanowił nieodłączną część mojego ciała, odkąd tylko sięgałem pamięcią. Teraz całkowicie bezużyteczną. Gzyfowe draństwo było bezużyteczne. Tkwiło tam, wszczepione w moje ciało, jego przewody wiły się wśród moich żył, i już nigdy nie miało zadziałać.

Amy złapała moją dłoń i odciągnęła od przycisku pod skórą.

- Nie musisz im nic mówić - stwierdziła. - Oni dobrze wiedzą, co zamierzasz dla nich zrobić.

Nigdy dotąd nie czułem się tak oderwany od... wszystkiego. Świadomość, że statek jest poza naszym zasięgiem, to jedno, ale teraz zniknęła również ta więź, która łączyła mnie z moimi ludźmi.

Zaczekałem, aż Amy wróci do pomieszczenia z komorami kriogenicznymi, i dopiero potem skierowałem się na mostek. Chyba nie zdołałbym ukryć przed nią strachu, jaki mnie ogarnął, kiedy otwierałem drzwi, a nie chciałem, żeby widziała moje wahanie. Nie znałem kodów autoryzacji wojskowej, ale Shelby pokazała mi, jak w nagłych wypadkach przestawić system na sterowanie ręczne. Nie byłem w stanie zdziałać zbyt wiele, mogłem jednak odciąć całą kapsułę, ustawić procedurę alarmową albo uruchomić zraszacze w razie pożaru. I otworzyć drzwi.

Stałem oparty o panel sterowania i patrzyłem przez grube szkło mozaikowego okna. Było zamglone od wilgoci, a mimo to wciąż widziałem za nim nasz świat. Dotknąłem grubego szkła. Ku mojemu zaskoczeniu poczułem ciepło.

Ze zdjęć Sol-Ziemi wiedziałem, że te bardzo wysokie krzaki to drzewa i że ich drewno to takie samo drewno, z jakiego zrobiłem stół, kiedy wykonywałem zadania zlecone mi przez Najstarszego. Wiedziałem, że ziemia, choć poczerniała po naszym lądowaniu, będzie inna niż gładka, równomiernie nawożona gleba na Poziomie Żywiciela.

Lecz ja wcale na to nie patrzyłem.

Spoglądałem dalej, poza spaloną ziemię i połamane drzewa o konarach poskręcanych i skłębionych niczym spleciona przędza, za horyzont, w kierunku nieba.

Bez względu na to, jak bardzo wycężałem wzrok, nigdzie nie widziałem ściany. Żadnej gzyfowej ściany.

Na tle błękitnego nieba przemknęło coś ciemnego, coś nienaturalnego. Moja dłoń

zaczęła się na broni, którą dała mi Amy.

Wydałem komputerowi polecenie: otworzyć drzwi.

Zadziałało. Trzask poniósł się echem po mostku. Dla równowagi chwyciłem się panelu sterowania - ale nie dlatego, że kapsuła nagle się poruszyła. To okno przede mną zaczęło się rozstępować. Tak jak rozsuwał się sufit na Poziomie Strażnika, tak teraz mozaikowe okno uniosło się od jednej strony niczym pokrywa na zawiasach.

Poszczególne kawałki szkła były do siebie przylutowane, jednak teraz dostrzegłem, że metal tak naprawdę stanowi część skomplikowanej mechanicznej konstrukcji. Heksagonalne fragmenty szkła przesuwały się i unosiły, układając się w rampę po prawej stronie statku. Była stroma, ale szkło sięgało ponad spalonym obszarem aż do żółtawej ziemi kawałek dalej.

Wyszedłem zza panelu sterowania, przesuwając dłonią wzdłuż odsłoniętej krawędzi kapsuły. Metal między szkłem stanowił balustradę - dzięki temu mogłem bez trudu zejść po rampie z kawałków okna i postawić stopę na nowej planecie.

Owiała mnie ciepła bryza, wypełniając nozdrza zapachem popiołu i ziemi, lekko rozwiewając mi włosy. Powietrze było gęste i wilgotne, a wiatr łagodny niczym nieśmiałe pocałunki Amy; i chociaż ledwo muskał moją skórę, pobudzał mnie równie głęboko, jak one. Zbiegłem po rampie, wpadłem w poślizg i zatrzymałem się dopiero wtedy, gdy stanąłem na ziemi tego nowego świata. Piaszczysta gleba zapadała się pod moimi stopami. Miałem wrażenie, że mógłbym zapuścić w niej korzenie, tak jak te powykręcane drzewa dookoła.

Podniosłem wzrok. Skąd mi przyszło do głowy, że pomalowany bielą i błękitem stalowy sufit Poziomu Żywiciela naśladuje niebo? Wyglądał zupełnie inaczej. W niczym nie przypominał tej mieszaniny niebieskości i szarości nade mną, strzępiastych pasm chmur, które sunęły przed moimi oczami. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego Amy tak bardzo tęskni za Sol-Ziemią, dlaczego „Błogosławiony” jej nie wystarcza. Czym niby różniło się powietrze wewnątrz statku kosmicznego od powietrza na powierzchni planety?

Wszystkim.

Dwa słońca w górze świeciły tak jasno, że od wpatrywania się w nie musiałem aż zamrużyć, aby pozbyć się czarnych plamek przed oczami. Dwa słońca. Centauri-Ziemia znajdowała się w układzie gwiazdy wielokrotnej, w przeciwieństwie do Sol-Ziemi, która miała tylko jedno słońce. Duże słońce widniało na niebie nieco wyżej niż mniejsze. Pomarańczowoczerwona barwa mniejszego przypominała mi włosy Amy, a biel większego - jej skórę.

Moje uszy przeszył przenikliwy dźwięk. Błyskawicznie obróciłem głowę w stronę lasu. Jakiś ciemny kształt poruszał się pośród cieni, lecz gdy próbowałem dojrzeć go między

gałęziami drzew, usłyszałem coś innego.

Przerażający, zwierzęcy wrzask gdzieś na nieboskłonie.

Obróciłem się, spoglądając tam, skąd dobiegł.

I ujrzałem potwora, przed którym ostrzegał nas Orion.

Podobne do ptaka coś wylądowało zaledwie kilka metrów przede mną, ale było tak ciężkie, że poczułem głuchy łomot, jaki rozszedł się pod nim po piaszczystej ziemi. Stwór górował nade mną. Uniósł długą, spiczastą głowę, po czym spojrzał w dół i otworzył twardy dziób, odsłaniając podobne do ostrzy zęby. Gruba zielona skóra, tak ciemna, że niemal czarna, przechodziła w pokryte łuskami szpony i skrzydła z błonami. Przerażający potwór przypominał przeróżne istoty z Sol-Ziemi zszyte w jedną - głowa dinozaura wieńcząca ciało jaszczurki, ze szponami drapieżnika i skrzydłami nietoperza.

W pierwszym odruchu dźgnąłem palcem przycisk wi-komu, żeby wezwać pomoc. Rzecz jasna, nic to nie dało.

Stwór rozpostarł skrzydła - każde miało tyle długości, ile ja wzrostu i było zakończone zakrzywionym, ostrym szponem. Szpony rozsunęły się i złapały powietrze, sięgając w moją stronę. Palce stóp zacisnęły się na piaszczystej ziemi, gdy bestia nachyliła się, otworzyła dziób i wydała z siebie przeszywający, dźwięczący w uszach, piskliwy wrzask, który odbił się echem w moich kościach. Chociaż stwór stał na tyle daleko, że nie mogłem go dotknąć, poczułem na skórze ciepło jego oddechu, widziałem koniuszek języka, który uniósł się, kiedy jego właściciel na mnie wrzeszczał.

Szukałem po omacku broni, granatów, czegokolwiek.

Stwór wystrzelił w powietrze, odpychając się od ziemi, i zamachnął się na mnie twardą, kościstą głową. Runąłem na ziemię, przygnieciony jego cielskiem, tak ciężkim, że nie mogłem złapać tchu.

Zgiął swoją długą, wężową szyję i otworzył dziób. Czarne, ostre zęby pokryły się pianą, kiedy zbliżał się do mojej twarzy.

Rozległ się huk wystrzału.

Bestia poderwała głowę, oszołomiona. Kula przeszła powietrze, trafiając ją w grzbiet. Szpony zacisnęły się i rozdarły moją skórę razem z materiałem koszuli.

Kolejny strzał - ptasi potwór poderwał się, odpychając od mojej klatki piersiowej, i skoczył ku drzewom. Sapnąłem, kiedy wspiał się na jedno z nich i wzbił w powietrze. Fałdziste skrzydła trzepotały, gdy ostatni wystrzał poniósł się echem.

- Do środka! - wrzasnęła Amy z mostka kapsuły. - Szybko!

Zerwałem się na równe nogi. Z piersi spływała mi krew, z koszuli zostały strzępy, ale

te rany to nic w porównaniu z tym, co mogło mnie spotkać. Dotarłem na szczyt rampy i Amy chwyciła mnie za ramię, po czym wciągnęła do środka.

7

AMY

Kiedy drzwi się zatrzasnęły, obejrzałam Starszego w poszukiwaniu ran. Mogłam myśleć tylko o jednym. Prawie go straciłam. Wszystkie pozostałe myśli - podekscytowanie planetą, oczekiwanie na powrót rodziców, strach przed potworami na zewnątrz kapsuły - pierzchnęły, bo moje oczy i serce skupiły się wyłącznie na krwi spływającej po piersi Starszego. Odtrącił moją dłoń, ściągnął koszulę i osuszył nią zadrapania. Nie były głębokie, jedynie poszarpane i brutalne. Złapałam jeden ze środków dezynfekujących, z których Kit kazała mi korzystać przy zakładaniu szwów, i spryskałam nim Starszego.

- Skąd wiedziałaś, że trzeba wyjść i mi pomóc? - zapytał Starszy, wciąż zadyszany.

- Usłyszałam wrzask tego dziwnego pterodaktyla. O wiele bliżej niż poprzednim razem. - Urwałam. - Co to było?

Starszy wzruszył ramionami, spoglądając na zniszczoną koszulę.

- Pewnie jeden z tych potworów Oriona. Widziałaś coś w lesie?

Pokręciłam głową.

- A co tam było?

- Nie... nie wiem. - Starszy w końcu popatrzył mi w oczy. - Myślisz, że to jeden z tych stworów uderzył w kapsułę podczas lądowania? Był wystarczająco duży, żeby zbić nas z kursu.

- Nie wiem - odparłam, powtarzając jego własne słowa. Dopiero zaczynało do mnie docierać, jak wielu rzeczy po prostu nie wiedziałam. Na przykład, tak na dobry początek, co to, do cholery, było za stworzenie? Przypominało pterodaktyla ze spiczastą głową, wielkimi skrzydłami i wyszczerbionymi szponami, ale było w nim również coś niezaprzeczalnie obcego.

Obcy. Wszystko na tej planecie było dla nas obce. Stłumiłam dreszcz, moje dłonie instynktownie zacisnęły się na wciąż ciepłej broni.

Powinłam była trafić to coś. Powinłam była je zabić. Ale za bardzo się bałam, że przypadkiem postrzelę Starszego.

I bałam się tego czegoś.

Starszy wziął ode mnie broń.

- Odniosę ją do arsenału - powiedział. - Chyba powinniśmy się rozejrzeć, co jeszcze

tam mamy.

Idąc z powrotem na poziom kriogeniczny, usiłowałam odepchnąć od siebie wspomnienie bestii. Wciąż jednak widziałam, jak otwiera dziób, jak pochyla się nad twarzą Starszego...

Kit dopadła mnie, gdy tylko weszłam do środka. Kilka osób spojrzało na mnie z obawą - wiedzieli, że Starszy wyszedł na zewnątrz, i tuż po tym usłyszeli wrzask potwora. Sądzieli, że to coś go dopadło.

- Nic mu nie jest - wydusiłam. - Wszystko w porządku.

Z radością uwierzyli w to kłamstwo, przynajmniej chwilowo.

- Już prawie skończone - rzekła Kit. Odgarnęła włosy z twarzy, pozostawiając na czole smugę krwi. - Jeszcze dwie kości wymagające nastawienia, a potem razem z pielęgniarkami zbadamy kobiety, tak na wszelki wypadek.

Żołądek stanął mi dęba. Prawie zapomniałam - ciężarne.

- Mogę zrobić coś jeszcze? - zapytałam.

Kit uśmiechnęła się blado.

- Już i tak bardzo pomogłaś.

Patrzyłam, jak odchodzi w kierunku ostatniej grupy ludzi czekających na pomoc medyczną. Moje dłonie były całe we krwi, ramiona ciężkie ze zmęczenia, a ja chciałam tylko zwinąć się w kłębek we własnym łóżku i zapomnieć o całym tym dniu. Może popełniliśmy wielki błąd.

- Amy? - rozległ się głos, który znałam, głos, który kochałam, głos, którego mogłam już nigdy nie usłyszeć, o Boże, o Boże, o Boże.

Odwrociłam się i zobaczyłam swojego ojca. Takiego, jakim go pamiętałam.

- Tato! - krzyknęłam i rzuciłam się w jego stronę.

I jego ręce, jego ręce chwyciły mnie w objęcia, przycisnęły mocno do siebie i już wszystko było dobrze, wszystko było w s p a n i a l e, bo wreszcie, wreszcie odzyskałam swojego tatę.

Szlochałam i śmiałam się, i dławiłam, i charczałam, i płakałam, i mówiłam jednocześnie.

- Amy - odezwał się, tłumiąc śmiech. - Co się stało?

Cofnęłam się o krok. Ojciec miał na sobie zieloną koszulę chirurgiczną, inną niż ta, w którą próbował owinać mnie Doktorek, kiedy się przebudziłam. Teraz dostrzegłam, że niemal wszystkie komory zostały już opróżnione z płynu kriogenicznego, że ludzie wstawali, zdejmowali koszule ze zautomatyzowanych ramion, aby się nimi okryć. Mama...

Popędziłam do niej. Przemknęłam między otwartymi komorami i innymi zamrożonymi, którzy zaczynali się budzić. Mama. I chociaż milion razy marzyłam o tej chwili, gdy znów zobaczę ją na własne oczy, te marzenia były niczym, niczym w porównaniu z rzeczywistością.

Mama się roześmiała - chrapliwie, tak dawno nie używała gardła - ale z tą samą melodią co zawsze, która otuliła mnie tak, jak jej ręce.

- Mówiłam, że nie będzie tak źle - wyszeptała z ustami przy moich włosach.

Zdusiłam szloch. Nie wiedziała. Sądziła, że ja też dopiero co się obudziłam. Sądziła, że spałam tuż obok. Nie miała pojęcia o tych trzech miesiącach, które spędziłam na statku, o trzech miesiącach, kiedy myślałam, że już nigdy jej nie zobaczę.

Dłonie mamy ujęły moją twarz i poczułam, że są lodowate. Zerknęłam ponad jej ramieniem w stronę korytarza, który prowadził do arsenału, na mostek i na zewnątrz. Chciałam, żeby Starszy był tu razem ze mną. Chciałam przedstawić go rodzicom. Chciałam, żeby zrozumiał, dlaczego tak ich potrzebowałam, dlaczego teraz już wszystko się ułoży. Ale jego tu nie było.

- Och, maleńka - westchnęła mama, a jej oczy przepelniała radość. - Dotarliśmy! W końcu dotarliśmy! - Znowu przyciągnęła mnie do siebie, mocno ściskając. - Czeka na nas nowy świat, który wspólnie odkryjemy - powiedziała.

- Tak bardzo za wami tęskniłam - wyszeptałam łamiącym się głosem.

Mama odsunęła się, wsuwając mi pasmo włosów za ucho.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Nagle dotarła do mnie cisza, jaka zapanowała w pomieszczeniu. Ludzie ze statku z nieufnością przyglądali się zamrożonym, a zamrożeni zerkali na ludzi ze statku z czymś na kształt obawy, rezerwy.

Ojciec podszedł bliżej i ten ruch skierował na nas uwagę wszystkich obecnych.

- Dlaczego jesteś tak ubrana? - zapytał, przyglądając się mojej tunice i spodniom z samodziału.

Odwróciłam się twarzą do mamy i zapomniałam o wszystkim poza naszą trójką. To był mój świat: moja mama, mój ojciec i ja.

- Obudziłam się przed czasem - oznajmiłam, spoglądając prosto w zielone oczy mamy, dokładnie takie jak moje.

Lekki cień zasnuł jej twarz.

- Ile przed czasem? - zapytał ojciec.

Odpowiedź zamarła na moich ustach. Z początku sądziłam, że obudziłam się

pięćdziesiąt lat przed czasem, że ojciec i ja porozmawiamy o tym, kiedy będę już staruszką. A potem myślałam, że zostałam rozmrożona całe życie za wcześnie. Ze umrę, zanim będę miała tę szansę.

- Trzy miesiące - odparłam, bo aż do tej chwili nie uświadamiałam sobie, że zegar się zatrzymał.

- Trzy miesiące! - krzyknęła cicho moja matka.

- Ponad sto dni. - Gdy zdałam sobie sprawę, że dni na „Błogosławionym” nie mają znaczenia, ponieważ dobiegają już końca, straciłam rachubę.

- Co się stało? - zapytała matka, chwytając mnie za nadgarstek.

Otworzyłam usta, lecz nie padły z nich żadne słowa. Trzymała mnie za nadgarstek dokładnie w tym samym miejscu, co Luthor. Co się stało? Obiecano mi świat, lecz obudziłam się w klatce.

Było tyle spraw, o których chciałam jej powiedzieć. Musiałam.

Lecz gdy spojrzałam na jej twarz, wiedziałam: to bez znaczenia. Nie teraz, nie w tej właśnie chwili. Teraz liczyło się tylko jedno: każde z nas stało tutaj, byliśmy razem, żywi, razem.

Tato zbliżył się i położył dłoń na moim ramieniu. Otworzył usta. Nie byłam pewna, czego się spodziewałam, ale nie tego:

- Co się tu dzieje?

I nasza wspólna chwila roztopiła się niczym lód spływający przez kratkę w podłodze.

Tato rozejrzał się po tłumie milczących obserwatorów z „Błogosławionego” - rannych, przerażonych.

- Co się tu dzieje? - powtórzył z władczą nutą w głosie. Szukał przywódcy, a Starszego nie było tu z nami.

Ludzie z „Błogosławionego” nie wiedzieli, jak zareagować. Przez chwilę patrzyłam ich oczami na moją rodzinę, na moich współtowarzyszy. Obcy. Dziwni. Dopiero co wydostali się ze swoich komór kriogenicznych, o których istnieniu ludzie ze statku aż do niedawna nie mieli pojęcia. I był wśród nich mężczyzna o jasnej skórze, takiej jak moja - wpatrywał się w nich, domagał się informacji. Skoro bali się mnie, to co musieli pomyśleć o moim ojcu? O dziewięćdziesięciu sześciu innych osobach z Ziemi, które wstają ze swych lodowych grobów, żeby przejąć stery?

Po chwili Kit wystąpiła przed szereg. Nie odezwała się jednak, tylko przesunęła wzrok na mnie.

Powoli mój ojciec odwrócił się, próbując wyczytać odpowiedź z mojej twarzy.

Mama po raz ostatni pogładziła mnie po włosach, aż napięcie wiszące w powietrzu zmusiło ją, żeby się cofnęła. Stała u boku ojca. Zauważyłam, że ich dłonie się zetknęły.

- Amy? Dlaczego byłaś tutaj, z tymi wszystkimi ludźmi? Co się stało? - Przy każdym pytaniu ojciec zniżał głos, a ostatnie dobiegło jedynie moich uszu.

- Chodź ze mną - powiedziałam. Tę rozmowę wolałam odbyć w cztery oczy.

Zamiast tego ojciec zaczął przeglądać komory kriogeniczne.

- Nie ja tu dowodzę - odrzekł. - Robertson albo Kennedy...

- Nie żyją.

Jego spojrzenie w okamgnieniu wróciło do mnie i przez chwilę nie poznawałam własnego ojca. Nigdy tak na mnie nie patrzył. Nigdy nie patrzył na mnie tak, jakby był pułkownikiem, a nie moim ojcem.

- Co tu się dzieje? - zażądał wyjaśnień.

- T-tato - zająknęłam się przy pierwszym słowie. - Eee... ten statek... To nie było tak, jak sądziliśmy. Ci ludzie urodzili się na statku - wyjaśniłam, gestem wskazując Kit i pozostałych. Obserwowałam uważnie twarz ojca, czekając, kiedy wreszcie zauważy, że wszyscy z „Błogosławionego” wyglądają tak samo. Jego oczy zwięzły się, kiedy ich liczył. - Nic nie rozumiesz. Wydarzyło się mnóstwo rzeczy. A do lądowania mieliśmy tylko tę kapsułę. Ona... tak jakby się rozbiła. Wiele osób zostało rannych. Mamy swojego przywódcę, ale...

Twarz ojca złagodniała, gdy próbowałam wydusić z siebie wyjaśnienia. Przyciągnął mnie bliżej, otulając całą swoją siłą. I po raz pierwszy od ponad trzech stuleci poczułam się bezpieczna.

- Muszę dowiedzieć się więcej - odparł cicho. - Później porozmawiamy. - A potem warknął ponad moją głowę: - Bledsoe!

Kobieta kilka rzędów dalej stanęła na baczność. Wstrzymałam oddech - znałam ją. To ją Orion niemal zabił, to ją uratowaliśmy razem ze Starszym, podczas gdy Theo Kennedy tonął w swojej komorze kriogenicznej. Mój umysł wrócił do listy, którą sporządziłam przed trzema miesiącami. Emma Bledsoe, lat trzydzieści cztery, żołnierz amerykańskiej piechoty morskiej, pochodzenia południowoafrykańskiego.

- Sir - odkrzyknęła Bledsoe.

- Operacja Genesis w toku.

Nie miałam pojęcia, co to takiego ta Operacja Genesis, w przeciwieństwie do Emmy Bledsoe. Natychmiast zaczęła wywoływać poszczególne osoby - innych żołnierzy, którzy zostali zamrożeni - i rozkazała im ustawić się w szeregu między pasażerami

„Błogosławionego” a ludźmi z Ziemi.

Zerknęłam ponad głowami żołnierzy i napotkałam wzrok Kit. Ze wszystkich sił pilnowała, żeby pielęgniarki nie odstępowały rannych, ale widziałam szczery strach w jej sztywnych ruchach, w tym, że nigdy nie odwracała się do nas całkowicie plecami. Strach przed moimi ludźmi - przed moim ojcem.

- Tato, mamy tu wielu rannych. Podczas lądowania...

- Sir! - zawołała Bledsoe, przerywając mi, zanim zdążyłam wspomnieć o teorii Starszego, że rozbiliśmy się przez tamtego pterodaktyla. Głos kobiety był głośny i wyraźny, miała jednak dziwny akcent - może brytyjski albo australijski. - Wśród tych ze statku są trzy ofiary śmiertelne. - Podeszła do zwłok ludzi, którzy nie przeżyli lądowania.

- Co się stało? - Ignorując mnie, ojciec przeszedł przez tłum, żeby obejrzyć ciała. - Ta kobieta wygląda, jakby ktoś ją udusił. - Wśród zgromadzonych widziałam jej przyjaciółkę. Zaszlochała cicho, gdy mój ojciec brutalnym gestem odchylił głowę zmarłej, żeby rzucić okiem na ślad wokół gardła.

Dostrzegłam Lorin, kobietę, której ranę zszylałam. Stała z boku, wpatrując się w jednego ze zmarłych mężczyzn. Odsunęła się nerwowo, kiedy Bledsoe i mój ojciec podeszli do mnie. Za bardzo się bała, żeby przejść obok nich. Jej spanikowane oczy spojrzały prosto w moje. Uśmiechnęłam się do niej ze współczuciem.

- Co się stało? - warknął tato.

- Musieliśmy przywiązać ludzi kablami na czas lądowania - wyjaśniła Kit, starając się nie pisać. - Zsunął się jej na szyję i...

- Dlaczego nie użyliście uprząży magnetycznej?

- Uprząży... magnetycznej? - powtórzyła Kit.

Tato podeszedł do ściany - Lorin pisnęła z przerażeniem i czym prędzej zeszła mu z drogi - i pochylił się nad podłogą. Jego palce przesunęły się po metalu, a potem zrobił coś - zamaszty ruch nadgarstka, uruchomienie przycisku - i metalowy panel uniósł się. Sięgnąwszy do wnętrza, ojciec wydobyl całe narzędzie płóciennych pasów z wielkimi czarnymi sprzączkami.

- W tym schowku są trzy tysiące uprząży, abyście mogli przypiąć swoich ludzi do podłóg i ścian na wypadek awaryjnego lądowania kapsuły. Dlaczego ich nie użyliście? - Mówił wściekłym, oskarżycielskim tonem.

- Nie... nie mieliśmy o nich pojęcia - odparła potulnie Kit. Patrzyła na niego wstrząśnięta.

Nie potrafiłam oderwać wzroku od martwych. Co za głupia, głupia śmierć. Zginęli, bo

nie mieliśmy pojęcia o tej przeklętej uprzęży.

- Kapitan powinien znać właściwe procedury awaryjnego lądowania kapsuły - powiedział tato. Emanował frustracją i gniewem. Chociaż miał na sobie niedorzeczną zieloną koszulę z rozcięciem z tyłu, bił od niego większy autorytet, niż kiedykolwiek widziałam, i wszyscy - i ludzie z „Błogosławionego”, i ci z Ziemi - słuchali każdego jego słowa.

- To nie tak - odparłam. - Tato, ty nie rozumiesz, sprawy...

Uciszył mnie jednym spojrzeniem.

- Jeden wielki bajzel - warknął. - Bledsoe, gdzie personel medyczny?

- Tutaj, sir - odparła Bledsoe, odciągając na bok pięć osób

- trzech mężczyzn i dwie kobiety.

- Doktorze Gupta - tato zwrócił się do jednego z mężczyzn.

- Niech pański zespół zajmie się rannymi.

Profesjonalni medycy wystąpili naprzód, ale ja już wiedziałam, że nic z tego nie będzie. Moja jasna skóra i rude włosy wzbudzały niepokój wśród ludzi z „Błogosławionego”, ale przynajmniej mieli trzy miesiące, aby się przekonać, że nie stanowią dla nich zagrożenia. Patrzyłam na lekarzy ich oczami i chociaż wiedziałam, że to niedorzeczne, potrafiłam zrozumieć, dlaczego wzdrygają się i odsuwają od Hindusa, dlaczego nie rozumieją kobiety z południowym akcentem, dlaczego spieszą do Kit, zamiast pozwolić, żeby to czarnoskóry mężczyzna opatrzył ich rany. Chciałam zostać z nimi i pomóc - ale co mogłam zrobić?

- Przebierzmy się - powiedział ojciec do Bledsoe. Tura za turą ludzie z komór kriogenicznych podchodzili do skrzyń pod przeciwległą ścianą i wkładali ubrania, które zabrali ze sobą z Ziemi. Mój ojciec i pozostali żołnierze przebrali się w mundury polowe.

Ich odzież, tak bardzo odmienna od tunik i spodni, jakie szyli z samodiała mieszkańcy „Błogosławionego”, jeszcze bardziej wszystkich podzieliła. Syntetyczne materiały i jasne kolory rzucały się w oczy niczym pryszczki na tle brązów i czerni noszonych przez większość załogi statku.

Ludzie z „Błogosławionego” ponad dziesięciokrotnie przewyższali liczebnością Ziemiaków, a mimo to tłoczyli się pod jedną ścianą. W pomieszczeniu było duszno i gorąco, powietrze cuchnęło potem i strachem. I gniewem.

Otworzyłam usta, żeby odwołać ojca na bok - jeśli nie zdoła dowieść, że znalazł się tutaj, by nieść pomoc, że nie jest zagrożeniem, jakim obwołał go Orion, zostanie uznany za wroga. Ale wtedy on zwrócił się do Bledsoe:

- Sprawdźmy arsenał.

Fakt, że dziewięćdziesiąt siedem osób z Ziemi przebudziło się nagle i przejęło

dowodzenie, już wystarczająco popsuł atmosferę, ale dodanie do tej mieszanki broni na pewno nie doprowadzi do niczego dobrego.

Drzwi do arsenału były zamknięte na cztery spusty i nie otworzyły się, kiedy tato wprowadził kod.

- Co się dzieje, sir? - zapytała Bledsoe.

Tato pokręcił głową, a potem raz jeszcze wprowadził kod. Drzwi wciąż się nie otwierały. Zresztą niby dlaczego miałyby? Orion przeprogramował je dawno temu.

- Tato, muszę z tobą porozmawiać - wtrąciłam, starając się naśladować jego władczy ton.

- Nie teraz, Amy.

Czekałam trzy miesiące, które ciągnęły się w nieskończoność, by usłyszeć, jak wymawia moje imię, ale nie sądziłam, że poprzedzą je takie słowa.

- Teraz - nie ustępowałam.

- Amy. - Tato odwrócił się od panelu w moją stronę. - Chyba nie rozumiesz. Mamy misję. To nasza praca. Musimy ustalić, jak wygląda nasza sytuacja, naradzić się z przywódcą tych ze statku i przejąć kontrolę nad terytorium zewnętrznym.

- Tato, ja...

- Amy, chciałbym wszystko rzucić i z tobą porozmawiać. Chciałbym być teraz twoim tatusiem. Ale sytuacja jest poważna, a ja naprawdę muszę rozgryźć, dlaczego zmieniono ten kod, i porozmawiać z przywódcą tych ze statku.

- Cóż - rzekł Starszy, otwierając drzwi arsenału. - W takim razie dobrze, że tu jestem.

8

STARSZY

Pierwsze, co zauważyłem, to zwałpnienie wyryte na twarzy mężczyzny.

- Tato - zaczęła Amy - poznaj Starszego, przywódcę „Błogosławionego”.

Wpatrywała się we mnie nieustępliwym wzrokiem. Potrzebowałem chwili, aby zrozumieć, że ocenia moje obrażenia. Wciągnąłem czystą tunikę, starając się nie krzywić, kiedy pokaleczona przez szpony bestii skóra otarła się o szorstką tkaninę.

- Starszy - podjęła Amy - to mój ojciec, pułkownik Robert Martin. On... po śmierci tamtych dwóch zamrożonych to on dowodzi żołnierzami z Sol-Ziemi. - Głos jej się załamał, kiedy przedstawiała ojca. Aż do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że będzie następnym w linii dowodzenia zamrożonych, widziałem to po niej.

Postąpiłem krok naprzód. W głowie miałem mętlik, usiłowałem przypomnieć sobie,

jak należy poprawnie powitać przedstawiciela władz wojskowych z Sol-Ziemi. Chyba nie powinienem się kłaniać, prawda? To takie staroświeckie - tak samo jak pułkownik Martin.

Zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, mężczyzna odwrócił się do Amy.

- Nie mam czasu na zabawy. Gdzie jest prawdziwy kapitan?

Amy spiorunowała go wzrokiem i wyprostowała się z błyskiem w oczach.

- Starszy jest przywódcą - powtórzyła, tym razem ze stalową nutą w głosie.

Pułkownik Robert Martin obrzucił mnie pogardliwym spojrzeniem.

- Przecież to dzieciak.

- Sir - rzekłem drwiąco. - Istotnie jestem przywódcą „Błogosławionego”, a jeśli chce pan otworzyć jakiegokolwiek drzwi na tej kapsule, w tym te prowadzące do arsenału, które właśnie próbuje pan sforsować, będzie pan musiał okazać mi nieco więcej szacunku.

Brew pułkownika wystrzeliła w górę, lecz on sam nie wdał się w sprzeczkę.

- Potrzebny mi dostęp do systemu komputerowego kapsuły - zażądał.

Pewnie, że tak, do gzyfa.

Przedstawiłem mu sytuację: szklane okno otworzyło się i utworzyło rampę, więc już nas nie chroni przed olbrzymim, gadopodobnym ptakiem, który chciał odgryźć mi twarz, a komputer znajduje się teraz na odsłoniętym mostku.

- Rozumiem - odparł pułkownik Martin tonem sugerującym, że nudzą go moje dywagacje na temat potworów. - Będziemy zatem uzbrojeni, muszę jednak uzyskać dostęp do komputera.

Odsunąłem się od drzwi arsenału, żeby pułkownik Martin i tamta kobieta mogli wybrać broń. Amy rzuciła mi pytające spojrzenie.

- Ja się tym zajmę - wyszeptałem w nadziei, że w moim spojrzeniu widać pragnienie, aby pozwoliła mi stawić czoła jej ojcu na moich własnych warunkach. Skoro pułkownik Martin chce rozmawiać z przywódcą, wolałem mu nie przypominać, że ów przywódca jest młodszy niż jego córka.

Amy nie wyglądała na uszczęśliwioną takim obrotem spraw, ale skinęła głową i wróciła na poziom kriogeniczny. Kiedy pułkownik Martin i tamta kobieta już się uzbroili, poprowadziłem ich korytarzem na mostek.

Ojciec Amy zamaszystym krokiem ruszył przodem. Jedną dłoń położył od niechcenia na broni przytroczonej do pasa. Kobieta, która mu towarzyszyła, wysoka i smukła, o skórze ciemniejszej niż potrafiłbym sobie wyobrazić, podążyła w ślad za nim, nie zaszczycając mnie nawet przelotnym spojrzeniem. Zamknąłem drzwi na mostek, próbując zignorować myśl, jak bardzo byliśmy teraz narażeni na niebezpieczeństwa czające się ponad nami.

Z miejsca zorientowałem się, że świat, który się przed nimi rozpościerał, nie zrobił wielkiego wrażenia na pułkowniku Martinie i tej kobiecie. Gdy mozaikowe okno opadło, odsłaniając mostek, bezgraniczne poczucie wolności zawładnęło mną tak bardzo, że pragnąłem wybiec na zewnątrz, chłonąć każde nowe odkrycie. Oni, w najlepszym razie, podeszli do tego ambiwalentnie. Owiała nas ciepła bryza, a ja zapragnąłem przymknąć oczy i cieszyć się zapachem roślin i ziemi. Ale żadne z nich nie zwróciło na to uwagi.

- Nie różni się zbyt od Ziemi, prawda? - zapytała kobieta ściszym głosem. Mówiła z takim akcentem, że za nic bym jej nie zrozumiał, gdybym nie zdążył się osłuchać z akcentem Amy.

- Nie licząc tego pieprzonego Władcy much, którego tu odstawiają - mruknął pułkownik Martin.

Kobieta wymamrotała coś, czego nie dosłyszałem, po czym podeszła na skraj mostka. Rozstawiła karabin z małym trójkątem i skierowała lufę w górę, celując w niebo. W zasięgu ręki miała jeszcze dwie sztuki broni palnej i granaty. Przynajmniej słuchali, kiedy im mówiłem, że to ptasie coś jest niebezpieczne.

- A więc ty jesteś przywódcą tych ze statku - zwrócił się do mnie pułkownik Martin.

- A więc pan jest ojcem Amy.

- Jestem pułkownik Martin, a ponieważ generał Robertson i generał brygady Kennedy zginęli, jestem również najwyższym rangą oficerem na misji. A to podpułkownik Emma Bledsoe.

Potrzebowałem chwili, żeby przetrwać tę informację. To by znaczyło, że Orion nie wybierał wojskowych na oślep - zaczął od najwyższych stopniem, na początek eliminując największe szczyty. Powinienem był rozpoznać podpułkownik Bledsoe, przecież widziałem ją pod lodem, ale z pewnością nie spodziewałem się, że pułkownik Martin po przebudzeniu okaże się tak zupełnie inny od Amy. W jego oceniającym wzroku i sztywnej postawie nie widziałem żadnego podobieństwa do córki.

- Jestem Starszy - odparłem po prostu.

- Starszy czego? - warknął pułkownik Martin.

- Tak mam na imię. Starszy. To również mój tytuł. Tak nazywamy przywódcę statku.

Pułkownik Martin powściągnął westchnienie, nie odrywając ode mnie spojrzenia. Kątem oka dostrzegłem minę podpułkownik Bledsoe. Była o wiele młodsza od pułkownika Martina i mniej doświadczona w skrywaniu emocji. W ciemnych oczach czaiła się obawa, linia ust zdradzała niepokój.

- A zatem to ty stałeś na czele tutejszych ludzi? - zapytał pułkownik Martin.

- Tak. - Nie powiedziałem mu, że jestem przywódcą dopiero od paru miesięcy, moje rządy dobiegły końca wraz z wystrzeleniem kapsuły, a królestwo podzieliło się tak bardzo, że jedna trzecia ludzi została na pokładzie „Błogosławionego”. W ogóle nie zamierzałem o tym rozmawiać. Chciałem tylko, żeby zrobił z komputerem to, czego potrzebował, abyśmy mogli już stąd wyjść. Mój wzrok co chwilę błędził w kierunku nieba. Moje uszy nasłuchiwały mrozącego krew w żyłach wrzasku. Nie chciałem jednak, aby pułkownik zauważył mój strach, dlatego skupiłem się na tym, co mówił.

- Nie wiem, co takiego zaszło, że ktoś tak młody, jak ty, przejął rolę przywódcy - ciągnął. - Nie wiem, co takiego zaszło, że moja córka obudziła się przed czasem i wplątała w cały ten bajzel. Domyślam się jednak, na podstawie śladów nieudolnego lądowania oraz tego, że są ranni i zabici, że sprawy nie ułożyły się najlepiej.

- Dość. - Słowo opuściło moje usta w postaci warknięcia.

Na twarz pułkownika Martina opadła maska współczucia.

- Chciałem tylko powiedzieć... Nie ulega wątpliwości, że nie było łatwo. Nikomu, owszem, ale zwłaszcza tobie, jako że zbyt wcześnie zostałeś obwołany przywódcą.

Odwzajemniłem jego spojrzenie, nie pokazując emocji. W każdym jego słowie kryła się prawda, ale nie cała. Owszem, było ciężko. Miałem jednak tego pełną świadomość, gdy brałem na siebie tę odpowiedzialność. Na tym właśnie polegała różnica między prawdą a wizją, którą próbował przede mną nakreślić.

Nie zrezygnowałbym przecież, gdybym miał inne wyjście.

- Obecnie sytuacja jest prosta - mówił dalej. - Musimy wyłonić jednego przywódcę spośród tych ze statku i Ziemi. Sugerowałbym, abyś przekazał przywództwo w moje ręce, dzięki czemu będziemy mogli rozpocząć naszą misję jak należy.

Moja pierwsza myśl: ten człowiek nie wygląda jak Najstarszy, nie mówi tak jak on, ale rozumuje dokładnie w ten sam sposób.

Pułkownik Martin zajął fotel na wprost panelu sterowania - ten, w którym siedziała Amy podczas lądowania kapsuły. Obrócił go tak, aby zwrócić się twarzą do drugiego miejsca, a potem je poklepał.

- Usiądź, synu - rzekł z życzliwością.

Usiadłem. Chyba zaczynałem rozumieć, dlaczego Amy tak bardzo pragnęła, żeby jej ojciec wrócił. Pułkownik Martin mówił z taką pewnością w głosie, że prawie uwierzyłem, iż rozwiąże wszystkie moje problemy, zwyczajnie rozkazując im iść precz.

Prawie.

- Sprawy wyglądają zupełnie inaczej, niż się tego spodziewałem - rzekł z powagą. -

Nie ja powinienem obejmować dowództwo.

Ja też nie.

- Nie jestem na to gotowy.

Ja też nie.

- Ale teraz wszystko się zmieniło.

Owszem.

Pułkownik Martin odchylił się w fotelu, spoglądając w niebo.

- Kolonie zawsze musiały walczyć o przetrwanie. Kiedy zakładano Amerykę, kolonistów od jakiegokolwiek pomocy z ojczyzny, którą opuścili, dzielił ocean i wiele miesięcy drogi. Nas dzieli jeszcze więcej.

Podążyłem za jego wzrokiem w stronę nieba, ale nie myślałem o Sol-Ziemi i o tym, jak daleko stąd znajduje się teraz. Myślałem o „Błogosławionym”. Był o wiele bliżej, choć równie nieosiągalny.

- W pierwszych koloniach zginęło wielu ludzi. Nazwali Amerykę „Nowym Światem”, ale to nic w porównaniu z tym co mamy tutaj, prawda, synu? Roanoke* do pięt nam nie dorasta.

* Roanoke - wyspa, na której w 1584 roku powstała pierwsza angielska osada na obszarze Ameryki Północnej (przyp. tłum.).

- Po co mi pan o tym mówi? - zapytałem, nie przejmując się, czy wyjdę na gbura.

- Synu, musisz pomyśleć o zaistniałej sytuacji. Zdaję sobie sprawę, że podczas gdy Ziemianie, tacy jak ja, spali zamrożeni, tu wiele się działo i musiałeś przejąć przywództwo. Na pewno nie było ci łatwo.

- Nie, nie, nie, nie, nie - błagała Shelby. Tuż przed tym, jak pozwoliłem jej umrzeć.

- Być może mi nie uwierzysz - dodał pułkownik Martin - ale wiem, pod jaką presją działasz. Ci ludzie, urodzeni na statku, bez wątplenia oczekują, że rozwiążesz ich wszystkie problemy. Tyle że ty nie możesz rozwiązać ich wszystkich problemów, prawda?

Troję moich ludzi już nie żyje. Leżą martwi tam, na kpięcu korytarza, i to jest moja wina. Bartie i ponad osiemset osób wciąż krąży po orbicie Centauri-Ziemi. Będą żyć i umierać na tym, co zostało z „Błogosławionego”. I to też jest moja wina.

- Synu - rzekł pułkownik Martin. Podobało mi się, jak wypowiadał to słowo, i nie mogłem nic na to poradzić. - Chyba wiesz, co powinieneś zrobić.

- Zrobią z nas niewolników albo żołnierzy - powiedział Orion.

- Będziemy dla nich pracować lub ginąć.

- Ani myślę tak po prostu oddać moich ludzi w pańskie ręce - oznajmiłem, odwracając

się od niego w kierunku drzwi prowadzących w głąb kapsuły. Tutejszy wiatr igrał w moich włosach, dodając mi sił.

- Wcale tego nie sugeruję, synu.

- Niech pan daruje sobie tego syna. - Nie byłem niczym synem.

- Starszy - pułkownik Martin wypowiedział moje imię, jakby pozostawiło posmak goryczy na jego języku. - Tu chodzi o coś więcej niż ty czy ja. Nie możemy pozwolić, żeby twoje czy moje ego stanęło nam na drodze.

- Ja nie pozwalam, żeby moje ego mnie kontrolowało - odparowałem. - Pan niech zajmie się własnym. Może jestem od pana młodszy, ale tysiąc czterysta pięćdziesiąt trzy osoby w tej kapsule stoją za mną murem.

Pułkownik Martin podniósł się, aż jego fotel się zakręcił.

- Zdaję sobie z tego sprawę - rzekł. Życzliwość wyparowała z jego głosu. - Uznałem, że może zdołam cię przekonać...

- Może pan. Ma pan rację, nie było łatwo. I doskonale się orientuję, że moja pozycja nie jest najlepsza. - Jak mógłbym się nie orientować, po tym jak Bartie się zbuntował? Po tym jak ludzie uznali, że wolą zostać na statku, niż opuścić go ze mną? Po tym jak trzy osoby zginęły, bo postanowiły mi zaufać? - Nie jestem przeciwko panu - dodałem. - Nie wydaje mi się jednak, żebyśmy musieli wybierać między panem a mną. Chętnie pozwolę, żeby nas pan poprowadził, ale nie zamierzam mówić moim ludziom, żeby ślepo pana słuchali.

- Ale staniesz za mną? Poprzesz moje rozkazy?

- Jeśli uznam, że są rozsądne. Wtedy stanę przy panu.

Nie wiedziałem, czy zauważył, jak subtelnie przeformułowałem jego słowa, w każdym razie nie skomentował tego.

- Pierwsza sprawa jest prosta. Musimy nawiązać łączność z Ziemią.

- Od pokoleń nie otrzymaliśmy żadnych komów.

- Co? - warknął pułkownik Martin.

- Od kilku stuleci nie mieliśmy żadnych wiadomości z Ziemi.

Zobaczyłem, jak za jego plecami podpułkownik Bledsoe powtarza bezgłośnie „od stuleci”. Lecz pułkownik Martin nie pokazał po sobie żadnych emocji.

- Ale mamy to - powiedziałem, podchodząc do komputera na mostku. Ogrzany promieniami dwóch słońc metal był gorący w dotyku. Ekran migał, czekając na kod autoryzacji wojskowej.

Pułkownik Martin podszedł do komputera, po czym się zawahał. Nie chciał wpisywać kodu, kiedy ja stałem obok. Uniosłem brew, zmuszając go, by umknął spojrzeniem. Odwrócił

się do komputera i szybko wprowadził kod.

Kiedy ekran ożył, zbliżyłem się, żeby lepiej widzieć. Ojciec Amy odsunął się z ociąganiem, robiąc mi miejsce. Przez kilka minut na ekranie widać było jedynie wirujący glob i migający pasek z komunikatem: PRZETWARZANIE... ODBIERAM SYGNAŁ... PRZETWARZANIE. Potem ekran rozbłysnął. Glob otworzył się, ukazując obrazek satelity. Przez ekran przemknęło: PRZEKAZ PRZYCHODZĄCY.

Pułkownik Martin rzucił mi triumfalne spojrzenie, lecz ja wpatrywałem się w ekran. Czy to naprawdę było takie proste? Dziesięciocyfrowy kod i nagle gadamy sobie z Sol-Ziemią, jakby wcale nie dzieliły nas lata świetlne?

Powietrze wypełnił głos, a na ekranie pojawiły się litery, transkrybując przekaz. Oddech uwiąził mi w gardle. Od wielu pokoleń nie otrzymywaliśmy komów z Sol-Ziemi. A jednak... oto rozległ się głos przemierzający cały wszechświat, by do nas przemówić.

Jedynie, czego w tym celu potrzebowaliśmy, to cholerny kod autoryzacji wojskowej.

Gratulacje, „Błogosławiony”! Bezpiecznie dotarliście do celu podróży, planety krążącej w binarnym układzie Centauni.

Niski głos mówi! pomału i monotonie, a mimo to cieszyłem się, że przez ekran przewijała się transkrypcja.

Zdajemy sobie sprawę, że Wasza podróż była bardzo długa, toteż z wielką radością informujemy, że sondy wysłane na miejsce lądowania wykryły nie tylko środowisko podatne do zasiedlenia, ale też intratne źródła bogactw naturalnych! Z tego powodu pracowaliśmy intensywnie na Ziemi, poszukując odpowiednich sposobów, by wesprzeć budowę i rozwój kolonii, którą stworzycie.

Chcieli wesprzeć kolonię? A dlaczego nie wspierali statku? Dlaczego na Sol-Ziemi nikt nie zawracał sobie głowy odzyskaniem łączności, kiedy przed tyloma laty przestały do nas docierać komy? Powinienem się teraz zachwycać, ale, szczerze mówiąc, czułem jedynie gniew. Mogli nam pomóc przy lądowaniu. Mogli nam pomóc przed lądowaniem. Dlaczego nas porzucili, pozostawili własnemu losowi pośród gwiazd, czekając, aż sami wylądujemy?

Przez cały ten czas, odkąd statek-arka „Błogosławiony” wyruszył z Ziemi, pracowaliśmy nad rozwojem długodystansowych podróży międzygwiazdnych. Zdalnie sterowana stacja kosmiczna krąży już po orbicie planety, którą obecnie zajmujecie. Pozwoli nam na szybszą komunikację międzyplanetarną. Dodatkowo Waszym pierwszym zadaniem będzie zlokalizowanie sond wysłanych ze statku - sondy te są wyposażone w zaawansowaną technologię i pomogą nam w komunikacji.

Cała uwaga pułkownika Martina była skupiona na ekranie, lecz ja żałowałem, że głos

nie milknie na dłuższą chwilę, abyśmy mogli zadać jakieś pytania.

W chwili Waszego lądowania został nadany sygnał bezpośrednio do Giełdy Zasobów Finansowych. Możecie spać spokojni, że w tym samym czasie GZF przygotowuje kapsułę z pomocą i zapasami dla Waszej kolonii. Dzięki zaawansowanej technologii kapsuła ta dotrze do Was już wkrótce.

Gapilem się z otwartymi ustami na ekran. Wkrótce? Co to znaczy? „Błogosławiony” potrzebował trzech stuleci, żeby dotrzeć na tę planetę.

Zerknąłem na pułkownika Martina. Jego dłonie, spoczywające w pobliżu przełączników, zadrżały. Był rozdarty - powinniśmy przerwać rozmowę i poprosić o wyjaśnienia? Czy czekać, aż skończy?

Głos w komputerze spoważniał.

Ponadto jesteście zobowiązani poinformować Was o niebezpieczeństwach, jakie grożą Wam na tej planecie. Na początek chcielibyśmy przypomnieć, że zarówno kapsuła bezpieczeństwa, jak i sam „Błogosławiony” są wyposażone w systemy odcięcia. W razie konieczności nie wahajcie się zamknąć w środku do czasu, aż dotrze do Was pomoc.

Zakłócenia statyczne na moment przerwały wiadomość. Pułkownik Martin omiótł przełączniki wzrokiem, nie był jednak pewien, którego użyć.

To istotne, abyście jak najszybciej wznowili łączność z nami za pośrednictwem sondy, dzięki czemu będziemy mogli precyzyjnie przekazać Wam zgromadzone przez nas informacje na temat obecnej populacji zagrażających...

Rozległo się pyk! i jakieś trzaski, a potem głos utonął w szumie zakłóceń. Ekran zgasł z przenikliwym gwizdnięciem, które zadzwoniło mi w uszach. Zapadła niesamowita cisza. Nasza łączność z Sol-Ziemią raz jeszcze została przerwana.

- Co się stało? - zapytałem, gdy pułkownik Martin nachylił się nad komputerem.

- Nie jestem pewien... - Wpisał coś na ekranie, ale ten nie ożył. - Być może doszło do uszkodzenia systemu łączności, kiedy prawie rozbiliście moją kapsułę.

Zanim zdążyłem skomentować to roszczenie w stosunku do mojej kapsuły, tuż za nami huknął wystrzał, tak niespodziewany, że aż podskoczyłem. Bledsoe przykucnęła na podłodze mostka, wykorzystując ścianę do lepszej stabilizacji ręki, gdy starannie mierzyła do celu. Podążyłem za jej wzrokiem i zobaczyłem to coś - unoszące się nad nami z rozpostartymi szponami, gotowe rozerwać nas na strzępy. Rozległ się kolejny wystrzał, a zaraz po nim przeszywający wrzask. Ptasi stwór zmienił kierunek, ale nie oberwał.

- Co to ma być, do diabła? - zapytał pułkownik Martin. Już trzymał broń w gotowości, ścisnął dłoń na rękojęści, aż pobieleły mu knykcie.

- To taka sama bestia jak wcześniej - odparłem, próbując mówić spokojnie. - Amy powiedziała, że przypomina... - usiłowałem przypomnieć sobie tamto słowo -...dinozaura? Eee... terro...?

- Wiem, co to przypomina, do cholery, ale co to jest?

Ukryłem uśmiezek. A więc w końcu natknęliśmy się na coś, co pozostawiło rysę na niewzruszonej pewności siebie pułkownika Martina.

- Zanim wylądowaliśmy, ostrzegano nas przed... - urwałem. Głupio to brzmiało, ale nie znalazłem innego słowa. - Potworami.

Pułkownik Martin spojrzał spod przymrużonych powiek na stworzenie, które szybowało ponad naszymi głowami. Było olbrzymie - nawet z tej odległości przesłaniało nam częściowo promienie słoneczne.

Bledsoe strzeliła ponownie, ale potwór za bardzo się od nas oddalił.

- Być może lądowałem awaryjnie - dodałem - wydaje mi się jednak, że jedno z tych stworzeń zbiło nas z kursu.

- Nie marnuj amunicji - warknął do Bledsoe pułkownik Martin. Nie opuściła lufy, dostrzegłem jednak, że zdjęła palec ze spustu. - Powinniśmy wracać do środka, tu nie jest bezpiecznie. Chcę się dowiedzieć czegoś więcej o tej „populacji zagrażających” - ciągnął, odwracając się do mnie. - Bledsoe i ja wyjdziemy z grupą ośmiu ludzi. Jeśli znajdziemy jedną z sond, zdołamy nawiązać bezpieczne, stabilne połączenie z Ziemią i będziemy mieć lepszy ogląd tego, z czym przyjdzie nam się tu zmierzyć.

Ruszył w stronę drzwi. Bledsoe wycofała się powoli, nie opuszczając broni.

- Starszy, musisz uspokoić swoich ludzi - rzekł pułkownik Martin. To był rozkaz, nie prośba.

- Idę z wami.

Pułkownik przystanął z dłonią opartą o drzwi.

- Żadnych cywilów.

- Moi ludzie muszą zobaczyć, że mamy równy status. Muszą wiedzieć, że jestem zaangażowany w misję. A ja mam prawo wiedzieć, co pan powie Ziemi.

- Oczywiście - zgodził się pułkownik. - Ale obecnie to ważne, by mieli kogoś, do kogo mogą się zwrócić. Musisz być opoką, skałą, na której mogą polegać.

- Ja...

Otworzywszy drzwi, pułkownik Martin zagonił mnie do środka. Emma Bledsoe trzymała się tuż za mną i zamknęła drzwi na cztery spusty. Powietrze wewnątrz kapsuły miało gorzki, metaliczny posmak w porównaniu z ciepłą, świeżą bryzą, którą dopiero co

porzuciliśmy.

- Jesteś mi potrzebny tutaj, Starszy - oświadczył pułkownik Martin. - Potrzebuję kogoś zaufanego, kto zapewni bezpieczeństwo kapsuły.

- Ale...

- Zostawiam cię z cennym ładunkiem. Z naszymi ludźmi. N a-szymi ludźmi. Podołasz temu zadaniu?

- Tak, ale...

- Świetnie, świetnie, cieszę się, że się ze mną zgadzasz - rzucił, po czym ruszył do arsenału.

Nie potrafiłem się oprzeć myśli, że właśnie zostałem pionkiem, spełniając tym samym najgorsze obawy Oriona.

9

AMY

Krążąc po korytarzu, wpadłam na Emmę.

- Co się stało? - sapnęłam. Usłyszawszy wystrzały i wrzaski kolejnego pterodaktyla, oderwałam się od matki i pognałam na mostek.

Emma wyglądała na zaskoczoną.

- Nic - odparła.

Minęła mnie, po czym zaczęła wywarkiwać rozkazy w kierunku żołnierzy zgromadzonych przy komorach kriogenicznych.

Moje serce chyba przestało bić, dopóki nie zobaczyłam Starszego i taty w arsenale. Bezpiecznych. Tatę całkowicie pochłonął wybór broni. Starszy sprawiał wrażenie zrezygnowanego, niemal nadąsanego, posłał mi jednak uśmiech, od którego moje serce znów zatrzepotało.

- Co się dzieje? - zapytałam, wciąż nie mogąc złapać tchu. Spostrzegłam, że drzwi na mostek zostały zamknięte na głucho.

- Amy, wszystko w porządku. Wracaj do matki - rzucił tato.

Zignorowałam go i spojrzałam na Starszego.

- Widzieliśmy jednego z p... - Starszy już miał powiedzieć „potworów”, ale urwał. - Widzieliśmy kolejne stworzenie. Tym razem się nie zbliżyło.

Zerknęłam na kaliber.44 w dłoni mojego taty.

- Zamierzacie zapolować na to coś?

Zaskoczyłam go.

- To dla bezpieczeństwa. Wyruszamy w dziesiątkę, żeby odnaleźć sondę i przywrócić połączenie z Ziemią.

- Chwila, przywrócić? - Odwróciłam się w stronę Starszego. Jego wzrok zdradził mi wszystko. - Rozmawialiście z Ziemią?! - pisałam. - To... o rany! Ekstra! Co mówili? Jak teraz wygląda Ziemia? Co zamierzają zrobić?

- Kom-link został przerwany - odparł Starszy. - Ale chcą wysłać pomoc. Sądzą... - Zmarszczył czoło. - Sądzą, że mogą nam pomóc.

Rozdziawiłam usta.

- Serio?!

Starszy przytaknął, ale nie był nawet w części tak podekscytowany jak ja. Ziemia! Po tych wszystkich latach Ziemia znowu się do nas odezwała!

- Amy, muszę zająć się pracą. Wracaj do matki. - Tato wsunął broń do kabury, po czym zaczął przeglądać zapas granatów i bomb na innej półce.

- Idę z wami! - Weszłam głębiej do arsenału. Zignorowałam ponure spojrzenie Starszego. - Tato, pozwól mi! Muszę wyjść na zewnątrz. Planeta jest na wyciągnięcie ręki, a ja tak naprawdę jeszcze jej nie widziałam.

- Nie - odparł, nie podnosząc nawet wzroku.

Drgnęłam, jakby tym pojedynczym słowem uderzył mnie w twarz.

- Tato - nie ustępowałam. - Pozwól mi pójść z wami. Nie będę zawadzać. Wezmę broń. Pomogę. Tylko pozwól mi pójść.

Tato podniósł głowę i przez chwilę tylko wpatrywał się w moje spoglądające błagalnie oczy.

- Nie.

- Ale...!

- Nie. Wracaj do matki.

- Tato!

Starszy nieznacznie pokręcił głową, dając mi znak, żebym odpuściła. Zmrużyłam oczy. Widziałam, że tato jemu też zabronił wychodzić - ale Starszy wyszedł i tak. Widział już świat. Wcale tego nie chciał, ale go widział.

Odwróciłam się i wymaszerowałam z arsenału. Wiedziałam, że to dziecinne z mojej strony. Nierozsądne, niedojrzałe i niedorzeczne. Tyle że nic nie potrafiłam na to poradzić. Wcześniej byłam skupiona wyłącznie na ratowaniu Starszego, teraz po prostu chciałam zobaczyć Centauri-Ziemię na własne oczy.

Musiałam.

Przystanęłam przed drzwiami na poziom kriogeniczny i wzięłam głęboki wdech. Z całych sił skupiłam się na tym, co naprawdę działo się tam, w środku. Pomieszczenie było zatłoczone, lecz niezaprzeczalnie podzielone. Blisko tysiąc pięćset osób ze statku zebrało się pod jedną ścianą, jak najdalej od komór kriogenicznych. Ludzie z Ziemi zajęli się niewdzięczną robotą - pogrążeni w rozmowach rozpakowywali swoje skrzynie, rozstawiając sprzęt badawczy na stolikach zrobionych z pokryw kriogenicznych. Po obu stronach panowała pewna nerwowość, ale też i strach. Strach przed nieznanym.

Emma przemaszerowała obok mnie razem z ośmioma żołnierzami, każde z nich z poważnym wyrazem twarzy. Byli teraz w pełnym umundurowaniu, uzbrojeni po zęby. Przypomniałam sobie wrzask latających stworów i wzdłuż kręgosłupa przebiegł mi mimowolny dreszcz. Centauri-Ziemia nie miała służyć za źródło mojej rozrywki. Ojciec słusznie zabronił mi z nimi wychodzić, bez względu na to, jak bardzo byłam z tego powodu niezadowolona.

Nie zmieniało to jednak faktu, że gdy go odmrażałam, nie sądziłam, że zamknie mnie w kapsule. Wszystkie komory kriogeniczne świeciły teraz pustkami, niczym zapomniane muszle, które morze wyrzuciło na plażę.

Wszystkie z wyjątkiem jednej. Oriona.

Mój wzrok powędrował do drzwi po drugiej stronie pomieszczenia. Bez trudu prześlizgnęłam się pomiędzy niedawno zamrożonymi ludźmi, kierując się do laboratorium genetycznego. Dotarłszy do celu, wprowadziłam kod dostępu i przeciągnęłam kciukiem po skanerze biometrycznym. Tylko nieliczni mieli dostęp do tego pomieszczenia, ale Starszy dopilnował, żebym znalazła się wśród nich.

Drzwi zasunęły się za mną, gdy tylko znalazłam się w środku.

Byłam teraz sam na sam ze swoimi myślami i ciszą.

I z Orionem.

Ruszyłam w stronę jego komory kriogenicznej. W przeciwieństwie do tych, w których spali moi rodzice, ta była jednostką samowystarczalną. Stała pionowo, a małe okrągłe okno ukazywało mężczyznę uwięzionego w lodzie.

Zwolniłam, podchodząc bliżej.

Nie chciałam się do tego przyznać, ale przyglądałam się Orionowi w poszukiwaniu rysów Starszego. Przesunęłam spojrzenie na duży cylinder po drugiej stronie laboratorium z dziesiątkami maleńkich embrionów, które można było wydobyć ze złotej mazi i zmienić w kolejny klon Starszego.

Nie, nie w kolejnego Starszego... tylko w inną osobę z tym samym ciałem. Umysł

Starszego w niczym nie przypominał umysłu Oriona.

Oriona nigdy nie mogłabym pokochać.

Kiedy Starszy wysunął moją komorę kriogeniczną z zamrażarki, nie zdawał sobie sprawy, że się obudzę i że już nigdy nie będzie można mnie zamrozić. Ale Orion o tym wiedział. A gdy wysuwał komory Robertsona i Kennedy'ego, wiedział też, że umrą, zadławiając się płynem kriogenicznym w swoich gardłach, wytrzeszczając oczy i drapiąc palcami o szkło.

Wiedział.

Spojrzałam na timer poniżej twarzy Oriona. 05:23:34... 33... 32... 31...

Nachyliłam się i szybko wcisnęłam właściwe cyfry, przestawiając timer z powrotem na 24:00:00.

Kolejne dwadzieścia cztery godziny zamrożenia. Starszy zdołał przeprogramować urządzenie tak, byśmy zyskali dodatkowe godziny, ale timer był wybredny. Sprawdzałam go teraz codziennie.

Zmusiłam się, by spojrzeć w zamrożoną twarz Oriona, w jego zastygłe oczy. W ogóle nie chciałam, żeby tu był, oddzielony od nowej planety jedynie warstwą lodu.

Ale skoro ja nie mogłam jeszcze zobaczyć nowego świata, to przy-namniej zamierzałam dopilnować, żeby jemu też się to nie udało.

10

STARSZY

Przez krótką chwilę rozkoszowałam się świeżym powietrzem, zanim zamknęłam drzwi mostka za dziesięcioma żołnierzami, którzy wyruszyli na spotkanie z nową planetą. Nie miałem pojęcia, jak długo potem stałem, przyciskając czoło do chłodnego metalu.

Zaczęło się.

Czułem, jak strzępy kontroli nad sytuacją wymykają mi się z rąk.

Zamknęłam oczy, głośno wypuściłem powietrze z płuc. Nie mogłem tak myśleć. Nie mogłem żyć pogrążony w lękach Oriona.

Z pomieszczenia kriogenicznego dobiegł jakiś hałas, wrywając mnie z ponurych myśli. Z początku sądziłem, że to naturalna wrzawa tysiąca pięciuset osób stłoczonych w jednej wielkiej sali, ale potem jeden głos z wyraźną furią przebił się przez pozostałe. Pognałem do pomieszczenia.

- Co się stało? - krzyknęła jakaś kobieta, gdy przeciskałem się przez tłum zgromadzony wokół ostatniego rzędu komór.

Amy stała przed wysoką Ziemianką o długich chudych ramionach i wielkiej gęstej

czuprynie. Kobieta jęknęła głosem stłumionym przez zachrypiły, zasmarkany, dyszący szloch:

- Co się s-stało?

Amy uniosła dłonie i próbowała cofnąć się o krok, utknęła jednak między rzędami komór kriogenicznych. Zamrożeni tłoczyli się wokół niej, a moi ludzie obserwowali ich z nerwową nieufnością.

Amy coś powiedziała, zbyt cicho, żebym mógł dosłyszeć, ale głos kobiety zabrzmiał tak piskliwie, że słowo doszło uszu każdej osoby w pomieszczeniu:

- Zamordowany?!

Niech to gzy f.

Przyspieszyłem kroku, spychając ludzi z drogi i zmierzając w stronę Amy i zamrożonej. Gdy do nich dotarłem, Amy skinęła głową na krzyczącą kobietę i szepnęła:

- To Juliana Robertson.

Robertson - to samo nazwisko nosił jeden z zamrożonych, których odłączył Orion.

- Mój mąż! - wrzasnęła piskliwie Juliana, przyciskając dłoń do zamkniętych drzwiczek komory kriogenicznej numer sto.

A potem ta sama dłoń zacisnęła się w pięść. Kobieta odwróciła się błyskawicznie, chwyciła Amy za tunikę i szarpnięciem przyciągnęła do siebie.

- Co się stało? - warknęła wściekle. - Powiedz mi, co za skurwysyn zamordował mojego męża!

Oczy Amy zrobiły się wielkie ze strachu.

- To był.- urwała. Wiedziałem, co chciała powiedzieć: „To był wypadek”, ale kłamstwo nie przechodziło jej przez usta.

- Kto?! - wrzasnęła Juliana Robertson prosto w jej twarz.

Amy drgnęła, a ja odepchnąłem Julianę, przyciągając Amy. Kobieta straciła zainteresowanie nami i obróciła się na pięcie, stając twarzą w twarz z ludźmi ze statku.

- Które z was, dziwadła, to zrobiło? - wykrzyczała i w okamgnieniu dotarła do mnie ironia tej chwili. Uważała nas za dziwadła, bo wyglądaliśmy podobnie, podczas gdy tym samym słowem moi ludzie określali Amy, ponieważ wyglądała inaczej. - Który tchórz zamordował mojego męża we śnie? Pokaż się! - Była wściekła, aż gotowała się z nienawiści.

Moi ludzie nie wiedzieli, co jej odpowiedzieć. W ich oczach zamrożeni stanowili zagrożenie. Wielu z nich zgadzało się z Orionem i jego czynami. A Juliana miała na sobie takie same zielono-brązowe ubrania jak reszta wojskowych - była przeszkolonym żołnierzem, przez co stawała się jeszcze bardziej niebezpieczna.

Wtedy spojrzeli na mnie - to ja powinienem ich chronić.

Juliana podążyła za ich wzrokiem, ale nie zrozumiała, co on oznaczał. Sądziła, że patrzą na mnie oskarżycielsko, wskazując w ten sposób mordercę jej męża.

Skoczyła na mnie z wrzaskiem i zanim zdążyłem zareagować, jej pięść trafiła mnie w lewą kość policzkową, aż odrzuciło mi głowę. Zachwiałem się na nogach, unosząc dłonie w obronnym geście.

- Łapy precz od Starszego! - krzyknął jeden z urodzonych na statku - mężczyzna imieniem Heller, dawny rolnik z Poziomu Żywiciela - i złapał Julianę za rękę, gdy ta znów do mnie doskoczyła i zamachnęła się do kolejnego ciosu.

- Nie, zaczekaj... - próbowałem coś powiedzieć.

- Nie rób jej krzywdy! - zawołała jedna z zamrożonych i ruszyła do boju.

I tak po prostu - chaos.

Ziemianie może i byli silniejsi, ale moi ludzie przewyższali ich liczebnie, piętnastu do jednego. Kiedy bójka przybrała na sile, grupka zamrożonych zaczęła się wycofywać, aż dotknęli plecami komór kriogenicznych. Wszelkie inne dźwięki tonęły w powodzi wrzasków i krzyków. Kobieta, którą wziąłem za matkę Amy - miały takie same zielone oczy - złapała ją za nadgarstek i odciągnęła od nacierającej tłuszczy. Przełknąłem kulę w gardle. To moja wina, że na kapsule wybuchła walka, tak samo jak na „Błogosławionym”. To ja nie potrafiłem zapewnić Amy bezpieczeństwa. Dźgnąłem palcem przycisk wi-komu - nic z tego. Tutaj nie działał.

Wspiąłem się na najbliższy stół.

- Przestańcie! PRZESTAŃCIE! - krzyknąłem.

Ale to nie pomogło.

Ta bójka zrodziła się z gniewu i strachu.

Pięści uderzały w ciała; krew tryskała ze świeżych ran. W stronę tłumu poleciało krzesło, a potem z ogłuszającym łoskotem uderzyło o komorę kriogeniczną. Juliana Robertson, z dziko rozwianym włosom, skoczyła z wrzaskiem w moją stronę, ale jeden z moich ludzi cisnął nią o zamrażarkę. Zlazłem ze stołu i rzuciłem się między walczących. W nagrodę oberwałem.

Juliana podążyła za ich wzrokiem, ale nie zrozumiała, co on oznaczał. Sądziła, że patrzą na mnie oskarżycielsko, wskazując w ten sposób mordercę jej męża.

Skoczyła na mnie z wrzaskiem i zanim zdążyłem zareagować, jej pięść trafiła mnie w lewą kość policzkową, aż odrzuciło mi głowę. Zachwiałem się na nogach, unosząc dłonie w obronnym geście.

- Łapy precz od Starszego! - krzyknął jeden z urodzonych na statku - mężczyzna

imieniem Heller, dawny rolnik z Poziomu Żywiciela - i złapał Julianę za rękę, gdy ta znów do mnie doskoczyła i zamachnęła się do kolejnego ciosu.

- Nie, zaczekaj... - próbowałem coś powiedzieć.

- Nie rób jej krzywdy! - zawołała jedna z zamrożonych i ruszyła do boju.

I tak po prostu - chaos.

Ziemiańskie może i byli silniejsi, ale moi ludzie przewyższali ich liczebnie, piętnastu do jednego. Kiedy bójka przybrała na sile, grupka zamrożonych zaczęła się wycofywać, aż dotknęli plecami komór kriogenicznych. Wszelkie inne dźwięki tonęły w powodzi wrzasków i krzyków. Kobieta, którą wziąłem za matkę Amy - miały takie same zielone oczy - złapała ją za nadgarstek i odciągnęła od nacierającej tłuszczą. Przełknąłem kulę w gardło. To moja wina, że na kapsule wybuchła walka, tak samo jak na „Błogosławionym”. To ja nie potrafiłem zapewnić Amy bezpieczeństwa. Dźgnąłem palcem przycisk wi-komu - nic z tego. Tutaj nie działał.

Wspiąłem się na najbliższy stół.

- Przestańcie! PRZESTAŃCIE! - krzyknąłem.

Ale to nie pomogło.

Ta bójka zrodziła się z gniewu i strachu.

Pięści uderzały w ciała; krew tryskała ze świeżych ran. W stronę tłumu poleciało krzesło, a potem z ogłuszającym łoskotem uderzyło o komorę kriogeniczną. Juliana Robertson, z dziko rozwianym włosiem, skoczyła z wrzaskiem w moją stronę, ale jeden z moich ludzi cisnął nią o zamrażarkę. Zlazłem ze stołu i rzuciłem się między walczących. W nagrodę oberwałem.

- DOŚĆ! - ryknął stojący w drzwiach pułkownik Martin. Ludzie najbliższe niego zastygli na chwilę, lecz bójka trwała dalej. - POWIEDZIAŁEM DOŚĆ! - ryknął ponownie, maszerując prosto przez sam środek kłębowiska. - BACZNOŚĆ!

Wykonali rozkaz.

Żołnierze, którzy z nami zostali, przestali walczyć. Nawet Juliana Robertson. Z nozdrzy ciekła jej krew, oczy miała czerwone, ale rozluźniła pięści i cofnęła się w milczeniu.

- Co, do diabła, się tutaj wyprawia? - zapytał rozwścieczony pułkownik Martin. Jego wzrok przeskoczył ode mnie do Juliany i z powrotem. Za plecami pułkownika dziesięcioro żołnierzy, którzy wyruszyli z nim na poszukiwanie sondy, rozproszyło się po pomieszczeniu.

- Mój mąż - wycodziła Juliana przez zaciśnięte zęby. - Został zamordowany, sir.

Pułkownik Martin skłonił głowę.

- Wiem.

Oczy Juliany rozbłysły.

- Możesz odejść. Idź do ładowni i ochłoń.

- Sir, chodzi o mojego męża.

- Wiem - powtórzył. -1 mojego przyjaciela. Możesz odejść.

- Oni go zamordowali.

- Odejść. - Głos pułkownika Martina nie dopuszczał nieposłuszeństwa. Juliana obróciła się na pięcie i jak burza ruszyła do pomieszczenia, w którym przechowywano skrzynie. W ślad za nią wyszło jeszcze paru innych żołnierzy.

Moi ludzie spojrzeli na mnie. Skinięciem głowy wskazałem im przeciwny koniec pomieszczenia kriogenicznego. Wycofali się, zauważyłem jednak, że wciąż spinają mięśnie, wciąż zaciskają zęby. Byli gotowi na walkę. Wcale się nie skończyła, tylko przycichła na chwilę.

Pułkownik Martin dopadł do mnie zamaszystym krokiem. Z jego oczu biła furia.

- I to nazywasz przywództwem? - warknął cicho. - To nazywasz kontrolą?

- Nie - rzuciłem krótko. A potem dodałem: - Sir.

Teraz, gdy było już po bójce, Amy i jej matka podeszły bliżej. Na ich widok twarz pułkownika złagodniała.

Wystąpił naprzód, przyciągając uwagę zgromadzonych.

- Posłuchajcie wszyscy, zarówno urodzeni na statku, jak i na Ziemi. Mam dla was wieści. Ale najpierw ostrzeżenie: jeśli nie będziemy współpracować, nigdy nie przetrwamy na tej planecie.

Mówił głośno i pewnie, chociaż nie krzyczał. Mimo to widziałem, jak moich ludzi opuszcza woła walki, jak zapominają o gniewie, żeby słuchać.

- Znaleźliśmy sondę niecałą milę stąd, na skraju lasu, w którym wylądowaliśmy. Nie zdołaliśmy nawiązać łączności z Ziemią, liczę jednak, że wkrótce nam się to uda.

Wziął głęboki wdech. Wszyscy się w niego wpatrywali.

- Ponadto widzieliśmy stworzenia, które mogliście usłyszeć na zewnątrz kapsuły. To duże, gadopodobne ptaki, prawdopodobnie drapieżne i mięsożerne.

Po tych słowach zgromadzonych przeszedł dreszcz. Wszystkie koszmary, jakie śnili na temat tej planety, właśnie stały się rzeczywistością.

- Musimy zachować nieustanną świadomość zagrożeń, jakie na nas czyhają na tej planecie. I to z nimi musimy walczyć, a nie z sobą nawzajem.

Pułkownik Martin potoczył wzrokiem po pobojowisku - przewróconych stołach i krzesłach, plamach krwi, poszarpanej odzieży.

- Nie możemy pozostać w obrębie tej kapsuły w nieskończoność, pomimo osłony, jaką nam ona zapewnia. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Na razie nasza misja będzie polegała na przetrwaniu: znalezieniu pożywienia, wody i schronienia. Wszyscy muszą wziąć udział w tym zadaniu. Zaczynamy jutro.

Rzucił mi zniesmaczone spojrzenie.

- Do tego czasu spróbujcie się nie pozabijać.

11

AMY

Po przerwaniu tragicznej bójkii tato odciągnął mnie na bok.

- Czy możemy gdzieś porozmawiać? - zapytał ponuro.

- W laboratorium genetycznym - odparłam, kiwając głową w stronę drzwi. Przez krótki moment patrzyliśmy sobie ze Starszym w oczy ponad tłumem stłoczonym w pełnym napięcia pomieszczeniu. Gdybyśmy tylko znaleźli chwilę tylko dla siebie, może zdołalibyśmy wspólnie coś zrozumieć z tego nowego świata. Ale blisko tysiąc pięćset osób czekało, aż Starszy odpowie na ich pytania. A na mnie czekała jedna.

Tato poszedł za mną na drugi koniec pomieszczenia kriogenicznego. Nie skomentował niczego, nawet gdy skaner biometryczny rozpoznał mój genetyczny podpis. Zaczekał, aż drzwi się zamknęły, zanim cokolwiek powiedział.

- Kto to? - zapytał, podchodząc do komory kriogenicznej. Orion tkwił w niej zastygły w pół ruchu, z palcami drapiącymi o szkło, oczami wytrzeszczonymi pod lodem.

- Człowiek, który zamordował męża Juliany Robertson. I który próbował zamordować ciebie.

Tato odwrócił się do mnie.

- Wiele się wydarzyło, kiedy spałem. Musisz mnie w to wprowadzić.

Nie musiałam pytać, dlaczego prosi mnie, a nie Starszego. Mimo to zawahałam się. Czy opowiadając ojcu, co wiem, zamiast nalegać, by porozmawiał ze Starszym, podkopię pozycję Starszego?

Nie... nie. Ojciec musiał poznać prawdę o Orionie, a ja wiedziałam, że Starszy będzie się wahał z wyjawieniem wszystkich jego win. Tato nie potrzebował wymówek - musiał wiedzieć dokładnie, dlaczego Orion jest niebezpieczny. Wyjaśniłam, najlepiej jak potrafiłam, kim jest Orion i dlaczego sądził, że mordując zamrożonych żołnierzy, ocali swoich ludzi. Nie wspominałam o tym, że Starszy pragnął, aby tato i pozostali zamrożeni osądzili i ukarali Oriona. Wyjaśniłam to tak, jakby samo zamrożenie miało być dla niego karą - nie chciałam,

żeby go budzili, choćby tylko po to, by poddać jego czyny osądowi. Chciałam, żeby spędził stulecia uwięziony w lodzie, tak samo jak ja.

Tato pokręcił głową, usiłując zrozumieć, dlaczego Orion pozwolił, by jego przyjaciele zginęli. Wyciągnął rękę i odgarnął mi za ucho pasmo rudych włosów.

- Wiele przeszłaś - powiedział łamiącym się z żalu głosem.

Moja prawa dłoń machinalnie spoczęła na lewym nadgarstku i zaczęła go pocierać. Dokładnie tam, gdzie przed trzema miesiącami wykwitł siniak, po tym jak zostałam przygwożdżona do ziemi, zakleszczona między nią a mężczyzną, który upajał się popełnianym złem.

Tato objął mnie ramieniem.

- Ci ze statku - zaczął łagodnie - są inni, niż się tego spodziewałem.

- Ja też spodziewałam się czegoś innego.

- Wszystko, co pozwoli mi ich zrozumieć...

Puściłam nadgarstek i przełknęłam słowa, które cisnęły mi się na usta.

Tato zaczął krążyć w tę i z powrotem - ten nawyk przejęłam od niego.

- Ci ludzie wyglądają identycznie, mają dzieciaka za przywódcę i jest ich mniej, niż się spodziewaliśmy po takim czasie. - Przypominał mi zwierzę uwięzione w klatce. Skręcał ostro przed ścianą i ciężkim krokiem kierował się ku przeciwległej. - Jeśli zapisy z sondy są prawidłowe, podróż nie trwała trzysta lat... Sonda sugeruje, że minęło ponad pół milenium.

Więc tyle czasu „Błogosławiony” pod tyrańskimi rządami Najstarszych krążył po orbicie planety: dodatkowe dwieście lat. Sześciu, może siedmiu albo ośmiu Najstarszych? I jeden Starszy, który się zbuntował.

- Co się wydarzyło przez tych pięć stuleci? - ciągnął tato, ale mówił bardziej sam do siebie niż do mnie. - Co oni ze sobą zrobili? Z pewnością chodzi o jakiegoś rodzaju modyfikacje genetyczne. Ale ich zasady życia społecznego również zmieniły się z biegiem czasu...

- Majstrowali przy genach - wtrąciłam. Uwaga taty natychmiast skupiła się na mnie. Słuchał z przejęciem, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widziałam. - To znaczy, najwyraźniej zrobili coś, żeby osiągnąć etniczną jednorodność. Wiem, że dzieciom przed narodzinami wstrzykiwali zmodyfikowany materiał genetyczny. - Tato nie odezwał się ani słowem. Jego nagłe napięcie uwagi sprawiła, że poczułam lekki niepokój i zaczęłam trochę bełkotać. - Podobno chcieli w ten sposób zapobiec problemom. Uznali różnorodność ras za potencjalne źródło konfliktu - i religii, i w ogóle wszystkiego, o co mogliby się kłócić albo walczyć.

W oczach taty pojawiło się zamyślenie.

- Mówisz tak jak oni - stwierdził w końcu.

- Co proszę?

- Sama posłuchaj, jak to powiedziałaś. „Co proszę” - cisnął te słowa jak oskarżenie. -

Mówisz teraz z akcentem.

- Nieprawda!

Patrzył na mnie twardym wzrokiem.

- Owszem.

Zmarszczyłam brwi. Nie rozumiałam nawet, jakie to ma znaczenie. Może rzeczywiście mówiłam tak jak oni. I co z tego?

- Co jeszcze możesz mi powiedzieć? - Tato nie odrywał ode mnie spojrzenia. - Czego się nauczyłaś po przebudzeniu?

Nauczyłam się, że życie jest bardzo, bardzo kruche. Nauczyłam się, że można znać kogoś przez zaledwie parę dni i nigdy nie zapomnieć wrażenia, jakie na tobie wywarł. Nauczyłam się, że sztuka może być jednocześnie piękna i smutna. Nauczyłam się, że gdy ktoś cię kocha, zaczeka, aż ty poczujesz to samo. Nauczyłam się, że nie ma znaczenia, jak bardzo czegoś chcesz, bo może to dostaniesz, a może nie. Ze „nie” czasem nie wystarczy, że życie nie jest sprawiedliwe, że moi rodzice nie zdołają mnie uratować, może nikt nie zdoła.

- Niczego szczególnego - wymamrotałam.

- No, dalej. - Przerwał, obracając się do mnie twarzą. - Każdy szczegół, nieważne jak drobny, pomoże mi zrozumieć tych ze statku.

Nie podobał mi się sposób, w jaki mówił „ci ze statku”. Jakby przez to, że przyszli na świat na „Błogosławionym”, byli mniej ludzcy niż ludzie urodzeni na Ziemi.

- Tak naprawdę chcesz wiedzieć, jak zyskać pewność, że po prostu nie rozszarpiemy się na strzępy, prawda? - Zbyt żywe wspomnienie niedawnej bójki wciąż chodziło nam po głowach. Byliśmy jak beczka prochu: byle iskra mogła nas rozerwać.

Tato przytaknął, czekając na ciąg dalszy.

- Wyjdźmy na zewnątrz - rzuciłam szybko, a w moim głosie już dało się słyszeć błaganie. - Niech wszyscy zobaczą planetę. Niech zobaczą, co się kryje za ścianami. Ci ludzie... Oni nigdy nie znali niczego poza metalową klatką. Jeśli otworzysz drzwi, jeśli pozwolisz im zobaczyć świat, pokochają go i zrobią wszystko, co trzeba, żeby ta misja się powiodła. Zeby zbudować sobie nowy dom.

- Tam nie jest bezpiecznie... - zaczął, lecz weszłam mu w słowo.

- Najbardziej niebezpieczne, co możesz zrobić, to nie otworzyć tych drzwi. Zrób to. W

przeciwnym razie sami przedrą się przez ściany.

Tato podzielił ludzi na mniej więcej stuosobowe grupy. W każdej na dziesięcioro ludzi przypadał jeden uzbrojony żołnierz. Podczas gdy on organizował wymarsz, ja posłałam Starszemu triumfalny uśmiech. Starszy zmarszczył brwi i odwrócił wzrok.

- O co ci chodzi? - zapytałam cicho, kiedy tato zaczął szykować pierwsze grupy do wyjścia.

- O nic. - Starszy nie patrzył mi w oczy.

- Nie - powiedziałam z taką mocą, że aż spojrzął na mnie z zaskoczeniem. - Nie dąsaj się, tylko mów, o co chodzi. Co cię martwi?

- Czy to nie jest trochę jakby... manipulacja?

- Co?

Starszy łypnął w stronę drzwi, gdzie stał tato, wydając rozkazy wojskowym, którzy prężyli się przed nim na baczność.

- Tata? - zapytałam z niedowierzaniem. - Myślisz, że wszystkimi manipuluje?

- Najstarszy tak właśnie by postąpił - odparł Starszy, unikając mojego wzroku. - Podsunąłby ludziom coś wielkiego, żeby odciągnąć ich uwagę od tego, co naprawdę ważne.

- A od czego konkretnie mój tato próbuje odciągnąć uwagę? Od planety? Chyba właśnie to im podsuwa. Poza tym to był mój pomysł, nie jego.

Z początku Starszy nic nie odpowiedział.

- Przepraszam - wydusił w końcu, chociaż nie byłam pewna, czy powinnam mu wierzyć. Odwrócił się w moją stronę. - Przepraszam - powtórzył, tym razem szczerze. - Tak naprawdę wcale nie myślę, że twój tato jest taki jak Najstarszy.

Uśmiechnęłam się blado, oboje wiedzieliśmy jednak, skąd wzięły się te przemyślenia. Orion. Choć był zamrożony, i tak nie mogliśmy przed nim uciec.

Tato starannie pilnował, żeby jako pierwsi wyszli ludzie ze statku, i to wbrew protestom naukowców, w tym mojej matki, którzy nie mogli się już doczekać, kiedy zaczną badać i eksplorować planetę. Starszy był mu za to wdzięczny. Widziałam, że większość ludzi z „Błogosławionego” cieszyła się z tej możliwości.

Ale nie wszystkim się to podobało. Prawie połowa ludzi ze statku nie ośmieliła się wyjść na zewnątrz, nawet pod czujnym okiem uzbrojonych strażników. Przepelniał ich strach, a ściany, które znali całe swoje życie, dawały im pocieszenie. W kapsule unosił się smród spoconych ciał i odpadków. Tato rozkazał Emmie, aby zabrała stąd zwłoki trzech osób, które nie przeżyły lądowania, celem przygotowania ich do pochówku, jednak niewiele można było poradzić na pozostałe wonie. Nie wiedziałam, co Starszy i tato zrobią, kiedy przyjdzie pora

opuszczenia kapsuły raz na zawsze. Kit padała z nóg, a jej zapas żółtych medplastów uspokajających już się wyczerpał.

Zauważyłam, że nikt nie nosił jasnozielonych medplastów z fidusem.

Starszy i ja znaleźliśmy się w ostatniej grupie - razem z ludźmi z Ziemi, którzy czekali niecierpliwie. Naukowcy zgromadzili się przy drzwiach, gotowi do działania. Moja matka w obu dłoniach trzymała już słoje na próbki, a na jej twarzy rozciągał się uśmiech tak szeroki, że aż mnie samą rozbolały od niego policzki. Tato stał przy drzwiach wiodących na mostek i w milczeniu liczył nas, gdy kolejno opuszczaliśmy kapsułę.

Kiedy zbliżaliśmy się do mostka, wsunęłam palce w dłoń Starszego. Zerknął nerwowo na tatę, który widział wszystko, ale nie puściłam.

- Gotowa? - zapytał, kiedy przechodziliśmy przez drzwi prowadzące do nowego świata.

Z podekscytowania nie mogłam wydusić z siebie żadnej odpowiedzi. Uderzyła mnie fala gorąca - ale nie było to duszne, ciężkie, klaustrofobiczne powietrze kapsuły, a ciepła bryza kończącego się letniego dnia.

Emma Bledsoe pełniła rolę przy panelu sterowania. Trzymając w gotowości broń dalekiego zasięgu, przepatrywała las i niebo w poszukiwaniu potwornych pterodaktyli - bądź czegoś innego, co mogło się kryć wśród zmierzchu. Potoczyłam wzrokiem po rozciągającym się przede mną widoku, chłonąc z niego o wiele więcej, niż za pierwszym razem. Wtedy za bardzo pochłaniał mnie lęk o Starszego i przerażenie na widok pterodaktyla, żebym zwróciła uwagę na cokolwiek innego. Nawet teraz musiałam odepchnąć od siebie strach przed stworzeniami, jakie mogły się kryć w narastających ciemnościach, i z całych sił skupić na tym, co miał mi do zaoferowania ten świat. Las wokół kapsuły w niczym nie przypominał lasów, które widywałam na Ziemi. Zamiast jednego pnia i wielu gałęzi skierowanych ku niebu tutejsze drzewa miały dziesiątki drobniejszych, wąskich pni poplątanych ze sobą. Każdy z nich był szerokości co najwyżej mojej nogi. Wiły się i splatały, tworząc gęste zagajniki. Gałęzie przypominały supły zwieńczone liśćmi - cienkimi i szerokimi, które wyglądały bardziej jak bawełniane myjki rozwieszzone do wyschnięcia.

- Amy? - głos Starszego sprowadził mnie z powrotem do rzeczywistości. Postąpiłam o krok.

Ślady lądowania kapsuły były wyraźne: obróciliśmy w proch spory kawałek ziemi - Piaszczysta gleba bezpośrednio pod kapsułą była zupełnie spalona. Wyglądało, jakby zawrzała, a potem na powrót zastygła. Unosiły się nad nią leniwe smugi dymu. Cieszyłam się, że długa rampa sięga daleko, gdzie ziemia wciąż była czarna, ale przynajmniej nie bulgotała.

Gdy stanęłam na powierzchni planety, zaparło mi dech w piersi. Ziemia. Prawdziwa, najprawdziwsza ziemia tuż pod moimi stopami. Najpierw zamknęłam oczy. Zrobiłam głęboki wdech - wyobraziłam sobie, jak moje płuca wypełniają się czymś więcej niż samym powietrzem, wypełniają się ziemią, drzewami, oceanem. A potem wydech i wszystko wydawało się jeszcze większe. Powietrze. Nie przetworzone - świeże, czyste powietrze pachnące ziemią, roślinami i mnóstwem innych rzeczy.

Wokół mnie roilo się od ludzi. Wielu spośród nich spoglądało w niebo albo kulilo się jak najbliżej kapsuły w oczekiwaniu, że pterodaktyl spadnie na nich i ich porwie. Ale ja wiedziałam jedynie Starszego, którzy trzymał moją dłoń, i rozciągający się przed nami świat.

I wiedziałam, że to, co powiedziałam ojcu, to prawda - gdy tylko zakosztujemy tego świata, zrobimy wszystko, by uczynić go naszym domem.

- Czy nie jest wspaniały? - zapytałam Starszego.

W milczeniu skinął głową. Jego wzrok również błędził w górze, wiedziałam jednak, że nie szukał tam potwora kryjącego się wśród ciemniejących chmur, gotowego do ataku. Szukał ścian, których tam nie było i nigdy nie będzie.

- Uwaga!

Oboje wpatrywaliśmy się w niebo, dlatego prawie wpadliśmy na drobnego mężczyznę, który przycupnął nad ziemią z kałużą białego gipsu u stóp.

- Co pan robi? - zapytałam.

W odpowiedzi mężczyzna - jeden z biologów z misji - ostrożnie uniósł gips, odsłaniając ogromny odcisk stopy.

- Pułkownik Martin zezwolił mi na zbieranie śladów tutejszych form życia - wyjaśnił.

Rozpoznałam ten ślad - zostawił go ten ptasi dinozaur, który zaatakował Starszego, kiedy byliśmy tu po raz pierwszy. Gdy biolog delikatnie uniósł gipsowy odlew, zobaczyłam długie bruzdy wyżłobione w ziemi przez szpony potwora. Grudki żółtej, piaszczystej gleby psuły odlew, ale biolog usunął je za pomocą pędzla. Zdusiłam drżenie. Przypomniałam sobie, jak te szpony zagłębiły się w ciele Starszego.

Starszy dotknął piersi, jak gdyby pod opatrunkiem, który założyła mu Kit, wciąż odczuwał ból. Odsunęliśmy się bez słowa, kiedy badacz poderwał się, żeby pokazać odlew kolegom. Chciałam się cofnąć z powrotem w okolice statku, ale Starszy odciągnął mnie od narastającego tłumu, bliżej lasu.

- Nadal cię boli?

Oderwał dłoń od piersi.

- Nieszczególnie - wymamrotał, skupiony na drzewach.

- Czego szukasz?

Pokręcił głową, wzrokiem przepatrując krzewy rosnące w poszyciu.

- Kiedy zostałem zaatakowany... - zaczął wolno - wydawało mi się, że słyszałem...

Pochylił się, wpatrując się intensywnie w ziemię, w czym przeszkadzały mu cienie drzew i gasnące światło zmierzchu. Podkraść się bliżej.

- Widzisz? - zapytał niemal szeptem.

Przykucnęłam obok Starszego. U stóp najbliższego drzewa dostrzegłam coś, co mogłoby być tropem pozostawionym przez zwierzę, tyle że w niczym nie przypominało znanych mi tropów. Większości śladów nie dało się rozpoznać - jakiegokolwiek to było zwierzę, przeszło tędy kilkakrotnie. Lecz u stóp drzewa, w miękkiej glebie, zachował się jeden idealny odcisk, głęboki na pół cala, o wyraźnym zarysie: trzy pomarszczone palce i owal poznaczony siatką kresiek.

Dłoń Starszego zawisła nad śladem. Tylne części były mniej więcej rozmiarów jego dłoni; wydłużone palce - lub szpony - sięgały kilka cali dalej.

Jakie zwierzę mogło zostawić podobny trop? Szpony ptasiego potwora były zakrzywione, ale pokryte łuskami pazury tego stworzenia wyglądały, jakby ich krawędzie przypominały ostrze piły, jakby wystarczyło, że otrą się o moją skórę, by przeciąć ciało...

- Powinniśmy sprowadzić tu tamtego naukowca, żeby zrobił odlew z gipsu - rzuciłam, wstając.

Starszy również się podniósł i wtedy usłyszeliśmy niski głos:

- Trzymajcie się grupy.

Z lasu wyłonił się młody mężczyzna w mundurze polowym - wchodząc prosto w ślad. Starszy warknął z frustracją, ale na żołnierzu nie zrobiło to wrażenia.

Był młody - niewiele starszy ode mnie, z pewnością tuż po dwudziestce. Miał zdumiewająco niebieskie oczy, kontrastujące z ciemnymi włosami. Rozpoznałam w nim jednego z żołnierzy, których ojciec zabrał na poszukiwania sondy, ale nie znałam jego imienia ani stopnia. Spostrzegł, że się na niego gapię, i rzucił mi przelotny uśmiech, po czym z powrotem skierował uwagę na kapsułę i dał obserwującemu nas tacie znak, że droga wolna. Wbrew sobie oblałam się rumieńcem. Nosił mundur bez żadnych widocznych oznaczeń. Zanim zdążyłam zapytać, kim jest, wtrącił się tato.

- Nie oddalajcie się od grupy! - warknął z mostka. Żołnierz odwrócił się i podjął przerwany patrol.

Ciągnąc mnie z powrotem, Starszy zerknął ukradkiem na mojego ojca. Szarpnęłam go za ramię i dałam nura na drugą stronę kapsuły. Tutaj również krążył wojskowy, ale

przynajmniej zniknęliśmy z pola widzenia mojego nadmiernie czujnego ojca.

I wtedy zauważyłam słońca. Dwa. Nie miałam pojęcia, dlaczego nie zauważyłam ich wcześniej - kto myśli o tym, żeby patrzeć na słońce? - ale wisiały nisko na niebie, rzucając na okolicę ciemne, niebiesko-zielone światło zmierzchu.

Dwa słońca.

Dwa.

Oczywiście wiedziałam - zawsze wiedziałam - że Centauri-Ziemia będzie miała dwa słońca. Nawet patrzyłam na te dwie olbrzymie, rozżarzone kule przez okno kapsuły. Ale co innego zobaczyć dwie duże gwiazdy z pokładu statku kosmicznego, a co innego dwa słońca z powierzchni ziemi.

- Są... są przepiękne - powiedziałam z podziwem. W odpowiedzi Starszy ścisnął mocniej moją dłoń.

Odwróciłam się i ujrzałam na jego twarzy odbicie tego samego zachwytu, który czułam w sercu. Moje usta zaczęły rozciągać się w niepohamowanym uśmiechu i przez chwilę sądziłam, że nigdy nie przestaną. Dłoń Starszego uwolniła się i prześlizgnęła w górę po moim ramieniu, zostawiając ślad w postaci gęszej skórki.

Zaparło mi dech.

Odchyliłam głowę, wspierałam się na palce i ciepła, pachnąca ziemią bryza wiejąca od strony lasu pchnęła mnie prosto w jego objęcia. W naszym pocałunku nie było już tamtej szaleńczej namiętności, którą dzieliliśmy podczas lądowania kapsuły. Ten przypominał falę oceanu, omywającą nas, topiącą w swym cieple, odbierającą dech i rozpalającą blask w naszych oczach.

Jedno ze słońc skryło się za horyzontem, podczas gdy drugie wciąż wisiało na skraju świata, zalewając nas przygaszonym blaskiem. Widać było kilka jasnych gwiazd. I jedna z nich - najjaśniejsza, ewidentnie poruszająca się po niebie - przyciągnęła moją uwagę. Czy to „Błogosławiony”? Czy gdybym znalazła wystarczająco silny teleskop, dostrzegłabym pogiętą stal zniszczonego Mostka?

Poruszyłam się, chcąc raz jeszcze pocałować Starszego, lecz się cofnął. Zerknęłam za siebie w samą porę, by zobaczyć, jak mój ojciec odchodzi po cichu, niepostrzeżenie.

Odwróciłam się do nich plecami i w tej samej chwili drugie słońce zniknęło za horyzontem. Cały świat spowiała ciemność.

Szliśmy z powrotem w stronę rampy, która prowadziła do kapsuły, kiedy spokój naszej pierwszej nocy na Centauri-Ziemi zmaćcił głos kobiety, matki Amy.

- Patrzcie! - zawołała.

Amy podążyła wzrokiem tam, gdzie jej matka wskazywała palcem, i wydała stłumiony okrzyk. Ziemia... świeciła.

Łagodnie, ale jednak: tuż pod poczerniałą warstwą pokrytej bąblami, spalonej ziemi dostrzegłem słaby, ciepły blask. Ten widok nasunął mi wspomnienie pożaru na Poziomie Żywiciela, tego, jak ściany Dystrybufo tliły się na czerwono i żółto od żaru.

- Skąd się bierze ten blask? - szepnęła Amy.

Nie miałem pojęcia - za bardzo zajęło mnie to, co dostrzegłem po drugiej stronie kapsuły. Podeszedłem - ziemia pod moimi stopami była twarda, niczym kafle albo szkło, a nie jak piaszczysta gleba. Nasze rakiety dosłownie ją stopiły.

Amy podążyła za mną.

- Na co patrzysz?

Wskazałem palcem.

- Symbol?

Podeszła do kapsuły i dotknęła olbrzymiej stalowej płyty, na której wygrawerowano wizerunek orła z dwiema parami skrzydeł.

Poniżej, pogrubionymi, równomiernie rozstawionymi literami, wypisano nazwę statku. Domu, który porzuciłem.

BŁOGOSŁAWIONY

- To tylko symbol GZF - powiedziałem. - Widniał też na Poziomie Żywiciela. Ale nie na to...

- Na Poziomie Żywiciela? - powtórzyła Amy. - Nigdy go nie widziałam.

- Dokładnie pośrodku statku był taki mały kamień z metalowym znacznikiem i płytą. Nazywaliśmy go Punktem Zero. - Wzruszyłem ramionami. - Znajdował się pośrodku jednego z pastwisk dla bydła.

Amy stłumiła dreszcz. Nigdy nie przepadała za bydlęm z „Błogosławionego”.

- Ale nie na to patrzyłem - ciągnąłem, wskazując na prawo od płyty, na miejsce niemal całkowicie ukryte za rampą. - Popatrz.

Dwie olbrzymie, ciemne blizny znaczyły brzuch i bok kapsuły. Wyglądały jak ślady po wybuchach - bliźniacze, głębokie wgniecenia z rozchodzącymi się czarnymi smugami.

- Co to takiego? - Amy sięgnęła do wgnieceń. Były długości całej jej ręki, ale za wysoko, żeby zdołała ich dotknąć.

- Nie wiem - wymamrotałem. - Ale idę o zakład, że właśnie to zbiło nas z kursu.

Zmarszczyłem brwi. Nie potrafiłem powiedzieć, czy te wgniecenia powstały na skutek awarii naszych własnych rakiet, czy też w coś uderzyliśmy.

A może coś uderzyło w nas.

- Myślisz, że miałem rację? - szepnąłem. - Ze to było jedno z tych ptaszysk? A może...

- Do środka! - ryknął pułkownik Martin. Podpułkownik Bledsoe i jej ludzie szybko zapędzili wszystkich na szklaną rampę. Na szczęście nikt z nich nie zdawał sobie sprawy z moich podejrzeń.

Matka Amy zawołała ją. Dziewczyna uśmiechnęła się do mnie przeprasząco, ruszając w stronę matki, która stała na krawędzi spalonej ziemi. Podekscytowana kobieta przytuliła córkę.

- Czyż to nie jest fascynujące miejsce? - zapytała gorączkowo. - Zbierałam próbki. Nie mogłam dłużej czekać. Ojciec jest wściekły, że tyle to trwało, ale mu przejdzie.

- Do środka! - pułkownik Martin ryknął raz jeszcze. Bledsoe czekała na naszą trójkę u podnóża rampy. Byliśmy jedynymi cywilami, którzy zostali na zewnątrz.

Podszedł do nas młody żołnierz, na którego natknęliśmy się wcześniej.

- Pora wracać - oznajmił. - Tu nie jest bezpiecznie.

Amy zamruwała.

- Nie przedstawiłeś się jeszcze - powiedziała. Coś w jej głosie sprawiło, że zerknąłem na intruza spod przymrużonych powiek.

Wyciągnął rękę, żeby pomóc Amy z wejściem na rampę, i jej palce zacisnęły się na jego łokciu.

- Szeregowy Chris Smith, do usług - odparł z uśmiechem, który z niewiadomych powodów bardzo mnie zirytował. - Służę pod twoim ojcem.

- Tak jak wszyscy - rzekła Amy. Jej twarz również rozjaśnił uśmiech.

- Z wyjątkiem mnie.

Moje słowa sprawiły, że Chris i Amy przystanęli. Było coś oceniającego w sposobie, w jaki żołnierz na mnie spojrzał. Najwyraźniej uważał, że ma prawo mnie oceniać. Na samą myśl o tym zmarszczyłem brwi z jeszcze większą wściekłością.

- Chodźmy - powiedziałem, sięgając po dłoń Amy.

Umknęła mi zręcznie, a w jej oczach błysnęło zainteresowanie, kiedy popatrzyła na Chrisa.

- Jestem zaskoczona, że ktoś w moim wieku zakwalifikował się do misji.

- Mam dwadzieścia lat - odparł Chris głębokim głosem. - Ledwo przekroczyłem

granicę wymaganego wieku.

- Byłeś w grupie, która poszła szukać sondy, zgadza się? - ciągnęła Amy.

Zanim Chris zdążył odpowiedzieć, matka Amy wcisnęła jej słoik z piaskiem, całkowicie nieświadoma uśmiechu, jaki żołnierz rzucił jej córce.

- To z pewnością swego rodzaju fosforescencja - rzuciła podekscytowana. - Rzecz jasna - ciągnęła, gdy ruszyli dalej po rampie - chciałabym się dowiedzieć, czy w piasku kryje się jakieś źródło tej bioluminescencji.

- Chris zerknął na mnie i przewrócił oczami, bo matka Amy rozwodziła się dalej, lecz ja spojrzałem na niego spode łba. - Wiecie, może to zjawisko zostało spowodowane reakcją chemiczną, może na skutek ciepła powstałego podczas lądowania kapsuły... - Potrząsnęła drugim słojem. Lśniące drobinki przypomniały mi o gwiazdach na niebie.

Umilkła, kiedy dotarła na szczyt rampy i zobaczyła pułkownika Martina. Jego ciemne, gniewne oczy pomknęły w moją stronę, a potem wróciły do żony. Amy nie zauważyła podejrzliwego spojrzenia, jakie rzuciła mi jej matka. Przycisnąwszy słoik bliżej siebie, kobieta przyciągnęła córkę i mocno przytuliła ją jedną ręką, po czym poprowadziła przez mostek do wnętrza kapsuły.

Ich miny nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

Nie wolno mi było niczego powierzyć, nawet słoja z piaskiem.

Podpułkownik Bledsoe została przy drzwiach wraz z pułkownikiem Martinem i Chrisem.

- Musimy porozmawiać o problemach technologicznych, jakie tu mamy - mruknął pułkownik do Chrisa, prowadząc go do panelu sterowania na mostku.

Chris skinął głową. Najwyraźniej był jakimś ekspertem od technologii czy czegoś w tym rodzaju.

- Jasne - odparł - ale najpierw powinien pan to zobaczyć.

- Wręczył ojcu Amy przezroczystą kostkę, która skrzyła się złoto, odbijając światło we wnętrzu kapsuły. Gdy pułkownik Martin zauważył, że się im przyglądam, zatrzasnął za mną drzwi.

Wszedłszy do pomieszczenia kriogenicznego, z trudem zapanowałem nad mdłościami. Do tej pory tak naprawdę nie czułem panującego tu smrodu, ale minęły niespełna dwadzieścia cztery godziny, a już nie dawało się go wytrzymać. Nieopodal jeden ze starszych mężczyzn - Heller, ten, który bronił mnie przed Julianą Robertson - wiercił się na swoim miejscu.

- Gzyfowe szwy - mruknął, dotykając poszarpanej rany na nodze.

- Nic nie zrobisz, spróbuj się przespać - poradził mężczyzna obok. Szerokie rondo

kapelusza już zakrywało jego twarz.

Heller burknął, po czym oparł podbródek na piersi.

Dobry pomysł. Teraz, gdy drzwi kapsuły były zamknięte, pozostały nam już tylko zmartwienia albo sen, a ja miałem zmartwień powyżej uszu. Niełatwo jednak zasnąć na twardej, metalowej podłodze.

Brakowało miejsca, aby wszyscy mogli się położyć, zwłaszcza że urodzonych na statku i Ziemián dzieliła niewidzialna ściana. Dlatego moi ludzie próbowali spać na siedząco, opierając się o krzywizny albo o siebie nawzajem. Po drugiej stronie Ziemianie obniżyli stoliki z pokryw kriogenicznych, sprzątnęli i zrobili z nich łóżka, wykorzystując w tym celu koce i śpiwory, które wyciągnęli ze schowków pod podłogą. Rozwiązanie było dalekie od ideału, ale wręcz luksusowe w porównaniu z warunkami panującymi na drugim końcu pomieszczenia.

Żałowałem, że nie mogę zrobić więcej dla moich ludzi - cokolwiek.

Nagle zorientowałem się, że bez zastanowienia skierowałem kroki do Amy. Gdy do niej dotarłem, zobaczyłem, że kłóci się z matką, która rozkładała śpiwory na pokrywach komór numer czterdzieści, czterdzieści jeden i czterdzieści dwa.

- To niesprawiedliwe - powiedziała Amy.

- Co takiego? - zapytała, wygładzając śpiwór.

Podszedłem i Amy podniosła wzrok, a jej matka zrobiła to samo.

- Jest tylko sto śpiworów.

- I co w tym takiego niesprawiedliwego? - Chociaż wcześniej Amy i jej matka sprawiały wrażenie złych, teraz kobieta mówiła bezbarwnym głosem, starannie dobierając słowa.

Amy zmieniła temat.

- Mamo, to jest Starszy. Nie mieliście jeszcze okazji poznać się oficjalnie. Starszy, to moja matka, doktor Maria Martin.

Doktor Martin raczej nie marzyła o tej prezentacji. Skinęła zdawkowo głową na znak, że jest świadoma mojej obecności. Maską uprzejmości na jej twarzy nie zdradzała prawdziwych myśli. Mogłem się jedynie domyślać, co takiego powiedział jej pułkownik.

Doktor Martin wygładziła śpiwór przy komorze Amy, chociaż wcale nie musiała. Pod jej własną komorą kriogeniczną dojrzałem słoje z próbkami świecącego piasku, które zebrała, zanim wróciła do kapsuły. Nie potrafiłem oderwać od nich wzroku. Zastanawiałem się - tak samo jak matka Amy - co sprawiło, że ten piasek lśni niczym gwiazdy.

- GZF zapewniła podstawowe wyposażenie potrzebne nam podczas lądowania i

przebudzenia. Śpiworów jest sto, wystarczy dla wszystkich - wyjaśniła doktor Martin. - Skąd GZF miała wiedzieć, ile osób wylądaje? Poza tym o n i chyba wiedzieli, że opuszczają statek, prawda? - Zwróciła uwagę na mnie, wciąż z tą samą beznamiętną uprzejmością. - Starszy i jego ludzie, rzecz jasna, spakowali własne zapasy i poczynili odpowiednie przygotowania. Mieli na to całe wieki.

Wróciłem myślami do tamtych paru ostatnich dni przed startem kapsuły. Chaos. Wciąż próbowaliśmy się pozbierać po zamieszkach w Mieście i po tym, jak Bartie zdecydował, że zostanie na statku. Niektórzy zjawili się przy kapsule dosłownie w ostatniej chwili, wpadli do środka tuż przed tym, jak zamknąłem właz, niosąc zaledwie garść dobytku. Nikt nie zabrał posłania. Ci nieliczni, którzy mieli ze sobą koce albo narzuty, traktowali je raczej jako rodzinne pamiątki niż coś, na czym mogliby spać.

- Dwa są wolne - stwierdziła Amy. Śpiwory przeznaczone dla Robertsona i Kennedy'ego, ofiar Oriona. - Starszy mógłby wziąć jeden. A drugi może byłby dla Kit?

Pokręciłem głową. Ani myślałem spać w lepszych warunkach niż moi ludzie.

- Damy sobie radę, Amy - odparłem. - Twoja matka ma rację. Powinniśmy byli się przygotować.

Amy otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale matka nie dopuściła jej do słowa.

- Widzisz? Ci ze statku dadzą sobie radę, sam tak powiedział. A teraz szykuj się do snu.

Widziałem po Amy, że nie zamierza ustąpić. Ledwie dostrzegalnie pokręciłem głową. Nie chciałem, żeby się kłóciła, nie o mnie, nie o śpiwór. Amy podeszła, sięgając po moją dłoń - nie wiedziałem, czy chce pójść za mną na drugą stronę kapsuły, czy też zatrzymać mnie po stronie Ziemi - ale ja znałem swoje miejsce, ona zaś swoje. Niechętnie umknąłem przed jej ręką i wróciłem do moich ludzi. Podczas rozmowy doktor Martin nosiła maskę, by ukryć rezerwę w stosunku do mnie. Teraz ja przywdziałem własną, aby ukryć, że wołałbym zostać z Amy.

13

AMY

Brrr\! Brrrk}.

Poderwałam się, zaplątana w śpiwór, kiedy w pomieszczeniu kriogenicznym rozległ się donośny dźwięk alarmu, a na suficie rozbłysły czerwone światła ostrzegawcze.

- Co się dzieje? - zapytałam mamę, przecierając zaspane oczy.

Tato już biegł w kierunku mostka. Sekundę później w ślad za nim pognał Starszy.

Uwolniłam nogi ze śpiwora i popędziłam w dół korytarzem. Mama deptała mi po piętach.

- Co to takiego? - przekrzyczałam alarm. Tato podniósł wzrok, podczas gdy Starszy wprowadzał kod na panelu sterowania.

- Kapsuła wchodzi w tryb odcięcia. - Starszy zaklął, bo pomimo kodu, który wpisywał, alarm nie milkł.

- Co się stało? - ryknął tato, a ja dopiero wtedy dostrzegłam stojącego przy drzwiach Chrisa.

- Całą noc miałem służbę, sir - odparł, wytrącony z równowagi. - Nikogo tu nie było. Alarm po prostu się uruchomił.

- Czujniki kapsuły zwariowały - powiedział Starszy. - Wykrywają gwałtowne zmiany ciśnienia.

- Przecież ciśnienie się nie zmienia! - Tato wyciągnął rękę, jakby się spodziewał, że ciśnienie powietrza nagle opadnie.

- Wiem. Właśnie dlatego powiedziałem, że czujniki zwariowały.

- Możesz wyłączyć ten cholerny alarm? - krzyknął tato.

- Odcięcie kapsuły za piętnaście minut - oznajmił komputer, zanim alarm znowu zawył.

Starszy rozłożył ręce.

- Nawet gdybym mógł to naprawić, nie ma mowy, żebym się z tym uwinął w piętnaście minut. Tak czy inaczej, te drzwi się zamkną.

- Na jak długo?

Starszy z frustracją wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. To zależy, czy problem tkwi w samych czujnikach, czy może padło coś zupełnie innego.

- W takim razie musimy wszystkich stąd wyprowadzić - stwierdził tato, marszcząc brwi. Jego frustracja była oczywista, ale niesprawiedliwa. Nie mógł oczekiwać, że Starszy będzie wiedział wszystko, co trzeba, na temat obsługi mechanicznej kapsuły, która liczyła sobie dosłownie kilkaset lat. Tato zerknął w niebo, a ja przypomniałam sobie przeraźliwe, piskliwe wrzaski obcych ptaków i olbrzymie bruzdy w kadłubie kapsuły. Czy to możliwe, że w jakiś sposób odłączyły czujniki?

Emma najwyraźniej podążała w myślach tym samym tropem.

- Sir - odezwała się - ale co z tutejszą fauną i florą? Każda obca forma życia może stanowić zagrożenie dla populacji.

Mój ojciec przez chwilę zamyślił się głęboko, lecz wtedy wtrącił się Chris:

- Negatywne konsekwencje zamknięcia załogi i naszych własnych ludzi w kapsule na nieokreślony czas, z ograniczonymi zapasami żywności i wody, za to bez dostępu do toalet zagrożą nam bardziej niż cokolwiek innego, co może czekać nas na tej planecie. Zapewniam pana, sir, że to uwięzienie wszystkich w kapsule stanowi największe niebezpieczeństwo, a nie ewakuacja.

Tato obrócił się. Już dość usłyszał.

- Chris, Emma, w tej chwili rozpocznijcie ewakuację. Wszyscy - co do jednego - muszą opuścić kapsułę. Natychmiast. Wszyscy żołnierze mają pomóc przy ewakuacji, a potem zebrać tyle broni, ile tylko zdołają unieść.

- Czternaście minut, trzydzieści sekund - dodał komputer.

- Szybko! - krzyknął tato.

- Spróbuję kupić nam trochę czasu - rzucił Starszy, odwracając się z powrotem do komputera.

Chciałam mu jakoś pomóc, wiedziałam jednak, że będę przeszkadzała. Zamiast tego popędziłam za Emmą. Żołnierze byli już na nogach i czekali na rozkazy. Gdy tylko Emma przekazała im, co mają robić, rozproszyli się i zaczęli wyciągać wszystkich na korytarz, kierując w stronę wyjścia. Ludzie ze statku, którzy znajdowali się w pobliżu korytarza, byli pierwsi w kolejności - i pewnie zbyt zaskoczeni, żeby zaprotestować. Naukowcy usiłowali zebrać sprzęt.

Podbiegłam do mamy.

- Nie ma czasu - powiedziałam, wrywając jej mikroskop z dłoni. Serio, mikroskop?

- Amy, co się dzieje? - zapytała niecierpliwie, jakby to był dowcip, który zaplanowałam. Alarm umilkł na chwilę i komputer oznajmił:

- Trzydzieści minut do odcięcia.

- Musimy się zbierać. Natychmiast!

- Dlaczego? - Mama z powrotem podniosła mikroskop.

- Drzwi się zamkną na amen! - krzyknęłam, bo znów rozległ się dźwięk alarmu. -

Utkniesz tu w środku!

Mama zbladła.

- Na jak długo?

- Nie wiem!

W końcu to do niej dotarło. Rzuciła mikroskop na stół i zaczęła wypychać naukowców w kierunku korytarza. Drzwi miały hermetyczne zamki, wystarczająco silne, żeby stawić opór próżni kosmosu. Utknęliśmy na planecie jedynie z tym dobytkiem, który

możliśmy unieść - jeśli drzwi się zamkną, to przy awarii komputera w żaden sposób nie zdołamy ich znów otworzyć.

Kapsuła zmieni się w grobowiec.

- Ruchy! Ruchy! Ruchy! - wrzeszczała Emma na grupę ludzi ze statku, którzy przyłgnęli do ściany. Pognałam do nich.

- Musimy iść! - krzyknęłam.

Popatrzyli na mnie, zdezorientowani. Prędzej posłuchaliby mnie niż Emmy - co prawda nie byłam jedną z nich, ale przynajmniej mnie znali i na swój sposób... darzyli zaufaniem. Nie rozumieli jednak, że kapsuła zwróciła się przeciwko nim. Uważali, że tylko ona ich chroni.

- Idźcie do Starszego! Jest na zewnątrz, musicie wyjść! - Coś z tego, co powiedziałam, w końcu do nich dotarło, bo poszli za naukowcami, którzy już ewakuowali się w kierunku drzwi.

Gdy część ludzi w końcu zaczęła opuszczać kapsułę, za nimi podążyli następni. Emma i pozostali żołnierze dosłownie podnosili maruderów z ziemi i wyrzucali na korytarz. Nikt nie ruszał się wystarczająco szybko.

Alarm przycichł, a komputer oznajmił:

- Osiem minut.

Nie zdążymy. Zbyt wiele osób bało się choćby drgnąć. Bało się wyjść.

Dopadła mnie Kit.

- Powiedz Starszemu, że ci ludzie zostają! - krzyknęła.

- Co? Nie mogą!

- Oni nie wyjdą! Są przerażeni! Miną tygodnie, zanim będą gotowi, żeby opuścić kapsułę!

- Muszą wyjść! - wrzasnęłam, bo alarm był bezustannie. - W przeciwnym razie być może nie wyjdą stąd już nigdy! Zostaną uwięzieni w kapsule!

Chris, Emma i paru wojskowych zbliżyli się do grupy, która trzymała się ściany. Ludzie ze statku zerkali to w lewo, to w prawo przerażonymi, rozwartymi szeroko oczami. Kobieta blisko mnie przywarła plecami do metalu, zaciskając dłonie na biegnących wzdłuż niego nitach. Nie odrywała głowy od ściany, a po jej lewym ramieniu spływała krew - poznałam kobietę. To była Lorin, jedna z tych, które zszywałam tuż po lądowaniu. Tak gwałtownie rzuciła się na bezlitosną powierzchnię kapsuły, że część szwów puściła.

- Lorin - zwróciłam się do niej tak spokojnym głosem, jaki tylko zdołałam z siebie wydobyć, podczas gdy alarm był w najlepsze. - Musimy iść.

Potrząsnęła głową. Miała rozszerzone oczy, a jej usta bezgłośnie wypowiadały słowa.

- Musimy iść - powtórzyłam. Spojrzałam na pozostałych. Nigdy nie żyli poza ścianami, ale nie mogłam też pozwolić, żeby zginęli wśród nich.

- Dość tego - warknęła Emma i odtrąciła mnie, po czym złapała Lorin za nadgarstek i zaczęła siłą wywlekać z pomieszczenia.

Lorin wrzasnęła, zapierając się całym ciężarem ciała. Potknęła się i Emma przez chwilę ciągnęła ją po podłodze na kolanach, zanim Lorin zdołała się wyrwać i uciekła na drugi koniec kapsuły. Przyciśnięta plecami do ściany, kręciła w kółko głową: nie, nie, nie.

- Siedem minut - wtrącił komputer.

- Idźcie po broń - powiedziałam. - Potrzebujemy tyle bronią ile zdołamy unieść. Kit i ja zajmujemy się resztą ludzi.

Emma wyglądała, jakby chciała zaprotestować, ale w końcu uniosła dłonie z rezygnacją i poprowadziła pozostałych wojskowych do arsenału.

- Jak... - zaczęła Kit, ale weszłam jej w słowo.

- Gdzie są zielone medplasty? - Już ochrypłam od tego ciągłego przekrzykiwania alarmu.

- Co?

- Fidus!

Kit rzuciła się po swoją torbę i wydobyła z niej całe garście zielonych medplastów. Chętnie czy nie, przykleiłam po jednym z nich wszystkim tym, którzy odmawiali opuszczenia kapsuły. Lepiej odurzyć ich małą dawką zniechęconego narkotyku, niż zostawić na pewną śmierć. Powłócząc nogami, ruszyli do drzwi - zbyt wolno. Wrzasnęłam, żeby się pospieszyli.

Lorin była na końcu - próbowała umknąć przed moją ręką, ale gdy alarm zaczął odliczać ostatnią minutę, przygwoździłam ją i przykleiłam medplast na dłoń. Oczy Lorin zaszkliły się. Szarpnięciem podniosłam ją i pociągnęłam za sobą, pędząc do wyjścia.

- Trzydzieści sekund do odcięcia - oświadczył radośnie komputer. - Dwadzieścia dziewięć... dwadzieścia osiem...

Gnałam rozpaczliwie w stronę drzwi, jak nie biegłam nigdy podczas żadnego wyścigu czy sprintu w liceum, wlokąc za sobą otepiałą skorupę Lorin. Nie dam się uwięzić w tej zapomnianej przez Boga kapsule.

Przy drzwiach na mostek czekał Starszy.

- Szybko! - krzyknął.

Komputer odliczał dalej:

- Dziesięć... dziewięć... osiem...

Popchnęłam Lorin przodem - upadła, ale już po drugiej stronie.

- Cztery... trzy...

Dałam nurka.

Tuż za mną zatrzasnęły się drzwi.

Alarm umilkł, chociaż jego echo wciąż dźwięczało mi w uszach.

- Wszystko w porządku? - zapytał Starszy, podnosząc mnie na nogi. Zdyszana Kit pomogła Lorin wstać.

- Tak - odparłam, rozcierając łokieć. Pewnie go sobie stłukłam o metalową podłogę.

- Jak długo te przeklęte drzwi będą zamknięte? - zapytał tato, piorunując je wzrokiem, jakby zrobiły mu osobisty afront.

- Mówiłem już, że nie wiem - burknął Starszy, tak samo rozeźlony.

Tato spojrział na niego spode łba. Ta sytuacja wcale mu się nie podobała, ale nie mógł nic zrobić. Wędrowałam wzrokiem od jednego do drugiego. To niesprawiedliwe, że tato obwiniał Starszego... ale jednocześnie żałowałam, że Starszy nie wie choć trochę więcej o tym, jak otworzyć kapsułę.

Tato rozkazał Emmie zwołać wszystkich żołnierzy, po czym poprosił Starszego, aby zebrał swoich ludzi. Kit zeszła za Starszym po rampie, prowadząc Lorin za rękę.

Dłoń taty opadła na moje ramię, zatrzymując mnie.

- Nigdy więcej tego nie rób.

- Czego? - zapytałam, wciąż pocierając łokieć.

- Nie stawiaj się w sytuacji, w której miałabyś się poświęcić dla tych ludzi. Nawet gdyby kilku z nich zostało w środku, sami byliby sobie winni. Ale gdybyś ty została...

- Koniec końców wszyscy się wydostaliśmy - odparłam, przyglądając się tacie spod przymrużonych powiek.

- Weź to. - Wcisnął mi do ręki coś zimnego i twardego. Broń

- kaliber.38 ze spustem dwuoporowym, w płóciennej kaburze.

- Pamiętaj, czego cię uczyłem. Po prostu pociągnij za spust. Nie odbezpieczaj. Trzymaj broń oburącz, kiedy mierzysz.

- Wiem. - Myślałam o tym, kiedy po raz pierwszy strzeliłam do Doktora. Kula przeszła jego kolano. Ta broń była zimna i uśpiona, ale wspomnienie tamtej chwili odezwało się w moim nosie zapachem prochu i krwi, od którego żołądek podjechał mi do gardła.

- Trzymaj się Chrisa - dodał cicho. - Ufam mu bardziej niż komukolwiek z tych ze statku.

- Nie są tacy źli. To zwykli ludzie.

- Nie są jednymi z nas.

14

STARSZY

Podczas gdy my się przegrupowaliśmy, pułkownik Martin stanął u szczytu odsloniętego mostka. Na twarzach wszystkich malowało się oszołomienie. Pierwszego dnia na tej planecie moi ludzie się rozbili, a drugiego alarm wyгнаł ich na zewnątrz.

Spojrzałem gniewnie na Kit, na zielone medplasty na ramionach, szyjach i dłoniach ostatnich osób opuszczających kapsułę. W głębi duszy wiedziałem, że tylko tak można było wyciągnąć maruderów, że gdyby nie zostali do tego zmuszeni, część z nich już nigdy by stamtąd nie wyszła. Znaleźli odwagę, by wsiąść do kapsuły, nie znaczyło to jednak, że mieli ją również, by z niej potem wysiąść.

Przełknąłem gorycz w ustach. Medplasty to rozwiązanie doraźne, powtarzałem sobie. Tylko na chwilę, bo naprawdę ich potrzebowaliśmy. Odwróciłem się, szukając Amy, boleśnie świadom, jak bardzo pragnąłem, by mi przytaknęła. Lecz ona stała u szczytu mostka, między matką a Chrisem. Nachyliła się i powiedziała coś cicho do Chrisa. Coś, co sprawiło, że się uśmiechnął.

Gwałtownie odwróciłem głowę.

- Dziękuję, że pomogliście nam, szybko i sprawnie opuszczając kapsułę - krzyknął ponad tłumem pułkownik Martin. Wcześniejszą frustrację, o którą przyprawili go moi ludzie, ukrył pod wojskowym wyrazem twarzy. - Obecnie najlepsze, co możemy zrobić, to znaleźć stały dom dla całej kolonii. Nie wiemy, jak długo kapsuła pozostanie zamknięta, dlatego nie możemy polegać na niej jako długoterminowym schronieniu. W tej sytuacji musimy znaleźć terytorium z naturalną osłoną i łatwym dostępem do wody pitnej.

Wokół zapanowało nerwowe podekscytowanie. Było nas tak wielu, że przyciskaliśmy się do drzew, pośród których wylądowaliśmy. Nigdy nie sądziłem, że mógłbym doznać uczucia klaustrofobii poza statkiem, lecz wielość stłoczonych razem ludzi przyprawiała mnie o dyskomfort.

- Nasza liczebność zapewnia nam bezpieczeństwo - zawołał pułkownik Martin. - Jesteśmy dużą grupą, dlatego mam nadzieję, że dzięki temu odstraszymy każde stworzenie, które mogłoby zaatakować pojedynczą osobę.

Otoczający mnie ludzie zaczęli gderać. Dobór słów pułkownika Martina - n a d z i e j a, że będziemy bezpieczni - nie uszedł ich uwadze i wcale im się to nie podobało. Kilka osób zwróciło się w moją stronę. A ja, jak ostatni tchórz, nie odrywałem wzroku od pułkownika

Martina. W końcu poszli za moim przykładem.

- Udamy się w tamtym kierunku - wskazał na wprost, trochę w prawo. - Sonda informowała, że tam znajdziemy słodką wodę. Żołnierze pierwszego poziomu dowodzenia idą ze mną na szpicy, drugiego poziomu - w straży tylnej. Żołnierze trzeciego poziomu - ubezpieczenie boczne prawe i lewe, czwartego poziomu - rozpoznanie.

Wojskowi natychmiast się rozdzielili, podczas gdy naukowcy zgromadzili się razem z moimi ludźmi pośrodku piaszczystej polany w pobliżu kapsuły. Rzekomy zwiad, mający wypatrywać niebezpieczeństw, zniknął między drzewami. Pułkownik Martin ruszył przed siebie, żeby poprowadzić pozostałych, ale nikt z moich ludzi nie poszedł za nim. Każdy cal kwadratowy powierzchni „Błogosławionego” został precyzyjnie odmierzony. Nawet wzgórza były idealnie rozplanowane i tworzyły symetryczne rzędy miarowych wzniesień. Ta ziemia wyglądała zupełnie inaczej. Opadała i wznosiła się losowo, a kamienie, żwir, krzewy, nawet olbrzymie drzewa były rozrzucone po okolicy bez wyraźnego wzoru czy powodu.

- Przepraszam - zawołała podpułkownik Bledsoe. - Przepraszam, czy mógłby pan nie oddalać się od grupy?

Jeden z żywicieli, Tiernan, przez chwilę zmieszany wpatrywał się w Bledsoe, po czym zbliżył się jeszcze bardziej do granicy lasu. Z zaciekawieniem, ale i ociąganiem trzymał się cieni rzucanych przez powykręcane pnie drzew.

Bledsoe mruknęła sfrustrowana i zamaszystym krokiem ruszyła w stronę Tiernana. Wtrąciłem się, zanim go dopadła.

- On pani nie rozumie.

- Dlaczego? - warknęła. - Chyba mówię po angielsku, prawda?

- Owszem, ale... Chodzi o pani akcent. - Mówiła z silniejszym akcentem niż Amy, z dziwnym tempem i zaśpiewem, przez które trudno ją było zrozumieć.

- Pochodzę z RPA - wyjaśniła Emma. Z wysiłkiem przywołałem w pamięci podniszczony glob w Centrum Edukacyjnym. - Ale większość dzieciństwa spędziłam na południu Francji. Moja mama jest Brytyjką. Och. Była Brytyjką - poprawiła się. - A mój ojciec był Libijczykiem. - Czasowniki w czasie przeszłym wymawiała tak, jakby zostawiały posmak goryczy na jej języku.

- Rozumiem - odparłem. Nie chciałem, by się zorientowała, że ledwo kojarzę nazwy głównych krajów Sol-Ziemi, a co dopiero fakt, że ich mieszkańcy mogą posługiwać się tym samym językiem i mimo to brzmieć zupełnie inaczej.

Skinęła głową i znów zajęła się prowadzeniem pasażerów „Błogosławionego”. Tym razem mówiła odrobinę wolniej niż dotychczas.

Westchnąłem. Przynajmniej się starała.

Chwyciłem Tiernana i zaciągnąłem go z powrotem do grupy, po czym puściłem między moich ludzi krótki przekaz: trzymajcie się ścieżki, nie zwalnijcie, nie zostawiajcie nikogo w tyle.

Upewniłem się, że wszyscy są już gotowi do drogi. Kit trzymała się z tyłu razem z ludźmi odurzonymi fidusem. Jako jedyni nie rozglądali się po nowym świecie z fascynacją w szeroko rozwartych oczach. Zastanawiałem się, ile z tego wszystkiego będą potem pamiętać. A może jedyne, co do nich wróci, kiedy Kit zdejmie medplasty, to przerażenie i panika, które czuli, gdy środek dotknął ich ciała?

Ciemnoskóry mężczyzna o czarnych włosach podszedł do Kit.

- Doktor Gupta, jeden z oficerów medycznych - przedstawił się oficjalnie z osobliwym akcentem, wyciągając dłoń. Kit uściśliła ją, wyraźnie zaskoczona. - Jak rozumiem, pani również zajmuje się medycyną?

Przyglądałem się im, kiedy przedzieraliśmy się przez płataninę drzew. Kit z początku zachowywała się nieśmiało, wkrótce jednak z przyjemnością wdała się w dyskusję na temat różnic między technikami medycznymi. Doktora Gupta zafascynowały medplasty z fidusem, Kit natomiast chętnie porównała by notatki z innym lekarzem - dopiero co rozpoczęła praktykę u Doktorka, a już go zostawiła, by udać się na Centauri-Ziemię.

Nie potrafiłem ukryć uśmiechu - widok tych dwojga pogrążonych w rozmowie tchnął we mnie nadzieję, że ludzie z Sol-Ziemi i moi ludzie wkrótce znajdą płaszczyznę porozumienia.

- Te drzewa wydają się takie znajome. - Prześlizgnąłem się przez tłum, podążając za głosem Amy. - A jednocześnie takie inne.

- Bo są inne - odpowiedział jej głęboki męski głos.

Zwolniłem, pozostając kilka osób za Amy i tym młodym żołnierzem, Chrisem. Cieszyłem się, kiedy Kit rozmawiała z ziemskim doktorem, ale na widok Amy z Chrisem aż mnie skreśliło w środku.

- Muszę przyznać, że jestem zaskoczona - ciągnęła Amy.

Mnie te drzewa wydawały się dziwne - ale ja nigdy nie widziałem drzew z Sol-Ziemi, tylko na zdjęciach albo nagraniach, więc nie miałem porównania.

- Przypominają figowce - mówiła Amy. - No wiesz, też wyglądają jak wiązki mniejszych drzew.

Nie wiedziałem, co to takiego te figowce, lecz Chris skinął głową.

- Choć i tak są inne - powtórzyła. - Wszystko tutaj przypomina Ziemię, ale nie do

końca. Na przykład to. - Zerwała kępę bujnego, włóknistego mchu, który powiewał między liśćmi drzew, przesłaniając nam drogę. - Przypomina oplątwe brodaczkową, tyle że fioletową i lepka, a nie suchą i szarą.

Chris wyrwał lepkie pasma z dłoni Amy.

- Draństwo wszędzie włazi - powiedział, ostentacyjnie prezentując, jak mech prawie smagnął Amy po twarzy.

- Fuj, zabierz to! - Amy żartobliwie odepchnęła fioletowe pasma.

- Czemu? Nie podoba ci się? - Chris drażnił się z nią, machając nimi jeszcze bliżej.

Miałem ochotę wyszarpnąć ten włóknisty mech z jego ręki i wepchnąć mu go do gardła, ale nie zrobiłem tego. Trzymałem się z tyłu, spoglądając spode łba. Wiedziałem, że zachowuję się jak głupek, a mimo to wciąż przysłuchiwałem się ich rozmowie.

- Ciekawe, jakie zwierzęta żyją na tej planecie - ciągnęła Amy, bez troski ignorując zachwyty, jaki malował się na twarzy Chrisa.

- To znaczy oprócz wielkich, gadopodobnych ptaków, które próbują pożerać ludzi? - zapytał Chris, wciąż tym samym flirtującym, wesołym tonem. Przewróciłem oczami.

- Tak. - Amy podniosła wzrok i spojrzała na wierzchołki drzew. - Tu powinny być inne ptaki. Zwierzęta. Coś, co żywi się tym fioletowym paskudztwem, wije gniazda w gałęziach tych drzew. Wiewiórki i węże, jelenie i króliki.

- To nie jest Sol-Ziemia, Amy - przypomniał jej łagodnie.

- Och, jasne. Ale mam wrażenie... że czegoś tu brakuje.

- Z pewnością są tu inne stworzenia - rzekł Chris i zabrzmiało to szczerze. - Ale pułkownik Martin miał rację: większość zwierząt kryje się, kiedy blisko dwutysięczna grupa idzie przez las. Poza tym te gadzie ptaki musiały przecież coś jeść, zanim my, smaczni ludzie, tutaj dotarliśmy!

Chris z udawaną groźbą zrobił wypad i Amy pisnęła. Oskoczyła, potykając się o wystający korzeń drzewa. Chris złapał ją i przyciągnął blisko siebie, zamykając w bezpiecznym potrzasku wielkich, muskularnych ramion.

Dość tego. Zacząłem się oddalać, byle ich już nie słyszeć.

- Twoje oczy... - powiedziała, spoglądając na niego. Zawahałem się. Nie mogłem nic na to poradzić. Przed oczami stanęła mi wizja Amy wpatrzonyj w innego faceta.

- Co z nimi? - zapytał Chris z delikatną niechęcią.

- Są trochę dziwne.

- Łał. To dopiero metoda na podryw. - Z udawanym niedowierzaniem Chris pokręcił głową.

- Nie, mówię poważnie. - Amy odepchnęła go żartobliwie.

- A ja to niby nie?

- Nie, serio. Są strasznie niebieskie.

- A twoje są strasznie zielone - odparł, przedrzeźniając Amy. - Pojęcia nie mam, jak ty nimi coś widzisz.

Nie czekałem, aż mu odpowie. Nie byłem ślepy, poza tym zwyczajnie nie chciałem tak sterczeć i patrzeć, jak Amy podziwia przepiękne oczy innego koleśka. Obszedłem grupę, przepychając się na drugą stronę, a potem na sam przód. Próbowałem zdusić zazdrość buzującą w moim sercu.

Cały nowy świat to za mało, jeśli nie mogłem go dzielić z Amy.

15

AMY

- Trzymać szyk! - krzyknął jeden ze strażników.

Przystanęłam, spoglądając za siebie. Kit miała problemy z prowadzeniem odurzonych fidusem. Zwłaszcza Lorin zachowywała się nieobliczalnie. Co rusz błędziła dalej przed siebie, nawet gdy grupa zmieniała kierunek marszu. Jeden z lekarzy, doktor Gupta, pomagał Kit. Mimo to uśmiechnęłam się przepaszająco do Chrisa i cofnęłam.

- Co mogę zrobić? - zapytałam Kit.

- Po prostu miej ich na oku - odparła. Odgarnęła włosy z czoła. Było gorąco i wilgotno, jak podczas letniego dnia na Florydzie.

Przyciągnęłam Lorin bliżej, szarpnięciami zmuszając, żeby nie zwalniała kroku. Jeśli jeden z tych pterodaktyli rzeczywiście postanowi nas zaatakować, uderzy tutaj, na szarym końcu grupy, gdzie idą najsłabsi. Rozejrzałam się za Starszym, ale nigdzie go nie widziałam. Nie, chwila - był tam. Na samym przedzie, z Emmą i tatą. Z przywódcami.

Tam, gdzie jego miejsce, powiedziałam sobie. Mimo to żałowałam, że zamiast tego nie szedł ze mną na końcu.

- Co jest z tymi ludźmi? - zapytał Chris. Gdy tak przyglądał się bacznie Lorin, żartobliwy ton zniknął z jego głosu.

Otworzyłam usta, by powiedzieć mu o fidusie, i od razu je zamknęłam. Jak by zareagował? Teraz nie mogliśmy się obyć bez fidu-sa, a poza tym było zbyt gorąco na filozoficzne dysputy.

Wilgotne powietrze przeciął piskliwy wrzask.

Stanęłam jak wryta, ale Lorin szła dalej przed siebie. Doktor Gupta pobiegł za nią, a ja

sięgnęłam po broń. To samo zrobili żołnierze, którzy trzymali się blisko nas.

- Tam! - krzyknął ktoś z samego serca grupy.

Olbrzymi, gadzi ptak krążył wolno ponad nami, niczym sęp nad przyszłym posiłkiem. Jakby wiedział, o czym myślałam.

Uniosłam trzydziestkę ósemkę i już miałam pociągnąć za spust, kiedy mój tato krzyknął:

- Nie strzelać! Nie strzelać, dopóki nie zaatakuje!

To coś znowu zaskrzeczało, obniżając się o parę stóp. Widziałam jego szpony - potężne i zagięte.

Ktoś na przedzie wystrzelił. Tato przeklął impulsywnego żołnierza.

Ptak rozmiarów dinozaura wrzasnął wściekle i odbił w górę tak gwałtownie, że musiałam oderwać wzrok od broni, żeby nadążyć za tym ruchem. Chwilę potem zniknął bez śladu. Schowałam broń do kabury i dopiero wówczas zdałam sobie sprawę, że Chris w ogóle nie wyciągnął własnej. Pewnie się martwił, że wkurzy moją tatę.

- Maszerować! - zawołał tato, gestem nakazując wszystkim, aby poszli za nim. Pełne ekscytacji rozmowy, toczone wcześniej, zamarły po tym przypomnieniu, jakie potencjalne niebezpieczeństwa krył przed nami ten świat.

Mało kto się teraz odzywał. Wszyscy sunęliśmy przez las w intensywnym skupieniu, nerwowi i czujni.

Po niebie przetoczył się grzmot, niski dźwięk, który podniósł się i ucichł.

W grupie rozległy się okrzyki.

- Co to było? - zawołał ktoś.

- Skąd wziął się ten dźwięk!?

- Co się dzieje?

Cała karawana zatrzymała się, bo ludzie ze statku stłoczyli się, przykucając i zerkając z obawą na niebo. Próbowалаm znaleźć Starszego, ale był za daleko.

- O co im chodzi? - zapytał Chris. Odurzeni fidusem nie zareagowali na grzmot, ale Kit rozglądała się szeroko otwartymi oczami. Była przerażona.

- To zwykły grzmot - zwróciłam się do niej. - Nie ma się czym martwić. To tylko oznacza, że będzie padał deszcz.

Skinęła głową, ale wciąż wyglądała na wystraszoną.

- Ci ludzie spędzili całe życie na pokładzie statku kosmicznego

- wyjaśniłam Chrisowi, przedzierając się przez tłum w poszukiwaniu taty i Starszego.

- Nie mają pojęcia, co to jest grzmot.

Drzewa szeleściły, obnażając spód liści. Wiatr przybrał na sile. Byłam spocona od wilgotnego powietrza, na moich ramionach pojawiła się gęsia skórka. Burza nadciągała, i to szybko.

- Musimy iść dalej! - rzuciłam, przepychając się między ludźmi. - A co jeśli to nas dopadnie? - zapytał ktoś w pobliżu.

- Ale co takiego?

- To coś na niebie.

Nie wiedziałam, czy ma na myśli gadziego ptaka, czy grzmot. Tak czy owak, sterczenie bez ruchu z pewnością nam się nie przysłuży.

- Dalej! - Podniesiony głos mojego ojca przepelniała frustracja.

- Musimy iść!

Starszy spojrzął mi prosto w oczy ponad głowami ludzi. Dostrzegłam u niego ten sam strach co u pozostałych ze statku. Bardziej bał się nieszkodliwego grzmotu, niż obcej formy życia, która mogła go zabić.

Przedarłam się przez tłum do Starszego. Spojrzął na mnie z wdzięcznością, zaraz jednak spochmurniał, kiedy dołączył do nas Chris.

Strach, który wcześniej widziałam u Starszego, wyparował. Zawołał na swoich ludzi, żeby się nie zatrzymywali, i sam ruszył na czele, zagłębiając się w las.

Niebo ciemniało coraz bardziej.

Zdawało się, że cienie pośród drzew mają oczy. Zastygły w oczekiwaniu na burzę las przypominał mi ciszę tuż przed atakiem.

16

STARSZY

W sposobie, w jaki teraz maszerowaliśmy między drzewami, pojawiła się desperacja. Kapsuła była już na tyle daleko, że gdybyśmy nawet jakimś cudem otworzyli zamknięte drzwi, i tak nie zdołalibyśmy do niej dotrzeć przed burzą. Las zdawał się nie mieć końca.

- Daleko jeszcze? - zapytałam. Nie podobała mi się ta wilgoć

- powietrze jak gdyby kradło mi oddech.

- Przeszliśmy już prawie milę - odparła podpułkownik Bledsoe. Pułkownik Martin wpatrywał się w jakiś instrument, być może kompas, i odczytywał z niego kierunek. Amy i Chris szli tuż za mną, ale przynajmniej przestali flirtować. - Czujniki sondy wskazywały, że gdzieś w tej okolicy jest woda - ciągnęła. - Byłoby świetnie, gdyby udało nam się znaleźć jakieś schronienie w jej pobliżu.

- Bledsoe mówiła z silnym akcentem. Byłem jej wdzięczny, że ze względu na mnie wciąż mówiła wolno.

Spojrzała na mnie, czekając, aż podzielę się z nią tym, co mi chodzi po głowie, i wtedy zrozumiałem. Gdybym spotkał ją, zanim poznałem Amy, śmiertelnie bym się jej bał. Szczerze mówiąc, nawet teraz budziła we mnie strach. Jej oczy wydawały się za duże, jakby zbyt wiele wiedziały. To mnie denerwowało. Nie potrafiłem się jednak oprzeć wrażeniu, że ta pełna gracji i piękna kobieta, która przemykała się przez las, była jednocześnie niebezpieczna.

Nie. Nie powinienem tak myśleć. Widziałem przykrość, jaką sprawiało Amy, gdy inni wzdrygali się na jej widok, i nie chciałem nikogo w ten sposób traktować. Najstarszy, który wyglądał dokładnie tak samo jak ja, nie wahał się przed wyrządzeniem innym krzywdy. Za to Amy, która nie przypominała nikogo z pokładu „Błogosławionego”, nigdy nikogo nie zraniła.

- Jaką mamy pewność, że sonda jest dokładna? - zapytałem.

- Sporą.

Na „Błogosławionym” nigdy nie czułem takiej wilgoci. Powietrze było tak gęste i mokre, że mógłbym je połykać, zamiast wdychać. Skóra podpułkownik Bledsoe lśniła od potu. Amy mówiła o niej „czarna”, ale moim zdaniem była raczej ciemnobrązowa, jak świeżo zaorana ziemia na Poziomie Żywiciela albo najciemniejszy barwnik, jakim posługiwali się tkacze.

- Coś nie tak? - zapytała, marszcząc brwi.

Zamrugalem i o mało się nie potknąłem. Nie zdawałem sobie sprawy, że się na nią gapię.

- Nigdy nie widziałem nikogo podobnego do pani.

- Masz z tym jakiś problem? - Sprawiała wrażenie speszzonej, ale w tym pytaniu czaiło się napięcie.

Pokręciłem głową.

- Nie. Przepraszam, że się gapięm. Po prostu jest pani inna, to wszystko.

Usta kobiety rozciągnęły się w uśmiechu.

- W porządku. Ja też sporo ci się przyglądałam. Niesamowite, że wszyscy jesteście tacy sami.

Przyspieszyłem kroku, bo zaczęła mnie wyprzedzać.

- Podpułkownik Bledsoe, proszę zaczekać! - zawołałem.

Zwolniła, uśmiechając się jeszcze szerzej.

- Długi tytuł, prawda? Mów mi Emma.

- Emma?

- Tak mam na imię. Brzmi o wiele lepiej niż „podpułkownik Bledsoe” - odparła, próbując naśladować mój akcent. Zupełnie jak Amy, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. W okamgnieniu ogarnęła mnie ulga. Orion się mylił. Nie wszyscy zamrozeni byli źli.

Las zaczął się przerzedzać. Gałęzie rozpościerały się na tyle daleko od siebie, że pomiędzy nimi prześwitywało niebo - co tylko mi uświadomiło, jak bardzo już się ściemniło. Zadrzałem. Ziemianie najwyraźniej w ogóle nie przejmowali się tą postępującą zmianą, ale to... to było niesamowite, nienaturalne.

- Spójrzcie! - zawołał pułkownik Martin. Emma przyspieszyła. Uchylając się przed gałęziami, dotarła na czoło karawany.

Pułkownik Martin wspiął się na głąz na skraju lasu i wskazał w dół na rozległy, przejrzysty okrąg błękitu jakieś pół mili przed nami. Jezioro.

- Woda pitna. Wystarczy dla nas wszystkich! - stwierdziła Emma.

- Najpierw musimy ją zbadać - szybko wtrącił pułkownik, ale uśmiechał się szeroko. To było ich zwycięstwo.

Po niebie poniósł się ryk tak głośny i ogłuszający, że w pierwszym odruchu chciałem zakryć głowę i spojrzeć w górę, by znaleźć źródło tego dźwięku.

- Grzmot - przypomniała mi łagodnie Amy, dotykając mojej ręki.

I wtedy na niebie eksplodował ogień, przeskakując z jednej ciemnej chmury do drugiej.

- Co to było, do gzyfa?! - wrzasnąłem, odskakując.

Tym razem Amy zaśmiała się w głos.

- Błyskawica.

Ten śmiech działał mi na nerwy. Nigdy dotąd nie widziałem błyskawicy, w każdym razie nie tuż przed sobą. Na szczęście dopiero paru moich ludzi zdążyło do tego czasu wyłonić się z lasu, więc zaledwie kilkoro z nich widziało błyskawicę. Ale szybko się podniosły ich zaniepokojone okrzyki.

- Musimy znaleźć jakieś schronienie - zwróciłem się do pułkownika Martina. - Ludzie wpadną w panikę.

- Z powodu burzy? - zapytał pełnym wątpliwości tonem.

- Oni nigdy nie widzieli burzy, tato - wyjaśniła mu Amy.

- Co to takiego? - Chris wskazał na prawo od jeziora, które znalazł pułkownik.

Pułkownik Martin zmarszczył czoło, ale spojrzał w tamtym kierunku, a my wszyscy podążyliśmy za jego wzrokiem. Pośrodku trawiastej łąki wznosiło się wysokie wzgórze - czy może niska góra o zboczach z nagiej, żółtawej skały. A w tej skale widniały...

- Domy? - zapytała Emma z niedowierzaniem.

- Niemożliwe - odparł pułkownik, wpatrując się uważniej. Pstryknął palcami na jednego z żołnierzy i ten podał mu lornetkę. Pułkownik spojrział przez nią i zaklął.

- To ruiny. Budynki wykute w skale, prawdopodobnie opuszczone.

- Musimy do nich dotrzeć.

- Wykluczone. Nie wiemy, jakie formy życia je zbudowały. - Pułkownik podał lornetkę Emmie - lecz Emma natychmiast przekazała ją mnie.

Spojrzałem przez obiektyw. W zboczu góry wykuto piętra połączone rzędami kamiennych stopni. Na nich wznosiły się duże, równoboczne budynki. Być może zostały wzniesione z tego samego budulca, który pozyskano, tworząc piętra. Widziałem otwory w ścianach: okna i drzwi.

Okna i drzwi o rozmiarach w sam raz dla człowieka.

Pułkownik Martin miał rację - to miejsce wyglądało na pokryte kurzem i stare, od dawna opuszczone.

- Coś może się tam ciągle kryć. Jeśli na tej planecie żyją myślące istoty, z pewnością zauważyły nasze lądowanie - powiedział pułkownik.

Pomyślałem o tym, jak kapsułę zepchnęło z kursu. Czy był to skutek awarii, sprawka jednego z tych olbrzymich ptaków, czy może atak ze strony tych, którzy zbudowali te konstrukcje?

To zmieniało wszystko.

- Nie ufam tym budynkom - ciągnął pułkownik.

Niebo przecięła błyskawica. Zaczęły na nas padać ciężkie krople. Rozległy się krzyki moich ludzi. Ten deszcz w niczym nie przypominał „deszczu” na pokładzie „Błogosławionego”. Tam wbudowany w malowany sufit system zraszaczy uwalniał dokładnie odmierzone sekwencje wody. Ale to? Żadnego rytmu, żadnej równomiernej dystrybucji. Duże, nieregularne krople deszczu po prostu spadały na nas, szumiały wśród liści, rozpryskiwały się na naszej skórze, zimne i śliskie.

- Co to jest? - krzyknęła kobieta. Zamachnęła się, próbując strzepnąć z siebie deszcz, ale bezskutecznie. Wciąż spadały na nią nowe krople.

Wskoczyłem na głaz, na którym wciąż stał pułkownik Martin.

- Proszę posłuchać - zacząłem. - Za chwilę moi ludzie wpadną w panikę. Musimy dotrzeć do schronienia i musimy tam dotrzeć teraz. Te budynki to najlepsze, co mamy!

Pułkownik Martin popatrzył na mnie w ten sam sposób co Najstarszy, kiedy sądziłem, że żarówki na Poziomie Strażnika to prawdziwe gwiazdy.

- Naprawdę wolisz się schować, chociaż nie wiesz, co się tam kryje, zamiast postać na małym deszczu?

- Dla nas to nie jest „mały deszcz”. I sam pan mówił, że te budynki prawdopodobnie są opuszczone.

- Poza tym - wtrąciła Emma - błyskawice są niebezpieczne. Nie możemy zostać w pobliżu drzew, a sterczenie na płaskim terenie albo w pobliżu jeziora to czysta głupota. Najbezpieczniej znaleźć schronienie. Tam lub gdzieś indziej.

Wymienili znaczące spojrzenia. Po tym, jak ojciec Amy zmarszczył brwi, poznałem, że nie spodobało mu się to, co zasugerowała Emma.

- Pierwszy i drugi poziom dowodzenia! - ryknął pułkownik Martin. Emma wyprężyła się na baczność. Znajdujący się w pobliżu żołnierze zebrali się wokół niej. - Ruszać przodem, przeczesać budynki. Raport drogą radiową. Szybko!

Emma pognała naprzód, a za nią pozostali żołnierze dwóch najwyższych poziomów dowodzenia. Chris najwyraźniej się do nich nie zaliczał, ponieważ został przy Amy.

Pułkownik Martin nie wyglądał na szczęśliwego, ale on również ruszył przez łąkę, torując sobie drogę przez wysokie, żółtawozielone trawy. Teraz, gdy wyłoniiliśmy się spomiędzy drzew, moi ludzie byli jeszcze bardziej podenerwowani i przestraszeni. Podążając za pułkownikiem, bez przerwy oglądałem się za siebie, żeby mieć wszystkich na oku, i omal nie upadłem.

Amy podbiegła, żeby iść obok mnie. Zerknąłem w tył, ale nigdzie nie widziałem wszechobecnego Chrisa.

- Co to za miejsce? - zapytała Amy. Oddychała ciężko, lecz nie z powodu biegu, a podekscytowania.

- Nie wiem. - Nienawidziłem tego dziecinnego uczucia, jakie budził we mnie widok Amy i Chrisa razem, jednak nie potrafiłem go zdławić.

Im dalej zapuszczaliśmy się na otwartą przestrzeń, tym szybciej szli moi ludzie, aż w końcu zaczęliśmy biec przez rozległą łąkę, a wysokie trawy chłostały nas po nogach. Deszcz sprawiał, że ziarna przylepiały się nam do skóry i ubrań. Z połamanych źdźbeł unosił się słodki zapach, kiedy tratowaliśmy trawę w szaleńczym pędzie w kierunku budynków.

Z radia na ramieniu pułkownika Martina dobiegł trzask.

- Czysto, sir - oznajmił głos Emmy.

Pułkownik Martin spojrzął za siebie.

- Idziemy do tamtych budynków! - krzyknął, wymachując ręką na wprost.

Tylko tyle musieli wiedzieć moi ludzie. Natychmiast go wyprzedzili, biegnąc, gnając

ile sił w nogach, byle tylko uciec przed burzą. Deszcz padał coraz szybciej i mocniej, woda lała się z nieba w takich ilościach, że ledwie coś widziałem. Amy złapała mnie śliską dłonią i przyciągnęła do siebie.

Nagły błysk rozjaśnił niebo, rzucając na Amy światło, które uchwyciło ją w tej jednej niepowtarzalnej chwili, zupełnie jak wtedy, gdy spała zamrożona.

Wszędzie wokół nas pędzili przerażeni ludzie. Ślepa panika, okrzyki strachu, pierwotne instynkty wzięły górę.

Lecz Amy biegła przez deszcz uśmiechnięta szeroko, ze lśniącymi oczami, napawając się każdą sekundą.

- Nie wiem. - Nienawidziłem tego dziecinnego uczucia, jakie budził we mnie widok Amy i Chrisa razem, jednak nie potrafiłem go zdławić.

Im dalej zapuszczaliśmy się na otwartą przestrzeń, tym szybciej szli moi ludzie, aż w końcu zaczęliśmy biec przez rozległą łąkę, a wysokie trawy chłostały nas po nogach. Deszcz sprawiał, że ziarna przylepiały się nam do skóry i ubrań. Z połamanych źdźbeł unosił się słodki zapach, kiedy tratowaliśmy trawę w szaleńczym pędzie w kierunku budynków.

Z radia na ramieniu pułkownika Martina dobiegł trzask.

- Czysto, sir - oznajmił głos Emmy.

Pułkownik Martin spojrzał za siebie.

- Idziemy do tamtych budynków! - krzyknął, wymachując ręką na wprost.

Tylko tyle musieli wiedzieć moi ludzie. Natychmiast go wyprzedzili, biegnąc, gnając ile sił w nogach, byle tylko uciec przed burzą. Deszcz padał coraz szybciej i mocniej, woda lała się z nieba w takich ilościach, że ledwie coś widziałem. Amy złapała mnie śliską dłonią i przyciągnęła do siebie.

Nagły błysk rozjaśnił niebo, rzucając na Amy światło, które uchwyciło ją w tej jednej niepowtarzalnej chwili, zupełnie jak wtedy, gdy spała zamrożona.

Wszędzie wokół nas pędzili przerażeni ludzie. Ślepa panika, okrzyki strachu, pierwotne instynkty wzięły górę.

Lecz Amy biegła przez deszcz uśmiechnięta szeroko, ze lśniącymi oczami, napawając się każdą sekundą.

17

AMY

I swoją radość, i burzę mogłabym opisać tym samym słowem

- gwałtowna. To - to - to było to, czego pragnęłam od nowego świata: otwartych

przeźreni, chłodnego deszczu i szansy, by puścić się biegiem.

Dotarliśmy do budynków zdecydowanie za szybko.

Ziemiańskie skryli się w najbliższych domach, narzekając na deszcz, który uważali co najwyżej za niedogodność. Ludzie ze statku panikowali, lecz nie na tyle, żeby zechcieli dzielić z nimi przestrzeń. Minęli najbliższe zabudowania, które wybrali Ziemiańskie, po czym wpadli do tych dalszych. Stłoczyli się tak bardzo, że mogli co najwyżej stać i patrzeć, jak strugi wody spływają po ścianach.

Zatrzymałam się, pozwalając, by moje ciało omywał deszcz, a Starszy obserwował mnie spieszony. Zmrużyłam powieki, żeby przyjrzeć się lepiej budynkom. Nigdy nie widziałam czegoś równie starego. Nasuwały mi na myśl zabudowania w parku narodowym Mesa Verde, bo tak samo sterczały ze skalistego wzgórza.

- Znajdź schronienie! - krzyknęła Emma, mijając mnie w biegu. Razem z pozostałymi żołnierzami sprawdzała budynek za budynkiem, żeby się upewnić, czy wszyscy dotarli bezpiecznie na miejsce.

Starszy zaczął mnie ciągnąć w stronę najbliższego zabudowania

- w którym ludzie ze statku stali stłoczeni, drżąc.

- Chodźmy tędy! - Pociągnęłam go w przeciwną stronę. Po co się cisnąć z innymi, skoro mamy tu tyle miejsca. Tyle pustych budynków, których jasne, zakurzone mury ciemniały w strugach deszczu. Starszy zawahał się, lecz gdy wplotłam swoje palce pomiędzy jego, w odpowiedzi ścisnął moją dłoń.

Wspięliśmy się po kamiennych schodach na następny poziom. Niemal wszystkie budynki były piętrowe, przy czym każde piętro, mniejsze od parteru, okalał kwadratowy taras. Ścieżkę wyłożono dużymi, płaskimi kamieniami. Miała szerokość wiejskiej drogi - gdyby nie schody, między budynkami przecisnąłby się samochód. Dwoje ludzi bez trudu mogło iść ramię w ramię.

Mignęła błyskawica.

Budynki wyglądały na opustoszałe i ciemne. Chociaż nie miały szyb w otworach okiennych ani drzwi w wejściach, powietrze w środku pachniało stęchlizną. Czarne wejścia przypominały mi rozdziawione paszcze potworów. I nagle nie chciałam już iść dalej. Wcale nie chciałam tu być. Bo te domy miały rozmiary w sam raz dla ludzi. Tyle że my byliśmy jedynymi ludźmi na tej planecie.

Kiedy stanęłam, Starszy szarpnął mnie za ramię, wciągając do najbliższego budynku.

- Na Sol-Ziemii to się często zdarzało? - zapytał, gdy nad naszymi głowami przetoczył się kolejny grzmot.

Wyszczrzyłam się do niego szeroko.

- Nie cały czas, ale owszem. Wspaniałe, prawda?

Popatrzył na mnie, jakby mi brakowało piątej klepki.

- Przynajmniej po deszczu zrobi się chłodniej - dodałam. - Na Ziemi latem najpierw robiło się naprawdę gorąco, a potem przychodziła gwałtowna burza z piorunami. Pewnie tu, na Centauri-Ziemi, jest teraz lato.

- Więc lato to pora przerażających grzmotów i ognia lej ącego się z nieba?

Zaczęłam się śmiać, potem jednak dostrzegłam, że Starszy mówi poważnie, dlatego przestałam.

- Nie, zwykle nie. Zaufaj mi, niedługo burza się skończy. Poza tym to wcale nie jest niebezpieczne.

Na dowód tego znowu wyszłam na zewnątrz i zawirowałam w deszczu. Odchyliłam głowę, patrząc na opadające krople i kręcąc się szybko na śliskich kamieniach.

Starszy złapał mnie, zanim upadłam.

Deszcz lał się z nieba. Oboje byliśmy przemoczeni do suchej nitki, a teraz padało tak mocno, że czułam to na skórze głowy.

- To jakiś obłęd! - Starszy przekrzyczał szum wody. - Wracajmy do środka!

Złapał mnie pod ramię, próbując zawlec do najbliższego budynku, ale ja jednym szarpnięciem przyciągnęłam go do siebie.

Kolejna błyskawica. Na ułamek sekundy cały świat skąpał się w świetle - widziałam każdą pojedynczą kroplę spadającą na ziemię - a potem rozległ się następny potężny grzmot.

Przestałam myśleć. Przestałam czuć. Nie miałam czasu na delikatność czy nieśmiałość.

Po prostu go pocałowałam.

Moje usta napierały na jego wargi, a ramiona oplótły go tak mocno, że w końcu nawet kropla deszczu nie zdołała się między nami przecisnąć. Moje palce zaplątały się w jego włosy, po czym zsunęły w dół karku. Poczułam, jak ramiona Starszego napięły się, zacisnęły wokół mnie, przyciągnęły bliżej, jeszcze bliżej.

Przez zamknięte powieki zobaczyłam następną błyskawicę. Zelektryzowała mnie - i Starszego. Całował mnie z namiętnością, do której pasowało tylko jedno określenie. Żarłoczna. Uchwyciłam się jego tak samo jak on mnie. Z pragnieniem, z tęsknotą, z nienasyceciem.

Zawsze w deszczu.

Wspięłam się na palce, by lepiej sięgnąć jego ust, ale zamiast tego poślizgnęłam się na

mokrych kamieniach i straciłam równowagę. Tyle że Starszy trzymał mnie mocno w objęciach i bez trudu uniósł ponad ziemię, a potem zakręcił mną pomału. Jego śmiech zaplątał się pomiędzy krople deszczu i rozprysnął na moim sercu.

Drżałam. Moje pociemniałe od deszczu włosy zwisały w strąkach, kiedy ulewa skończyła się równie nagle, jak zaczęła. Niebo już się przejaśniało, powietrze stało się chłodniejsze. Odchyliłam się, mrugając w łagodnym świetle dwóch słońc.

- O co chodzi? - zapytał Starszy i dopiero wtedy do mnie dotarło, że głośno westchnęłam.

- Liczyłam na tęczę.

Zamarł i rzucił mi niedowierzające spojrzenie.

- To one istnieją naprawdę?

Zaśmiałam się.

- Jasne, że tak!

Starszy pokręcił głową, jakby próbował ogarnąć umysłem wizję kolorów rozpościerających się łukiem na tle nieba.

Tutaj, na drugim poziomie, czuliśmy się jak w odosobnieniu. Deszcz przyniósł nie tylko chłodniejsze powietrze, ale też odświeżenie dla całego świata.

I insekty.

Machnęłam ręką na komara - albo coś bardzo podobnego do komara - który latał tuż przy mojej twarzy, i wtedy zwróciłam uwagę na ciche bzyczenie owadów gdzieś w pobliżu. Powędrowałam wzdłuż ściany budynku i natknęłam się na drzewo. Przypominało tamte z lasu, tylko mniejsze. Chmury komaropodobnych owadów unosiły się nad przepięknymi, delikatnymi fioletowymi kwiatami, które zwisały z jego gałęzi.

Wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć płatków, lecz wówczas powietrze przeciął wrzask - piskliwy krzyk, który ucichł, po czym rozbrzmiał na nowo. Cofnęłam dłoń, instynktownie pragnąc się osłonić, choć wiedziałam, że to niemożliwe.

- Co to było? - zapytał cicho Starszy. Oboje znaleźliśmy jednak odpowiedź. Przepatrywaliśmy niebo, ale niczego nie dostrzegliśmy. Starszy podszedł bliżej rozłożystego drzewa. - Te... te kwiaty rozkwitły chyba z tego włóknistego czegoś, co wcześniej rosło na drzewach.

Miał rację - fioletowa, podobna do opląty roślina, która zwisała z gałęzi, miała ten sam kolor co płatki kwiatów, jasnoliliowy na brzegach, przechodzący stopniowo w głęboki fiolet we wnętrzu kielicha. Kilka pasm mchu nie zakwitło, większość rozwinęła się jednak w cieniutkie jak papier, niemal półprzezroczyste kwiaty.

- Przepiękne - szepnęłam.

- Lubisz kwiaty? - zapytał Starszy z krzywym uśmiechem. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, wyciągnął rękę i zerwał jeden. - Proszę. Przynajmniej tyle mogę zrobić po tym całym zamieszaniu, jakie spowodowałem, kiedy ostatnio przyniosłem ci kwiaty.

Spojrzałam na niego nieco zaintrygowana - kiedy to niby było? - a potem nachyliłam się, żeby wciągnąć odurzający, lepki, słodki zapach kwiatu.

Uśmiechnęłam się.

- Przypomina mi...

Moje ciało otępiało.

Kiedy padałam, wciąż miałam otwarte oczy. Ziemia mknęła w moją stronę, ale ja nie mogłam wyciągnąć ręk, żeby osłonić twarz. Nie mogłam się spać, kiedy moje ciało uderzyło o ziemię.

Nic nie czułam.

Z otwartymi powiekami leżałam twarzą w błotnistej kałuży. Widziałam, jak brudna woda wiruje. Coś przykleiło mi się do oczu i jakiś odruch bezwarunkowy przejął dowodzenie, bo opuściłam powieki.

Woda sączyła się do moich rozchylonych ust, do nosa, do ucha.

Próbowałam krzyczeć. Próbowałam się ruszyć, ale nie mogłam. Zupełnie jak wtedy, kiedy byłam zamrożona. Znowu tkwiłam w pułapce, znowu nie mogłam się ruszyć, nie mogłam, nie mogłam, musiałam oddychać, musiałam oddychać, ale tam nie było powietrza, tylko woda, a ja krzyczałam w myślach, żeby nie oddychać, ale jedyne, co nie zawiodło w moim organizmie, to mimowolne funkcje, na przykład serce, które biło zbyt szybko, i płuca, które musiały oddychać.

I wtedy pojawiło się powietrze.

A potem nie było już nic.

18

STARSZY

Głos Amy nagle ucichł. Oczy uciekły jej w tył głowy i runęła bezwładnie na ziemię. Przez krótką chwilę patrzyłem z przerażeniem, jak leży twarzą w kałuży. Na powierzchni wody zbulgotały maleńkie bańki, a potem wszystko znieruchomiało.

- Amy? - Padłem przy niej na kolana. - Amy!

Przewróciłem ją na plecy i otarłem twarz z wody.

- Amy? - Chwyciłem ją za ramiona i potrząsałem, ale jej głowa zwisała bez życia. -

AMY!

Nic. Z jej ust spływała brudna woda. Ucisnąłem klatkę piersiową i pojawiła się kolejna strużka, lecz Amy się nie poruszyła. Oddychała płytko, ale miarowo. Ostrożnie uniosłem jej powieki. Brak reakcji.

Serce wpadło w galop, w uszach mi huczało. Co się stało? Czy ona...

Przycisnąłem głowę do jej piersi. Nie. Gwiazdom niech będą dzięki, nie. Słyszałem bicie serca.

Do gzyfa! Co robić?

Podniosłem Amy z ziemi. Potrzebowałem pomocy. Natychmiast.

Chwiejnym krokiem zszedłem po schodach, wołając Kit. Nie mogła być daleko. Ludzie w innych budynkach wyglądali przez okna i drzwi wycięte w kamiennych ścianach. Widząc nieprzytomną Amy w moich ramionach, sapali albo krzyczeli, przeklinali albo bledli, ale żaden z nich nie był Kit, żaden z nich nie znał się na medycynie, żaden z nich nie mógł jej ocalić.

- KIT! - ryknąłem.

Ktoś wysoki i ciemnoskóry wyszedł zza węgła - Emma. Patrowała teren razem z Julianą Robertson.

- Pomocy! - krzyknąłem do nich. Nawet Juliana, która wcześniej chciała tylko mnie zatłuc, wyglądała na zmartwioną. Kolory odpłynęły jej z twarzy, ostro kontrastującej z ciemnymi, gęstymi włosami.

Za nimi zjawiała się Kit. Na widok Amy przystanęła.

- Co się stało? - wydusiła.

- Pomóż jej! - krzyknąłem.

- Tędy - rzuciła Emma, po czym razem z Julianą puściły się biegiem w stronę budynków na skraju ruin, gdzie przebywali Ziemianie. Pognałem za nimi i poślizgnąłem się na mokrym chodniku. Skuliłem się, żeby osłonić bezwładne ciało Amy. Prawie nie czułem, jak na moim udzie rozkwita długa rana. Kit pomogła mi wstać, a potem trzymała się tuż obok, sprawdzając po drodze tętno Amy, kiedy razem spieszyliśmy w stronę zewnętrznej linii zabudowań.

Emma i Juliana poprowadziły nas prosto do pierwszego budynku, nieco większego od pozostałych. Chwilę później zjawił się pułkownik Martin.

- Co tu się dzieje, do cholery? - ryknął, idąc w naszym kierunku. Nie zatrzymałem się. Potrzebowałem lekarzy, leków, czegokolwiek. Pułkownik Martin tylko raz spojrzął na bladą, nieruchomą twarz Amy i zaklął głośno, a potem zaczął biec obok mnie, wołając o pomoc.

- Cofnąć się! - wrzasnął, kiedy wpadliśmy do budynku. Matka Amy krzyknęła. Ukłękawszy, ostrożnie położyłem Amy na zimnej kamiennej posadzce.

- Co się stało? - zawołała doktor Martin, wpatrzona w nieruchome ciało córki. Kit przyklękła obok Amy i uniosła jej powieki. Dwoje innych ludzi - kobieta o wąskich oczach i niski mężczyzna - opadło obok i zajęło się Amy. Lekarze z Ziemi.

- Gdzie jest Gupta? - krzyknął pułkownik Martin. - Gdzie? Jest głównym lekarzem!

- Nie wiem - odparła lekarka z Ziemi.

- Co się stało? - jęknęła znowu doktor Martin.

- Nie wiem - wydusiłem błagalnym głosem. - Byliśmy na górze, przy budynkach, i tam rosło drzewo, i...

- To mogło być cokolwiek - stwierdził ziemski lekarz. Miał dziwny akcent, dziwniejszy niż Amy. Ta myśl sprawiła, że w piersi poczułem ukłucie. - Padał deszcz... Może w opadach atmosferycznych była toksyna. A może to ukąszenie owada.

- Owady! - wtrąciłem. - Tam było mnóstwo owadów, małych, natrętnych, latających robali!

Lekarz pokiwał głową.

- Być może jad wywołał tę osobliwą reakcję organizmu. Tutaj wszystko, choćby z pozoru niegroźne, jest dla nas obce. Nie mamy pojęcia, jak zareagujemy na tutejsze bodźce.

- Co to? - zapytała Kit, unosząc bezwładną rękę Amy. Po wewnętrznej stronie jej dłoni zostały lepkie resztki fioletowych płatków.

- Kwiat. Powąchała kwiat i wtedy...

- Zemdląca? - Kit uniosła powieki Amy, ale o wiele delikatniej niż ja, i poświeciła jej w oczy.

Przytaknąłem.

- No to ją obudźcie! - krzyknął pułkownik Martin.

Lekarz z Sol-Ziemi przytknął stetoskop do piersi Amy.

- Ty! - Pułkownik Martin natarł na mnie. Jego żona wydała z siebie cichy okrzyk strachu. - Ty ją na to naraziłeś! - Oskarżenie weszło we mnie, rozszarpało na strzępy.

- Nie mam pojęcia, co jej się stało - wymamrotała ziemska lekarka.

- Gdzie, do cholery, podziewa się Gupta? - krzyknął pułkownik Martin. Jego wzrok skupił się na Julianie Robertson. - Ty! Znajdź tego leniwego konowala i przyprowadź tutaj!

Wyciągnąłem ręce do Amy - wiedziałem, że mnie nie słyszy ani nie widzi, po prostu chciałem ją dotknąć - ale pułkownik Martin uderzył mnie w pierś, ciskając aż na drugą stronę pomieszczenia.

- Wynoś. Się. Stąd - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Wpatrywałem się w niego, wstrząśnięty jego reakcją.

- To twoja wina. Jeśli ona umrze, będziesz miał jej krew na rękach. Nie potrafisz zapewnić jej bezpieczeństwa. Nie potrafisz go zapewnić nikomu. WYNOŚ SIĘ.

Znowu mnie pchnął, aż wpadłem na ścianę. Kit - jedyny człowiek ze statku w całym pomieszczeniu - podniosła wzrok, nie mogła jednak odstępować Amy.

Chłonałem widok Amy - bladej, pustej, rozciągniętej bez życia na ziemi. Szloch jej matki. Wściekłość ojca.

Wybiegłem z budynku, a oskarżenie pułkownika Martina niczym obsypany solą nóż wbijało się w głąb mojego serca.

19

AMY

Miałam wrażenie, jakby ktoś napchał mi wacików do ust. Oblizalam wyschnięte wargi ciężkim językiem.

Poczułam w dłoni jakieś drgnięcie. Ten ruch mnie zaskoczył. Próbowałam wyszarpnąć rękę, ale moje mięśnie były jeszcze ospałe. Chciałam usiąść, lecz coś ciążyło mi na piersi, chociaż nie okrywał mnie nawet koc.

Moja matka spała z dłonią swobodnie oplatającą moją. To właśnie ją przed chwilą poczułam. Zacisnęłam palce.

Jej powieki zatrzepotały i uniosły się gwałtownie, jak gdyby nagle przypomniała sobie o czymś niezmiernie ważnym. Odwróciła się w moją stronę i wciągnęła powietrze.

- Amy? - sapnęła.

- Mamo? - zachrypiałam.

- Amy! - krzyknęła i rzuciła się na mnie. Chwilę później zjawił się ojciec. Miał mokre oczy, nie mógł nic wykrztusić. Nigdy nie widziałam go tak poruszonego.

Rozejrzałam się po pokoju. Gdzie Starszy?

- Co się dzieje? - zapytałam. Bolały mnie plecy. Było chłodno i ciemno - spałam aż do zmierzchu? Ale nie - niebo rozjaśniało się stopniowo. Świtało. Przespałam cały dzień i jeszcze następny.

- Co pamiętasz jako ostatnie? - zapytała jedna z ziemskich lekarek, chyba doktor Watase.

Spuściłam wzrok na swoją dłoń, którą wciąż trzymała mama, i uświadomiłam sobie, że moje ciało w ten sposób samo udzieliło odpowiedzi: ostatnie, co pamiętam, to kwiat, który

wręczył mi Starszy.

Nie. Zadrzałam mimowolnie, przełykając dławiącą mnie gulę. Ostatnie, co pamiętam, to utrata panowania nad ciałem, zupełnie jak wtedy, kiedy byłam zamrożona. A potem uczucie tonięcia, tak samo jak wtedy, kiedy się przebudziłam.

Wspomnienia wlewały się we mnie, zatruwając duszę.

Rozejrzałam się. Wszyscy czekali, aż coś powiem.

- Kwiat - odparłam, bo wiedziałam, że nie obchodzi ich, co wtedy czułam. Potrzebowali jedynie chłodnej medycznej analizy. - Przez niego straciłam przytomność.

Mój wzrok nadal błędził po pokoju. Przepęniało mnie rozczarowanie.

Nie mogłam uwierzyć, że Starszy tak po prostu mnie zostawił.

- Tak sądziliśmy - rzekła doktor Watase. Wskazała na podłogę, gdzie porozkładano dziesiątki fioletowych kwiatów. - Nie mogliśmy przeprowadzić żadnych analiz, ale z obserwacji wynika, że te kwiaty są mięsożerne. Pod wpływem wody rozkwitają i wydzielają neurotoksynę, która sprawia, że owady wpadają prosto w pułapkę.

- A geniusze mojego pokroju lądują na ziemi - odparłam z najszerszym uśmiechem, na jaki mogłam się zdobyć, próbując w ten sposób rozładować panujące w pomieszczeniu napięcie. Nic z tego. Wszyscy się we mnie wpatrywali i kiwali ponuro głowami.

- Właśnie - dodała doktor Watase. Poklepała moją dłoń babcinym gestem. Najchętniej przewróciłabym oczami, tyle że kosztowałyby mnie to zbyt wiele wysiłku.

- Umieram z głodu - stwierdziłam.

- Jak my wszyscy - powiedział tato. - Jeśli kapsuła nie otworzy się sama, będziemy musieli wymyślić, jak zdobyć pożywienie.

Zamknęłam oczy - na „Błogosławionym” przynajmniej mieliśmy żywność. Jeśli wszyscy umrzemy z głodu, będzie to po części moja wina.

- Jak długo spałam?

- Prawie dwadzieścia cztery godziny - odparła doktor Watase.

Spędziliśmy praktycznie cały dzień i noc w ruinach, a ja to wszystko przespałam. Rozejrzałam się, próbując oszacować, co się wydarzyło, odkąd zemdlałam. Otaczali mnie sami Ziemianie. Wszyscy byli wymiętoszeni i rozczochrani, nawet tato. Spali w ubraniach. Nikt nie miał nic w ustach. Wątpiłam, żeby ktokolwiek opuszczał budynki.

Podniosłam się, czując łamanie w plecach. Podłoga była średnio wygodnym miejscem do spania, mimo że rodzice zrobili mi coś na kształt prowizorycznego legowiska z zapasowych kurtek. Z początku doktor Watase i mama próbowały mi pomóc przy chodzeniu, ale ja chciałam rozruszać mięśnie. Ostatnie skutki działania kwiatu mijały błyskawicznie.

Snułam się po pomieszczeniu, przesuając palcami po zakurzonych, żółtawych ścianach. Pokój był wielkości mojego pokoju na Ziemi, a drzwi i okna miały proporcje w sam raz dla człowieka. Schody prowadziły na piętro.

- Dziwne, prawda?

Mama nie musiała pytać, co mam na myśli.

- Owszem. - Zniżyła głos o oktawę. - Twój ojciec się martwi.

Zatrzymałyśmy się przy oknie i spojrzaliśmy na niego. Rozmawiał z Emmą w drzwiach, ściszone głośnie. Oboje wyglądali na złych i zmęczonych. Jakby czując nasze spojrzenia, tato odwrócił się i uśmiechnął blado samymi wargami.

Zdałam sobie sprawę, że tato wygląda jak ktoś, kto znalazł się w potrzasku. Tak samo jak Starszy po śmierci Najstarszego. Udręczony.

Odwrócił się z powrotem do Emmy i podjął przerwana rozmowę.

Przeciągnęłam palcem po zewnętrznej krawędzi kamiennej ściany. Teraz, gdy stałam przed jednym z budynków, dobrze widziałam, że wzniesiono je z dużych, ręcznie robionych cegieł o tym samym kolorze co tutejsza gleba. Zrobiono to z jakimś konkretnym zamiarem, lecz teraz były opustoszałe i porzucone od tak dawna, że w nagim kamieniu ostały się jedynie echa dawnego życia.

Moja dłoń powędrowała do okna, palce wsunęły w zagłębienie pośrodku parapetu. Było idealnie kwadratowe, a każda linia prosta i starannie wyrzeźbiona w kamieniu.

- Nie wiemy, do czego to służy - powiedziała mama, patrząc na zagłębienie. - Ale taki kwadrat znajduje się we wszystkich oknach każdego budynku.

Doktor Watase podeszła bliżej.

- Ktokolwiek zbudował te domy, z pewnością był istotą myślącą - stwierdziła. - Wśród naukowców zyskała popularność teoria, że pierwotni mieszkańcy tych budynków stawiali tu wizerunek swego rodzaju bożka. Być może miał związek ze słońcami. Wszystkie okna są zwrócone w stronę światła.

Emma odmaszerowała, a tato odprowadził ją wzrokiem. Wyminęłam doktor Watase i podeszłam prosto do niego. Objęłam go tak samo jak wtedy, kiedy jeszcze wierzyłam, że zdoła rozwiązać każdy problem. Jego twarz złagodniała.

- Cieszę się, że nic ci nie jest, Amy - powiedział. Ucałował czubek mojej głowy.

- Jasne, że nie. - Obdarzyłam go najbardziej promiennym uśmiechem, na jaki mogłam się zdobyć.

Przytulił mnie mocniej.

- Tutaj... tutaj nic nie jest takie, jak sądziłem.

- Pamiętaj, tato - rzekłam łagodnie. - To był mój wybór. To ja postanowiłam, że do was dołączę.

Otworzył usta, ale ja już wiedziałam, co chce powiedzieć. Ze to wcale nie miał być mój wybór. Ze nie powinnam była lecieć.

Nie dałam mu szansy.

- Jestem tutaj. I jestem szczęśliwa. Z tobą i z mamą.

Uścisnął mnie raz jeszcze, a potem puścił.

- O czym rozmawiałeś z Emmą?

- Pracujemy nad kilkoma problemami.

- Powiedz mi.

Popatrzył na mnie i zrozumiałam, że widzi we mnie tylko swoją córeczkę, swoje dziecko.

- Powiedz - powtórzyłam. - Może coś wymyślę.

Przynajmniej powstrzymał się od sceptycznego spojrzenia.

- Cóż, przede wszystkim mamy problemy z sondą. Nie zdołaliśmy nawiązać łączności z Ziemią.

Serce mi zamarło.

- Chciałeś powiedzieć, że nie zdołaliście jej nawiązać ponownie, zgadza się? Połączyliście się z Ziemią tuż po lądowaniu, prawda?

- Tak - powiedział tato, a potem dodał jakby do siebie: - Tak, oczywiście. - Po chwili podjął: - Ale system łączności w kapsule uległ całkowitej awarii, a tego w sondzie nie udało nam się uruchomić.

- Co jest z nim nie tak? - Przygryzłam wargę w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Udało nam się nawiązać połączenie... ale nie dostajemy żadnych przekazów zwrotnych. - Jego spojrzenie nie niosło żadnego pocieszenia.

- Coś nie działa? - zapytałam, nachylając się. Domyślałam się, co usłyszę.

Tato wzruszył ramionami.

- Chyba musimy więcej nad tym popracować. To naprawdę stary system, Amy. - Uciekł wzrokiem. - Ale to tylko jeden z naszych problemów.

- A na czym polegają pozostałe?

- Zaginął człowiek z tych ze statku... i doktor Gupta. Sądzymy, że ten ktoś ze statku oddalił się, a doktor Gupta poszedł za nią, ale...

- Kiedy zaginęli?

- Podczas burzy. - Patrzył przed siebie zamyślonym wzrokiem. Wiedziała, że się

martwi, ale jego zmartwienie nie miało tego kwaśnego posmaku przerażenia, które zagnieździło się w moim żołądku.

Zaginęli blisko dobę temu.

- Która kobieta? - zapytałam. Tacie wymknęło się „za nią”, więc nie chodziło o Starszego, ale może Kit...

- Laura? Lauren? - Pokręcił głową.

- Lorin? - zapytałam cicho.

- Tak, właśnie ona.

Lorin miała medplast z fidusem. Prowadziłam ją, zanim zaczęła się burza, a potem puściłam. To moja wina, jeśli zaginęła w chaosie błyskawic i grzmotów.

Tato dostrzegł moją minę.

- Nie martw się, Amy - rzekł, ściskając mnie za ramię. - Zeszła noc była deszczowa i ciemna, ale Juliana świetnie szuka tropów. Teraz, kiedy wstało słońce, na pewno je znajdzie.

Radio na jego ramieniu zatrzeszczało. Odsunął się ode mnie, uruchamiając przycisk, by potwierdzić, że jest gotów przyjąć wiadomość. W radiu odezwał się niewyraźny głos Emmy.

-...znaleźliśmy, sir.

- Guptę i tę kobietę ze statku?

- Gupty nie - odparta Emma. - Tylko kobietę ze statku i Julianę.

- Dobrze. Odeślijcie je do ruin.

- To niemożliwe, sir.

- Co?

- Nie żyją, sir. Obydwie.

20

STARSZY

Pierwsze, co poczułem, gdy zobaczyłem, jak Amy z rozwianymi czerwonymi włosami pędzi po stopniach do budynków na drugim poziomie, to ulga.

Ona żyje. Obudziła się i nic jej nie jest, ona żyje.

Potem poczułem strach.

Wyraz jej twarzy zdradził mi, że coś jest bardzo, bardzo nie tak.

- Co się stało?

- Tato właśnie wyruszył razem z mamą i paroma naukowcami

- wydyszała. - Kazał mi tu zostać... o niczym ci nie mówić...

- O czym? - Żołądek podszedł mi do gardła.

- Znaleźli Lorin.

-1? - zapytałem, już obawiając się odpowiedzi. Razem z Kit przez większość zeszłego dnia sporządzaliśmy szczegółowy spis wszystkich ludzi z kapsuły. Oboje gryźliśmy się tym, że zgubiliśmy Lorin w tłumie. Nie mogliśmy pozwolić, żeby to się powtórzyło.

- To chyba dobrze?

- Ona nie żyje.

Otworzyłem szeroko oczy, najpierw z niedowierzaniem, potem z wściekłością. Nie żyje?

- Co się stało? - zażądałem wyjaśnień.

Jednak Amy pokręciła głową.

- Lorin nie żyje, tak samo jak Juliana Robertson, która miała odszukać ją i doktora Gupty. Nie wiem, co się stało. Doktora Gupty wciąż nie znaleziono. Dowiedziałam się przed...

Dowiedziała się i pierwsze, co zrobiła, to przybiegła, żeby mi o tym powiedzieć. Wbrew zakazowi ojca.

- Gdzie? - zapytałem.

Znowu pokręciła głową.

- Nie wiem. Chyba gdzieś w pobliżu jeziora.

- Muszę iść.

Złapała mnie za łokieć.

- Nie możesz. Tato się wścieknie...

- No i? - W głowie miałem mętlik. Na tej planecie czaiły się o wiele większe niebezpieczeństwa, niż początkowo sądziłem. Gadzi ptak, który próbował odgryźć mi twarz, ślady pozostawione w lesie przez coś, co nas obserwowało, kwiaty, które niemal utopiły Amy w kałuży, a teraz jeszcze dwie martwe kobiety...

Tak wielu rzeczy nie potrafiliśmy pojąć. Zabije nas nasza własna ignorancja.

Nasza ignorancja...

Ale ktoś wiedział. Był jeden człowiek, który wiedział, jakie zagrożenia kryje ten świat. I jego wiedza mogła nas teraz ocalić.

Przypomniałem sobie ostatnie słowa Oriona w jednej z wiadomości, jakie zostawił dla Amy. Głos drżał mu i łamał się ze strachu. „Czy statek jest w tak tragicznym stanie, że musicie stawić czoła potworom tam, na dole? Czy warto zaryzykować własne życie - i życie wszystkich innych ludzi?”

Spojrzałem w oczy Amy.

On wiedział.

- Orion - stwierdziłem. On mógł nam powiedzieć. Tym razem nie pozwolimy mu na zagadki i szyfry, zmusimy go, żeby wyjawiał wszystko, co wie. W przeciwnym razie...

Z twarzy Amy uciekł kolor.

- Orion - wyszeptła. Skupiła wzrok na mnie. - Starszy, Orion. My nie... zapomnieliśmy... o timerze.

Gzyf. Zanim kapsuła zatrzasnęła się na cztery spusty, a my schroniliśmy się w ruinach... żadne z nas nie przestawiło timera.

* * *

Puściliśmy się biegiem, przedzierając się między drzewami i nawet nie zwracając sobie głowy spoglądaniem w górę, czy jedno z tych ptasich stworzeń nie szykuje się do ataku. Przez krótką chwilę bałem się, że nie znajdziemy drogi powrotnej do kapsuły, ale przemarsz blisko tysiąca pięciuset osób przez las pozostawił wystarczająco wyraźne ślady. Znalezienie miejsca, w którym moglibyśmy się osiedlić, zdawało się ciągnąć w nieskończoność, ponieważ było nas tak wielu i nie mieliśmy pojęcia, dokąd idziemy - wiedzieliśmy jedynie, że sonda wskazała obecność wody. Teraz byliśmy jednak tylko my dwoje. Powrót do kapsuły zajął nam mniej czasu, niż się spodziewałem.

Amy jednym susem pokonała rampę i dopadła drzwi.

- Wciąż zamknięte - warknęła.

Opadłem na fotel przed panelem sterowania. Na pewno było coś, co mógłbym zrobić. Przesunąłem dłoń po kontrolkach, uruchamiając w komputerze pełne skanowanie wszystkich funkcji.

- Dlaczego cię tam nie było? - zapytała Amy, kiedy odchyliłem się, z frustracją wpatrując się w panel i czekając na wyniki.

- Tam? - zapytałem. Wyglądało na to, że odczyty czujników znów są prawidłowe - więc dlaczego kapsuła się nie otwiera?

- Kiedy się obudziłam.

Moje palce zastygły nad kontrolkami. Czy powinienem jej powiedzieć, że całą noc spędziłem na zewnątrz budynku, w którym umieścili ją rodzice, tkwiąc pod samym oknem, tak by usłyszeć, kiedy się obudzi? Czy powinienem jej powiedzieć, że kiedy wzeszło słońce, najpierw - zanim sprawdziłem, czy nikt nie zniknął, zanim sprawdziłem to jeszcze raz wspólnie z Kit - wspierałem się na palce, by spojrzeć na jej twarz w promieniach porannego słońca? Ze praktycznie nie zmrużyłem oka, dręczony poczuciem winy, że to ja prawie ją

zabiłem... znowu?

- Powinienem być. Przepraszam.

Amy pociągnęła nosem. Podniosłem wzrok. Nie patrzyła na mnie, tylko na zamknięte drzwi.

- Otwórzmy je - rzuciła, na swój sposób przyjmując przeprosiny.

Wsunąłem się pod panel sterowania, rozglądając się za małą skrzynką z etykietą BEZPIECZNIKI I CZUJNIKI. Kable czujników ciśnienia powietrza były oklejone czarną taśmą. Musiały się spalić dawno temu, albo coś w tym rodzaju, i zostały naprawione po lębkach - nic dziwnego, że działały wadliwie. Taśma wciąż się lepiała, co mnie zaskoczyło; liczyła pewnie kilka pokoleń.

Tak czy siak, wyglądało na to, że czujniki znowu działają. A skoro czujniki były sprawne - kto to wie, dlaczego w ogóle się wyłączyły

- to ja mogłem wyłączyć procedurę odcięcia kapsuły.

Kiedy wydostałem się spod panelu sterowania, na ekranie komputera migąło żądanie kodu autoryzacji wojskowej. Szlag. Nie znałem tajnego dziesięciocyfrowego kodu pułkownika Martina. Próbowałem obejść żądanie. Musiał istnieć jakiś sposób - w końcu Orion samodzielnie wymyślił, jak otworzyć każde drzwi na pokładzie „Błogosławionego”, w tym te prowadzące do kapsuły.

Skoro Orion potrafił, to ja też. Odwróciłem się z powrotem do komputerów i spojrzałem na przechowywany w pamięci rejestr kodów. Dość proste zadanie - nie licząc Amy i mnie, zaledwie parę osób miało dostęp do kapsuły, kiedy ta wciąż stanowiła część statku. Po chwili zauważyłem ten sam kod, który powtarzał się raz za razem

- K-A-Y-L-E-I-G-H. Nietrudno było się domyślić, że właśnie to hasło Orion nadpisał w systemie. Wybrał jej imię, imię małej Kayleigh, której martwe ciało znaleziono na powierzchni stawu, unoszące się tuż nad miejscem, gdzie krył się włącz do kapsuły ratunkowej.

Amy odsunęła się, kiedy zerwałem się z miejsca, podbiegłem do klawiatury przy drzwiach i wpisałem kod. Mechanizm odcinający kapsułę ustąpił.

Otworzyłem drzwi i już miałem przestąpić próg, lecz Amy złapała mnie za ramię.

- Jeśli on się obudził, musimy go znowu zamrozić.

Pokręciłem głową.

- Nie, do gzyfa! Jeśli się obudził, musimy go przesłuchać. Amy, on - tylko on - wie, co się tu dzieje. Wiedział, że są tu potwory. Na pewno wiedział też jakiego rodzaju. Może będzie umiał nam pomóc w walce.

- Przesłuchamy, potem zamrozimy - odparowała Amy. Jej głos był chłodny, ale w oczach widziałem strach i ból. - Nie możemy sobie pozwolić na jego obecność. Wyobraź sobie chaos, jaki by sprowadził... Wyobraź sobie, co zrobiliby z ludźmi z Ziemi, teraz, kiedy już się przebudzili.

Nie powiedziałem nic więcej. Amy nigdy nie zdoła dostrzec w Orionie niczego poza czystym złem. Nie chciała widzieć tego, co widziałem ja. Nie widziała w nim siebie.

Puściła mnie, a ja otworzyłem drzwi na oścież.

- Nie porzucisz mnie znowu, prawda?

Zastygłem. Jej głos był spokojny i cichy, na pograniczu szeptu, i wypełniony takim smutkiem, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałem z jej ust.

Nie czekając na odpowiedź, Amy minęła mnie i weszła do kapsuły.

W kapsule panowała upiorna cisza. W powietrzu unosiły się drobinki kurzu. Nawet nasze kroki były przytłumione.

Po części oczekiwałem, że Orion jak gdyby nigdy nie będzie siedział w pomieszczeniu kriogenicznym i czekał na nas.

Rzecz jasna, nie czekał.

- Tam - wyszeptała Amy, podchodząc do drzwi laboratorium genetycznego. Powietrze w kapsule było zatęchłe i duszne. Jak to możliwe, że braliśmy ją pod uwagę jako stałe schronienie, zamiast szukać go na zewnątrz?

Amy przycisnęła kciuk do skanera biometrycznego. Kiedy drzwi się rozsunęły, wypuściła z płuc powietrze, które dotąd wstrzymywała.

Weszliśmy do środka.

- Gdzie on jest? - zapytała. Wpatrywała się w komorę kriogeniczną. Wcześniej za szkłem widniała zamrożona twarz Oriona. Lecz teraz - teraz za okienkiem nie było nic. Nie było płynu kriogenicznego. Nie było Oriona.

- To niemożliwe - powiedziałem.

Amy rozejrzała się po laboratorium, jakby sądziła, że Orion wyskoczy nagle zza pompy i krzyknie: „Bu!”. Lecz ja podszedłem do komory kriogenicznej, czując, jak w środku wszystko skręca mi się z przerażenia. Na liczniku migwały cyfry: 00:00:00. Czas minął.

Drzwi otworzyły się z szumem i sykiem spuszczanego powietrza i ciśnienia.

Orion leżał na dnie komory. Całe jego ciało było czerwone, jak gdyby zdarte do żywego mięsa. Przypominał ochłap, nie człowieka. Drżał jednak i tylko po tym poznaliśmy, że nadal żyje.

Amy zachłysnęła się powietrzem. Zerknąłem na nią. Oczy miała szeroko rozwarte z

przeżalenia, dłonią przesłaniała usta. Nienawidziła Oriona, nie była jednak bez serca. Nikt nie mógłby spojrzeć na tę ludzką skorupę i nie poczuć litości.

- Orionie? - odezwałem się cicho.

Jedna roztrzęsiona dłoń wyciągnęła się w moją stronę, wciąż mokra i lekko lśniąca błękitem płynu kriogenicznego.

Ująłem ją. Była miękka - ale nie miękka w przyjemny sposób, bardziej jak mokra gąbka. Pociągnąłem go za rękę, żeby pomóc mu wstać, a wtedy Orion otworzył usta i spomiędzy jego warg wyrwał się przenikliwy, zapierający dech w piersi wrzask. Agonalne rżenie.

Umierał.

Podczas gdy Orion próbował zmusić swoje słabe, atroficzne mięśnie, żeby go podniosły, ja wróciłem myślami do tamtej chwili, kiedy go zamroziliśmy. Po prostu wepchnęliśmy... wepchnąłem go do komory kriogenicznej i uruchomiłem ją. Jego ciało nie było na to przygotowane. Żadnych elektrycznych skanerów tętna, które pomogłyby przystosować organizm do reanimacji. Żadnych kropli do oczu ani płynu kriogenicznego we krwi. Wciąż miał na sobie zwykłe ubranie.

Spod mankietu, powyżej naszych zaciśniętych dłoni, spływała krew. Skóra Oriona stopiła się z materiałem i odchodziła od ciała równie łatwo co mokry papier.

Amy przysunęła w naszą stronę metalowy stolik na kółkach. Gdy tylko Orion stanął prosto, z moją pomocą dowlóknął się te dwa kroki i usiadł na nim.

Zgarbił się. Włosy, wciąż mokre i lśniące od płynu kriogenicznego, zwisały mu w strąkach. Dyszał ciężko, jakby dopiero co przebiegł spory dystans, resztkami sił wciągał powietrze. Zagiął palce niczym szpony i uniósł do twarzy.

Dopiero wtedy spostrzegłem jego oczy.

Były otwarte i wytrzeszczone, tak samo jak wtedy, kiedy tkwił zamrożony w komorze. Lecz teraz jego tęczówki zasnuwała jasnyniebieska błona, podobna do katarakty, tylko jaśniejsza, o tej samej barwie co krople płynu kriogenicznego. Szponiaste dłonie przesunęły się wzdłuż twarzy, po zamkniętych już oczach, po czym zatrzymały się nad ustami.

Wymamrotał coś do swoich palców.

Stojąca obok mnie Amy trzęsła się na całym ciele. Oczami wielkimi niczym spodki wpatrywała się w ten cień człowieka.

Ręka Oriona opadła wzdłuż ciała.

Nachyliłem się, próbując napotkać jego spojrzenie. Ale nie mogłem. Patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Był ślepy.
Ślepy, cierpiący i umierający.
A ja nie mogłem nic na to poradzić.
Nieważne, że wcale tego nie chciałem. Stało się.
I to była wyłącznie moja wina.

21

AMY

Chciałam, żeby wpadł w szal.
Chciałam, żeby ryknął, zaczął walczyć, przewrócił ten stolik i rzucił się na nas.
Takiego Oriona rozumiałam.

Nie miałam jednak pojęcia, co czuć na widok Oriona, który cierpi męczarnie - dla którego każda sekunda życia jest czystą torturą - który umiera na moich oczach.

- Co się stało? - wychrypiał. Kiedy rozchylił wargi, kąciki ust zaczęły mu krwawić.
Tylko odrobinę, dość, żeby krew spłynęła po podbródku.

- Byłeś zamrożony. - Starszy mówił spokojnym głosem, jakby zwracał się do płochliwego zwierzęcia.

Ciało Oriona zadygotało. Minęła chwila, zanim zdałam sobie sprawę, że próbuje się zaśmiać.

- Co ty nie powiesz. Jak długo?

- Trzy miesiące.

Patrzyłam, jak przetrawia tę informację. Zupełnie jakby w ułamku sekundy postarzał się o te trzy miesiące.

- Gdzie jesteśmy?

Nie chodziło mu o pomieszczenie. Chciał wiedzieć, czy nadal jesteśmy na „Błogosławionym”, czy może na Centauri-Ziemi.

- Wylądowaliśmy - odparł Starszy.

- Dlaczego? - zapytał bez gniewu, bez oskarżeń.

- Musieliśmy - rzekł Starszy, lecz ja zaczęłam się zastanawiać, czy to aby na pewno prawda.

Orion uśmiechnął się gorzko, jakby też w to wątpił. Uniósł głowę.

- Dlaczego to tak bardzo boli? - Jego głos był zaledwie szeptem. - Dlaczego nic nie widzisz? - Teraz pojawił się w nim strach.

Coś w moim sercu pękło.

- Nie zostałeś zamrożony prawidłowo.

- Nie... - Przełknął ślinę. Nawet ta czynność sprawiała mu ból. - Nie czuję się najlepiej.

- Wiem - odparł łagodnie Starszy. - Wiem. Przepraszam - dodał po chwili.

Orion przechylił głowę w stronę Starszego - i mnie. Przez chwilę jego zaćmiony wzrok jak gdyby spoczywał na mnie, ale nie. Nic nie widział.

- Nie winię cię za to - odezwał się głosem silniejszym niż do tej pory.

Starszy spuścił głowę. Orion go nie obwinał, lecz on sam czuł się winny.

- Może sobie na to zasłużyłem. Jej też nie winię.

Moje serce zamarło. Ja. Mówił o mnie.

- Ta dziewczyna... Cieszę się, że ją znalazłeś. Ze się obudziła. Jak sam wiesz, już wcześniej próbowałem się zbuntować. Ale nie miałem takiej dziewczyny jak ona. Doczekałem się tylko nowych blizn. - Dotknął swojej szyi. - Sporo ich zebrałem. - Jego dłoń uniosła się do oczu. Zakrył je i opuścił głowę.

- Nie powinno nas tu być.

- Musieliśmy... - zaczął znowu Starszy, lecz Orion mu przerwał.

- Nie, nie musieliście. - Odkasznął mokro, ciężko. - Zobaczyliście planetę i nie mogliście się powstrzymać. Rozumiem. Ja też ją widziałem. Ale miałem dość rozsądku, żeby zatrzymać ludzi na „Błogosławionym”, gdzie byli bezpieczni. - Znow zakaszał. Krew obryzgała jego nabrzmiałe usta. - Chyba nie zasłużyłem sobie na to, żeby zobaczyć planetę, nawet teraz, gdy już na niej jesteśmy.

Jego głos przepełniała olbrzymia tęsknota.

I po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że coś mnie łączy z Orionem.

- Mam swoje powody, żeby żałować - dodał.

Starszy wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie potrafił wydusić z siebie słowa.

Krew spływała teraz swobodnie po podbródku Oriona, ciekło mu też z oczu. Rozpadał się tu i teraz.

- Nigdy nie patrzyłem, jak umierają - zaskrzeczał jakby echem moich wcześniejszych myśli. - Może gdybym patrzył, nie pozwoliłbym im utonąć.

- Orionie - odezwał się w końcu Starszy. - Potrzebujemy pomocy.

Dłoń Oriona pogładziła stół, szukając krawędzi.

- Taki... zmęczony...

- Co możesz nam powiedzieć o potworach z tej planety? - zapytał Starszy niecierpliwie. Orion umierał - nie mogliśmy jednak pozwolić, żeby odszedł, nie zdradziwszy

swoich tajemnic.

- Niewolnicy albo żołnierze - rzekł Orion. Osunął się pomału na stół, z nogami zwisającymi z boku. - Mówiłem ci... niewolnicy albo żołnierze.

- Nie zamrożeni. Nie chodzi mi o zamrożonych. Wiem, że są niebezpieczni. Ale co ze stworzeniami żyjącymi na tej planecie? Co miało tu na nas czekać po wylądowaniu?

Orion zarzęził - kolejny śmiech? Czy coś gorszego?

- Powiedz! - Starszy podniósł głos. - Musisz nam powiedzieć! Musimy wiedzieć, z czym się mierzymy! Ludzie umierają.

- No i? - zapytał Orion chrapliwym głosem. - Ja też umieram.

- Musisz nam powiedzieć! - Starszy chwycił Oriona za ramię.

Młasnęło pod jego uściskiem, a Orion gwałtownie wciągnął powietrze do krzyku, który nie zdołał się przedrzeć przez gardło. Starszy zabrał dłoń. Ciało Oriona zwijało się z bólu.

Gdy już się uspokoił, przemówił głosem jeszcze słabszym niż dotąd:

- Tylko mi nie mów, że ich nie znaleźliście? - Zakaszłał cienko i sucho. - Och, mój mały księżę, nie mów, że nie podążyliście za wskazówkami.

- Nie mamy czasu na wskazówki. - W głosie Starszego zabrzmiała błagalna nuta, jakby balansował na granicy płaczu. - Po prostu mi powiedz.

Orion usiłował się podnieść, ale nie zdołał. Zamiast tego zwrócił twarz w stronę Starszego. Zamknął ślepe oczy. Uniesienie powiek kosztowało go już zbyt wiele.

- Pokaż mi świat - zdołał powiedzieć mocno i wyraźnie. - Proszę. - W jego tonie nie było błagania, tylko prosta prośba wyrażona równie prostym słowem.

Starszy sprawiał wrażenie zmieszanego, zaskoczzonego. Lecz ja zrozumiałam, co Orion ma na myśli. Nic nie powie, dopóki nie zabierzemy go na zewnątrz.

Ruszyłam najciszej, jak umiałam, w stronę drzwi, gestem nakazując Starszemu, żeby poszedł za mną. Pchał przed sobą stolik na kółkach. Jedynym dźwiękiem, jaki rozlegał się w pomieszczeniu kriogenicznym, były nasze kroki i klekot stolika sunącego po metalowej podłodze.

Oraz ciężki oddech Oriona, kurczowo trzymającego się życia dla tej jednej, jedynej chwili.

Kiedy Starszy skręcił w korytarz prowadzący na mostek, ciało Oriona przesunęło się po metalowej powierzchni. Gwałtownie wciągnął powietrze. Coś zaterkotało w jego piersi, a oczy rozszerzyły się, gdy wypuł krew. Teraz krwawił nie tylko z kącików ust. Coś pękło gdzieś głęboko w nim.

Wchodząc do kapsuły, zostawiliśmy drzwi na mostek otwarte. Teraz musiałam jednak pójść przodem, żeby podnieść stolik za krawędź i przeciągnąć nad progiem. Jeśli Orion domyślił się, że jest z nim ktoś oprócz Starszego, nie wspomniał o tym ani słowem.

Gdy tylko znaleźliśmy się na zewnątrz, wystawił twarz do słońca. Widniały teraz wyżej na niebie, tuż nad wierzchołkami drzew. Ciało Oriona wydawało się drobniejsze, skurczone na zwykłym metalowym stoliku, lecz jego oczy były szeroko rozwarte i rozglądały się na wszystkie strony, usiłując coś dojrzeć. Na chwilę ogarnęło mnie współczucie, potem jednak przypominałam sobie, jak śmierć wytrzeszczyła oczy Theo Kennedy ego. Współczucie wyparowało z mojego serca.

Orion uniósł rękę, rozpościerając palce. Oddychał głęboko, rozkoszując się świeżym powietrzem. Całe jego ciało stało się jak gdyby przedłużeniem rozdętych nozdrzy; wszystko skupiało się na zapachu. Owiała nas ciepła bryza i Orion przechylił głowę w jej stronę. Nadstawił uszu, by słuchać, jak liście drzew szeleszczą i drżą na wietrze.

Całe jego ciało skupiało się na tych zmysłach, które mu jeszcze zostały, chłonąc otaczający go świat tak kompletnie, jak tylko mogło.

Ręka Oriona opadła pomału. Kąciki ust wygięły się ku górze.

Westchnął - i wraz z tym westchnieniem umknęły z niego resztki życia.

Ostatnie iskry światła w jego oczach powoli zgasły.

22

STARSZY

- Umarł - powiedziała Amy, lecz to wciąż do mnie nie docierało.

Nie mógł umrzeć. Niewidzące oczy wciąż spoglądały, wciąż próbowały napawać się światem, którego już nigdy nie zobaczą.

Nie miałem serca ich zamknąć.

- Wiesz, on był mną. - Mną, który w pojedynkę stawiał czoła prawdzie. Mną, który zrobił to, co zrobił, żeby chronić moich ludzi. Zawdzięczałem mu wszystko, co w moim życiu było dobre, a w zamian nie dałem mu nic. - To znaczy, technicznie rzecz biorąc.

- Wiem - odparła Amy.

- Przykro mi - szepnąłem do Oriona, bo chociaż był mordercą, nie zasłużył sobie na taki los. Nie zasłużył na to, by otrzymać planetę i natychmiast ją stracić.

Nie patrząc Amy w oczy, osunąłem się na podłogę i przycisnąłem głowę do twardego metalu kapsuły. Znikąd nadziei. Nie powinniśmy byli lądować. Trzeba było zostać na „Błogosławionym”.

- Rozgryziemy to - powiedziała Amy. - Nie pozwolimy, żeby wszyscy zginęli.

Opadła obok i położyła głowę na moim ramieniu. Przez kilka minut siedzieliśmy tak w milczeniu - ja mierzyłem się ze świadomością, że nie zdołam ocalić swoich ludzi, skoro nie wiem, przed czym muszę ich chronić. Amy zaś opierała się o mnie, przypominając mi o wszystkim, czego nie miał Orion.

- Jak on się do ciebie zwrócił? - zapytała po dłuższej chwili.

- O czym ty mówisz?

- Dał nam wskazówkę. - W jej głosie wzbierało zdumienie. - Przed śmiercią... - Umilkła i podekscytowana zerwała się na równe nogi.

- O czym ty mówisz? - zapytałem. Serce mi waliło, a kolana trzęsły się od nadziei, kiedy wstawałem.

- O wskazówce! Nie wiem, czy zrobił to celowo, ale dał nam wskazówkę.

- Wskazówkę? laka?

- Zastanów się. - Oczy Amy lśniły. - Pomyśl o całym tym ciągu wskazówek, za którymi podążaliśmy.

Wróciłem myślami do tamtych dni. Obraz Harleya. Wi-kom Amy. Szekspir i Dante. I jeszcze jedna książka...

- Zapomniałeś... Oczywiście, że tak, rozproszyły cię wtedy skafandry kosmiczne. - Jej wielkie oczy płonęły.

- Skafandry?

Złapała mnie za rękę, a potem pociągnęła z powrotem do drzwi.

- Pamiętasz, jak odkryliśmy pomieszczenie ze skafandrami? Leżała tam książka, taka sama jak tamte, które zostawił nam Orion, tyle że w tej książce nie było wskazówki. Pamiętasz jej tytuł? - Mówiła rozgorączkowanym, niecierpliwym głosem.

Pokręciłem głową. Wtedy myślałem tylko o tym, żeby opuścić „Błogosławionego” i zobaczyć wszechświat, od którego przez całe życie dzieliły mnie stalowe ściany.

- A ja pamiętam - odparowała, uśmiechając się znacząco. - Tytuł tamtej książki. To był Mały Książę. - Obróciła się w moją stronę, aż końcówki włosów smagnęły ją po szyi. - A jak zwrócił się do ciebie Orion?

- Mój mały książę - odpowiedziałem odruchowo. Przez krótką chwilę liczyłem, że udzieli mi się entuzjazm Amy. Nic z tego. - To na pewno nie jest wskazówka - stwierdziłem. Zerknąłem na ciało Oriona, który wciąż wpatrywał się w niebo. - Po prostu się ze mnie naśmiewał, no wiesz. Ze niby jestem przywódcą, tylko raczej kiepskim. Poza tym znaleźliśmy przecież tamtą książkę i wskazówkę.

Amy zmarszczyła czoło w zamyśleniu.

- Jaka to była wskazówka?

Wzruszyłem ramionami.

- Jakiś podkreślony tekst.

- Nie, chodzi mi o to, co takiego nam pokazała? Każda wskazówka, którą zostawił Orion, miała jakiś cel. Każda prowadziła do czegoś innego, każdy szczegół był istotny. Dlaczego tamta wskazówka była istotna?

- Znajdowała się tam, gdzie skafandry.

Amy pokręciła głową.

- Ale to nie dzięki niej je znaleźliśmy. Wskazówka była w sonecie.

- No więc?

- No więc coś przeoczyliśmy - orzekła Amy. - Orion wiedział coś jeszcze, coś na temat statku albo misji, co powinniśmy byli wtedy odkryć... ale nie odkryliśmy. Umknęła nam jedna wskazówka.

Miała rację. Kiedy znaleźliśmy tamtą książeczkę, moją uwagę przykuły skafandry kosmiczne, a potem planeta. A uwagę Amy przykuła moja bliska śmierć. Wszystko działo się wtedy tak szybko... i coś nam umknęło. Ostatnia wskazówka, coś, co wyjaśni, czego powinniśmy się spodziewać na Centauri-Ziemi.

Poszedłem prosto do pomieszczenia ze skafandrami. Wciąż było wyładowane po brzegi zapasami, które zabraliśmy z „Błogosławionego”. Wpatrywałem się w skrzynie pełne jedzenia, materiałów, leków i wielu innych rzeczy, które uznaliśmy za przydatne.

I wtedy zrozumiałem.

- Nie ma mowy, żeby ta książeczka wciąż tutaj leżała. - Co za dureń ze mnie, po co tu w ogóle przychodziłem się rozglądać. Przecież opróżniliśmy to pomieszczenie. Zapchaliśmy je sprzętami rolniczymi i inwentarzem. W dowolnej chwili dowolna osoba mogła podnieść cienki tomik Małego Księcia i cisnąć w jakiś kąt. Mógł zostać na „Błogosławionym”. Ktoś mógł go wyrzucić. Zniszczyć.

Być może w Małym Księciu znajdowała się jeszcze jedna wskazówka. Cokolwiek to jednak było, przepadło bezpowrotnie.

Amy zaśmiała się.

- Och, człowieku małej wiary - rzuciła. - Byłam tutaj, kiedy pakowali te rzeczy. Chciałam zanieść książkę z powrotem do Sali Nagrań, ale... - Wbiła wzrok w skrzynie stojące w przejściu. - Podsadzisz mnie?

- Co? - zapytałem z niedowierzaniem.

- Podsadź mnie. - Położyła dłonie na najbliższej skrzyni, sprawdzając, czy nie jest na nią za ciężka. Kiedy splotłem palce pod jej stopą, odepchnęła się i zaczęła gramolić na stertę.

- Co ty robisz? - zawołałem.

Wspinała się po skrzyniach. Kilkakrotnie się poślizgnęła, a raz nawet wpadła do skrzyni z materiałami i zakłęła.

- Zgodziliśmy się, że nie powinniśmy marnować miejsca na nic, co nie będzie nam niezbędne do przeżycia, ale... - Jej głos ścichł, gdy dotarła do ściany, zrównując się twarzą z popsutym monitorem, na którym powinna się wyświetlać instrukcja obsługi skafandrów kosmicznych. - Ale nie mogłam tej książki tak po prostu zostawić.

Amy podważyła palcami szklany monitor umieszczony na ścianie, a ten zsunął się z haczyka. Wyciągnęła cienki tomik, na którym widniał odręczny rysunek przedstawiający małego chłopca na usianym kraterami księżycu. Zgramoliła się ze skrzyń, po czym zeskoczyła na ziemię i rzuciła mi książkę. Mały Książę - głosiła okładka, poniżej widniało zaś niemożliwe do wymówienia nazwisko.

Kartkowałem strony, aż w końcu znalazłem wskazówkę zostawioną przez Oriona. Podkreślony tekst, który widziała Amy, nad którym jednak żadne z nas się nie pochylilo.

- Nie lubię skazywać na śmierć - odpowiedział Mały Książę*

- To ostrzeżenie - wymamrotałem, przeczytawszy cytat.

Amy zerkała do książki ponad moim ramieniem.

- Musi być coś jeszcze. Orion nie zostawiłby wskazówki, która do niczego nie prowadzi. I na pewno nie wspomniałby o niej, umierając, kiedy ty mówiłeś mi, że wylądowaliśmy na planecie i że tu jest niebezpiecznie. Może i był psychopata, ale wskazówki zostawiał bardzo starannie. Musi być coś, co prowadzi do odpowiedzi, d l a czego Centauri-Ziemia jest niebezpieczna. Z czym tak naprawdę mamy do czynienia.

* Antoine de Saint-Exupéry, Mały Książę, tłum. Jan Szwykowski, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1992.

Nie potrafiłem powiedzieć, ile w tym logiki, a ile myślenia życzeniowego, ale to była nasza jedyna szansa.

Zamknąłem tomik i zacząłem oglądać okładkę. Orion nazwał mnie małym księciem, nie sądziłem jednak, żebym miał cokolwiek wspólnego z książkowym bohaterem. Mały Książę stał na suchej, zakurzonej skale swojego królestwa i nie wiedział, jak to jest, gdy tysiąc osób na nim polega. Mógł po prostu zeskoczyć z tej planety i odbijać się po całym wszechświecie z jednego miejsca do drugiego

- i tak właśnie zrobił, jak się dowiedziałem, przeglądając treść. Na tak małej planecie

nie czuł siły ciężenia, lecz mnie ciągnęło w dół coś więcej niż grawitacja.

Zacząłem wczytywać się w opowieść, lecz Amy się niecierpliwiła, przez co nie mogłem się skupić na słowach. Historia wydawała się śmieszna - był tam jakiś kapelusz i róża, i lis, i mało co miało sens. Gdy dotarliśmy do końca, oddałem książkę Amy.

- Tu nic nie ma - powtórzyłem.

Pokręciła głową i znowu otworzyła książkę.

- Musi być.

Tym razem nie zaczęła od początku, tylko gdzieś w środku, gdzie Orion zaznaczył cytat. Prześledziła palcem zakreślenia i podkreślenia odcisnięte głęboko na papierze przez ciężkie pióro. Przewróciła parę stron i przesunęła palcami po ilustracji, która się tam znajdowała. Gruby mężczyzna w wyszywanym gwiazdami płaszczu górował nad planetą jeszcze mniejszą niż ta Małego Księcia.

Wciągnęła gwałtownie powietrze.

Co jest? - zapytałem, nachylając się.

- Patrz. - Podsunęła mi książkę. Wbiłem wzrok w stronę. - Patrz.

I wtedy zobaczyłem.

Wskazówka nie znajdowała się w tekście - tylko na ilustracji. Człowiek na rysunku siedział na tronie.

- To Król - wyjaśniła Amy. - Sądzi, że jest władcą gwiazd.

- Płaszcz otulał postać i spływał z niej z obu stron, kłębiąc się i wydymając na powierzchni planety. Zdobił go co najmniej tuzin żółtych gwiazd, przez co Król wyglądał, jakby owinął się całym wszechświatem. Nosił złotą koronę na głowie i marszczył brwi. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafiłem wyjaśnić, jego pomarszczona twarz przypominała mi Najstarszego.

A tuż nad miejscem, gdzie Król powinien mieć serce, widniała gwiazda. Stanowiła część oryginalnego rysunku, podobnie jak pozostałe gwiazdy zdobiące szatę, lecz wewnątrz niej, dostrzegłem odręcznie narysowane bardzo cienką czarną kreską serce.

-1 spójrz tutaj - powiedziała Amy, wskazując na spód planety, która służyła Królowi za tron. Drobne litery biegły wzdłuż krawędzi i układały się w zdanie:

Kim są prawdziwe potwory?

23

AMY

Kim są prawdziwe potwory. Nie czym. Kim.

Starszy westchnął, po czym zamknął książkę.'

- Co się stało? - zapytałam.

- To nam nic nie mówi. - Obrzucił tomik spojrzeniem pełnym niesmaku. - To tylko kolejna cholerna wskazówka. A miejsce, do którego niby miałyby nas doprowadzić? Jest poza naszym zasięgiem.

- Tego nie wiemy - zauważyłam, choć w głębi ducha podejrzewałam, że Starszy ma rację.

Dotknął swojej szyi, tam, gdzie tkwił bezużyteczny wi-kom.

- Amy, to beznadziejna sprawa. Odpowiedź orbituje wokół planety, gdzieś na pokładzie „Błogosławionego”.

- Wcale nie taka beznadziejna - odparłam, mimo że nie widziałam niczego, czego moglibyśmy się uchwycić.

Starszy nic nie odpowiedział. Gdy na niego spojrzałam, w jego oczach widniała powaga i troska.

- O co chodzi? - zapytałam, bawiąc się przy tym włosami. Pod jego intensywnym spojrzeniem zaczynałam się denerwować.

- Wiesz, że nie chciałem cię zostawić - powiedział. Ani na sekundę nie odrywał ode mnie wzroku.

- Co?

- Kiedy zemdlałaś. Nie chciałem cię zostawić. Chciałem zostać. Ale twoi rodzice...

- Starszy... - Było mi głupio, że w ogóle poruszyłam ten temat. Wcale nie musiał chodzić za mną krok w krok przez cały dzień, abym wiedziała, że właśnie tego pragnął najbardziej. Jego nieobecność tego poranka tak naprawdę uświadomiła mi jedno. Ja też tego chciałam - pragnęłam.

- Skoro mowa o twoich rodzicach, powinniśmy wracać - stwierdził. W jego głosie słyszałam poczucie porażki. - Twój ojciec chciałby pewnie wiedzieć, że kapsuła znów jest otwarta.

Przytaknęłam - miał rację. Wcisnęłam Małego Księcia pod pachę i wyszłam za Starszym na zewnątrz. Choć znaleźliśmy to, po co przyszliśmy - wskazówkę, która mogła nas doprowadzić do potrzebnych odpowiedzi - miałam wrażenie, że ponieśliśmy klęskę. Na mostku Starszy przystanął, spoglądając na Oriona. Długie włosy przesłoniły jego twarz, a cień spowił martwe ciało w ciemność. Zupełnie jak gdyby Starszy spoglądał we własne odbicie. Przycisnęłam książkę do piersi, próbując odpędzić to wrażenie.

- Amy? - zawołał zdumiony męski głos. Starszy stanął przede mną, jakby chciał

osłonić mnie przed wrogiem. Tyle że wróg na tej planecie nie znałby mojego imienia.

Z cienia drzew wyłonił się Chris.

- Co wy tu robicie? - zapytał z zaskoczeniem i być może odrobiną podejrzliwości.

- Mam pełne prawo przebywać w mojej kapsule - odparł głośno Starszy. - A co ty tutaj robisz?

- Pułkownik Martin kazał mi sprawdzić, czy procedura odcięcia została już odwołana - rzekł Chris. - A to co?

Wskazał na ciało Oriona.

Starszy wyjaśnił - częściowo. Powiedział Chrisowi, że Orion był człowiekiem ze statku i został zamrożony za zbrodnie, których dopuścił się na pokładzie „Błogosławionego”. Lecz ani słowem nie wspomniał o wskazówkach.

- Powinniście wracać do ruin - stwierdził Chris, kiedy Starszy skończył. - Pułkownik Martin zwołał zebranie całej kolonii. Czeka tylko, aż wrócę ze wzmacniaczem głosowym.

Wbiegł po rampie na mostek, starannie unikając kontaktu z metalowym stolikiem i ciałem Oriona. Wyciągnął coś z panelu wbudowanego w kapsułę - najwyraźniej wspomniany wzmacniacz - i rzucając Starszemu, a Starszy przekazał to mnie. Trzymałam przedmiot razem z egzemplarzem Małego Księcia. Chris zerknął na książkę, ale nie zwracał sobie głowy zadawaniem pytań.

- A co z... - zaczął Starszy i urwał. Co z ciałem Oriona.

- Ja się tym zajmę - odparł cicho Chris. - Pomagam z pozostałymi.

Z Julianą Robertson i Lorin.

Tak wielu.

Zbyt wielu.

A my nawet nie mieliśmy pojęcia, co się stało.

- Wiemy już coś więcej o tym, jak zginęły? - zapytał Starszy, którego myśli najwyraźniej podążały tym samym torem co moje.

- Zabiły je ptery. - Widząc nasze puste spojrzenia, Chris wytłumaczył: - Tak zaczęli nazywać te ptasie stwory. Ptery - skrót od pterodaktyla, pterozaura czy czegoś tam. Bo tak bardzo przypominają dinozaury.

Wyobraziłam sobie, jak musiały wyglądać ostatnie chwile Lorin i Juliany - wszędzie tylko szpony i ostre zębiska. Mimowolnie skrzywiłam się z obrzydzeniem, a potem odepchnęłam od siebie te myśli.

- Powinniście już iść - dodał Chris. - Twój ojciec jeszcze nie zauważył, że was nie ma, Amy, ale niedługo się zorientuje...

Pokiwałam głową - mój tato wpadnie w szal, jeśli się dowie, że wróciłam do kapsuły, zwłaszcza po tej wczorajszej wpadce z fioletowymi kwiatami. Zacisnąwszy palce na dłoni Starszego, delikatnie pociągnęłam go ze sobą, z powrotem w kierunku ruin. Chris tymczasem wspiął się po rampie.

- Co on z nim zrobi? - Starszy obejrzał się za siebie i prawie przewrócił o wystający korzeń.

- Z kim?

- Z Orionem.

- Pewnie go pochowa. To samo zrobili z pozostałymi, którzy zginęli podczas lądowania.

Starszy zmarszczył czoło. Zatrzymał się i ruszył z powrotem do kapsuły, potem znów stanął i zawrócił w kierunku ruin.

- Nie podoba mi się to - stwierdził cichym głosem.

- A co... co wy robiliście ze zmarłymi? - zacięłam się lekko przy tym pytaniu. Zdawałam sobie sprawę, że ludzie ze statku nie wyznają żadnej religii, ale nigdy tak naprawdę się nie dowiedziałam, co działo się z tymi, którzy odeszli. Harley umarł, nie pozostawiając ciała, a ja nie widziałam, co się stało z pozostałymi. Kiedy poznałam Steelę, starą kobietę, która została zamordowana z powodu podeszłego wieku, Doktor napomknął, że ciała są przetwarzane, ale chyba nikt, nawet Starszy, nie miał o tym pojęcia. Tylko tyle prawdy zdołałam poznać.

- Wysyłaliśmy ich do gwiazd - odparł Starszy. - Czytałem o różnych religiach i rytuałach. Nie robiliśmy z tego żadnego pokazu, nie odmawialiśmy żadnych „modlitw” ani nic z tych rzeczy. Może nie wierzyliśmy w żadnych bogów, ale wszyscy dostrzegaliśmy piękno wiecznej wolności pośród gwiazd, dryfowania przez wszechświat z dala od zamkniętych ścian statku.

Przełknął ślinę. Zauważyłam, że ma bardzo czerwone oczy.

- Co teraz będziemy robić ze zmarłymi, kiedy nie mogą już odlecieć? - zapytał. - Grzebanie w ziemi to całkowite przeciwieństwo wysyłania do gwiazd.

- Pewien słynny fizyk stwierdził kiedyś, że wszyscy jesteśmy zrobieni z gwiazd. Tak mówiła mi matka - odrzekłam wolno, próbując sobie przypomnieć, jak dokładnie brzmiał tamten cytat. - Cząsteczki w naszych ciałach i w gwiazdach są takie same. Może to bez znaczenia, czy ktoś zostaje pogrzebany w ziemi, czy dryfuje w kosmosie, bo tak czy owak trafia do gwiazd.

- Tak czy owak, jest martwy - stwierdził z goryczą Starszy.

- Wszyscy kiedyś umrzemy. - Może jedyne, co pozwalało nam zmierzyć się z tym faktem, to świadomość, że tylko w ten sposób powrócimy do gwiazd.

Kiedy dotarliśmy na skraj lasu, na łące rozciągającej się między linią drzew a ruinami gromadzili się już ludzie. Rozmawiali ze sobą dość głośno, lecz na tyle niewyraźnie, że nie potrafiłam rozróżnić poszczególnych słów. Nie potrzebowałam ich jednak, żeby zrozumieć, co czują. Strach. Zaczęłam okrążyć zebranych, zmierzając w stronę budynków, ale Starszy chwycił moją dłoń i ścisnął. Jeden rzut oka i już wiedziałam, co zamierza - zostać tutaj, gdzie jest najbardziej potrzebny. W milczeniu skinęłam głową i poszłam, omijając grupki zmartwionych, zaniepokojonych ludzi, aż dotarłam do budynków na skraju ruin.

- Jesteś wreszcie! - zawołała mama z ulgą w głosie. - Gdzieś ty się podziewała? Znowu łąziłaś gdzieś z tym chłopakiem? Śmiertelnie mnie wystraszyłaś! Skoro już musisz tak robić, to chociaż zabieraj ze sobą Chrisa albo innego żołnierza.

- Ja tylko... eee... - zaczęłam, próbując wymyślić jakieś kłamstwo. Mama jeszcze nie zauważyła podniszczonego egzemplarza Małego Księcia ani wzmacniacza. - Chris prosił, żebym dała to tacie - wydusiłam w końcu i wyciągnęłam przed siebie wzmacniacz, jednocześnie chowając książkę za plecami.

Mama zapędziła mnie do pierwszego budynku.

Stałam jak wryta.

Na zakurzonej podłodze spoczywały dwa ciała. Jedno było zakryte - w większości. Wciąż widziałam gęstą czuprynę wystającą spod kurtki, która zakrywała pół twarzy Juliany Robertson. Ale tylko po tym ją poznałam. Jej ciało było pogruchotane i zakrwawione w sposób przywodzący na myśl mięsożerne zwierzę. Nie miałam żadnych wątpliwości, że zabił ją jeden z „pterów”.

Lorin wyglądała, jakby spała.

Tyle że to nie był sen.

- A co z doktorem Gupta? - zapytałam.

Mama westchnęła.

- Nie jesteśmy pewni, ale... nie wygląda to optymistycznie. Znaleźliśmy porzucane... fragmenty... biednej Juliany. Z początku sądziliśmy, że wśród nich jest też doktor Gupta. Wszystko jednak wskazuje na to, że zaginął. - Spojrzałam na mamę z nadzieją, która natychmiast umarła, gdy tylko zobaczyłam jej twarz. - Możliwe również, że nic z niego nie zostało... To znaczy... Amy, możliwe, że został...

- Pożarty? - krzyknęłam cicho.

Mama patrzyła ponuro.

- Amy! Szukałem cię - zagrzmiał tato, schodząc z piętra budynku. - Widziałaś Chrisa? Wszyscy czekają, aż przemówię.

Tylko tyle chciał wiedzieć? Poważnie? Ominęłam zakryte ciała.

- Proszę. - Podałam mu wzmacniacz głosowy. Poczułam mdłości. - Och, no i jeszcze jedna sprawa. Starszy otworzył kapsułę.

- Naprawdę? - Ta wiadomość wyraźnie ucieszyła tatę. - Cóż, to wyśmienicie. Cieszę się, że w końcu los zaczyna nam sprzyjać.

Tato wrócił na piętro, a zanim się obróciłam, mama również zniknęła. Pewnie wyszła na zewnątrz, żeby posłuchać przemówienia.

Zostałam sam na sam z ciałami - jednym rozszarpanym na kawałki, drugim nietkniętym. Julianie zostało tylko jedno oko. Wpatrywało się we mnie, kiedy wybiegałam z pomieszczenia.

24

STARSZY

Pułkownik Martin ze wzmacniaczem w dłoni stanął na dachu najbliższego budynku. Ludzie wokół mnie poruszyli się niespokojnie. W kapsule tych z Ziemi i tych ze statku oddzielała niewidzialna granica. Teraz naukowcy stanęli pod linią zabudowań, a żołnierze pod linią drzew, zamykając moich ludzi pośrodku.

- Uwaga, koloniści - zaczął pułkownik Martin. Moje wargi ułożyły się w gorzki uśmiech. Sprytne posunięcie, nazwał nas kolonistami. Jakbyśmy byli wspólnotą. - Mam obowiązek jako pierwszy poinformować was o smutnym wydarzeniu. Zeszłej nocy dwóch członków naszej grupy - osobę z Ziemi oraz osobę ze statku - znaleziono martwych.

Na te słowa podniósł się gwar, który zaraz ucichł, kiedy pułkownik Martin gestem poprosił o ciszę. Wieść o zaginięciu Lorin szybko rozeszła się między moimi ludźmi, ale usłyszeć, że nie żyje - to zupełnie zmieniało postać rzeczy.

- Ich śmierć przypomniła nam, że na tej planecie roi się od nieznanych zagrożeń. Możemy się pochorować, po prostu wachając kwiat. Oddalając się od grupy, możemy paść ofiarą krwiożerczych bestii.

Rozejrzałem się. Na wszystkich twarzach malowało się czyste przerażenie. Zastanawiałem się, czy pułkownik Martin w ogóle zdaje sobie sprawę, co robi. Strach przed nieznanym to największy strach, a on właśnie wbija moim ludziom do głowy, że na tej planecie wszystko jest dla nich nieznanym zagrożeniem.

- Dla waszego bezpieczeństwa moi żołnierze wprowadzą w życie pewne zasady -

ciągnął pułkownik. - Takie jak godzina policyjna, wytyczne, kto gdzie może się poruszać i tak dalej.

Dotarło do mnie, że wstrzymuję oddech. Być może to lata spędzone z Najstarszym albo walka z Bartiem podczas tamtych ostatnich dni na statku sprawiły, że nie ufałem temu, co mówił pułkownik Martin. A może świadomość tego, co powiedziała by Orion, gdyby stał na moim miejscu. Tak czy owak, nie potrafiłem pozbyć się nieprzyjemnego uczucia w żołądku.

- Zdołaliśmy na nowo otworzyć kapsułę, ale ewakuacja czegoś nas nauczyła. To nierozważne, aby cała kolonia gnieździła się w zamkniętej przestrzeni. Nie możemy stawiać wszystkiego na jedną kartę, że tak powiem. Dlatego od tej pory kapsuła będzie nam służyć za magazyn i laboratorium badawcze. Wszyscy - zarówno ludzie urodzeni na Ziemi, jak i na statku - przeniosą się do tych budynków. Chociaż wciąż będziemy dzielić je ze sobą, zapewnią nam o wiele więcej prywatności niż ciasne kwatery w kapsule.

W tej kwestii się z nim zgadzałem. Pierwsza noc była koszmarna.

- Rano na początek zajmiemy się przenosinami. Weźcie ze sobą wszelkie zapasy, jakie będą wam potrzebne do codziennego życia, i przynieście do budynku, który odtąd stanie się waszym nowym domem. W południe moi ludzie rozdadzą racje żywnościowe i przydzielą prace.

Zmrużyłem oczy.

- Każda osoba będzie musiała współpracować. Potrzebujemy podstawowych rzeczy, które pozwolą nam przetrwać. Aby mieć pewność, że nam się uda, musimy pracować wszyscy razem.

Nie wątpiłem, że to, co mówi, to prawda.

Ale też nie wątpiłem, że to pierwszy krok przepowiedni Oriona.

Żołnierze, ostrzegał. Albo niewolnicy.

Żołnierze poprowadzili ludzi do kapsuły, a ja wróciłem do ruin i pułkownika Martina. Złapałem go, kiedy wychodził z budynku.

- O, jesteś, Starszy. Chciałem z tobą porozmawiać przed zebraniem, ale nie mogłem cię znaleźć.

Przeszedłem od razu do rzeczy.

- Jak zamierza pan podzielić prace?

Pułkownik Martin wyciągnął rękę i Emma, która stała tuż za nim, podała mu notes.

- Rozmawiałem z waszą lekarką, Cat...

- Kit - poprawiłem odruchowo.

- Kit - przytaknął pułkownik. - Sporządziła listę z wyszczególnieniem profesji

waszych ludzi i była uprzejma się nią ze mną podzielić. Chciałbym, żeby rolnicy natychmiast zabrali się do pracy - sędzę, że wylądowaliśmy podczas tutejszego lata, ale może nie będzie za późno na uprawę.

- Brzmi nieźle. - Byłem zaskoczony jego podejściem.

- Pozostałe zadania są niewdzięczne, lecz niezbędne - ciągnął pułkownik Martin. - Utorowanie przejścia między ruinami i kapsułą. Latryny... latryny to nasz główny priorytet. Mamy pompę, a także rury. Chciałbym się za to zabrać, abyśmy mogli doprowadzić tu wodę z jeziora.

Skinąłem głową.

- Pomogę w przydzielaniu zajęć moim ludziom - powiedziałem.

- Chciałbym jednak wiedzieć, czym zajmą się pańscy.

- Jako podstawowy cel naszej misji GZF wyznaczyła odkrycie nowych bogactw naturalnych, dlatego chciałem, aby przy kopaniu latryn byli obecni geolodzy - odparł. - Pozostali naukowcy zajmą się indywidualnymi zadaniami, a żołnierze rozproszą się po całej okolicy, żeby wszystkich chronić.

- Przed tymi stworzeniami, które nazywacie pterami?

- Właśnie. - Pułkownik Martin odchylił się, zachęcając, abym kontynuował. Nie mogłem jednak oprzeć się wrażeniu, że snuje kolejne zdania niczym pająk swoją sieć.

- Ale nie martwi się pan ochroną przed tym, co zbudowało ruiny, w których teraz mieszkamy?

- Przypominam, że to ty wpadłeś na pomysł, abyśmy tu osiedli - odparł uprzejmie pułkownik Martin. -1 był to dobry pomysł. Jak dotąd nie mamy żadnych powodów podejrzewać, że formy życia, które wzniosły te konstrukcje, chcą nam wyrządzić krzywdę. Albo, prawdę mówiąc, że w ogóle przebywają jeszcze na tej planecie.

Wpatrywałem się w niego, czekając na to, co powie dalej. Nic.

- Nie jest pan nawet ciekawy? - zapytałem z niedowierzaniem, którego nie zdołałem ukryć. - Te istoty były rozmiarów człowieka, postawiły budynki, które idealnie odpowiadają naszym potrzebom, i nie został po nich żaden ślad. W ogóle to pana nie obchodzi?

- Obchodzi mnie przyszłość kolonii - odparł pułkownik poważnym tonem. - A nie historia tej planety.

- Dlatego chce pan latryn i próbek gleby - warknąłem. - I zapewne nie mam co oczekiwać, że którykolwiek z pańskich ludzi zabierze się do kopania.

- Możemy zapewnić narzędzia, ale brakuje nam siły roboczej...

Przerwałem mu machnięciem dłoni. Powiniennem był wiedzieć.

W uszach dzwoniły mi ostrzeżenia Orionu.

- Więc moi ludzie odwalą całą robotę?

Pułkownik Martin wyprostował się.

- Jest nas niespełna setka... dokładnie rzecz biorąc, zaledwie dziewięćdziesiąt siedem osób...

-1 każda z tych dziewięćdziesięciu siedmiu osób będzie sikać w latrynach - warknąłem.

- Pomożemy. Część moich ludzi pomoże przy kładzeniu rur. Poza tym, jak już wspominałem, geolodzy będą bezpośrednio zbierali próbki ziemi do badań. Starszy, musimy współpracować. - To nie brzmiało protekcyjnie. W głosie pułkownika Martina słychać było prawdziwą troskę, a na jego twarzy malowała się taka sama szczerść, jak u Amy, kiedy coś mi obiecywała. Wierzył w to, co mówił.

Westchnąłem. Czy stawiałbym taki opór, gdyby echo słów Orionu nie dźwięczało w mojej głowie? Gdybym przed niespełną godziną nie patrzył, jak umiera?

- Wiem. Rozumiem. Tkwimy w tym razem.

Szkoda tylko, że te słowa nie wróżyły niczego dobrego.

Amy złapała mnie, kiedy pomagałem przy rozdawaniu racji z kapsuły - pojedynczych porcji liofilizowanej żywności, suchej i pozbawionej smaku. Moi ludzie przyjmowali je z wdzięcznością, po czym brali się do jedzenia stłoczeni w budynkach, w których od tej pory mieliśmy mieszkać.

W dłoniach trzymała Małego Księcia.

- Porozmawiajmy z Kit - zaczęła podekscytowanym szeptem. - Pracowała z Doktorkiem przy wi-komach. Może wie, jak wzmocnić twój tak, żebyś połączył się ze statkiem. Jeśli uda nam się porozmawiać z Bartiem albo kimś innym z „Błogosławionego”, to może wymyślimy, gdzie jest następna wskazówka Orionu...

- Nie - odparłem ostro. Podrzuciłem torbę z racjami żywnościowymi wyżej na ramieniu i ruszyłem do następnego budynku. Amy poszła za mną.

- Dlaczego nie? Warto spróbować.

- Może i warto - stwierdziłem, rozdając paczki wśród kolejnej grupy. - Ale najpierw trzeba zająć się pracą. Nie mogę pozwolić, żeby moi ludzie głodowali.

- Starszy! - Amy wyglądała na zdumioną. - Nie możesz też pozwolić, żeby stali się karmą dla pterów.

Nie miałem sił na kłótnie. Po prostu dalej wydawałem ludziom racje, a Amy odeszła nabzdyczona, zabierając ze sobą książkę.

Po obiedzie poszedłem razem z grupą, która miała się wziąć za kopanie latryn. Żle bym postąpił, gdybym kazał moim ludziom pracować, a sam w tym czasie siedział z założonymi rękami. Złapałem za kilof i przez następnych kilka godzin kopałem rowy, spalając każdą uncję frustracji, jaką obudziło we mnie urażone spojrzenie Amy. Z początku moi ludzie zamierali na każdy nieznany dźwięk lub cień, lecz w miarę upływu dnia zdali sobie sprawę, że większość hałasów powodują geolodzy zbierający próbki gleby. Przestali więc co rusz podskakiwać i zamiast tego skupili się na tym, by wbrew upałowi jak najszybciej dokończyć zadanie.

Ja przede wszystkim ściągnąłem koszulę. Powietrze było parne i ciężkie jak tuż przed burzą. Pot lał się ze mnie strumieniami, kiedy po raz któryś z rzędu wbiłem kilof w żółtawą, piaszczystą glebę.

Lecz tym razem kilof nie zatrzymał się, tylko pogрузił jeszcze głębiej. Nagle podłoże dookoła nas pękło, a ja i około dziesięciu spośród pozostałych kopających runęliśmy prosto w ciemność. Przez po czym brali się do jedzenia stłoczeni w budynkach, w których od tej pory mieliśmy mieszkać.

W dłoniach trzymała Małego Księcia.

- Porozmawiajmy z Kit - zaczęła podekscytowanym szeptem. - Pracowała z Doktorciem przy wi-komach. Może wie, jak wzmocnić twój tak, żebyś połączył się ze statkiem. Jeśli uda nam się porozmawiać z Bartiem albo kimś innym z „Błogosławionego”, to może wymyślimy, gdzie jest następna wskazówka Orionu...

- Nie - odparłem ostro. Podrzuciłem torbę z racjami żywnościowymi wyżej na ramieniu i ruszyłem do następnego budynku. Amy poszła za mną.

- Dlaczego nie? Warto spróbować.

- Może i warto - stwierdziłem, rozdając paczki wśród kolejnej grupy. - Ale najpierw trzeba zająć się pracą. Nie mogę pozwolić, żeby moi ludzie głodowali.

- Starszy! - Amy wyglądała na zdumioną. - Nie możesz też pozwolić, żeby stali się karmą dla pterów.

Nie miałem sił na kłótnie. Po prostu dalej wydawałem ludziom racje, a Amy odeszła nabzdyczona, zabierając ze sobą książkę.

Po obiedzie poszedłem razem z grupą, która miała się wziąć za kopanie latryn. Żle bym postąpił, gdybym kazał moim ludziom pracować, a sam w tym czasie siedział z założonymi rękami. Złapałem za kilof i przez następnych kilka godzin kopałem rowy, spalając każdą uncję frustracji, jaką obudziło we mnie urażone spojrzenie Amy. Z początku moi ludzie zamierali na każdy nieznany dźwięk lub cień, lecz w miarę upływu dnia zdali

sobie sprawę, że większość hałasów powodują geolodzy zbierający próbki gleby. Przestali więc co rusz podskakiwać i zamiast tego skupili się na tym, by wbrew upałowi jak najszybciej dokończyć zadanie.

Ja przede wszystkim ściągnąłem koszulę. Powietrze było parne i ciężkie jak tuż przed burzą. Pot lał się ze mnie strumieniami, kiedy po raz któryś z rzędu wbiłem kilof w żółtawą, piaszczystą glebę.

Lecz tym razem kilof nie zatrzymał się, tylko pogrążył jeszcze głębiej. Nagle podłoże dookoła nas pękło, a ja i około dziesięciu spośród pozostałych kopiących runęliśmy prosto w ciemność. Przez chwilę miałem wrażenie, że zniknęła grawitacja, zupełnie jak podczas lądowania kapsuły, ale potem uderzyłem o zimną, twardą ziemię poniżej. Wokół kłębił się pył, przylegając do mojej spoconej skóry. Zaparło mi dech w piersi.

- Co do gzyfa? - zapytał Tiernan, jeden z robotników, który mi pomagał. Spojrzeliśmy w górę, a potem dookoła. Otwór, który kopaliśmy z myślą o latrynach, doprowadził nas do niewiarygodnie wielkiego tunelu.

- Starszy? - zawołało kilku żywicieli, zaglądając w głąb zapadliska.

- Wszyscy cali? - krzyknął jeden z ziemskich inżynierów. - Niech ktoś sprowadzi lekarzy!

Szybko oszacowałem straty. Trzech żywicieli odniosło obrażenia podczas upadku - jeden rozciął sobie ramię o łopatę, drugi utykał, ostatni zaś uderzył się w głowę. Byliśmy cali w błocie, ale powietrze w tunelu okazało się cudownie chłodne, a spadliśmy niecałe siedem metrów.

Pozostali zwrócili się do mnie. W przyćmionym świetle wyraźnie widziałem białka ich oczu.

- Nic nam nie będzie - powiedziałem i spojrzałem w górę, a oni podążyli za moim wzrokiem. Nad naszymi głowami ludzie już mocowali linę i organizowali pomoc.

Popatrzyłem na tunel.

- Gdzie my jesteśmy, do gzyfa? - wymamrotałem.

Tiernan dotknął ściany tunelu. Odwrócił się do mnie z szeroko rozwartymi oczami.

- Tego chyba nie powinno tutaj być.

Przeciągnąłem dłońmi po ścianie ubitej ziemi. Była gładka i chłodna w dotyku. Nade mną wszyscy krzyczeli i o coś wołali - o liny, o lekarzy, o żołnierzy. Ale tunel ciągnął się i ciągnął w ciemność i nieznanie.

- Kto go wykopał? - wyszeptalem.

Postąpiłem o krok w głąb tunelu. Panowała w nim bezgraniczna ciemność - jak gdyby

atramentowa czerń pożerała światło. Sklepienie miało kształt łuku, ale dno było płaskie, a wzdłuż niego wyłobiono szerokie rowki. Tunel liczył sobie blisko trzy metry szerokości. Po głowie w kółko chodziła mi myśl, że stworzenie, które go wykopało, musiało być ogromne. Oczami wyobraźni widziałem robaki dwukrotnie przewyższające mnie wzrostem albo przerośnięte krety o długich pyskach i ostrych pazurach, zdolne pożreć człowieka jednym kłapięciem paszczy.

- Starszy! - ciemność i chaos przeciął głos. Zerknąłem w górę na pułkownika Martina, który zaglądał do środka ponad krawędzią zapadliska. - Jacyś ranni?

- Kilku! - odkrzyknąłem.

- Schodzimy!

Zdażyłem tylko się cofnąć, gdy do tunelu wpadł z tuzin lin, po których zsunęli się żołnierze w kamuflażu. Najpierw podeszli do trzech rannych mężczyzn, ale nie miałem żadnych wątpliwości - uwijali się jak w ukropie, żeby jak najszybciej wyciągnąć nas na zewnątrz. Po raz pierwszy zobaczyłem na twarzach ziemskich żołnierzy prawdziwy strach. Obwiązali moich ludzi linami, a potem zaczęli ich transportować na zewnątrz, cały czas rozglądając się nerwowo.

Zignorowałem żołnierza, który próbował mnie przekonać, żebym podszedł bliżej i dał się wyciągnąć z powrotem na powierzchnię. Zamiast tego przykucnąłem, wpatrując się w rowki biegnące wzdłuż dna. Były głębokie i proste, zupełnie jak ślady kół, lecz gdy dotknąłem ziemi, poczułem coś nienormalnie gładkiego. Wsunąłem palce głębiej i wyciągnąłem... coś.

Rozmiarów mojej dłoni, cienkie i przezryste jak szkło. Uniosłem to do światła i na powierzchni dostrzegłem złotawą poświatę.

Łuska? A przynajmniej tak to wyglądało. Wizję wielkiego robaka ryjącego tunel zastąpił monstrialny wąż o krystalicznych łuskach.

Obca dłoń wyrwała mi łuskę. Już miałem zaprotestować, kiedy szarpnął mnie jeden z żołnierzy - Chris.

- Tu nie jest bezpiecznie! - krzyknął. Zawiązał mi linę pod pachami i szarpnął, dając znak ludziom na powierzchni, żeby zaczęli mnie wyciągać.

Gdy znalazłem się na górze, zacząłem mrugać w jasnym świetle dwóch słońc. Ziemscy lekarze przekazali mnie Kit, która szybko sprawdziła moje obrażenia. Ignorując jej marudzenie, nie odrywałem wzroku od zapadliska. Kiedy Chris wy dostał się na powierzchnię, natychmiast podszedł do pułkownika Martina. Zamienili za ledwie kilka słów, dostrzegłem jednak błysk łuski przekazywanej z rąk do rąk.

- Z wielką przyjemnością donoszę, że nikt nie odniósł poważnych obrażeń! - huknął pułkownik Martin. Tłum wokół mnie zareagował okrzykami radości. - Na dzisiaj zamykamy jednak ten teren, aby żołnierze mogli zbadać tę... niecodzienną... formację lądową. Nie sądzę, aby stanowiła zagrożenie, lecz mamy na uwadze przede wszystkim wasze bezpieczeństwo. Przed podjęciem dalszych prac upewnimy się, że nic nam nie grozi.

Moi ludzie rozeszli się ochoczo - kopanie latryn to ciężka praca, poza tym panował niesamowity upał - ale ja nie spuszczałem pułkownika z oka. Dziwna łuska zniknęła w jednej z jego kieszeni. Nawet nie próbował ukrywać działań swoich ludzi, kiedy wydawał poszczególnym grupom rozkaz powrotu pod ziemię i zbadania, co się tam kryje.

- Jakie zwierzę mogłoby wykopać tunel takich rozmiarów? - zapytałem. Nie widzieliśmy tu zbyt wielu zwierząt - głównie były to małe leśne stworzenia, które uciekały przed nami, zanim zdążyliśmy się im przyjrzeć - a ptery nie ryłyby pod ziemią. Poza tym łuska w niczym nie przypominała ich nierównej, gładkiej skóry.

Przez myśl przemknął mi obraz tamtych dziwnych śladów, które po lądowaniu znaleźliśmy w pobliżu kapsuły. Czekają nas jeszcze tyle odkryć na tej planecie.

Pułkownik Martin obserwował mężczyzn zsuwających się pod powierzchnię ziemi.

- Ten tunel znajduje się bardzo blisko kolonii - ciągnąłem. - Być może w ruinach wcale nie jest bezpiecznie. Może powinniśmy się przenieść.

Zacisnął usta.

- To sprawa natury wojskowej, Starszy. Ustalimy, czy istnieje jakieś zagrożenie.

- Czyżby? I to wszystko, co mi pan powie?

Przesunął po mnie spojrzeniem, ale nie utrzymał kontaktu wzrokowego.

- Chcę, żebyś skupił się na swoich ludziach. A ja skupię się na ziemi.

To nie była odpowiedź na moje pytanie i obydwaj doskonale zdawali sobie z tego sprawę.

Ponieważ teren pod budowę latryn został zamknięty, mogłem jedynie dołączyć do grupy kładącej rury z wodą. Zdążyli już zamontować w kolonii prostą pompę i teraz musieliśmy jedynie pociągnąć od niej wodociąg aż do jeziora, naszego źródła wody pitnej. Ta praca była o wiele łatwiejsza, a związana z nią monotonia miała w sobie coś oczyszczającego. Całe moje ciało skupiało się na wleczeniu rur i ich podłączaniu, podczas gdy umysł pracował na najwyższych obrotach, próbując rozgryźć tajemnice Centauri-Ziemi. W tym tajemnicę dziwnego milczenia pułkownika Martina.

Zanim się obejrzałem, skończyły nam się rury.

- Pójdziemy nad jezioro i pomożemy kłaść rury od tamtej strony - powiedziałem do

ziemskiego inżyniera, który kierował pracami.

Ten zmarszczył czoło.

- Pułkownik Martin mówił, że nikomu nie wolno się tam zapuszczać.

Uniosłem jedną brew.

- Przecież są tam żołnierze.

- Chodziło mu o...

Chodziło mu o moich ludzi. Tak samo jak nie wolno nam było się zapuszczać do tunelu.

- Jeśli weźmiemy się do tego razem, skończymy przed kolacją.

Podszedł do nas żołnierz z naszywką COLLINS na koszuli.

- Nikomu nie wolno zbliżać się do jeziora - rzucił szorstko.

- Dlaczego?

- To niebezpieczne - odparł Collins. Stał w takim miejscu, że blokował ścieżkę.

- Przecież będziesz tam z nami.

- To niebezpieczne.

Uniosłem dłonie w niemej prośbie, żeby przestał to powtarzać.

- Rozumiem. Ale ty masz sporą splotwę, a kiedy już dotrzemy nad jezioro, będzie tam razem z nami co najmniej tuzin żołnierzy z podobnym sprzętem. Będziemy mieli równie silną ochronę jak kapsuła.

Collins znowu pokręcił głową. Dostrzegłem zdecydowanie w sposobie, w jaki układały się jego usta, a dłonie zaciskały na broni. Zamierzał spierać się ze mną do upadłego.

- To zabronione - powiedział.

- Zabronione? - powtórzyłem, mrużąc oczy.

- Tak. - Collins wyglądał na nieco zdenerwowanego. Dobrze.

Zniżyłem głos.

- Wiesz, kim jestem?

- Tak, sir. I jeśli ma pan jakiś problem, sugeruję, by udał się pan z tym do pułkownika Martina.

- Tak właśnie zrobię - warknąłem, po czym odwróciłem się do moich ludzi i zawołałem: - Wczesna kolacja!

Ucieszyli się i ruszyli w drogę powrotną do ruin. Ale ja wciąż stałem na skraju łąki, który był teraz niewypowiedzianą granicą, a po głowie tłukła mi się jedna jedyna myśl.

Co takiego pułkownik Martin usiłował ukryć?

AMY

Wciąż przeglądałam Małego Księcia, kiedy do budynku, w którym się schowałam, wpadła moja mama. Szybko zatrzasnęłam książkę, ale nawet nie zwróciła na to uwagi.

- Już czas! - oznajmiła z tym samym podekscytowaniem co dzieciaki w ziemskiej telewizji, oświadczając, że nadeszło Boże Narodzenie.

- Na co? - zapytałam.

- Na naukę! - odparła, wyśmienicie naśladując telewizyjnych prezenterów. Zaśmiałam się wbrew sobie, po czym wsunęłam Małego Księcia pod zabrany z kapsuły śpiwór. Może Starszy miał rację - nie mogę bez końca poszukiwać wskazówki, która wcale nie musi tam być. A przynajmniej nie przez te pierwsze, kluczowe dni istnienia naszej kolonii.

Mama zaprowadziła mnie prosto do kapsuły, żebym pomogła jej przy badaniach. Dla bezpieczeństwa towarzyszył nam Chris. Teraz między kapsułą a ruinami kręciło się jednak tylu ludzi, że nie mogłam się oprzeć myśli, czy w innym miejscu nie wykorzystywałyby lepiej swoich talentów. Na niebie nie było widać żadnych pterów. Co prawda od czasu do czasu mignęły nam mniejsze stworzenia - smugi brązowego futra albo ciemnych piór pośród gałęzi drzew - wystarczył jednak hałas, jaki robili robotnicy, i sama nasza liczebność, żeby się ulotniły.

Poza tym w kaburze przymocowanej do paska wokół talii wciąż miałam trzydziestkę ósemkę, którą dał mi tato.

Mama przez cały czas trajkotała o „mrowiu okazów do zbadania w tym nowym świecie”. Im więcej mówiła o tym, jak bardzo chciałaby przeprowadzić sekcję ptera, tym bardziej żałowałam, że nie rozmawiam ze Starszym o wskazówce Orion.

Pomieszczenie kriogeniczne zostało już przekształcone w laboratorium naukowe. Na stołach z komór, w których niegdyś leżały zamrożone ciała, teraz stał sprzęt badawczy. Z podłogi i ścian zdjęto kilka paneli, a w ich miejscu widniały składziki z mikroskopami, palnikami i innymi instrumentami. Część biologów szykowała się na wyprawę do lasu, żeby sporządzić odlewy tropów tutejszych zwierząt. Zastanawiałam się, czy natkną się na więcej tych dziwnych, trójpalczastych śladów, które Starszy znalazł pierwszego dnia. Czułam się rozdarta między ciekawością, co to za stworzenie je pozostawiło, a strachem, że cokolwiek to było, krążyło bardzo blisko kapsuły, w której teraz przebywamy.

Otworzyłam mamie i Chrisowi drzwi laboratorium genetycznego. Komora kriogeniczna Orion stała pusta i osuszona. Wyglądała złowieszczo, jak gdyby czekała na

kolejną ofiarę. Odwróciłam się do niej plecami. W laboratorium było już kilku naukowców - Kit albo Starszy musieli ich tu wpuścić, a może Starszy po prostu usunął zabezpieczenia ze skanera biometrycznego. Dwoje z nich - doktor Engle i doktor Adams, którzy od lat pracowali z mamą - stało przed wielkimi cylindrami wyrastającymi z podłogi w pobliżu zepsutej maszyny z fidusem.

W każdym z cylindrów znajdowały się embriony zwierząt, które GZF uznała za najbardziej przydatne w nowym świecie. Żywy inwentarz, taki jak krowy (normalne, a nie te dziwaczne hybrydy z „Błogosławionego”), kozy i świnie. Drapieżniki, w tym dzikie koty i ptaki drapieżne, a także mniejsze, podobne do jajek woreczki. Podejrzywałam, że to jakieś węże, owady albo coś podobnego.

Doktor Adams za pomocą specjalnej łyżki wyciągnął jeden embrion. Doktor Engle wzięła od niego tę małą fasolkę, która pewnego dnia stanie się koniem, i umieściła w przeznaczonej do tego tubie.

- Co to takiego? - zapytałam, wskazując rząd dwudziestu tub wstawionych do inkubatora.

- Psy - odparł doktor Adams. - Duże rasy. Zamierzamy wyselekcjonować zwierzęta przydatne do pracy albo w najgorszym razie do wykorzystania jako pożywienie.

Nie miałam ochoty myśleć o jedzeniu psa albo konia, ale żaden z podobnych do fasoli embrionów w niczym nie przypominał jakiegokolwiek zwierzęcia. Mój wzrok przesunął się na inną tubę, tę z żółtawą mazią. Z dziesiątkami maleńkich klonów Starszego.

- Amy? - mama wyrwała mnie z zadumy. Rozmawiała z doktor Engle. - Możesz nam pomóc?

Przeszłam przez pomieszczenie do ostatniego rzędu cylindrów. Chris cicho podążył za mną. Chyba nigdy wcześniej nie był w laboratorium genetycznym - rozglądał się szeroko rozwartymi oczami, chłonąc każdy szczegół.

- Amy, przyjaźnisz się z tym przywódcą ze statku. Masz może pojęcie, co to takiego? - zapytała mama. Przez chwilę sądziłam, że mówi o cylindrze z klonami Starszego, ale doktor Engle wskazała na pompę z fidusem.

- Tak - odparłam ponuro. - Wiem doskonale, co to takiego.

- Wygląda jak pompa wodna - stwierdziła doktor Engle. - Ale w środku znaleźliśmy ślady niezidentyfikowanej substancji chemicznej...

Fidus.

- To nic takiego - odparłam.

Tyle że to byli naukowcy. Usłyszą, że mają zostawić coś w spokoju, a już dźgają to

patykiem.

- Bo to była pompa wodna - ciągnęłam. - Jeden z wcześniejszych przywódców wykorzystywał ją do dystrybucji farmaceutyków wśród populacji statku. Starszy zepsuł pompę i zakończył dystrybucję. Świństwo jest dość toksyczne, lepiej zostawić to w spokoju.

Doktor Engle wyglądała na jeszcze bardziej zaintrygowaną.

- Jakiego rodzaju farmaceutyków? - zapytała. - Sami je wynaleźli? Jaką chorobę leczą? A może miały zastosowanie rekreacyjne?

Przerwała jej mama.

- Nie mamy na to czasu, Maddie - oświadczyła stanowczo. Koniec końców, stała na czele naukowców. - Każde z nas musi się skupić na swojej pracy.

Doktor Engle niechętnie skinęła głową i poszła pomóc doktorowi Adamsowi. Mama wręczyła mi duży płócienny worek ze specjalnymi przegródkami na słoje z próbkami. Kiedy wychodziłyśmy z laboratorium, zauważyłam, że nie ma z nami Chrisa. Odwróciłam się i ujrzałam, że wciąż stoi przed pompą z fidusem, marszcząc czoło, jakby ta maszyna była zagadką, której jeszcze nie rozgryzł.

- Chodź! - zawołałam i wyszedł za mną na zewnątrz. Uśmiechnął się, widząc moje podekscytowanie, a ja nie mogłam nie spostrzec, jak przy uśmiechu marszczy mu się nos, a dziwnie niebieskie oczy lśnią.

- Co jest? - zapytał. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że się w niego wpatruję.

- Nic - odparłam, oblewając się rumieńcem.

Mama stała na mostku. Osłaniała oczy przed słońcami, a na jej wargach igrał uśmiezek, kiedy się nam przyglądała.

- Chcę zebrać jak najwięcej próbek - powiedziała. - To fascynujące, że tak wiele roślin wydaje się przypominać rośliny z Ziemi. Chciałabym przeprowadzić sekwencjonowanie DNA i określić, jak wiele je łączy. No i, rzecz jasna, jeśli nadarzy się okazja, żeby pochwycić żywcem jakieś zwierzę, koniecznie musi my ją wykorzystać. - Oczy jej lśniły. Nigdy nie widziałam, żeby była taka podekscytowana. - Zastawiliśmy w okolicy sidła, poza tym, jak wiecie, część pozostałych naukowców szuka tropów, ale byłoby wspaniale, gdyby udało nam się podejrzeć jakieś stworzenie w jego naturalnym środowisku!

Chris i ja poszliśmy za mamą w dół rampy i dalej, do lasu. Ruszyła w przeciwną stronę niż ścieżka wiodąca do ruin. Zapewne liczyła na to, że w rzadziej uczęszczanej przez ludzi okolicy prędzej natknie się na przedstawicieli tutejszej fauny. Chris trzymał karabin z lunetą celowniczą o dużym zasięgu. Zauważyłam, że oprócz niego ma przy sobie nie tylko dwie sztuki broni krótkiej (jedną przy pasku, drugą w kaburze na ramieniu), ale też granaty,

noże i maczetę - tyle dojrzałam.

- Amy! - zawołała mama. Przemknęłam się między drzewami, żeby do niej dotrzeć. Zrywała właśnie fioletowy mech, więc podsu-nęłam jej jeden z mniejszych słoików z torby, którą nosiłam. - Mamę już kilka próbek, bo doktor Card zamierza sprawdzić, czy uda mu się replikować neurotoksynę, ale ja chcę pobrać komórki do bardziej wnikliwych badań.

- Ależ to ekscytujące - odparłam ze śmiertelną powagą.

Mama podała mi słoik.

- Kto wie, co takiego zdradzi nam DNA tego maleństwa!

Zerknęłam na roślinę. Wiedziałam, że rozwija się w kwiat wielkości mojej dłoni, ale teraz wyglądał jak zwykły fioletowy sznurek.

Mama wróciła do pracy. Zdrapywała mchy i porosty, po czym chowała próbki do słoików.

- Taki mały obszar, a jaka różnorodność form życia! - zawołała.

Próbowałam spojrzeć na świat oczami mamy, jakby każdy drobiazg krył w sobie nowe odkrycie, lecz nagle stanęłam jak wryta.

Zza linii drzew dobiegał przerażający, mokry odgłos ssania.

W okamgnieniu Chris znalazł się przede mną, jednym płynnym ruchem dobywając broni. Mama zastygła. Spojrzała na mnie, a potem na karabin Chrisa.

Trzask. A potem drapanie, jakby czymś twardym pośród suchych liści.

Serce waliło mi tak mocno, że aż czułam, jak tłucze się o żebra. Coś tam było. Coś wielkiego.

Miałam ochotę uciec, ale Chris, z karabinem w gotowości, zaczął się cicho podkradać. Tak cicho, jak tylko potrafiłam, odłożyłam torbę na ziemię i spoconą dłonią wyjęłam trzydziestkę ósemkę. Dałam sobie chwilę, żeby poczuć broń, ciężki metal we wnętrzu dłoni, drzemiącą w nim moc, a potem chwyciłam ją prawidłowo, oburącz, z palcem w pobliżu spustu.

W pierwszej chwili mama pokręciła głową, ale zaraz przestała, bo uświadomiła sobie, że lepiej dla nas, jeśli i Chris, i ja będziemy uzbrojeni. Ruszyła za mną, zagłębiając się w las. Chris zerknął za siebie, wzrokiem dając mi znać: przed nami.

Po zacienionym lesie poniosło się siorbanie, a potem odgłos darcia.

Byliśmy blisko.

Szelest. Bez wątpienia zwierzę.

Stanęłam na gałęzi, która trzasnęła głośno, i wokół nas zapadła nienaturalna cisza. Zwierzę, czymkolwiek było, usłyszało, że się zbliżamy.

Chris odsunął gałąź.

I wtedy zobaczyliśmy.

Doktor Gupta - czy raczej to, co z niego zostało - leżał wśród poszycia. Pter, znacznie mniejszy niż ten, który zaatakował Starszego, przechylił głowę, spoglądając na nas jak na jakieś kuriozum.

Zgiął długą szyję, po czym ostrymi zębiskami oderwał spory kawał ciała doktora Gupty. Cały dziób miał we krwi.

Doktor Gupta mrugnął.

Doktor Gupta mrugnął.

Zył - żył i czuł - i czuł - jak pter pożera go żywcem.

Żył.

Pter znów pochylił głowę nad swoim posiłkiem. Przeróżające chrupnięcie poniosło się echem po lesie, kiedy dziób zmiażdżył kość udową doktora Gupty. Pter potrząsnął głową niczym pies zmagający się z kością, aż wreszcie noga się oderwała.

Cichy jęk, niemal zagłuszony chrzęstem kruszonych kości, wymknął się ze spękanych ust doktora Gupty.

Chris i ja wystrzeliliśmy jednocześnie.

Moja pierwsza kula trafiła ptera w skrzydło, wyrrywając z niego kawał cienkiej błony. Pter upuścił nogę doktora Gupty i zwrócił się do nas. Otworzył dziób, z którego spłynęła mu piana i krew. I wrzasnął.

Strzeliłam drugi raz.

Klatka piersiowa ptera eksplodowała. Stworzenie padło na ziemię. Skórzaste skrzydła zwisły bezwładnie. Pter był martwy - wiedziałam, że był - ale i tak strzeliłam raz jeszcze, prosto w czaszkę.

Dysząc ciężko, opuściłam broń. Zapach prochu mieszał się z metalicznym posmakiem krwi. Popatrzyłam na Chrisa. Wpatrywał się w doktora Guptę.

Wtedy zdałam sobie sprawę, że kiedy pociągnął za spust, wcale nie mierzył w ptera.

Strużka krwi spływała z małego otworu w czaszce doktora Gupty.

26

STARSZY

Nie mogłem przekraść się obok żołnierzy, żeby na własne oczy zobaczyć jezioro, a przynajmniej nie w świetle dnia. Zresztą nawet gdybym chciał zbadać tunel, i tak nie zdołałbym tego zrobić. Pułkownik Martin nakazał zamontować nad zapadliskiem ciężkie

metalowe panele, a jego ludzie wzniesli już na nich latryny. Pułkownik działał szybko, żeby zamaskować nasze odkrycie - tak samo jak próbował ukryć przed nami jezioro.

Ale ja chyba wiedziałem, jak obnażyć kilka jego tajemnic.

W pierwszym odruchu chciałem iść do Amy - jeszcze nawet nie zdążyłem jej powiedzieć o krystalicznej łusce, którą znalazłem - próbowałem jednak rozgryźć, co takiego ukrywa pułkownik Martin. Z pewnością nabrałby podejrzeń, gdybym odciągnął jego córkę od matki.

Idąc utwardzoną ścieżką przez serce kolonii, minąłem Kit.

- Pamiętaj - uważaj też na siebie - rzuciłem do niej. Obsesyjnie, raz za razem, sprawdzała odręczną listę pasażerów, którą sporządziliśmy po zniknięciu Lorin.

- Mogłabym powiedzieć to samo. Jak się czujesz po tamtym upadku? Widziałam, że pracowałeś potem przy rurach. Wcale nie musiałeś.

- Owszem, musiałem - odparłem. Nie mogłem wymagać od moich ludzi, aby wykonywali pracę, której sam się nie podjąłem.

Kit poprawiła biały fartuch laboratoryjny, który dostała od ziemskich naukowców. Zauważyłem, że kieszenie ma pełne medplastów, głównie jasnozielonych.

- Musimy odzwyczaić ich od fidusa - powiedziałem ponuro. Kit co prawda skinęła głową, lecz zaraz dodała łagodnie:

- Ale jeszcze nie teraz.

Zostawiłem Kit z jej obowiązkami, choć dręczyło mnie poczucie winy, że nie pomagam bardziej. Odkrycie, co takiego ukrywa przede mną pułkownik Martin, było jednak ważniejsze - nie mogłem pozwolić, żeby kłamstwa i oszustwa stały się normą w naszej kolonii tak samo, jak to się działo na „Błogosławionym”.

Minąłem drugi poziom domów wbudowanych w zbocze góry. Cieszyłem się, że moi ludzie rozprzestrzenili się trochę bardziej, odważyli odsunąć od siebie. Lecz na trzecim poziomie nie było nikogo z wyjątkiem mnie. Przystanąłem, spoglądając na puste budynki i zastanawiając się, co takiego sprawiło, że opuścili je pierwotni mieszkańcy. Wymarli, wybiły ich ptery czy po prostu się przenieśli? I jak to możliwe, że budynki są w sam raz dla nas? Na tym właśnie polegała prawdziwa, uporczywa tajemnica, nad którą tak naprawdę nikt nie chciał się pochylić.

Nie zdając sobie z tego sprawy, dotarłem na skraj ruin. Ostatnie budynki, te najbliższe szczytu góry, obróciły się w gruzy. Zupełnie jakby rozsadziła je jakaś siła. Ta myśl wcale nie przyniosła mi pocieszenia.

Zastanawiałem się, co Amy wyciągnęłaby z tego odkrycia. Pewnie próbowałaby

znaleźć powiązanie z Małym Księciem.

Zacząłem wspinać się na gruzowisko. Słońca lada chwila miały zająć - niebo stopniowo ciemniało, powietrze stawało się coraz chłodniejsze. Jeżeli chciałem znaleźć to, czego szukałem, musiałem zrobić to jeszcze w świetle dnia.

Znalazłem szlak prowadzący w górę wzniesienia. A może oszukiwałem sam siebie, że to szlak - była to co najwyżej ścieżka wydeptana przez zwierzęta. Musiałem się trzymać kredowych, żółtawych skał i postrzępionych gałęzi drzew, gdy tak wspinałem się coraz wyżej i wyżej, zmagając się ze zboczem niewielkiej góry.

Aż wreszcie dotarłem na szczyt kamienistego płaskowyżu.

Teraz przypominał mi górę bardziej niż wcześniej: dyszałem, nie mogąc złapać tchu, a w mięśniach nóg czułem ból. Nie miałem pojęcia, jakim cudem Amy może czerpać radość z biegania.

Rozejrzałem się. Nigdy jeszcze nie stałem w wyższym punkcie planety. Na krótką chwilę zdjęło mnie przerażenie. Znajdowałem się tak blisko nieba, tak całkowicie odsłonięty na kamienistej skarpie, że pter mógłby bez trudu zanurkować i mnie porwać. Ale wtedy mój wzrok powędrował do horyzontu, który się przede mną rozciągał, i zapomniałem o strachu. Teraz widziałem wszystko lepiej niż kiedykolwiek.

I właśnie po to tutaj przyszedłem.

Powietrze zrobiło się chłodniejsze, kiedy coś przeleciało nade mną, rzucając cień. Ścisnęło mnie w żołądku. Ośmieliłem się spojrzeć w górę, ale zobaczyłem tylko chmury. Żadnych pterów.

Po mojej lewej stronie znajdowała się kolonia, a za nią, pośród ciemniejącego lasu, niczym wskazujący palec sterczała kapsuła. Widziałem bliźnię po naszym lądowaniu, wypalony obszar, który zdawał się migotać i niemal żarzyć w świetle zachodzących słońc. Podążyłem wzrokiem na prawo wzdłuż krawędzi lasu, wypatrując tego, co się tam rozciągało.

Jezioro.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego pułkownik Martin je ukrywa. Wyglądało zupełnie tak samo jak inne jeziora, które widziałem na zdjęciach z Sol-Ziemi. Idealnie okrągłe, o średnicy około mili. Jeden brzeg przylegał do pasma gór, drugi był jasnożółty, tak jak piaszczysta gleba, tworząca powierzchnię tej planety. Płytką wodą wzdłuż linii brzegowej miała bladoniebieską barwę, lecz im bliżej środka jeziora, tym stawała się głębsza i ciemniejsza, a w centrum tafli była już niemalże czarna. Przypominało oko, które wpatrywało się we mnie. Zastanawiałem się, jaką głębokość osiągały jego wody. Blask słońc migotał na powierzchni, przez co jezioro wyglądało, jakby mrugało do mnie porozumiewawczo.

Na wodzie dostrzegłem garstkę jasnoróżowych plam. Jakieś ryby, ale inne niż szybkie przebłyśki barw karpki koi ze stawu na „Błogosławionym”. Z mojego punktu widzenia wydawały się małe, lecz w rzeczywistości miały pewnie co najmniej pół metra, a za nimi ciągnęły się jeszcze dłuższe wąsy - czy też może macki? Unosiły się i opadały, unosiły i opadały pod powierzchnią wody, potem jednak cała ławica skręciła nagle w prawo, gwałtowniej, niż wydawało mi się to możliwe.

Wyteżyłem wzrok, przesuając się bliżej krawędzi urwistego szczytu. Jakie zagrożenie kryło się w tym jeziorze, że pułkownik Martin uznał za konieczne zachować je przed nami w tajemnicy?

Daleko, daleko za jeziorem rozciągał się kolejny las ciemniejszych, wyższych drzew. A za nim - góry. W porównaniu z tymi wyszczerbionymi kolosami ta, na której stałem, była zaledwie niewielkim wzgórzem. Wznosiły się na horyzoncie i dalej już nie sięgałem wzrokiem.

Ten świat był ogromny. I prawdziwy. A ja stanowiłem jego część.

Coś zamigotało - coś pomiędzy jeziorem a lasem. Nie potrafiłem wyłować szczegółów - to coś znajdowało się zbyt daleko ode mnie, poza tym przesłaniało je drzewa - ale promienie zachodzących słońc odbijały się od tego w sam raz pod takim kątem, żebym to dostrzegł, stojąc tam, gdzie stałem.

I wtedy do mnie dotarło. To nie jezioro ukrywał przede mną - i całą resztą - pułkownik Martin. Tylko to coś za jeziorem. Coś, co znalazł pierwszego dnia na tej planecie, ale bardzo starannie unikał jakichkolwiek wzmianek na ten temat.

Sonda.

27

AMY

Trzymając w dłoni wciąż ciepłą broń, wpatrywałam się w Chrisa z rozdziawionymi ustami.

- Musiałem - powiedział, a jego dziwne oczy błagały o zrozumienie.

I zrozumiałam. Może nie solidaryzowałabym się z nim, gdyby nie te trzy miesiące, które przeżyłam na pokładzie „Błogosławionego”. Wiedziałam jednak, że doktor Gupta przeżył najgorszy z możliwych koszmarów i za nic nie doszedłby do siebie po tak potwornym okaleczeniu. Chris postąpił miłosiernie i słusznie... Nigdy nie widziałam, by ktoś wykazał się podobną odwagą.

Wsunęłam broń do kabury i postąpiłam krok naprzód. Mięśnie ramion Chrisa były

napięte jak postronki, ale dłonie mu drżały, kiedy wyjmowałam z nich karabin.

- Dziękuję - rzekłam w nadziei, że usłyszysz szczerą w moim głosie.

Chyba po raz pierwszy, odkąd wystrzeliliśmy, jego wzrok skupił się na czymś innym niż okaleczone ciało doktora Gupty. Chwycił mnie w potężne ramiona i ścisnął tak, że zabrakło mi tchu, trzymał kurczowo, jakbym była jego sędzią i zbawcą w jednej osobie.

Chris niechętnie wypuścił mnie z objęć, bo podeszła do nas mama. Przybrała spokojną, wyważoną minę naukowca, maskującą panikę w jej oczach. Taka zawsze była: jeśli nie potrafiła poradzić sobie z czymś, co ją spotkało, ukrywała się za maską obojętnego badacza. Zawróciła do kapsuły, po czym posłała żołnierzy i robotników do miejsca, do którego dotarliśmy, nakazując, aby wnieśli obydwa ciała do laboratorium genetycznego. Dopiero potem sama weszła do środka. Spokojnym, opanowanym tonem przekazała pozostałym naukowcom wieść o śmierci doktora Gupty, a następnie zaczęła porządkować miejsce w laboratorium, przygotowując się do autopsji doktora Gupty i sekcji ptera.

Przez cały czas starannie unikała mojego spojrzenia.

Wewnątrz laboratorium genetycznego pozwoliła sobie na jeden głęboki, roztrzęsiony wydech.

Za drzwiami dobiegały nas odgłosy, z jakimi przyniesiono ciała do kapsuły. Okrzyki przerażenia, jakie wzbudził pter - a ten był mały, pomyślałam - i jęki smutku na widok okaleczonych zwłok doktora Gupty. Mało kto oglądał ciało Lorin albo szczątki Juliany Robertson.

Mama spojrzała na mnie. W jej oczach ujrzałam mamę z całym przerażeniem, jakie w sobie dusiła.

Zrozumiałam. Potrzebowała maski naukowca, potrzebowała skafandra doktor Marii Martin, aby odseparować się od koszmaru, który widziała na własne oczy.

Wszyscy musieliśmy znaleźć sposób, żeby się od tego odciąć.

Odwróciłam się do Chrisa. Poczucie winy spowijało go niczym całun. Nie ukrywał tego. Może nie potrafił. Moje serce przepełniała duma, gdy patrzyłam, jak prostuje plecy, idąc przed siebie ciężkim krokiem.

Mama wstała i podeszła do drzwi laboratorium genetycznego, skąd patrzyła, jak ciało doktora Gupty niesiono przez pomieszczenie kriogeniczne.

- Na początek przeprowadzimy badania toksykologiczne. Doktor Gupta żył, ale nie reagował, kiedy pter go... kiedy pter go pożerał. - Jej głos załamał się przy tym słowie. - Musimy się dowiedzieć dlaczego.

- Może przez jeden z tych fioletowych kwiatów, które mnie powaliły? - podsunęłam.

Pokręciła głową.

- Kwiaty nie były rozwinięte. Dopóki nie rozkwitną, nie wydzielają neurotoksyny. Poza tym doktor Gupta był świadomy i mógł się do pewnego stopnia poruszać. Kiedy ty straciłaś przytomność, Amy, wyglądałaś jak pogrążona w śpiączce.

W końcu pomocnicy położyli doktora Gupta na jednym z metalowych stolików, być może na tym samym, na którym umierał Orion. Pter był za duży, żeby się zmieścić na pojedynczym blacie - musieliśmy w tym celu połączyć aż cztery, a nawet wtedy jego skrzydła i nogi zwisały z krawędzi.

- Musimy złożyć raport pułkownikowi Martinowi - rzekł jeden z żołnierzy. - Powinien o tym wiedzieć.

Mama w milczeniu skinęła głową i żołnierz połączył się z tatą przez radio.

- Natychmiast rozpocznę autopsję - powiedziała mama.

Mężczyzna spojrzał na nią ze zdumieniem.

- To chyba oczywiste, co go zabiło?

Mama uśmiechnęła się zaciśniętymi ustami.

- Niemniej jednak przeprowadzę autopsję. Proszę wyjść.

W odpowiedzi na tę odprawę mężczyzna uniósł brwi jeszcze wyżej, odwrócił się jednak w stronę wyjścia. Chris chciał iść za nim.

- Ty możesz zostać - powiedziała. Spojrzała na mnie pytająco. Skinęłam głową. Ja też chciałam zostać. Widzieliśmy to razem - i nikt poza naszą trójką nie powinien brać udziału w tej autopsji.

Drzwi laboratorium genetycznego zasunęły się z powrotem i zostaliśmy sami z dwoma ciałami - szczątkami człowieka i cuchnącym trupem potwora, który go pożarł.

Mama znowu westchnęła, ale tym razem spokojnie.

- Podaj mi tamtą tacę - kiwnęła głową w stronę tacy leżącej na stoliku pod ścianą. Przyniosłam ją.

Trudno było patrzeć na to, co zostało z doktora Gupty, chociaż nie aż tak, jak wtedy, kiedy jeszcze żył. Próbowałam wyrzucić z pamięci wspomnienie pustki w jego oczach. Jego twarz była taka... obojętna. Pozbawiona wyrazu. Nie było po nim widać cierpienia, co sprawiało, że sama myśl o tym, co musiał czuć, nie mogąc w żaden sposób tego okazać, budziła jeszcze większe przerażenie.

Mama wzięła igłoprobówkę i ostrożnie umieściła ją nad sercem doktora Gupty. Z początku próbowałam obserwować, jak pobiera z ciała kolejne próbki, szybko jednak zrezygnowałam i skryłam twarz w ramieniu Chrisa, podczas gdy ona pracowała dalej.

- Przeprowadzę próbę immunologiczną - wyjaśniła, zostawiając ciało i przechodząc przez laboratorium z tacą pełną próbek.

- Nie powie nam wiele. Możemy jedynie przeprowadzić próbę na obecność farmaceutyków i substancji chemicznych pochodzących z Ziemi, a ja nie znam żadnej substancji, która... wpłynęłaby na człowieka tak, jak to zaobserwowaliśmy u doktora Gupty.

Chciała przez to powiedzieć, że nie zna żadnej substancji, która sprawia, że pożerany żywcem człowiek leży bez ruchu.

- W takim razie po co zawracać sobie tym głowę? - zapytał Chris. Stał tuż za mną i musiałam przyznać, że sama świadomość jego obecności dodawała mi otuchy.

Mama wyglądała na zaskoczoną tym pytaniem.

- Bo musimy spróbować.

Odwróciła się do torby z próbkami, które zdążyła zebrać, zanim znaleźliśmy doktora Guptę. Nie miałam pojęcia, kto ją tu przyniósł, ale wszystko było na swoim miejscu.

- Na szczęście zabraliśmy aparaturę analityczną - ciągnęła mama, jak gdyby zwracała się do uczniów na zajęciach z chemii.

- Więc teraz potrzebuję tylko próbki - wyciągnęła ze słoja jeden z fioletowych kwiatów - i mogę uzyskać z niej analit, który wykorzystam przy badaniu krwi doktora Gupty.

Chris zmarszczył brwi.

- Przecież nie wierzy pani, że to ten kwiat odurzył doktora Guptę. Tak pani mówiła.

Mama nie przerwała przygotowań.

- Nie wierzę w nic, czego nie mogę dowieść.

Po kilku minutach aparatura zabręczczała. Odsunęłam się, żeby mama mogła odczytać wyniki na ekranie.

- Nie... - powiedziała, marszcząc czoło.

- Co takiego? - zapytałam, a Chris podszedł bliżej.

- To nie ma sensu.

- Ale co?

Mama wcisnęła guzik i z aparatury wysunęła się mała zadrukowana karteczka. Odczytała go ponownie, a na jej twarzy malowało się niedowierzanie.

- Doktorowi Gupcie wstrzyknięto genmod - wymamrotała. - Tuż przed śmiercią, na tyle niedawno, że wciąż jest obecny w jego krwi.

- Genmod? - powtórzył Chris pytającym tonem.

- Materiał zmodyfikowany genetycznie - wyjaśniła mama. - Opracowany na Ziemi.

STARSZY

Zaczekałem do zmierzchu.

- Starszy? - odezwała się Amy. Poprawiłem plecak na ramieniu - wypełniony sprzętem, który zebrałem na ten wieczór - i wspiałem się na palce, żeby zajrzeć przez okno.

Zrobiła sobie coś na kształt kokonu z rozpiętych namiotów, wznosząc ściany wewnątrz budynku. Zastanawiałem się, skąd je wzięła - prawdopodobnie pochodziły z zasobów, którymi Ziemianie nie chcieli się dzielić.

- Mówiłaś coś, Amy? - zza namiotowych ścian dobiegł głos. Matka Amy.

Amy spojrzała na mnie zaskoczona, po czym zawołała:

- Nic, mam!

Zrzuciła śpiwór z nóg i podbiegła do okna.

- Co ty tu robisz? - szepnęła. - Jest godzina policyjna.

Wiedziałem - patrol, który krążył po kolonii z rozkazu pułkownika Martina, nie ułatwiał mi życia, kiedy się tu przekradałem.

Amy odłożyła książkę, którą czytała - Małego Księcia.

- Idę szukać sondy - wyjaśniłem szeptem. - Twój ojciec coś ukrywa, a ja zamierzam odkryć co.

Chwyciła mnie za nadgarstek.

- Nie idź - poprosiła z niepokojem w głosie. Przestraszyłem się, czy matka znowu jej nie usłyszy.

- Muszę.

- To niebezpieczne. - W jej oczach dostrzegłem udrękę, która przypomniła mi o pogłoskach zasłyszanych w kolonii - że w lesie znaleziono kolejne ciało, jednego z Ziemian.

- Muszę - powtórzyłem. - Twój ojciec chyba mi nie ufa, nie mówi mi całej prawdy.

- Tato by nigdy...

Nie dałem jej dokończyć.

- Pokazał ci tę krystaliczną łuskę, którą znalazłem?

Amy zmarszczyła czoło.

- Łuskę?

Opisałem jej łuskę i opowiedziałem o tunelu. Po jej szeroko rozwartych oczach poznałem, że pułkownik Martin ukrył przed nią nasze znalezisko - ukrył je przed wszystkimi.

- Nie możemy błędzić po omacku - podsumowałem. - Musimy wiedzieć, co się dzieje.

Amy przygryzła wargę, a potem przytaknęła.

- Idę z tobą.

- Liczyłem, że to powiesz - odparłem z uśmiechem. Amy odsunęła się od okna, zgarnęła z podłogi broń w kaburze i przypięła ją do paska, a dopiero potem naciągnęła na bezrękawnik dodatkową koszulkę. Podźwignęła się oburącz na parapecie, przerzuciła nogi na drugą stronę i bezszelestnie opadła obok mnie.

- Jaki mamy plan? - szepnęła, kiedy wyprowadzałem ją z ruin.

- Idziemy wzdłuż wodociągu do jeziora, a potem do lasu. Myślę, że sonda jest gdzieś tam - a przynajmniej jest tam coś, co pułkownik Martin chce przed nami ukryć.

Amy zmarszczyła brwi, kiedy wymykaliśmy się z kolonii.

- Wiesz, tato być może ma w pełni uzasadniony powód, dla którego zakazuje dostępu do sondy. On nie jest Najstarszym. A to nie jest „Błogosławiony”.

Nic nie odpowiedziałem. Przemknęliśmy za nowymi latrynami, idąc wzdłuż wodociągu skrytego w cieniu góry.

Gdy już oddaliliśmy się od kolonii, Amy znowu się odezwała. Jej słowa przecięły ciemność.

- Widziałam dzisiaj, jak umarł człowiek.

Przystanąłem.

- Szkoda, że ciebie tam nie było. - Te dwa zdania razem zabrzmiały makabrycznie, wiedziałem jednak, co chciała przez to powiedzieć. Przez ostatnie trzy miesiące ściany „Błogosławionego” zmuszały nas, abyśmy trzymali się razem. Teraz zachodziłem w głowę, czy Amy nie była ze mną blisko jedynie z tego powodu.

- Przykro mi - odparłem. I nie chodziło mi wyłącznie o ten dzisiejszy dzień.

- Może tato trzyma nas z dala od sondy tylko dlatego, że to niebezpieczne - ciągnęła Amy w zamyśleniu. Jej palce musnęły rękojeść broni w poszukiwaniu otuchy. Nie szukała jej u mnie. Nie mogłem udawać, że tego nie widzę.

Milczeliśmy, aż dotarliśmy do jeziora, a nawet tam rozmawialiśmy przyciszonymi głosami.

- Popatrz, jesteśmy tu całkowicie odsłonięci - stwierdziła Amy.

- Naprawdę się zastanawiasz, dlaczego tato nie dopuszcza tu nikogo? - Wyciągnęła broń z kabury i trzymała w gotowości. Miała rację - nie było tu drzew. Każdy pter krążący ponad naszymi głowami mógł zaatakować w dowolnym momencie.

- To nie dlatego nie pozwala nikomu tu przychodzić.

Amy zerknęła w stronę nieba.

- Starszy... te ptery... one są straszne.

Z oczu Amy wycierały panika, mrok i przerażenie, których nigdy wcześniej tam nie widziałem. Jednak choć pobiełały jej knykie, broń ani drgnęła w pewnym uścisku.

- Miejmy to już z głowy - rzuciła Amy, mrużąc oczy, i zaczęła się wspinać.

Wpatrywałem się w mrok. Z trudem wyłowiłem z niego czarny, prostokątny kontur na tle nieba, niemal całkowicie skryty za wzgórzem. Nigdy bym go nie dostrzegł, gdybyśmy nie stali tuż przy pompie.

Zerknąłem na Amy. Jej twarz, bledsza niż zwykle, kontrastowała z ciemnością nocy.

Poruszaliśmy się powoli, ostrożnie spoglądając za siebie. Chcieliśmy mieć pewność, że nie oddaliśmy się na tyle, by zgubić drogę, zwłaszcza teraz, kiedy zbliżaliśmy się do skraju lasu i drzewa przesłaniały nam ścieżkę. Sam las ciągnął się łukiem. Próbowałem naszkicować w myślach mapę okolicy - kapsuła po lewej, jezioro po prawej, ruiny za moimi plecami. I coś tuż przede mną.

- Popatrz, tamten teren jest całkiem płaski - zauważyła Amy, pokazując palcem. Wciąż mówiła cicho, chociaż nikogo dotąd nie widzieliśmy.

Długie źdźbła jakiegoś zboża albo trawy marszczyły się na wietrze niczym tkanina. Ale w miejscu, które wskazywała Amy, nie było żadnych źdźbeł. Żadnych drzew. Nic a nic. Coś czarnego, bezgwiezdneho, stworzonego przez człowieka pośród oceanu natury, coś usianego budynkami o niskich dachach i prostych krawędziach, które ostro kontrastowały z rozkołysanymi trawami i poskręcanyimi drzewami.

- Chodź. - Amy pociągnęła mnie za rękę.

Puściliśmy się pędem przez łąkę. Przez cały czas myślałem o tym, co mówiła Amy. Ze jesteśmy odsłonięci. Moje mięśnie spięły się w oczekiwaniu na zarys ptera na tle zbyt jasnych gwiazd.

Zatrzymaliśmy się na granicy traw.

- Co to za miejsce? - zapytałem tak cicho, że sam ledwie siebie słyszałem.

Amy podeszła bliżej. Na asfalcie jej kroki brzmiały głośniejsz niż na piaszczystej glebie. Ruszyłem za nią, wpatrując się w skupisko małych budynków na tle nocnego horyzontu.

- To jakiś kompleks - wyszeptała. - Zbudowany w miejscu, gdzie powinna znajdować się sonda.

- Sonda na pewno tam jest - stwierdziłem. Właśnie w tym kierunku wyruszył pułkownik Martin pierwszego dnia. Kompas znaleziony w kapsule wskazywał mu drogę.

Potknąłem się o wąską nierówność na chodniku. Razem z Amy przykucnęliśmy, żeby przyjrzeć się lśniącaemu metalowi - dużemu prostokątowi osadzonemu w asfalcie. Pod

nawierzchnią coś było, jakiś panel albo pomieszczenie, które moglibyśmy otworzyć, gdybyśmy tylko wiedzieli jak.

- Spójrz na te linie wymalowane na ziemi - szepnęła mi do ucha Amy.

Jasne, białe linie odliczające odległości i kolejne znaczniki wpuszczone w asfalt.

- To pas startowy - oświadczyła. - A pod nim są samoloty. Odrzutowce. Coś.

Teraz, gdy to powiedziała, wszystko zaczęło mieć sens. Odrzutowce musiały się znajdować w prostokątnych pomieszczeniach pod ziemią. Dzięki temu ten, kto kontrolował kompleks, mógł podnieść je na powierzchnię, odpowiednio ustawić i wykorzystać asfalt jako pas startowy.

- Ale kto go zbudował? - głos Amy zabrzmiał jak pisk.

Nie znałem odpowiedzi na to pytanie. W niczym nie przypominało to budynków, które odkryliśmy wcześniej, porośniętych kurzem, dawno opuszczonych i zrujnowanych. Ten pas startowy pachniał trochę olejem i spaloną gumą. Był używany, i to niedawno.

Gestem dałem znać Amy, żeby poszła za mną do jednego z małych budynków - nie do kamiennej ruiny, lecz do nowoczesnego, piętrowego biurowca ze szkła i stali. Zawahała się. Ktokolwiek wznosił ten kompleks, dysponował technologią zaawansowaną o wiele bardziej, niż mogliśmy sądzić na podstawie tamtych ruin.

- Spójrz - pokazałem przez okno najbliższego budynku - system komunikacji.

W pomieszczeniu znajdował się panel sterowania, bardzo podobny do tego, z którego korzystaliśmy podczas lądowania kapsuły - i równie skomplikowany. Ale chyba potrafiłem go rozgryźć.

- Zamknięte - stwierdziła Amy, przekręciwszy gałkę. Wskazałem na mały kwadrat przy drzwiach, na wysokości oczu. Przypominał skanery biometryczne z „Błogosławionego”, miał tylko czytnik linii papilarnych kciuka.

- Nie zaszkodzi spróbować. - Amy przycisnęła kciuk do czytnika. Chwilę później błysnął na nim napis - CZŁOWIEK - i drzwi się otworzyły.

- Te drzwi są tu po to, żeby do środka dostali się tylko ludzie? - zapytałem, kiedy weszliśmy do środka.

Amy rzuciła mi zaniepokojone spojrzenie. Skoro skaner wykrywał jednostki ludzkie, w takim razie został zaprojektowany po to, by zatrzymał coś innego niż człowieka.

29

AMY

Kiedy znaleźliśmy się w środku, w pierwszym odruchu chciałam zapalić światło.

Moje palce dotknęły ściany w miejscu, w którym normalnie znajdowałby się włącznik, ale nic nie znalazły, tylko prześlizgnęły się po gładkiej powierzchni. No jasne. Co mi przyszło do głowy. Ktokolwiek zbudował ten kompleks, wcale nie musiał dysponować elektrycznością... Ale miał coś innego. Starszy zamknął za nami drzwi i w tej samej chwili w suficie rozsunął się mały panel, odsłaniając delikatnie jarzący się kwadrat - coś w rodzaju automatycznej, płaskiej żarówki, która oświetlała pomieszczenie równie dobrze, jak żarówka fluorescencyjna - tyle że bez buczenia prądu czy innego źródła mocy. Zamrugałam w nienaturalnie jasnym świetle.

- Naprawdę sądzisz, że tato o tym wiedział? - zapytałam przyciszonym głosem. Starszy nie odpowiedział. Nie musiał. Oczywiście, że tato wiedział o tym budynku, o całym tym kompleksie. W przeciwnym razie czemu zabraniałby nam tu przychodzić?

Nad drzwiami wisiała flaga. Dwa białe koła, jedno większe od drugiego, wyhaftowane na niebieskim tle. Większe koło było nie całkiem na środku, mniejsze zaś przesunięte w prawo, poniżej. Nigdy nie widziałam flagi z takim wzorem.

- Patrz - wyjąkał Starszy.

Wyryty na pamiątkowej tablicy u góry panelu sterowania w tym małym budynku zobaczyłam symbol, który rozpoznaliśmy oboje.

- Ten kompleks zbudowała GZF - stwierdziłam, zapominając o szepcie.

Starszy nachylił się, żeby lepiej widzieć. Przeczytał drobne literki wyryte tuż poniżej symboli: „W tym miejscu znaleziono pierwszą sondę wystrzeloną z Ziemi w ramach pierwszej misji międzygwiazdnej w 2310 roku, która dostarczyła informacje niezbędne do stworzenia Odkrywcy, pierwszej kolonii poza Układem Słonecznym, w 2327 roku. Ta tablica upamiętnia naszych zmarłych z »Błogosławionego«, 2036-2336”.

- Myślą, że wymarliśmy.

Wskazałam ostatnią datę - 2336 rok. To wtedy „Błogosławiony” miał wylądować.

Tyle że nie wylądował.

- Znaleźli sondę - powiedział cicho Starszy. - Ale nie nas. Pomyślałam o grawiszybach i plastplejach ze statku - o całej tej technologii, którą wynaleziono, podczas gdy ja spałam.

- Technologia rozwija się zgodnie ze wzrostem wykładniczym - zauważyłam. - Moi dziadkowie wydali tysiące dolarów na komputer, który był większy od mojego telewizora i miał zaledwie ułamek pamięci, jaką dysponował mój cholerny telefon komórkowy. - Bełkotałam, ale w żaden sposób nie potrafiłam zapanować nad własnym głosem.

- Słuchali muzyki z płyt kompaktowych, zamiast ją ściągać. Moi pradziadkowie słuchali jej z taśm. A prapradziadkowie z płyt winylowych.

W wielkich oczach Starszego widziałam strach. Zaczynało do niego docierać to, co usiłowałam powiedzieć.

- Pierwszy samolot zbudowano na samym początku dwudziestego wieku. Pierwszy człowiek wylądował na Księżycu w latach pięćdziesiątych tego samego stulecia.

Przełknęłam ślinę.

- W 2029 roku moja babcia pojechała na wakacje do kurortu na Księżycu. A w 2036 moich rodziców i mnie wsadzono do lodu i wysłano w kosmos.

Technologia rozwijała się coraz szybciej i szybciej, i szybciej. Rozejrzałam się po tym bardzo nowoczesnym, bardzo dobrze utrzymanym stanowisku komunikacyjnym.

Wcale nie byliśmy pierwszą ziemską kolonią, która tu wylądowała.

- Spóźniliśmy się na własne lądowanie - odezwał się głuchym głosem Starszy. Dotknął światelka, które migało poniżej tablicy. - Urządzenie samonaprowadzające. Takie samo jak w sondach. To właśnie dlatego kapsuła wylądowała tutaj.

W samym środku świata, który już nas prześcignął.

Pierwszą sondę wysłano dwadzieścia lat przed lądowaniem „Błogosławionego”. Otrzymane z niej dane najwyraźniej przypadły GZF do gustu, bo wysłała drugi, szybszy statek, żeby stworzył kolonię przed naszym przybyciem. Ruiny były w sam raz dla człowieka nie dlatego, że istoty z Centauri-Ziemi przypadkiem miały takie same wymiary i potrzeby jak my... lecz dlatego, że te budynki wznieśli ludzie. Osiedlili się w nich pierwsi koloniści - prawdziwi pierwsi koloniści, ci, którzy wylądowali przed nami.

To wydarzyło się tak dawno temu, że budynki zdążyły popaść w ruinę i zapomnienie.

A tymczasem? Pierwsza kolonia rozwinęła się w społeczeństwo dysponujące zaawansowaną technologią i porzuciła zakurzone domy.

Nie powinnam być zaskoczona. Przecież nikt nie zrezygnował z projektowania statków i rakiet, bo „Błogosławiony” wyruszył w drogę. Od tego czasu zdążyli stworzyć coś lepszego, więc kiedy zobaczyli informacje z sondy i zdali sobie sprawę, że właśnie czegoś takiego szukali, wysłali drugą kolonię.

Po co mieli czekać, aż wylądujemy, skoro na tej planecie znajdowały się bogactwa naturalne, które Ziemia mogła wykorzystać?

- Cała nasza misja... była bezcelowa - powiedziałam. - Wszystko, co zrobiliśmy, co poświęciliśmy... wszystko to na nic. Ziemia już podbiła tę planetę. Przybyli, zobaczyli, odlecieli. A teraz my jesteśmy tutaj. Sami. Cała ta cholerna wyprawa była na nic! - wyplułam to słowo. - Głupia, bezsensowna misja. Oczywiście, że przez stulecia, kiedy my lecieliśmy, oni wynaleźli szybszy statek. Pięćset lat przed naszym wyruszeniem trwała cholerna epoka

elżbietańska! Dla Ziemi jesteśmy takim samym przeżytkiem jak pieprzony Szekspir! Nasz statek stał się odpowiednikiem konnego wozu!

Starszy złapał mnie za ręce i dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że wymachuję nimi jak wariatka.

- Nie mogli się z nami połączyć - ciągnęłam. - Łączność została zerwana, jeszcze zanim statek tu dotarł. Pewnie zobaczyli, że dolecieliśmy do celu, ale nie mogli się z nami połączyć, a my nie lądowaliśmy, więc pewnie uznali, że wymarliśmy. - Teraz już płakałam. Nie wiedziałam dlaczego, po prostu płakałam. - Kiedy ktoś milczy przez pięćset lat, wszyscy sądzą, że umarł.

Nawet jeśli żyje.

Wtedy przypomniałam sobie, tak dokładnie, jakbym dopiero co się obudziła, uczucie zamrożenia. Mój umysł musiał dotąd skutecznie blokować te wspomnienia, jak gdyby nie były niczym więcej niż zwykłe sny, ale teraz, tutaj, pod niebem usianym gwiazdami lśniącymi niczym oczy, potrafiłam myśleć tylko o tym, jak to jest, kiedy człowiek spoczywa w lodzie, żywy, lecz niezdolny się poruszyć. Myślałam o tamtej ciszy, o braku jakiegokolwiek dotyku. O poczuciu uwięzienia, gdy byłam całkowicie świadoma, lecz nie mogłam choćby mrugnąć.

Myślałam o tym, że wszystko to było na próżno.

Po raz pierwszy, odkąd opuściłam statek, poczułam, że jestem w potrzasku.

- Musimy sobie zadać pytanie, gdzie są teraz - stwierdził Starszy. Wyglądał przez okno, jakby się spodziewał, że po drugiej stronie szyby zobaczy nowoczesne miasto. - Gdyby z tej kolonii zostali jacyś ludzie - ciągnął wolno, jakby głośno myślał - spróbowaliby się z nami skontaktować. Musieliby widzieć, jak lądujemy tak blisko kompleksu. Jeśli byli ludźmi, jeśli zrobili to - wskazał pamiątkową tablicę ponad stanowiskiem komunikacyjnym - z pewnością zechcieliby nam pomóc.

Tylko że nikt się nie zjawił.

30

STARSZY

Amy była biała - nie blada, tylko biała.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam.

- Mój tato - szepnęła.

Zamarłem, czekając, aż powie coś więcej.

- On wiedział. Ukrywał to wszystko przed nami. Pierwszych kolonistów. Cały ten kompleks. To właśnie próbował przed tobą ukryć. Przed nami wszystkimi. - Wzięła głęboki, rozdygotany wdech. - Przede mną.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Miała rację - przekonała się na własne oczy, że jej ojciec ukrywa przed nią prawdę.

- Dlaczego? - wydusiła.

Stałem przed nią, podchwytyjąc jej błakający się wzrok.

- Nie wiem. Musiał mieć powód.

Spojrzała na mnie z goryczą.

- Orion miał powód. Najstarszy miał powód.

- Pułkownika Martina można posądzić o wiele, ale w niczym nie przypomina Oriona ani Najstarszego. - Gdy tylko to powiedziałem, uświadomiłem sobie, że wcale w to nie wierzę. Przynajmniej nie do końca. Pułkownik Martin zdążył już udowodnić, że jest gotów wymusić posłuszeństwo za pomocą kłamstw i ukrytych prawd.

Amy odwróciła się ode mnie. Czerwona kurtyna włosów skryła jej twarz.

- Myślisz, że ci koloniści, którzy wylądowali przed nami... że ptery zabiły ich wszystkich?

- Tutaj żyją nie tylko ptery - odparłem, mając na myśli tamte tajemnicze ślady, na które natknąłem się w pobliżu kapsuły, i krystaliczną łuskę, odebraną mi przez pułkownika Martina.

- W krwi doktora Gupty był materiał zmodyfikowany genetycznie - powiedziała Amy. - Może pierwsza kolonia w jakiś sposób używała go tutaj, na Centauri-Ziemi. Może stąd wzięły się ptery. Może wynaleźli własną zagładę. - Wydała z siebie zduszony odgłos i zrozumiałem, że powstrzymuje łzy. - Jesteśmy sami - podjęła niemalże szeptem. - Tamta poprzednia kolonia... cokolwiek ich spotkało, wszyscy umarli. I my też umrzemy.

- My nie...

- Umrzemy! - Słowo przedarło się przez jej gardło. Obróciła się twarzą do mnie i w jej oczach ujrzałem czystą panikę.

- Amy - powiedziałem, czekając, aż spojrzy mi w oczy. - Nigdy, przenigdy nie pozwolę, żeby coś ci się stało. Wiesz o tym, prawda?

Po chwili wahania skinęła głową.

Wydawała się taka krucha, że serce mi się krajało. Oboje wiedzieliśmy dobrze, że nie zdołam jej ochronić przed każdym zagrożeniem.

Zrobię jednak wszystko, co w mojej mocy, bez względu na cenę.

- Amy - zacząłem, szukając jej spojrzenia. - Koch...

Przycisnęła usta do moich ust, przerywając mi w pół słowa. Próbowałem więc włożyć je w swój pocałunek. Ręce Amy oplótły moją szyję, przyciągnęły bliżej. Ten pocałunek miał posmak desperacji, głodu, którego żadne z nas być może nigdy nie zdoła zaspokoić.

Nie byłem głupi.

Choć moje myśli spłonęły w żarze pocałunku, zdawałem sobie sprawę, że Amy nie pozwoliła tym słowom paść, bo musiałyby je odwzajemnić.

Ale nic mnie to nie obchodziło.

Mogliśmy je wypowiedzieć lub nie, to nie miało znaczenia. Uczucie w naszych sercach było prawdziwe, bez względu na to, czy je nazwaliśmy, czy też pozwoliliśmy mu trwać jedynie w ciemności i milczeniu.

Minęła długa chwila, zanim odsunęliśmy się od siebie. Barwy wróciły na policzki Amy, jej dłonie przestały się trząść.

- Uda nam się - powiedziałem w nadziei, że moje słowa utwierdzą ją w tym przekonaniu.

Zacisnęła zęby i skinęła głową.

Obejrzałem panel sterowania pod tablicą z symbolem GZF.

- To z pewnością stanowisko komunikacyjne - stwierdziłem.

- Nie różni się wiele od wi-komów, z których korzystaliśmy na „Błogosławionym”.

Oczywiście, że nie. W końcu i jedno, i drugie stworzyła GZF. Amy podążyła za moim wzrokiem.

- Sądysz, że udałoby się nam połączyć ze statkiem? Może ktoś stamtąd pomógłby nam rozwiązać wskazówkę z Małego Księcia.

Pokręciłem głową. Nawet jeśli istniał sposób, żeby wywołać „Błogosławionego”, musiałbym się podłączyć bezpośrednio do sieci wi-komów - wszystkie pozostałe systemy łączności zostały zniszczone razem z Mostkiem. Zerknąłem na Amy. Oczy jej lśniły, jakby w nawiązaniu kontaktu ze statkiem widziała swoją ostatnią nadzieję. Odwróciłem się z powrotem do stanowiska. Nie różniło się aż tak bardzo od tego ze statku... Nie zawadzi spróbować.

Przyciągnąłem sobie spod ściany twarde krzesło z prostym oparciem i usiadłem przed panelem sterowania, próbując rozgryźć, co to za kontrolki i jak się nimi posługiwać. Niektóre rozpoznawałem - ta szukała sygnału, tamta służyła do jego regulacji. Ale były też inne - gałka podpisana „ansibl”, wskaźnik z poruszającą się szybko igłą - które nic mi nie mówiły.

Amy usiadła obok. Ekran dotykowy przed nią ożył, wyświetlając listę opcji. Być może

stara technologia mieszała się tu z nową. Amy przesunęła palcem po ekranie, po czym zastygła nad jednym słowem.

Przechwycone.

Spojrzała na mnie. To nie wróżyło zbyt dobrze.

Stuknęła palcem w to słowo i ekran spowija czerń z tylko jednym, czerwonym wersem Wizualizacja częstotliwości u góry oraz żółtym Wizualizacja głośności u dołu. Kiedy pomieszczenie wypełnił dźwięk, wersy zaczęły skakać w górę i w dół w postaci sekwencji graficznej. Pośrodku wyświetlała się transkrypcja przekazu głosowego.

Gratulacje, „Błogosławiony”! Bezpiecznie dotarliście do celu podróży, planety krążącej w binarnym układzie Centauri.

- Wiem, co to takiego - powiedziałem, czując, jak skręca mnie w żołądku.

- Nawiązaliśmy łączność z Ziemią! - krzyknęła podekscytowana Amy i nachyliła się, kiedy rozległ się dalszy ciąg przekazu.

Zdajemy sobie sprawę, że Wasza podróż była bardzo długa, toteż z wielką radością informujemy, że sondy wystane na miejsce lądowania wykryły nie tylko środowisko zdatne do zasiedlenia, ale też intratne źródła bogactw naturalnych!

Amy odwróciła się do mnie. Jej oczy promieniały radością.

Dopóki nie zobaczyła mojej miny.

W chwili Waszego lądowania został nadany sygnał bezpośrednio do Giełdy Zasobów Finansowych. Możecie spać spokojni, że w tym samym czasie GZF przygotowuje kapsułę z pomocą i zapasami dla Waszej kolonii.

- Ziemia przylatuje! - upierała się Amy, wciąż uczepiona tej nowej nadziei. - Ziemia przybędzie nam z pomocą!

- Nie, nie przybędzie.

- O czym ty mówisz? Właśnie powiedzieli...

- Amy, jak oznaczono tę wiadomość?

Zmarszczyła czoło,

- Przechwycone.

Przeciągnąłem palcem po ekranie dotykowym i wiadomość rozpoczęła się od nowa:

Gratulacje, „Błogosławiony”! Bezpiecznie dotarliście do celu podróży, planety krążącej w binarnym układzie Centauri.

- Ale...

- To nagrana wiadomość. - Ogarnęły mnie mdłości. Wysłuchałem jej, kiedy pułkownik Martin wprowadził kod autoryzacji wojskowej w panelu sterowania na mostku.

Sądziłem, że to przekaz na żywo z Ziemi, który coś nam przerwało. Ale to było tylko nagranie - kopia wiadomości wysłanej do nas stąd.

Przewinąłem. W nagraniu, które słyszeliśmy z pułkownikiem Martinem, wiadomość została przerwana, zanim padły jakiegokolwiek szczegóły na temat grożącego nam niebezpieczeństwa. Ta również się urywała, w dokładnie tym samym miejscu.

Zacząłem się zastanawiać, czy rzeczywiście pochodzi z Sol-Zie-mi, czy może stanowi element jakiegoś wyszukanego podstępu.

- Kto mógł to zrobić? - zapytała Amy z oburzeniem. Jej oczy otworzyły się szerzej. - Chyba nie... nie tato?

Pokręciłem głową. Widziałem wyraz twarzy pułkownika Martina, kiedy usłyszeliśmy tę wiadomość na mostku.

- Przekaz przyszedł zaledwie chwilę po tym, jak twój ojciec się obudził - dodałem. - Nie mógłby tego skoordynować.

Wróciłem do listy przekazów. Jako Przechwycone oznaczono tylko ten jeden z Sol-Ziemi. Pozostałe miały etykiety: Negocjacje handlowe, Siła robocza, Szczegóły techniczne produkcji przemysłowej, Nadzór - pod każdą z nich znajdowało się kilka przekazów, każdy opatrzony ciągiem liczb, w których nie potrafiłem dostrzec żadnego wzoru.

Cofnąłem się raz jeszcze do menu i zobaczyłem etykietę Przekaz na żywo. Trąciłem Amy łokciem i pokazałem swoje odkrycie.

- Przekaz na żywo skąd? - zapytała.

Wcisnąłem etykietę. Wyskoczyło podmenu z listą przypadkowych tematów: Rolnictwo, Medycyna, Społeczność, Utrzymanie, Silnik, Sterowanie.

Amy spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Te etykiety nie miały w ogóle sensu. Dotknąłem ostatniej z nich: Kontrola. Ekran poczerniał, wyświetlił komunikat BŁĄD, po czym wróciliśmy do podmenu. Wzruszyłem ramionami i nacisnąłem pierwszą etykietę na liście: Rolnictwo.

Tym razem ekranu nie spowiła czerń. Zamiast tego ujrzeliśmy pofałdowany krajobraz. Idealnie identyczne, trawiaste wzgórza. Starannie wymierzone pola zbóż, kukurydzy, fasoli. Stworzony ręką człowieka rolniczy krajobraz, usiany genetycznie zmodyfikowanymi krowami i owcami, a wszystko to pod malowanym metalowym niebem.

Dotknąłem ekranu i obraz zniknął, zastąpiony przez podmenu.

- Starszy, przecież to był. - Amy nie potrafiła dokończyć.

„Błogosławiony”.

To był „Błogosławiony”. Teraz etykiety w podmenu nabrały sensu. Szybko zacząłem

pukać w nie palcem. Medycyna ukazała nam Szpital z zewnątrz. Przekaz pochodził z kamery gdzieś w pobliżu pomnika Najstarszego Plagi. Społeczność to Miasto. Utrzymanie to Poziom Sternika. Silnik doprowadził nas do reaktora, który zasiliał „Błogosławionego”. Sterowanie ukazało nam jedynie pusty ekran. Z pewnością oznaczało przekaz na żywo z Mostka, a przecież Mostek już nie istniał. Doktorek wysadził go w powietrze.

- Obserwowali nas - powiedziałem, a w moim głosie dało się słyszeć przerażenie. - Obserwowali nas przez cały czas.

- Kto nas obserwował? - zapytała Amy.

Nie wiedziałem. Ten, kto zbudował ten kompleks. Pierwsza kolonia - lub to, co zmiotło ją z powierzchni ziemi, coś n i e l u d z k i e-g o, co miał zatrzymać zamek biometryczny w tym budynku.

Wróciłem do Społeczności. Miasto wyglądało inaczej, niż to pamiętałem. Na ulicach panował tłok i brud. W ludziach - moich ludziach, tych, których porzuciłem, tych, którzy zostali z Bartiem - dało się dostrzec pewną desperację. Część poruszała się zbyt szybko, pędząc z miejsca na miejsce, jakby od tego zależało ich życie. Inni nie poruszali się wcale. Osunęli się pod budynkami. Poddali.

- Coś jest nie tak - stwierdziłem. Chciałem sięgnąć przez ekran i pomóc im, lecz gdy tylko moje palce musnęły szkło, ekran poczerniał i znowu wyświetlił podmenu.

Amy położyła dłoń na moim ramieniu. Chyba chciała mnie odciągnąć od monitora. Zresztą co takiego miałbym zrobić? Ja byłem tutaj, a oni wysoko w górze, na orbicie planety. Nie mogłem ich dosięgnąć. Nie mogłem ich ocalić.

Zawiodłem ich.

Dotknąłem etykiety Utrzymanie, żeby zobaczyć Poziom Sternika. Drzwi do gabinetów i laboratoriów stały otworem, ale nigdzie nikogo nie widziałem. Czyżby to była noc? Nie, niemożliwe... lampa solarna świeciła nad Miastem. Dlaczego na tym poziomie nie było ani jednego Sternika? Wróciłem do podmenu i wybrałem SILNIK. Maszynownia także świeciła pustkami. Kamera była tak skierowana, że widziałem zarówno sam silnik, jak i potężne, zaplombowane drzwi, które skrywały pozostałości Mostka. Były zamknięte. Próbowałem zerknąć na małe ekrany panelu sterowania za silnikiem - wszystko wydawało się działać.

Więc dlaczego tu również nikogo nie było?

Wtedy dostrzegłem migające czerwone światło na samym silniku. Sięgało daleko, ale kamera pod tym kątem w większości je zasłaniała. Wyszło mi w ustach. Wiedziałem, co oznacza to światło. Na całym Poziomie Sternika musiał wyc ogłuszający alarm.

Ostrzegający, że rdzeń reaktora jest w stanie topnienia.

Przyjrzałem się raz jeszcze. Nie mogłem przybliżyć obrazu, lecz wyteżyłem wzrok, żeby dojrzeć coś za pikselami, zrozumieć, co takiego zaszło. Amy także się nachyliła. Jej rude włosy zamiotły ekran, zanim odrzuciła je na plecy.

Kiedy Doktorek wysadził Mostek, silnik został wystawiony na działanie przestrzeni kosmicznej i nagłej dekompresji, która powstała, gdy próżnia wyszała Mostek przez dziurę w kadłubie. Silnik był solidny, ale stary. Z łatwością mógł wtedy ulec uszkodzeniu - zwłaszcza że niedługo po eksplozji na Mostku ja odleciałem w kapsule. Nikt wtedy nie pracował, nikt nie zwracał sobie głowy doglądaniem silnika. Możliwe, że przez cały ten czas działał wadliwie. Paru Sterników sprawdziło go przed moim odlotem, ale jak dokładnie? A co jeśli coś przeoczyli?

Jeśli silnik zgaśnie, „Błogosławiony” umrze.

Proste.

Przesunąłem dłoń, żeby zgasić ekran. Nie chciałem na to patrzeć; nie chciałem żyć z poczuciem winy.

Zostawiłem swoich ludzi na pewną śmierć.

Na tę myśl ręka mi drgnęła i przypadkiem włączyłem przekaz ze Szpitala. Chciałem go wyłączyć, lecz Amy złapała mnie za dłoń.

- Zaczekaj - rzuciła, wpatrzona w ekran.

Odwrociłem się od niego. Ostatnie, czego potrzebowałem, to wpatrywać się w szyderczą twarz pierwszego Najstarszego.

- Szata z gwiazd... - szepnęła Amy. Szarpnęła mnie za ramię.

- Co ma na sobie ta postać z posągu?

Nie musiałem jej widzieć, żeby odpowiedzieć.

- Togę Najstarszego.

Amy sprawiała wrażenie zdezorientowanej. Przypomniałem sobie - przecież nigdy jej nie widziałam. Założyłem ją tylko raz, kiedy oznajmiałem moim ludziom, że dotarliśmy do celu, lecz Amy nie było wtedy z nami. Bała się tłumu, zupełnie słusznie.

- To ciężka, wełniana szata, którą Najstarszy zakłada przy wyjątkowych okazjach - wyjaśniłem. Widziałem ją oczami duszy: wyszytą na niej powierzchnię planety i gwiazdy na ramionach.

Gwiazdy na ramionach.

- Starszy, Mały Książę! - zakrzyknęła podekscytowana Amy.

- Pamiętasz? Ilustracja przedstawiała Króla - Najstarszy to tak jakby król, prawda? A Orion zaznaczył serce jego szaty... szaty wyszywanej gwiazdami.

Gapilem się na posąg. Został wzniesiony z betonu przez Najstarszego Plagi. Jeżeli ta planeta miała jakąś tajemnicę, on ją ukrywał. To on zapoczątkował system Najstarszych, to on zdecydował, że po dotarciu do celu statek nie wyląduje na planecie. Przecież to oczywiste, musiał mieć jakiś powód, dla którego pozostawił „Błogosławionego” na orbicie - a czy istnieje lepsza kryjówka niż wewnątrz betonowego pomnika?

- Wszystko się zgadza - stwierdziła Amy ze zdumieniem w głosie. - Wskazówka, ostatnia wskazówka, informacja o tym, co się tu dzieje - znajduje się w pomniku.

- W pomniku - powtórzyłem. - W posągu, który krąży na orbicie, w kosmosie.

Amy westchnęła ciężko. Wiedzieliśmy, gdzie jest wskazówka, ale w niczym nam to nie pomogło.

Ruch z boku ekranu odciągnął moją uwagę od posągu. Ktoś szedł ścieżką przez ogród za Szpitalem. Ścieżka zakręcała i ten ktoś natychmiast zniknął z pola widzenia, lecz chwilę później stanął przed posągiem.

Bartie.

Zatrzymał się, unosząc twarz do metalowego nieba. Kamera znajdowała się w sam raz pod takim kątem, że go uchwyciła. Na twarzy Bartiego widać było niepokój i smutek. Pod oczami miał cienie, a na policzku nową szramę. Wyglądał mizernie z rozczochranymi włosami. Nigdzie nie widziałem jego gitary. Przejęcie przywództwa statku nie służyło Bartiemu.

- Co on robi? - Amy nie odrywała wzroku od ekranu.

Zdawało się, że Bartie rozmawia z posągiem. Pamiętałem, jak sam zawsze pod nim przystawałem i wpatrywałem się w zniszczone oblicze. Ramiona Najstarszego Plagi otwierały się dobrotliwie, a rysy twarzy rozmyły się do tego stopnia, że wyobrażałem sobie, jak patrzy na mnie ze współczuciem, podczas gdy ja usiłowałem stać się przywódcą, którego potrzebowali moi ludzie.

Bartie sięgnął do jednej ze swoich kieszeni. Przez chwilę zdawało mi się, że wyciągnął z niej plastylej, ale to, co trzymał w dłoni, było mniejsze i ciemniejsze. Czarne. Czarny kwadrat.

Czarny medplast.

Amy krzyknęła.

A ja już wiedziałem, o czym myśli Bartie, po co przyszedł do Najstarszego Plagi.

Statek umierał, a on zdawał sobie z tego sprawę. Próbował zdecydować, jak długo jeszcze będzie czekać, zanim rozda ludziom czarne medplasty. Te, które zabijały.

- W pomniku - powtórzyłem. - W posągu, który krąży na orbicie, w kosmosie.

Amy westchnęła ciężko. Wiedzieliśmy, gdzie jest wskazówka, ale w niczym nam to nie pomogło.

Ruch z boku ekranu odciągnął moją uwagę od posągu. Ktoś szedł ścieżką przez ogród za Szpitalem. Ścieżka zakreślała i ten ktoś natychmiast zniknął z pola widzenia, lecz chwilę później stanął przed posągiem.

Bartie.

Zatrzymał się, unosząc twarz do metalowego nieba. Kamera znajdowała się w sam raz pod takim kątem, że go uchwyciła. Na twarzy Bartiego widać było niepokój i smutek. Pod oczami miał cienie, a na policzku nową szramę. Wyglądał mizernie z rozczochranymi włosami. Nigdzie nie widziałem jego gitary. Przejęcie przywództwa statku nie służyło Bartiemu.

- Co on robi? - Amy nie odrywała wzroku od ekranu.

Zdawało się, że Bartie rozmawia z posągiem. Pamiętałem, jak sam zawsze pod nim przystawałem i wpatrywałem się w zniszczone oblicze. Ramiona Najstarszego Plagi otwierały się dobrotliwie, a rysy twarzy rozmyły się do tego stopnia, że wyobrażałem sobie, jak patrzy na mnie ze współczuciem, podczas gdy ja usiłowałem stać się przywódcą, którego potrzebowali moi ludzie.

Bartie sięgnął do jednej ze swoich kieszeni. Przez chwilę zdawało mi się, że wyciągnął z niej plastplej, ale to, co trzymał w dłoni, było mniejsze i ciemniejsze. Czarne. Czarny kwadrat.

Czarny medplast.

Amy krzyknęła.

A ja już wiedziałem, o czym myśli Bartie, po co przyszedł do Najstarszego Plagi.

Statek umierał, a on zdawał sobie z tego sprawę. Próbował zdecydować, jak długo jeszcze będzie czekać, zanim rozda ludziom czarne medplasty. Te, które zabijały.

31

AMY

Starszy bez słowa wypadł z kompleksu, zmierzając w stronę kolonii. Musiałam biec, żeby go dogonić.

- Starszy, zaczekaj! - krzyknęłam ostatkiem tchu. Zwolnił, ale się nie zatrzymał.

Plecy miał wyprostowane, ramiona sztywne. Kiedy wyciągnęłam rękę w jego stronę, wyrwał się gwałtownie. Chwyciłam go za łokieć i już nie puściłam, tylko szarpnęłam, żeby spojrzął mi w twarz.

- Ich też możemy ocalić - powiedziałam.

Starszy zaśmiał się, krótko, z goryczą. Oboje zastygliśmy, spoglądając na las i wyczekując wrzasku ptera. Po chwili jednak dźwięki nocy podniosły się na nowo - niski, świergoczący głos nocnego ptaka, niemal niesłyszalny szelest małych stworzeń buszujących w leśnym poszyciu. Nie widzieliśmy zbyt wiele tutejszych zwierząt, co wcale nie znaczyło, że ich tam nie było.

- Możemy ich ocalić - powtórzyłam ciszej.

- Nie możemy ocalić nawet samych siebie. - Starszy mocno zaciskał zęby.

- Praktycznie znaleźliśmy ostatnią wskazówkę Orionu - zaczęłam wyliczać. - W kompleksie mamy stanowisko komunikacyjne. Nie pozwolimy im tak po prostu umrzeć tam, na górze.

- Czyżby? - wycedził Starszy. - A jak niby ujdziemy z życiem z rąk tych gzyfowych obcych, którzy są t u t a j, w dole?

Serce zamarło mi w piersi.

- Tam coś jest, Amy - ciągnął. Spojrzał ponad moją głowę prosto w ciemny las. - Coś, co zabiło pierwszych kolonistów.

- Ptery...

- Te zamki biometryczne nie zostały zaprogramowane po to, żeby zatrzymywały ptery - warknął Starszy. Miał rację. Zaprogramowano je z myślą o... o czymś innym. - Poza tym - dodał, zerkając na mnie, a potem odwrócił wzrok - tutaj żyją nie tylko ptery. - Wiedziałam, że ma na myśli tę dziwną krystaliczną łuskę, którą znalazł w tunelu. Mnie również przerażała. Na tej planecie było tak wiele niezrozumiałych dla nas rzeczy. Tak wiele rzeczy, które mogły nas zabić. - Pamiętasz tamten trop?

Skinęłam głową. Jak mogłabym zapomnieć tamte trzy ostre szpony, stworzone po to, by okaleczać?

Starszy ciągnął cichym głosem, jakby się obawiał, że ktoś nas podsłucha.

- Tuż przed tym, jak zostałem zaatakowany, zdawało mi się, że dostrzegłem coś w lesie. Może to coś kontrolowało ptera, cokolwiek to było.

Przez głowę przemknął mi obraz: zielony kosmita o wylupiastych oczach i szponiastych stopach, obserwujący nas i czekający na właściwy moment, żeby zaatakować.

Nie chciałam o tym myśleć. Nie mogłam o tym myśleć. Tej nocy dowiedziałam się już zbyt wiele. Odwróciłam się od Starszego i bez słowa ruszyliśmy w drogę powrotną do kolonii. Zatrzymaliśmy się dopiero w pobliżu mojego budynku na skraju ruin. Świat był skąpany w ciszy i ciemności. Starszy podszedł bliżej i odgarnął włosy, za którymi chowałam

twarz.

- Stać! - rozkazał kobiecy głos. Chciałam się odwrócić i wtedy poczułam z tyłu głowy twardy, metalowy wylot lufy. Puściłam dłoń Starszego i uniosłam rękę.

- Amy? - zapytał głos. Lufa opadła. Obróciłam się i zobaczyłam Emmę w mundurze polowym, z półautomatem w dłoni.

- Emma, wystraszyłaś mnie na śmierć! - zakrzyknęłam.

- Cicho! A może chcecie, żeby cała reszta wartowników zleciała się i zobaczyła, co wy dwoje tutaj wyprawiacie?

Zerknęłam na Starszego. Ile wiedziała Emma?

- Skoro nie potraficie trzymać rąk z dala od siebie, to chociaż schowajcie się w którymś budynku - warknęła. - Migdałać się w samym środku nocy na skraju obozu, aż prosicie się o postrzał. Myślałam, że to... - urwała. - Myślałam, że to wróg.

Zmrużyłam oczy. Jakiego wroga dokładnie miała na myśli? Emma nie wiedziała, co kombinujemy, ale coś więcej niż przecucie mówiło mi, że wie więcej, niż nam zdradza. Była z tatą tamtego pierwszego dnia, kiedy wyruszyli na poszukiwania sondy i natknęli się na nowoczesny kompleks.

Wiedziała dokładnie, co takiego tato ukrywa.

Kiedy żadne z nas nic nie odpowiedziało, Emma zmarszczyła brwi.

- Nie przyszlście się tutaj migdalić, co?

- Nie! - odparłam. Zbyt szybko. - Emmo, my...

Machnęła ręką, każąc mi zamilknąć.

- Nie obchodzi mnie, co tu robiliście. Nie chcę nic wiedzieć. Ale oboje macie głowę na karku i chyba domyślam się, co jest grane.

- Spojrzała za siebie. W stronę kompleksu. - Nie wychodźcie nocą - dodała, tym razem z większą powagą. - Tam są stworzenia, o których nie macie pojęcia.

Starszy uroczyście skinął głową, po czym obrócił się na pięcie, żeby odejść. Emma złapała mnie za rękę, zatrzymując w miejscu.

- Amy, to ważne - powiedziała cicho, z naciskiem. - Nie chcesz tego słuchać, wiem, ale nie możesz ufać...

- Kto tam jest? - rozległ się głos. Głos mojego ojca.

Ciężkie kroki zadudniły, kierując się w naszą stronę. Tato i Chris, obydwaj w mundurach polowych.

- Emma? Co się tu dzieje?

Emma wyprostowała się. Przeznaczone dla mnie ostrzeżenie zamarło na jej wargach.

- Sir. Znalazłam tutaj tych dwoje. - Urwała. - Całowali się. Zabrzmiała trochę jak skarżypyta, ale, prawdę mówiąc, ucieszyłam się, że skłamała tacie o tym całowaniu. Przynajmniej nie zdradziła tego, co podejrzewała - że odkryliśmy kompleks i tajemnice mojego taty. Tato wcale nie wyglądał na zadowolonego.

- Odprowadzę Amy - warknął. - Chris, czy mógłbyś odeskorto-wać tego chłopaka do jego budynku?

- Ten chłopak pójdzie sam - odparował Starszy.

Tato przyszpilił go spojrzeniem.

- Nocą, w ciemności jest tu wiele zagrożeń, których powinieneś się bać.

Starszy ani mrugnął.

- Wiem doskonale, czego się bać. Na pewno nie ciemności. - Odczekał ułamek sekundy, po czym dodał: - Ani pana.

Chris dotknął ramienia Starszego, by pokierować go z powrotem do kolonii, ale Starszy go odepchnął.

Tato zaczął, aż Chris i Starszy znikną nam z oczu, a Emma wróci do patrolowania obozu, i dopiero wtedy odwrócił się do mnie.

- Co ty sobie myślałaś? - Wstrząsnęło mną, jak bardzo był wściekły. - Amy, tu jest niebezpiecznie.

- Nie wyszliśmy z kolonii - zaprotestowałam. W końcu nie wyszliśmy, o ile było mu wiadomo.

- Całowałaś jednego z nich!

Stałam jak wryta. Panowała niesamowita cisza, noc była bezwietrzna.

- Słucham? - zapytałam matowym głosem.

- Amy, ci ze statku... nie powinnaś z nimi tyle przebywać. - Tato zaczął krążyć w tę i z powrotem tuż przed naszym budynkiem.

- Czy ja wiem, tato. Mam wrażenie, że Starszy był ostatnio nieco bardziej rozmowny niż ty... Nie sądzisz?

- Oni nie są tacy jak my - ciągnął, ignorując moje oskarżenie.

- Niby czemu? - zapytałam wciąż lodowatym głosem.

- Spójrz tylko na nich! Wszyscy wyglądają tak samo. Wszyscy sądzą, że ten dzieciak jest ich „przywódcą”. Są... dziwni. Inni. Na litość boską, Amy, ci ze statku nie są tacy jak my!

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz! - odparłam głośniejszym głosem, niż zamierzałam. Zaraz obudzimy całą kolonię. - To są ludzie. Dobrzy ludzie.

Tato z nieskrywaną pogardą pokręcił głową i to, bardziej niż cokolwiek innego,

podsycało mój gniew.

- Och, Amy. Ciebie w ogóle nie powinno tu być.

Jakiś trybik w mojej głowie wskoczył na właściwe miejsce.

- W takim razie dlaczego dałeś mi wybór? - Z każdym słowem mój głos stawał się coraz głośniejszy i wyższy. - Dlaczego w ogóle zostawiłeś tę decyzję mnie? Mogłeś mnie lepiej przygotować. Ale nie. Ty po prostu zaczekałeś, aż mama była już zamrożona, a potem sam też się zamroziłeś i zostawiłeś mnie, samą jak palec, żebym zdecydowała, czy chcę zrezygnować dla was z całego mojego życia! A kiedy naprawdę to zrobiłam - okazuje się, że wybrałam źle! Skoro nigdy nie chciałeś, żebym z wami leciała, to czemu tego po prostu nie powiedziałeś? Dlaczego zostawiłeś mnie z tym wszystkim? Dlaczego udawałeś, że mogę sama podjąć decyzję, skoro nie spakowałeś nic z moich rzeczy? Widziałam skrzynie w magazynie - ta z moim imieniem i nazwiskiem jest pusta!

Umilkłam, dysząc ciężko. Twarz mnie paliła, dłonie zaciskały się w pięści, ale miałam to gdzieś.

Tato zgrzytnął zębami.

- Przykro mi z tego powodu - wycedził. - Obiecałem twojej matce, że nie będę cię przekonywał, abyś została. Poza tym bałem się, że jeśli to zrobię, ty postąpisz dokładnie na odwrót. Chciałem, żebyś mogła dokonać wyboru, z którym będziesz w stanie potem żyć.

-I dokonałam.

- Nie wiedziałem, że sprawy się tak pogmatwają. Nie takiej misji się spodziewałem. I nie przypuszczałem, że obudzisz się wcześniej. Żałuję tego. Może w przeciwnym razie widziałabyś, że ci ze statku...

- Nawet nie zaczynaj. Nie mieszaj do tego „tych ze statku”.

- Oni cię nienawidzą. - Tato wbił ze mnie spojrzenie, rzucając wyzwanie, żebym pierwsza zerwała kontakt wzrokowy. - Widzę, jak się wzdrygają i odsuwają jak najdalej, jak na nas patrzą, jakbyśmy byli dziwadłami. Nawet ty.

- Starszy mnie nie nienawidzi - odparłam. Tego byłam pewniejsza niż czegokolwiek innego na świecie.

Tato zaśmiał się w odpowiedzi.

- Starszy to nastolatek. Nie potrafiłby nienawidzić niczego, co ma piersi!

Cofnęłam się, jakbym dostała od niego w twarz.

- Amy, nie możesz mu ufać. I nie możesz... nie wolno... ja nie chcę, żebyś zwracała sobie głowę tym chłopakiem. Chyba pozwoliłaś, żeby te trzy miesiące przed lądowaniem wyparły lata spędzone na Ziemi. Jesteś jedną z nas. Jesteś moja. Moja mała córka.

- Już nie - odparłam okrutnie, odsuwając się od niego, po czym ruszyłam w stronę budynku.

Tato złapał mnie i szarpnięciem przyciągnął z powrotem do siebie. Przez jedną przerażającą chwilę byłam pewna, że mnie uderzy, ale nie zrobił tego. Pochwycił mnie w uścisk tak silny, że z trudem oddychałam.

- Nie pozwolę, żebyś odeszła stąd wściekła na mnie, Amy - powiedział cicho do moich włosów. - Możemy się kłócić, możemy się nie zgadzać, ale nigdy nie pozwolę, żebyś odeszła ode mnie, przekonana, że cię nie kocham.

Rozluźnił uścisk, a ja cofnęłam się, oszołomiona jego słowami. Tato nie zaliczał się do ckliwych.

- Ten świat jest niebezpieczny, Amy. Nie wiem, co się jeszcze wydarzy. Nie mogę pozwolić, żebyś odeszła ode mnie wściekła. Za bardzo cię kocham.

Wyprostował mały palec u dłoni, czekając, aż zahaczę o niego własnym.

Lód wewnątrz mnie stopniał.

- Ja też cię kocham - odparłam, na dowód splatając palec z jego palcem, tak jak wtedy, kiedy byłam dzieckiem. - Przysięgam.

I mówiłam szczerze. Kochałam go.

Nie byłam tylko pewna, czy mogę mu ufać.

32

STARSZY

Następnego ranka zbudziłem się nagle na dźwięk głośnych kroków na schodach wiodących do mojego budynku. Przeciągnąłem się, coś strzeliło mi w karku. Spałem na improwizowanym posłaniu ze sterty ubrań, musiałem jednak znaleźć coś lepszego - zwłaszcza dla ciężarnych kobiet, którym z pewnością te niedostatki doskwierały bardziej niż mnie.

- Starszy! - zawołała Amy, wpadając zdyszana do pokoju.

Wariacki uśmiech przemknął przez moją twarz. Nie miałem nic przeciwko tak wczesnym pobudkom, o ile w roli budzika występowała Amy.

Wtedy zobaczyłem jej minę.

- O co chodzi? - Poderwawszy się, wyciągnąłem ze sterty swoją tunikę, po czym naciągnąłem ją przez głowę. Pomimo wczesnej pory powietrze już było wilgotne i lepkie.

- Kit - odparła Amy, wciąż oddychając ciężko po biegu. - Chodź.

Ruszyłem za nią chwiejnym krokiem, po drodze zakładając mokasyny.

- Co się stało? - zapytałem ze struchlałym sercem. Nie licząc Amy, Kit była jedną z nielicznych osób na tej planecie, którym naprawdę ufałem - i jednym z moich nielicznych przyjaciół. Jeśli coś jej się stało...

- Nie wiem - odparła Amy. Jej wzrok pomknął w stronę podnóża wzniesienia, gdzie pułkownik Martin wydawał rozkazy Emmie i Chrisowi, wskazując coś w oddali.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Czy nic jej nie jest?

- Nie wiem - powtórzyła, po czym złapała mnie za dłoń i pociągnęła w dół schodów, do pułkownika Martina. - Tato próbował ją dzisiaj rano znaleźć, żeby przejrzeć tę jej listę ze spisem profesji poszczególnych osób. Chciał wziąć się za stałe przydziały pracy. Ale Kit zniknęła.

- Zniknęła? - Czułem się jak dureń. Był wczesny poranek, słońce dopiero co wstało.

- Tato sądzi, że oddaliła się albo coś, że niedługo wróci.

- Kit nigdy by tego nie zrobiła.

Amy nawet na mnie nie spojrzała.

- Wiem.

Pułkownik Martin odwrócił się, kiedy do niego podbiegliśmy.

- Amy, mówiłem, żebyś nie zawracała tym głowy Starszemu - powiedział z naganą w głosie.

- Tato, Kit nigdzie by tak po prostu nie poszła. Jeśli zniknęła, to znaczy, że coś się stało.

Zerknąłem na Amy. Oboje wiedzieliśmy, że jeśli Kit zniknęła, prawdopodobnie jest już za późno.

- Zgłosiłam się na ochotnika do poszukiwań - wtrąciła Emma. Była nachmurzona.

- A ja już powiedziałem, że to nic takiego - odparł stanowczo pułkownik Martin. - Posłałem paru żołnierzy, żeby sprawdzili, czy Kit nie ma w kapsule.

- Nie poszłyby tam - stwierdziłem.

- Nie możemy wstrzymywać wszystkich prac, bo jakaś kobieta oddaliła się od kolonii - wbrew moim rozkazom, pozwolę sobie zauważyć.

- Tato - Amy odezwała się z taką mocą, że aż spojrzał na nią z lekkim zaskoczeniem. - Kit nigdy nie oddaliłaby się sama. To do niej niepodobne.

Pułkownik Martin zaczął zastanawiać się nad tym, co powiedziała.

Chris stanął obok niego. Miałem ochotę go odepchnąć. Nie potrzebowałem kolejnej osoby powtarzającej, że Kit pewnie się niefrasobliwie zgubiła.

- Może jest w latrynie - podsunął.

- Nie ma jej tam, sprawdzałam - odparła Amy. - Musimy wyruszyć na poszukiwania.

- Zaczekajmy, aż wrócą ludzie, których po nią wysłałem - rzekł pułkownik Martin, tym razem jednak już nie tak rozkazującym tonem. - Może poszła do kapsuły po jakieś zapasy...

- Nie poszłaby tam - powtórzyłem uparcie. - Kit jest jednym z moich ludzi. Znam ją. Nie ma mowy, żeby bez mojej wiedzy oddaliła się od kolonii. Mówię panu, jeśli zniknęła, to znaczy, że stało się coś poważnego. - Patrzyłem, jak przez twarz pułkownika Martina przemyka wątpliwość. Nie chciał, by się okazało, że Kit została porwana; że to jego wina. Ze jego czujność nie wystarczyła, by zapewnić jej bezpieczeństwo. Nie miałem jednak czasu na cackanie się z urażoną dumą pułkownika Martina. - Skoro pan zamierza siedzieć beczynnie, to ja się tym zajmę. Zaraz zorganizuję grupy poszukiwawcze.

- Pomogę ci - dodała natychmiast Amy.

- Ja również. - Emma obrzuciła pułkownika i Chrisa pełnym obrzydzenia spojrzeniem.

Uwijaliśmy się jak w ukropie. Gdy tylko wieść o zaginięciu Kit rozeszła się po kolonii, ludzie zaczęli zgłaszać się na ochotnika do poszukiwań - ponad sto osób w niecałą godzinę.

Pułkownik Martin rzucił okiem na grupę, która zebrała się na łące. Mieli w sobie posępną determinację i wszyscy przynieśli narzędzia - łopaty, kosy, a niektórzy po prostu wielkie gałęzie, na jednym końcu wygładzone i służące za prowizoryczne pałki.

- Nie potrzebują tego. Moi ludzie mają broń palną - zwrócił się do mnie pułkownik. Urodzeni na statku, uzbrojeni w ten sposób, budzili jego niepokój. Zanotowałem to sobie w głowie.

- Broń palna nie uratowała Kit - odrzekłem. - Ani Lorin. Ani Juliany Robertson czy tamtego ziemskiego doktora.

Znalazłem ostatnią osobę, która ją widziała - Willow, ciężarna kobieta, przysłała do Kit w środku nocy, skarżąc się na skurcze żołądka.

- Dała mi medplast i wyszła - wyjaśniła mi Willow.

- Widziałaś kogoś innego?

- Jeden z nich był wtedy na patrolu. - Willow chodziło o jednego z ziemskich żołnierzy. Wskazała na Chrisa, który z zaniepokojoną miną stał na krawędzi gromadzącego się tłumu. - Tamten.

Natychmiast do niego podszedłem, żeby skonfrontować tę informację.

- Pamiętam, że ją widziałem - przyznał Chris, unosząc ręce, jakby chciał się bronić przed oskarżeniem w moim głosie. - To było tuż przed końcem mojej zmiany.

- Upewniłeś się, że bezpiecznie wróciła do swojego budynku?

Chris pobrał.

- Ja... nie. Uznałem, że...

- Właśnie wtedy została porwana - stwierdziłem. Teraz byłem już tego pewien. Spiorunowałem Chrisa wzrokiem. Zapewnienie bezpieczeństwa kolonistom należało do jego obowiązków, a on pozwolił, żeby jeden z moich ludzi zapłacił za jego beztroskę.

Pytanie tylko - kto ją porwał i dlaczego?

33

AMY

Kiedy Starszy zaczął wysyłać poszczególne grupy na poszukiwanie Kit, tato złapał mnie za ramię.

- Ty nigdzie nie idziesz.

Gapiałam się na niego, zbyt zaskoczona, żeby zaprotestować.

- Możesz pomóc w inny sposób. Nie puszczę cię z nimi.

- Mogę się przydać - odparowałam ze złością. - Kit jest moją przyjaciółką.

Tato spojrzał na mnie, jakby nie wierzył, że jego córka naprawdę może przyjaźnić się z kimś ze statku. W ten sam sposób patrzył, kiedy widział mnie ze Starszym.

Moje dłonie zacisnęły się w pięści.

- Tato! - warknęłam. - Nie możesz pozwolić, żeby Kit się nie odnalazła, bo nie należy do twoich ludzi.

- To nie ma z tym nic wspólnego. - W jego głosie pobrzmiwało coś, czego nie potrafiłam zrozumieć. Coś bardzo podobnego do żalu, ale to przecież nie miało żadnego sensu. Pochylił się bliżej. - Już raz widziałem cię ranną, Amy. Kiedy Starszy przyniósł cię do mnie, po tym jak tamten fioletowy kwiat pozbawił cię przytomności. Nie chcę nigdy więcej widzieć, jak dzieje ci się krzywda. - Przytulił mnie mocno, wyciskając powietrze z płuc. - Idź z matką do laboratorium. Chris zostanie z wami. - Podniósł głowę i popatrzył na zbliżającą się mamę. - Muszę chronić moje dziewczyny.

Obejrzałam się. Grupy poszukiwawcze zdążyły się już rozproszyć. Wzdychając, poszłam za mamą z powrotem do naszego budynku, gdzie szykowałam się do pracy w laboratorium. Przez krótką chwilę zastanawiałam się, czy tato pójdzie do kompleksu, który zeszłej nocy odkryliśmy ze Starszym. Czy było tam coś, co pomoże nam znaleźć Kit? Liczyłam na to. Nie obchodziło mnie, że zachował to w tajemnicy, jeśli dzięki temu odnajdzie Kit i sprowadzi z powrotem.

- Dobrze - rzuciła mama. - Zajrzę tylko do geologów i sprawdzę wyniki badań, które przeprowadzali wieczorem. Amy? Chcesz iść ze mną?

Pokręciłam głową.

- Pójdę z panią, doktor Martin - powiedział Chris, wstając. Cieszyłam się, że zapewni mamie bezpieczeństwo, ale to dziwne uczucie, gdy nasz obrońca jest zaledwie parę lat starszy ode mnie.

Zaledwie zniknęli, do budynku weszła Emma.

- Sama? - zapytała z tym swoim zaśpiewem. Skinęłam głową.

Trzema długimi krokami przemierzyła pomieszczenie i wcisnęła mi coś do ręki. Szklaną kostkę, mniej więcej rozmiarów mojej dłoni.

- Chcę, żebyś to wzięła. I ukryła.

- Dlaczego?... - zapytałam, zerkając na kostkę. Wyglądała, jakby była zrobiona ze szkła, ale wypełniały ją jasne złote drobinki. Skrzyła się w blasku słońca, tworząc urzekający wir iskieł.

- Obserwowałam ciebie i Starszego. - Emma zerknęła na drzwi.

- Wiem, że nie uwierzycie na ślepo w nic, co ktoś inny wmawia wam jako prawdę. I doszłam do wniosku, że tego nam teraz najbardziej potrzeba.

- Chodzi ci... - Zawahałam się, niepewna, czy rzeczywiście chcę poznać odpowiedź. - Chodzi ci o tatę?

- Twój tato to dobry żołnierz - odparła Emma. - Postępuje według wytycznych misji.

Moje palce zacisnęły się na kostce. A co ona miała wspólnego z wytycznymi misji?

- Odwiedziłam wiele krajów - Emma nagle zmieniła temat.

- A teraz jestem na zupełnie nowej planecie. Ale nigdy nie czułam depaysement.

- A co to takiego to de... coś tam? - Nie potrafiłam wymówić tego słowa.

- Dépaysement. To... tęsknota za domem? - Emma pokręciła głową, aż ciemne loki odbiły się od jej policzków. - Nie, to nie do końca o to chodzi. Tylko... o to, co czujesz, kiedy wiesz, że nie jesteś w domu.

- Nie rozumiem. - Nie miałam na myśli samego słowa. Nie rozumiałam, dlaczego mi o tym mówi.

- Dawno temu nauczyłam się, że „dom” oznacza ludzi, nie miejsce. Dlatego nie miałam nic przeciwko udziałowi w tej misji. Nie liczyło się, gdzie jestem - tylko z kim.

Emma przekrzywiła głowę - ja też to usłyszałam. Mama i Chris wracali.

- Daję ci to - opuściła wzrok na szklaną kostkę w moich dłoniach - bo ani ciebie, ani tego chłopaka, Starszego, nie obchodzi żadna wojskowa misja. Nie obchodzi was, czego chce

GZF. Pragniecie tylko, żeby ta planeta stała się waszym domem.

- A czego ty pragniesz? - zapytałam, szukając jej wzroku.

- Nieważne - odparła smutno. - Jestem żołnierzem. Muszę wykonywać rozkazy. A ty nie. - Zerknęła szybko za siebie. - Idź. Ukryj to.

Ponaglenie w jej głosie sprawiło, że odwróciłam się i pomknęłam do mojego małego zakątka prywatności w tym „pokoju” z namiotów, po czym schowałam szklaną kostkę w spiworze.

- Amy? - zawołała mama.

Wyszłam zza namiotu. Emma zniknęła.

- Gotowa? - zapytała mama.

Gdy dotarliśmy do laboratorium mamy, byłam już cała złana potem - marzyłam o kolejnej burzy z piorunami, która przyniosłaby ochłodzenie. Wtedy przypomniałam sobie jednak o grupach poszukiwawczych i Kit i zaczęłam się modlić, żeby nie padało.

Ciało doktora Gupty zniknęło z laboratorium. Dzięki Bogu. Było za bardzo... rozczłonkowane. Tak jak Juliana Robertson. Z trudem przełknęłam ślinę, próbując wyprzeć z pamięci tamte odgłosy darcia i chrupania, kiedy pter pożerał doktora Guptę.

Z jakiegoś powodu moje myśli powędrowały do Lorin. Ją również znaleziono martwą, ale z pewnością nie zabił jej pter. Koszmarna śmierć doktora Gupty i Juliany Robertson sprawiła, że to nieskazitelne, z pozoru nietknięte ciało Lorin budziło o wiele większą grozę.

- Geolodzy muszą jeszcze przeprowadzić parę badań, zanim będą mogli skorzystać z mojej pomocy - wyjaśniła mama, kierując się prosto do blatu roboczego. Wyciągnęła fiolkę z jakimś kleistym płynem. Był ciemnoszkarłatny, prawie czarny.

- Co to takiego? - zapytałam.

- Krew ptera.

Zerknęłam za siebie. Ciało doktora Gupty zniknęło, ale pter wciąż tam leżał, rozciągnięty na metalowych stolikach. Mama przeprowadziła już sekcję i zważyła wszystkie narządy wewnętrzne, przez co w całym laboratorium unosił się obrzydliwy smród. Zostało jej jednak parę rzeczy do zrobienia.

Próbowałam nie zakrztusić się odorem krwi ptera. Zakryłam nos dłonią. Chris spojrzał na mnie ze współczuciem.

- Chcę, żebyś przeprowadziła próbę immunologiczną - zwróciła się do mnie mama. - Badaliśmy już ofiary... pora dla odmiany przyjrzeć się potworowi.

- Przecież wiemy, co zabiło ptera - odparłam. Moje kule.

Mama bez słowa podała mi próbkę i wspólnie wzięłyśmy się do badania krwi ptera.

Kiedy skończyłyśmy, mama odczytała na głos wyniki z komputera.

- Wszystkie próby negatywne. Z wyjątkiem tej na obecność gen-modu.

Gapiłam się na nią z rozdziawionymi ustami. Rozmawiałam wcześniej ze Starszym o pterach, ale tak naprawdę nie wierzyłam, że mogłyby być tworem inżynierii genetycznej, powołanym do życia przez pierwszych kolonistów. Materiał modyfikowany genetycznie został wynaleziony na Ziemi - na Sol-Ziemi. W ogóle nie powinno go tu być, a z pewnością nie w żywej istocie obcego pochodzenia. Ale nie powinno go być również we krwi doktora Gupty.

- Czy ten materiał genetyczny mógłby pochodzić od... - Chris ucichł, wyraźnie skrępowany. - Czy mógłby pochodzić od... e... doktora Gupty?

Mama pokręciła głową.

- Zbyt wcześnie... To stworzenie zginęło, zanim zdążyło strawić doktora Guptę.

Wiedziała o tym. Przeprowadzała sekcję. Znalazła fragmenty jego ciała w żołądku ptera.

- W takim razie jak to możliwe? - zapytałam. - Jak to w ogóle możliwe, że materiał modyfikowany genetycznie znalazł się w krwiobiegu ptera? Czy mógłby pochodzić z tej planety?

Mama przyjrzała się bacznie próbce krwi ptera.

- To powinno być niemożliwe. Rozmawiałam z Frankiem, jednym z geologów. Twierdzi, że w tutejszej glebie występują minerały, jakich nigdy wcześniej nie widział. Mówimy o całym szeregu nowych pierwiastków w układzie okresowym! A to oznacza, że na tej planecie nie powinno występować nic, co pochodziłoby bezpośrednio z naszej planety, a już szczególnie materiał modyfikowany genetycznie, wytworzony w sztucznych warunkach.

Nie musiałam czekać, aż skończy swoje badania. Już znałam odpowiedź - znaleźliśmy materiał modyfikowany genetycznie w krwiobiegu ptera, bo na tej planecie byli już ludzie. I coś zrobili. Coś podobnego do tego, co my robiliśmy z embrionami koni i psów. Tyle że oni posunęli się za daleko i stworzyli potwory. Być może te same potwory, które ich potem wybiły, zostawiając tylko kamienne ruiny.

Przyglądając się, jak matka przygotowuje pozostały sprzęt, zyskałam stuprocentową pewność, że nie ma pojęcia o tym, co tato wie o kompleksie za jeziorem. Wciąż sądziła, że jesteśmy pierwszymi ludźmi na tej planecie. Otworzyłam usta, gotowa wyjawić jej prawdę, którą ukrywał tato, lecz nie padło z nich żadne słowo. Musiałam liczyć na to, że te badania czegoś dowiodą. Czegoś, co nas ocali.

Była pewna zaciętość w tym, jak mama zaciskała zęby, żarliwe skupienie w sposobie,

w jaki teraz pracowała. To przypomniało mi o Emmie i o tym, co rano mówiła. Zupełnie jak gdyby wszyscy wie-dzieli, że z tym światem jest coś nie tak... tylko nie potrafdliśmy jeszcze określić, co takiego dokładnie.

Drzwi laboratorium rozsunęły się po kilku godzinach. Zaskoczony Chris poderwał się na równe nogi - spał, podczas gdy mama i ja pracowałyśmy. Do środka wszedł Starszy.

Rozglądając się po pomieszczeniu, sprawiał wrażenie trochę zagubionego.

- Pułkownik Martin powiedział, że muszę tu przyjść - odezwał się głośno. Zobaczył mnie i kąciki jego ust uniosły się z ulgą, ale uśmiech nie dotarł do oczu. Wyglądał na zmęczonego - zmęczonego utarczkami z tatą, zmęczonego zrywaniem kolejnych warstw tej planety i odnajdywaniem jedynie półprawd i niebezpieczeństw.

- Kit? - zapytałam natychmiast.

Starszy pokręcił głową.

- Wciąż zaginiona. Potrzebujecie mnie?

Mama wstała.

- Tak mi przykro. Prosiłam Boba... pułkownika Martina, żeby cię tu przysłał, zanim odkryliśmy zaginięcie waszej lekarki. Dziwne, że mimo to poprosił cię, abys tu przyszedł. Nie chciałam przerywać poszukiwań.

- Nic się nie stało - odparł ciężko Starszy. - Musieliśmy zrobić przerwę na obiad.

- W takim razie to zajmie nam tylko chwilę.

Skinęła na Starszego, żeby podszedł z nią do miejsca, w którym stały cylindry z embrionami. Starszy rzucił mi pytające spojrzenie i wtedy zdałam sobie sprawę, że mama wezwała go, ponieważ ja nie chciałam zdradzić naszym naukowcom nic na ich temat.

- Rozpoczynamy proces inkubacji - wyjaśniła, wskazując Starszemu cylindry - i nie jesteśmy pewni, co to są za zwierzęta. Wiesz może?

- Owszem - odparł uprzejmie, lecz ostrożnie.

- Och, to dobrze, liczyłam na to. Więc co my tu mamy? - stanęła przez cylindrem wypełnionym złotym, paskudnym płynem i małymi fasolkami ludzkich klonów. Klonów Starszego. Kopii pierwszego Najstarszego. Wszyscy byli dokładnie tacy sami pod względem DNA, ale żaden z nich nie był moim Starszym.

- To są... - głos uwiązał Starszemu w gardle. - To są ludzkie embriony. Sklonowane.

Mama cofnęła się, zaskoczona.

- Ludzkie? GZF nie wspominała nic o zachowywaniu ludzkich embrionów...

- Nie pochodzą od GZF - Starszy szybko odzyskał opanowanie. - Zostały stworzone na pokładzie „Błogosławionego”.

Przez Najstarszego Plagi. Stworzył setki kopii samego siebie, byle tylko zyskać pewność, że w tej czy innej postaci będzie wiecznym dyktatorem na pokładzie niezmiennego „Błogosławionego”.

- W jakim... - mama urwała, szukając właściwych słów. - Przepraszam, nie chcę być nieczuła ani niegrzeczna, ale w jakim celu?

Starszy nie odrywał wzroku od złotego płynu. W jakim celu? Zeby stworzyć więcej niego. Zeby go zastąpić. Właśnie tym groził mu Najstarszy - że zabije Starszego i zacznie od nowa z kolejnym embrionem wyciągniętym z lepkiej mazi. Właśnie to zrobił z Orionem...

- Bez celu - odparł głucho Starszy.

- Czy mogę... oczywiście możesz powiedzieć nie, ale czy w takim razie mogę się ich pozbyć? Przyda nam się miejsce.

Starszy skinął głową, wciąż wpatrując się w cylinder. Jakie to uczucie, patrzeć na potencjalnych siebie? Wyobraziłam sobie, jak mama wyciąga jedną z tych maleńkich fasolek i umieszcza w inkubatorze, obok koni i psów. Po dziewięciu miesiącach wychodzi nowo narodzony Starszy. Ma jego oczy i jego twarz... ale czy ma jego duszę? Nie.

- W takim razie dobrze - powiedziała mama i odwróciła się do cylindra. Uniosła małą klapkę na ukrytym panelu sterowania, wcisnęła guzik i wkrótce otoczył nas cichy warkot. - To zajmie tylko chwilę.

Cofnęła się. Na dnie cylindra otworzył się odpływ i gęsty płyn, pełen setek potencjalnych Starszych, zaczął znikać w rurze pod podłogą.

Po paru minutach cylinder był pusty.

- Dziękuję - powiedziała mama, wracając do analizy krwi ptera.

Niezręczne napięcie, które nieświadomie zbudowała, nagle przerwał trzask radia. Natychmiast skupiliśmy się na Chrisie, który stał wyprostowany, nasłuchując radia na ramieniu. Nie słyszeliśmy tego, co on, ale jego wzrok powędrował do Starszego.

I już wiedziałam.

Znaleziono Kit.

34

STARSZY

Przynieśli jej ciało prosto do kapsuły, dlatego ucieszyłem się, że przynajmniej będę tu na nią czekał.

Włosy miała zmierzwiłone od ziemi, gałązek i liści. Wielka, ciemnobrązowa plama błota znaczyła lewą stronę jej twarzy i niegdyś białego fartucha laboratoryjnego. Tak bardzo

się z niego cieszyła - dostała go w prezencie od doktora Gupty - a ja nabrałem wtedy nadziei, że Ziemianie i moi ludzie mogą naprawdę ze sobą współpracować. Teraz był zniszczony, zresztą nie tylko on. W jej piersi ziała czerwono-czarna rana, dziura, która eksplodowała w miejscu, gdzie powinno znajdować się serce.

To nie był wypadek.

To nie był atak żadnej bestii, brutalne pokiereszowanie przez potwora.

Kit zabiła broń. Broń trzymana przez mordercę.

- Kto ją zabił? - zapytałem, odwracając się do pułkownika Martina.

Uniósł dłonie.

- Nie mamy pojęcia.

- Żaden z moich ludzi nie zdołałby zadać takiej rany! - wrzasnąłem, wskazując ziejącą dziurę w klatce piersiowej Kit. - Jeden z pańskich żołnierzy... w arsenale...

- Starszy, nie dysponujemy bronią, która mogłaby zostawić taką ranę - zapewnił mnie solennie pułkownik.

Zwróciłem się do Amy, a ona w milczeniu skinęła głową.

Ludzie, którzy przynieśli ciało Kit, położyli ją na metalowym stoliku, nieopodal szczątków ptera. Oczy paliły mnie tak bardzo, że ledwo widziałem. Kit była życzliwa i dobra. Pragnęła jedynie nieść pomoc innym ludziom. Tak samo jak ja musiała wziąć na swoje barki odpowiedzialność, choć nie była na to jeszcze gotowa. Chciała za wszelką cenę czynić dobro, zastępując poprzednika, który nadużył swojej wiedzy i władzy.

A teraz nie żyła.

To niesprawiedliwe. Doskonale zdawałem sobie sprawę, jakie to dziecinne, równie bezcelowe, jak napad złości, ale nic nie mogłem na to poradzić. To niesprawiedliwe.

- Spójrzcie tylko, jak zadano te rany - powiedziała doktor Martin, nachylając się nad ciałem.

- Zupełnie jakby ktoś postrzelił ją eksplodującym pociskiem - dodała Amy.

Spojrzała mi w oczy. Myśleliśmy o tym samym. Być może w arsenale rzeczywiście nie było takiej broni, ale to jeszcze nie znaczyło, że nie znaleźlibyśmy jej w kompleksie, który odkryliśmy. Albo w rękach obcych, żyjących na tej planecie.

Matka Amy w milczeniu zaczęła przygotowywać się do sekcji zwłok. Pułkownik Martin i jego ludzie wyszli, ja jednak zostałem. Chciałem to zobaczyć. Chciałem się dowiedzieć, co zabiło Kit.

Chris również został - w końcu miał strzec Amy. Nie podobał mi się jednak sposób, w jaki na nią patrzył. Jakby do niego należała. Nie potrafiłem powstrzymać złośliwego

uśmieszku, kiedy zaczął pomału zielenieć, obserwując autopsję.

Matka Amy zgromadziła na podstawie wyglądu zewnętrznego ciała tyle informacji, ile zdołała. Zebrała wymazy i resztki spod paznokci. Wszystko starannie opisała i zapakowała, po czym wręczyła Amy, a ta bez słowa przejęła próbki.

Wpatrywałem się w nią ponad ciałem. Spojrzała mi w oczy. Żadne z nas nic nie powiedziało, ale w jej wzroku widziałem współczucie - i gniew. Kit nie powinna była zginąć. Nie w ten sposób.

Oczy Kit ciągle otwierały się na nowo, chociaż doktor Martin zamykała je już dwukrotnie. Usta miała rozwarłe, jak gdy-by krzyczała, kiedy matka Amy rozcinała jej skórę, żeby zajrzeć w głąb rany.

Próbowałem się nie przyglądać, nie dostrzegać kształtów i barw poszczególnych narządów, kości, żył, mięśni, tłuszczu i wszystkich tych rzeczy, które nie powinny być widoczne, tylko ukryte pod warstwą skóry i życia. Z łatwością mógłbym wsunąć głowę do otworu w klatce piersiowej Kit - teraz nie było w niej nic poza osmalonym ciałem i szerniałą krwią.

Doktor Martin poświeciła do rany, po czym wzięła od Amy pię-setę. Ze swojego miejsca nie potrafiłem powiedzieć, co takiego schowała do woreczka i podała córce.

- Zobacz, co zdołasz z tego wyciągnąć.

Amy zaniósła woreczek na blat roboczy, a ja poszedłem za nią. Stchórzyłem, ale chyba nie byłem w stanie dłużej patrzeć na martwą twarz Kit.

- Co to takiego?

- Jakieś odłamki - powiedziała. Wzięła pięsetę, żeby wydobyć z woreczka długi kawałek czegoś, co wyglądało jak szkło. Wąski i przezroczysty, o ostrych krawędziach. Był cienki jak igła, dlatego Amy chwyciła go tak delikatnie, jak tylko potrafiła. Zbyt delikatnie - wyslizgnął się z pięsety i spadł z grzechotem na metalowy blat. Wciągnąłem powietrze, czekając na brzęk tłuczonego szkła.

Ale szkło się nie stłukło.

Amy podniosła go raz jeszcze, tym razem ściskając pięsetę tak mocno, że aż drżały jej ręce. Szkło nie pękło.

Położyła je na blacie i wzięła śrubokręt. Przytknęła płaski czubek narzędzia pośrodku odłamka i nacisnęła jedną ręką... dwiema... całym ciężarem ciała.

Mimo to szkło nie pękło.

Wreszcie umieściła je na szkiełku podstawowym i wsunęła pod mikroskop. Przyjrząwszy się przez chwilę, odsunęła się, żeby również mógł rzucić okiem. Wyglądało

jak normalne szkło, tyle że z cieniutkimi złotymi pasmami, które rozchodziły się niczym promienie słońca, niemal niewidocznymi nawet w powiększeniu. Coś mi to przypominało...

- Z pewnością nie dysponujemy żadną bronią, która zostawiłaby taką ranę i odłamki szkła - stwierdziła Amy.

- Cokolwiek żyje na tej planecie, jest uzbrojone lepiej od nas. To właśnie chciałaś powiedzieć. - Rozmawialiśmy przyciszonymi głosami, żeby Chris i jej matka nas nie słyszeli.

Amy przytaknęła w milczeniu, a jej twarz znaczył niepokój.

Zacząłem chodzić w tę i z powrotem. Zaraziłem się tym nawykiem od Amy. Mieliśmy do czynienia z wrogiem mądrzejszym i szybszym niż my, dysponującym lepszym uzbrojeniem, za to pozbawionym zahamowań, by go użyć. Nie tylko opracował eksplodujące kule, które zabiły Kit, ale prawdopodobnie potrafił również kontrolować ptery.

Skoro obcy byli tacy mądrzy, to z pewnością wybierali swoje ofiary z jakiegoś konkretnego powodu. Zeszłej nocy mogli porwać mnie i Amy, lecz zamiast tego zabrali Kit.

Dlaczego?

Porwali doktora Gupte - lekarza medycyny, nie naukowca. Porwali Julianę Robertson, żołnierza. I Lorin. Biedną, prostoduszną Lorin, przez cały czas odurzoną fidusem.

Zastygłem.

Zakrwawione, ubłocone ubrania Kit leżały na stosiku w kącie. Rzuciłem się do nich, tym nagłym poruszeniem sprawiając, że matka Amy zapiszczała z zaskoczenia. Patrzyła na mnie jak na wariata, podczas gdy ja przetrząsałem kieszenie wielkiego fartucha laboratoryjnego Kit. Obie kieszenie były pełne medplastów we wszystkich kolorach - lawendowych na ból, żółtych na niepokój, niebieskich na problemy żołądkowe.

Lecz ani śladu zielonych.

Wiedziałem, że Kit ma dziesiątki medplastów z fidusem. Widziałem je wczoraj. Wciąż je rozdawała; nosiła przy sobie. Nie popierałem tego, zdawałem sobie jednak sprawę, że nie wyrzuciła ich tak po prostu po moich słabych protestach.

Tyle że w kieszeniach nie znalazłem ani jednego.

Lorin była pod wpływem fidusa. Doktor Gupta rozmawiał z Kit o fildusie, kiedy maszerowali przez las w kierunku ruin. Może obcy - im dłużej o tym myślałem, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że to z nimi mamy do czynienia - zobaczyli odurzoną Lorin i porwali ją. Ją i doktora Gupte, który jej towarzyszył i być może powiedział porywaczom, co się z nią dzieje. A Juliana Robertson... została wysłana na poszukiwania doktora Gupty i Lorin.

Co, jeśli ich znalazła? Co, jeśli właśnie dlatego zginęła?

Tyle że Ziemianie nie mogli zdradzić obcym zbyt wiele na temat substancji, którą odurzono Lorin.

Ale Kit mogła. Doskonale wiedziała, co się stanie, kiedy ktoś przyklei sobie jasnozielony medplast.

Znalazłem się na nowej planecie, a mimo to wciąż nie mogłem uciec przed fidusem.

35

AMY

Wychodząc z laboratorium razem z mamą, padałam z nóg. I wcale nie byliśmy bliżej odkrycia, co zabiło Kit - czy raczej kto ją zabił.

Tylko co do jednego nie mieliśmy żadnych wątpliwości. Coś - lub ktoś - wziął nas sobie za cel.

Sytuacja była już wystarczająco zła, kiedy baliśmy się planety. Tyle że planeta to coś bezpostaciowego. Bać się jej to jak bać się natury. Planeta wcale nie chciała nas zabić, po prostu to robiła, trochę jak dzikie zwierzę w trakcie polowania.

Co innego wiedzieć, że morduje nas coś konkretnego, obdarzonego inteligencją i złego. Teoria Starszego na temat obcych stawała się coraz bardziej trafna.

Teraz naprawdę się cieszyłam, że mam u boku Chrisa w roli strażnika.

Nie myślałam o jedzeniu, lecz gdy wróciliśmy do budynku, poczułam, że umieram z głodu. Wciągnęłam swoją rację żywieniową aż nazbyt szybko - co z uwagi na mdły smak i zbyt gliniastą konsystencję wydawało się najlepszym rozwiązaniem. Mimo to najchętniej poprosiłabym o więcej, oparłam się jednak tej pokusie. Musieliśmy oszczędzać jedzenie. Jeszcze nie znaleźliśmy na tej planecie niczego zdatnego do spożycia, było też zbyt wcześnie, by ocenić, czy będziemy mogli zebrać plony.

W końcu wymknęłam się chyłkiem do swojego pokoju, gotowa paść jak kłoda. Wyciągnęłam śpiwór z kąta, w którym go upchnęłam, kiedy rano przyszła do mnie Emma, i naraz poczułam w środku coś twardego.

Szklana kostka od Emmy.

Świeciła.

Byłam tak zaskoczona, że upuściłam śpiwór razem z kostką. Upadła ze stukotem na ziemię. Serce mi zamarło; dałabym głowę, że kostka się rozbije. Ale nie. Bez choćby jednej rysy wylądowała z łoskotem na kamiennej podłodze.

Zupełnie jak szkło z broni, która zabiła Kit. Ono też nie pękło.

- Amy? - zawołał ojciec. - Co to było?

- Upuściłam... - W popłochu szukałam odpowiedzi. - Latarkę - dokończyłam niezbyt przekonująco. Łoskot był za głośny, jak na latarkę, ale tato to kupił.

Podniosłam szklaną kostkę, nie odrywając od niej wzroku. Skrzące się złote drobinki rzucały wokół blask. Kostka, chociaż chłodna w dotyku, świeciła równie jasno, jak fluorescencyjna żarówka.

- Nie marnuj baterii - zawołał tato zza namiotowej ściany, za pomocą której wydzielił sypialnię dla siebie i mamy.

Wrzuciłam kostkę z powrotem do śpiwora. Pomieszczenie na powrót pogrążyło się w ciemnościach.

- Dobranoc, skarbie - zawołała zaspana mama.

- Branoc - wymamrotałam, gapiąc się na swój śpiwór i słaby blask przebijający się przez nylon.

W pierwszym odruchu chciałam znaleźć Emmę. Nie byłam jednak pewna, w którym budynku mieszka, a nie chciałam przyciągać niczyjej uwagi do kostki. Emma dała mi wyraźnie do zrozumienia, że to tajemnica. Klucz do tego świata.

Przypomniałam sobie odłamki szkła z rany Kit. Szklana kostka potrafiła oświetlić cały pokój, musiała zatem kryć w sobie pewnego rodzaju energię. Jeśli eksploduje...

Z przerażeniem wpatrywałam się w podłogę w miejscu, w którym upuściłam kostkę. Gdyby pękła, czy urwałoby mi nogi? Tak samo jak rozerwało klatkę piersiową Kit?

Musiałam powiedzieć o tym Starszemu.

Zanim się wykradłam, upewniłam się, czy załadowana trzydziestka ósemka czeka w gotowości przy moim pasku. Potem skrzyłam śpiwór, jakby to był worek, i upuściłam na zewnątrz. Na szczęście podszywka stłumiła dźwięk. Podciągnęłam się oburącz na parapecie. Otarłam kolanami o kwadratowe zagłębienie i prawie zaklęłam z bólu.

Przemknęłam się przez cienie. Starszy i ja ostatnio się spieraliśmy, ciągnęci w przeciwnych kierunkach przez własne zmartwienia i najbliższych nam ludzi. Lecz instynkt kazał mi iść do niego. Kiedy przychodziło co do czego, to jemu właśnie ufałam. Dopiero co zapadł zmierzch, ale nikt nie zamierzał ryzykować wychodzenia tuż po godzinie policyjnej, nie po śmierci Kit. Chris patrolował niższy poziom budynków. Byłam tak zaabsorbowana własnymi myślami, że prawie na niego wpadłam. Ledwie zdążyłam się schować za rogiem budynku, wstrzymując oddech. Chociaż nie miał latarki, pewnie stąpał ścieżką. Odliczyłam do dziesięciu, zanim skrzyłam z powrotem za róg i pomknęłam schodami do budynku Starszego.

Nie spał, tylko chodził w kółko po swoim pokoju. Podniósł wzrok i uśmiechnął się

szeroko.

- Właśnie się zastanawiałem, jakby tu przyciągnąć twoją uwagę.

- Ciii. - Zerknęłam w stronę drzwi. Byłam spięta przez całe to zajście z Chrisem. -
Chodźmy na górę.

Wszystkie te zakurzone budynki wyglądały mniej więcej tak samo - duże pomieszczenie na parterze i mniejsze ponad nim, połączone kamienną klatką schodową. U nas na piętrze tato przechowywał zapasy. Kiedy pomagałam mu wносить tam nasz dobytek, zauważyłam, że w pomieszczeniu na tyłach, przylegającym do zbocza, nie ma okien. Nie dawało może wiele prywatności, ale lepsze to niż nic.

- Co się dzieje? - zapytał Starszy, idąc za mną na górę.

Weszłam do pokoju bez okien i rozłożyłam śpiwór na podłodze, po czym wyciągnęłam z niego szklaną kostkę.

- Dostałam to od Emmy.

Starszy ze zdumieniem spoglądał na kostkę. Obrócił ją na mojej dłoni i cienie na ścianie puściły się w chaotyczny taniec.

- Już to kiedyś widziałem. Emma i... - Popatrzył na mnie.

- Emma i twój tato mieli to pierwszej nocy po naszym lądowaniu.

- Dała mi to. Spójrz - wygląda zupełnie jak szkło, które znaleźliśmy w ranie Kit. - Światło rzuciło na twarz Starszego ciemne cienie, nadając jej przyprawiający o gęsią skórkę, nieodgadniony wyraz.

Starszy zakrył kostkę dłonią. Blask prześwitywał przez jego skórę, przez co wydawała się czerwona.

- Jak to działa? - zapytał.

Pomyślałam o piasku pod kapsułą, który delikatnie świecił po naszym lądowaniu. Szkło to stopiony piasek - rakiety kapsuły wypaliły glebę. Potem ziemia świeciła w nocy, zupełnie jak ta kostka.

- Energia słoneczna? - podsunęłam niepewnie. - Szkło wchłania światło słońca?

- Może. - Starszy obrócił kostkę w dłoni, jakby się spodziewał, że znajdzie gdzieś przełącznik.

- Te kwadratowe zagłębienia w parapetach. - Zaczęłam masować kolano w miejscu, w którym je otarłam, kiedy wymykałam się z pokoju. - Wydawało nam się, że to miejsce na jakieś posążki albo coś w tym rodzaju. Mają dokładnie ten sam rozmiar co kostka.

Starszy przesunął dłońmi po gładkiej powierzchni.

- Wystarczy postawić kostkę rano w oknie, żeby przez cały dzień się ładowała, a

potem świeciła w nocy. Genialne. - Podniósł wzrok.

- Pamiętasz świecący kwadrat w suficie tamtego budynku w kompleksie?

- Myślisz, że to coś podobnego?

Starszy przytaknął.

- Założę się, że jego wierzch jest odsłonięty od strony dachu, żeby się ładował. Może cały tamten sprzęt - komputery, stanowisko komunikacyjne - zasila energia słoneczna.

Blask w kostce zaczął przygasać. Nie zdążyła się mocniej naładować w świetle słońca, zanim dziś rano schowałam ją do śpiwora.

- Odkąd wyładowaliśmy, wciąż brakuje nam jednego elementu

- powiedział Starszy. - Jakie cenne bogactwa naturalne GZF znalazła na Centauri-Ziemi? Cała misja podejmuje tę kwestię w pierwszej kolejności, nawet twój tato. A co jeśli to właśnie jest to cenne bogactwo?

Skinęłam głową.

- To ma sens. Energia słoneczna jest za darmo. Odpowiednia ilość takiego szkła mogłaby oświetlić całe miasto.

- A jeśli pęknie... - Starszy przekręcił dłoń grzbietem do góry, lecz nie upuścił kostki. - Bum.

Myślał o tym samym, co ja: to szkło zabiło Kit. Ktokolwiek zrobił tę kostkę, zrobił także kule. Kostka nie pękła, kiedy uderzyła o kamienną podłogę, jeżeli jednak obcy znaleźli sposób na to, by kule eksplodowały przy kontakcie z celem... Cóż, to by wyjaśniało, dlatego klatka piersiowa Kit wyglądała tak, a nie inaczej.

- To chyba nie wszystko - dodał Starszy.

Przedstawił mi swoją teorię, zgodnie z którą wszystkie ofiary łączy fidus.

- Ale nie mam pojęcia, jak udowodnić, że chodzi właśnie o niego - zakończył. Szklana kostka ledwo dawała poblask, przez co pokój wypełniały bardziej cienie niż światło.

Pomyślałam o pustce w oczach doktora Gupty, kiedy pożerał go pter. O tym, jak Lorin zginęła bez choćby śladu obrażeń na ciele. O znajdujących się w laboratorium w kapsule próbkach ich krwi.

I wtedy doznałam olśnienia.

- Wiem, jak można to udowodnić.

36

STARSZY

Zabrałem ze sobą szklaną kostkę. Amy poprowadziła mnie do kapsuły, kryjąc się,

dopóki nie dotarliśmy do lasu. Miała ze sobą broń, osobiście wolałem jednak widzieć zbliżającego się wroga - ptera czy obcego.

Wlekliśmy się przez las, a ja przez cały czas myślałem o tym, jaki wygodny wydawał się śpiwór Amy, jak miło byłoby, gdyby został - razem z nią - w moim budynku. Zeszłej nocy, gdy wymknęliśmy się do kompleksu, zrobiliśmy to przekonani, że największe zagrożenie na tej planecie stanowią potwory na niebie. Lecz teraz wiedzieliśmy, że czyha tu coś więcej. Każdy cień zdawał się złowieszczy, śmiercionośny.

Spod kapsuły bił łagodny blask. Amy miała rację: szkło na tej planecie w jakiś sposób chłonie energię słoneczną. Pomyślałem z goryczą o reaktorze w maszynowni „Błogosławionego” i błyskającym czerwonym świetle, które oznaczało stan topnienia. Gdyby udało nam się zasilić statek energią ze szkła...

Gdyby nam się udało, to... co wtedy? Bartie wstrzymałby się na kolejnych kilka lat z rozdaniem czarnych medplastów? Byli tam uwięzieni i tak, jak ostrzegła Amy, kiedy ich zostawialiśmy, mogli jedynie czekać na śmierć.

Musiałem ich ocalić.

Amy zaprowadziła mnie do laboratorium. Mijając arsenał, zastanawiałem się, czy nie przystanąć i nie wziąć broni dla siebie, ale poszedłem dalej. Od uzbrojenia wolałem odpowiedzi.

- Pomagałam mamie przy jej eksperymentach - wyjaśniła Amy, biorąc bawełnianą wymazówkę i podchodząc do pompy z fidusem. Przewody wciąż były odsłonięte i zepsute, po tym jak rozłączyłem je w pośpiechu dawno temu. Amy uniosła panel zasłaniający dyszę, przez którą Najstarszy podawał fidusa. W środku wciąż były pozostałości lepkiego, kleistego płynu. Zaschnął w plamy na krawędzi zaworu, mimo to Amy wsunęła wymazówkę głęboko do pompy, po czym wyciągnęła ją, całą w ciemnym syropie.

Poruszała się szybko, żeby fidus nie kapnął z wymazówki, zanim nie przełoży próbki do miseczki. Następnie wstawiła miseczkę do maszyny.

- Aparatura analityczna - wyjaśniła, podczas gdy maszyna ruszyła. - Krótko mówiąc, przeprowadza prostą próbę, dzięki której sprawdzimy, czy coś zawiera w sobie fidusa.

Maszyna zadzwoniła.

- Gotowe. Teraz potrzebna nam próbka. - Otworzyła drzwiczki małej lodówki i wyciągnęła z niej próbki krwi. Przeczytałem kolejno każdą etykietę: Raj Gupta, Juliana Robertson, kobieta ze statku, lekarka ze statku.

- Nawet nie zadali sobie trudu, żeby wpisać imiona Lorin i Kit - zauważyłem z goryczą.

Amy pochyliła głowę.

- Przykro mi.

Zaczęła od krwi Lorin.

- Wiemy, że miała medplast, więc wynik próby na obecność fidusa powinien być pozytywny. - Zaczekaliśmy, aż maszyna skończy analizować krew Lorin, po czym wspólnie odczytaliśmy wyniki.

- Sporo tego - stwierdziłem, patrząc na raport. - Za dużo, jak na jeden medplast.

Amy zmarszczyła czoło.

- Taka dawka fidusa...

- Zabiłaby ją.

- Ciało Lorin nie nosiło śladów ataku. - Amy spojrzała na mnie, a wniosek pomału świtał jej w głowie. - Widziałam je, zanim ją pochowali. Wyglądała, jakby spała. - Jej oczy przepeliła mieszanina przerażenia i obrzydzenia. - Wyglądała tak samo jak Steela. Tamta kobieta, którą Doktorek zabił fidusem.

- Sprawdź pozostałe próbki.

We krwi doktora Gupty także był fidus - nie tyle, co u Lorin, ale dość, żeby w milczeniu godził się na pożeranie żywcem przez ptera. Również u Juliany Robertson próba dała pozytywny wynik. Zastanawiałem się, co ją zabiło, fidus czy pter. Może spotkał ją ten sam los, co doktora Guptę, tyle że bez kuli prosto w mózg, która zakończyłaby jej cierpienia szybko i litościwie.

- Ani śladu we krwi Kit - oznajmiła Amy.

- W takim razie zabiły ją kule... czy to szkło solarne, czy czego tam używają obcy. - Ale to tylko Kit. Pozostali... - Amy, jakim cudem na tej planecie znalazł się fidus? Przecież wynaleziono go na statku. A statek nigdy tu nie wylądował.

- Czy to możliwe, że Najstarszy Plagi jednak wylądował? Może wylądował, a potem wrócił na pokład?

Pokręciłem głowę.

- Zgodnie z założeniami „Błogosławiony” miał jedynie dotrzeć do Centauri-Ziemi. Gdyby wylądował, w żaden sposób nie mógłby wrócić na orbitę. Rezerwa paliwa pozwalała jedynie na deorbitację, nic więcej. I zanim zapytasz - kapsuły nie da się z powrotem podłączyć do statku. Słyszałaś, jak pękał metal. Poza tym w kapsule też nie ma więcej paliwa. „Błogosławiony” został zaprojektowany do jednorazowego lądowania.

- W takim razie... skąd? - zapytała Amy.

Żadne z nas nie potrafiło na to odpowiedzieć.

AMY

Kiedy opuszczaliśmy kapsułę, szklana kostka zgasła już całkiem. Oboje pograżyliśmy się we własnych myślach, z nerwami napiętymi do granic. Podskakiwaliśmy na każdy odgłos w lesie, wzdrygaliśmy się na widok każdego cienia.

I dlatego niemal wrzasnęłam, gdy dotarliśmy na skraj kolonii i ktoś powiedział:

- Amy!

- Chris! - Chwyciłam się za serce, kiedy wyłonił się z cienia. Starszy przewrócił oczami.

- Co wy tu robicie? - Chris spojrzał na nas.

- Nie twój interes. - Starszy stanął przede mną, jakby chciał mnie chronić.

Chris go zignorował.

- Odprowadzę was - zaproponował, poprawiając karabin na ramieniu.

- Nie ma takiej potrzeby - odwarknął Starszy.

Położyłam dłoń na jego ramieniu. Wiedziałam, że nie cieszy go taki obrót spraw, ale nie byłam też gotowa do starcia z ojcem, chociaż Starszy wyraźnie szukał guza.

- Wracaj do siebie. Chris mnie odprowadzi.

- Ale... - zaczął Starszy, lecz ja pokręciłam głową. Odwrócił wzrok, po czym ruszył ścieżką w stronę swojego domu.

- Chyba nieszczególnie za mną przepada - skomentował Chris, gdy Starszy odmaszerował jak burza.

Stłumiłam śmiech.

- Owszem. Ale w porządku. Przejdzie mu.

Chris spojrzał na mnie ze zwątpieniem.

Zamiast zaprowadzić mnie prosto do najbliższego budynku - co zajęłoby nam niecałe pięć minut - Chris zboczył w prawo, okrążając kolonię wzdłuż skraju łąki.

- Amy, jest parę spraw, o których chciałbym ci powiedzieć...

- zaczął. Przeczesał włosy palcami, trochę jak Starszy, kiedy był sfrustrowany, po czym znieruchomiał nagle, zapatrzonej w gwiazdy.

- Tak? - zachęciłam go.

Milczał przez długą chwilę.

- Chyba... chyba mogę ci zaufać. Nie przypominasz swojego ojca. Po usłyszeniu tego komentarza odebrało mi mowę. Czy Chris chciał przez to powiedzieć, że mój ojciec nie jest

godzien zaufania? Emma też o tym wspominała, ale co innego usłyszeć to z ust Chrisa, który w zasadzie został prawą ręką ojca od czasu tamtej pierwszej wyprawy po sondę.

Sonda. Chris tam był, kiedy tato znalazł kompleks.

- Wiem, co chcesz powiedzieć. - Zignorowałam jego minę.

- Starszy i ja... znaleźliśmy już ten kompleks. Wiemy, że tam jest.

Chris był autentycznie zaskoczony. Najwyraźniej nie potrafił znaleźć słów, żeby mi odpowiedzieć.

- Nie wiem, czemu tato trzyma to w tajemnicy... - ciągnęłam. Spojrzałam na zadziwiająco niebieskie oczy Chrisa. - Ale dzięki.

- Dzięki? - powtórzył, wciąż nie mogąc wydusić nic więcej.

- Za to, że zaufałeś mi na tyle, by o tym powiedzieć - odparłam. Dotknęłam jego łokcia i nie odzywałam się, dopóki nie skupił na mnie całej uwagi. - Naprawdę dziękuję. To wiele dla mnie znaczy.

Mówiąc mi o kompleksie wbrew woli mojego ojca, dopuścił się zdrady, której ojciec nigdy mu nie wybaczy. Ale miałam wrażenie, że tato ukrywa coś jeszcze ważniejszego, z czego Starszy i ja nie zdajemy sobie sprawy. Coś, co nie dawało spokoju Emmie i Chrisowi.

- Dlaczego tato trzyma ten kompleks w takiej tajemnicy? Czy to ma coś wspólnego z obcymi?

Oczy Chrisa ze zdumienia zaokrągliły się jeszcze bardziej.

- Nie rób takiej miny! - zaśmiałam się cicho. - Starszy i ja odkryliśmy, że to obcy zaatakowali Kit. I zabili pierwszych kolonistów.

Obejrzałam się na budynki za naszymi plecami, zaledwie czarny zarys na tle rozgwieżdżonego nieba.

Chris dotknął mojej twarzy, sunąc palcami wzdłuż policzka, a potem skręconego pasma włosów. Oddech uwiązł mi w gardle, bo spojrzał na mnie z taką intensywnością, że ledwie mogłam zebrać myśli.

- Amy Martin, jesteś jedyna w swoim rodzaju.

Przyciągnął mnie bliżej, a ja, niczym magnes w obliczu metalu, nie potrafiłam stawić oporu.

- Dajesz mi nadzieję - wyszeptał. Jego ciepły oddech sprawił, że włoski na karku stanęły mi dęba.

Przez jedną krótką chwilę sądziłam, że zaraz mnie pocałuje - i nie potrafiłam zmusić mojego ciała, żeby go odepchnęło.

Nie pocałował mnie jednak.

Oparł czoło o moje i staliśmy tak po prostu, przy świetle milionów migoczących gwiazd, trzymając się nawzajem, jakby to miało nas uchronić przed zdrażliwą Ziemią.

38

STARSZY

Obudziwszy się przed świtem, patrzyłem, jak światło poranka sunie po suficie. Było jeszcze tyle do zrobienia, lecz ja myślałem tylko o Kit. Swego czasu zazdrościłem Najstarszemu, że zawsze mógł polegać na Doktoru, umknęło mi jednak, że Kit stała się dla mnie równie ważna. Dla nas wszystkich. Nie miałem pojęcia, jak sobie bez niej poradzimy.

Ale musieliśmy. Jakoś.

W pierwszej kolejności poszedłem do kapsuły. Musiałem sprawdzić, jakie zapasy medyczne Kit miała w rezerwie. Wolałem korzystać z naszych środków, niż polegać na ziemskich lekarzach. Idąc ścieżką w stronę kapsuły, popadałem w coraz bardziej pochmurny nastrój. Myśl o medplastach przypomniła mi o tych czarnych, które Bartie zamierzał wykorzystać jako ostatnią drogę ucieczki, zanim silnik „Błogosławionego” całkiem zawiedzie.

Dotarłem na mostek i przystanąłem. Przez rozsunięte drzwi usłyszałem podniesione głosy.

Zawahałem się.

Wtedy dobiegł mnie głos Amy. Praktycznie krzyczała z wściekłości.

Otworzyłem drzwi i wpadłem do środka. Było zbyt wcześnie, żeby pracowało tu wiele osób, lecz wcale mnie to nie pocieszało. Pognałem w kierunku laboratorium genetycznego, skąd dobiegały głosy.

- Chcesz wywołać panikę? - ryknął pułkownik Martin.

- Oni muszą wiedzieć! - wrzasnęła Amy. Przyspieszyłem kroku. Metalowa podłoga pomieszczenia kriogenicznego brzęczała pod moimi stopami.

Drzwi laboratorium genetycznego stały otworem. Słyszając, że się zbliżam, pułkownik Martin spojrzał za siebie i przewrócił oczami.

- Wspaniale - mruknął na tyle głośno, żebym go usłyszał.

- Co się dzieje? - wydyszałem.

Pułkownik Martin odsunął się na bok.

I wtedy zobaczyłem ciało Emmy Bledsoe. Nie mogłem złapać tchu po panicznym biegu, ale na ten widok znieruchomiałem. Emma była dobra. Była jedynym Ziemianinem, któremu ufałem.

Nie licząc Amy.

- Co się stało? - zapytałem głucho. Emma wyglądała, jakby po prostu zasnęła.

- Wciąż próbujemy określić przyczynę śmierci - odparła matka Amy, ale mój wzrok powędrował już do jej córki. Bez słowa, samym spojrzeniem, zadałem jej prawdziwe pytanie: czy to ma związek z fidusem? Wzruszyła ramionami, zerkając na maszynę, z której korzystaliśmy zeszłego wieczoru. Słyszałem, jak pracuje. Jeszcze nie było wyników.

- Emma poszła na patrol - rzekł szorstko pułkownik Martin. - Musiała natknąć się na coś, o czym nie mamy pojęcia. Właśnie dlatego ten świat jest taki niebezpieczny, dlatego nikt nie powinien nigdzie chodzić w pojedynkę.

- Ona nie zginęła przez zwykły przypadek! - wykrzyknęła sfrustrowana Amy. - Tato, na jej ubraniu były te fioletowe kwiaty. Ktoś ją odurzył!

- I zamordował? - w głosie pułkownika Martina brzmiało niedowierzenie.

- W i e d z i a ł a, że nie wolno się zbliżać do fioletowych kwiatów. Widziała, co ze mną zrobiły!

- Histeryzujesz - stwierdził, machając dłonią, jakby ją odprawiał.

Chwyliła go za nadgarstek.

- Musisz nas wysłuchać - powiedziała chłodno.

Spojrzała na mnie pytająco. Skinąłem głową. Wszystko albo nic.

- Emma coś wiedziała - ciągnęła Amy. - Ostrzegala mnie, żebym uważala, komu ufam. Sądziłam, że miała na myśli ciebie. Ale może nie.

Pułkownik Martin nie sprawiał wrażenia przekonanego - raczej dawał do zrozumienia, że jego zdaniem Amy albo przesadza, albo zwyczajnie kłamie.

- Dała mi szklaną kostkę - dodała, w końcu przykuwając uwagę ojca. W pomieszczeniu zapanowała cisza. Napięcie rosło, w miarę jak Amy wyjaśniała, co wie. Ze szklana kostka świeci, że coś ją łączy z eksplodującymi kulami, które zabiły Kit.

- Na tej planecie żyją obcy, prawda? - odezwał się wreszcie, kiedy Amy na chwilę zamilkła. - Obdarzeni inteligencją obcy, potrafiący tworzyć broń, z którą my nie możemy się mierzyć.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz - odparował pułkownik Martin.

- Niech to szlag, Bob! - rzuciła matka Amy z wyraźnym uniesieniem. - To nie najlepszy czas na tajemnice! Co wiesz? Co przed nami ukrywałeś... przed nami wszystkimi?

Pułkownik Martin wyglądał na przypartego do muru, osaczonego. Nie odzywał się, więc odpowiedziałem za niego.

- Widziałem kompleks. Zamek biometryczny przy drzwiach do pomieszczenia

komunikacyjnego otwiera się tylko przed ludźmi. Co oznacza, że jest tu też coś nieludzkiego.

- Chyba nie oczekujesz, że będę tu sterczeć i wysłuchiwać tego wszystkiego - zaprotestował pułkownik Martin, ale bez przekonania. Szybko mu przerwałem.

- Owszem, oczekuję, bo te istoty, czymkolwiek są, zabijają nas jedno po drugim. - Wymieniłem imiona wszystkich osób, które dotychczas zginęły, z naciskiem kończąc na Emmie, i patrzyłem, jak w jego oczach pojawia się poczucie winy. - A pan moim zdaniem wie dlaczego.

- To prawda? Ty osłaniasz te stworzenia? - zapytała z obrzydzeniem matka Amy.

Pułkownik Martin pokręcił głową na znak protestu.

- Ja ich nie osłaniam! - huknął. - Nie ma żadnych ich! O obcych zamieszkujących tę planetę wiem tyle, co wy! - I wtedy do niego dotarło, że wspomniałem o kompleksie. - Wiesz o pomieszczeniu komunikacyjnym? Byłeś tam?

Nie próbowałem zaprzeczać.

- W takim razie wiesz, że nie zdołaliśmy skontaktować się z Ziemią.

Matka Amy wydała z siebie cichy okrzyk.

- Przecież mówiłeś...

- Tak nam się wydawało - przerwał jej pułkownik Martin. - Ale tamta wiadomość została wcześniej nagrana.

- I od tamtej pory nie nawiązaliście łączności z Sol-Ziemią - bardziej stwierdziłem, niż zapytałem.

Pułkownik Martin przytaknął.

- O czym wiedziała Emma? - zapytała Amy. - Dlaczego tak bardzo się bała?

Pułkownik rozłożył ręce.

- Nie wiem. - W jego głosie brzmiała rezygnacja. - Nie wiem też, dlaczego nie żyje. Może odkryła coś, do czego ja nie doszedłem. Ale nie powiedziała mi o tym, a teraz nie powie już nikomu.

39

AMY

Tato wymaszerował z laboratorium, a Starszy poszedł za nim. Wiedziałam, że nie odpuści pytań, które naprawdę chce zadać, i złośliwie upajałam się tą świadomością. Najwyższy czas, abyśmy usłyszeli kilka odpowiedzi.

Mama z kolei nie wyglądała na uradowaną tymi nowymi odkryciami. A może była smutna, bo czekała ją jeszcze jedna autopsja, grzebanie w ciele kolejnego przyjaciela.

Zakryła Emmę prześcieradłem.

- Nie mogę - stwierdziła. - Nie teraz. Za każdym razem, kiedy na nią patrzę, myślę o tobie.

- O mnie? - zapytałam zaskoczona.

Skinęła głową.

- Kiedy Starszy przyniósł cię do nas, po tym jak straciłaś przytomność od tych fioletowych kwiatów... - Oczy jej błyszczały, bałam się, że zaraz zacznie płakać. - Myślałam wtedy, że cię straciłam. A teraz... odkąd wylądowaliśmy, każdego dnia ktoś ginie. - Przełknęła ślinę. - Wiedzieliśmy, że ten świat będzie niebezpieczny. Nie sądziliśmy jednak, że będzie się starał nas zabić.

Odsunęła się od blatu i wzięła mnie w objęcia, przyciskając w sposób, który mogłam opisać jedynie jako desperacki.

- Zaczynam żałować, że tu przylecieliśmy.

Jej słowa uderzyły mnie tak bardzo, że nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Przecież niczego w życiu tak nie pragnęłaś, jak wziąć udział w tej misji! - wykrzyknęłam. - Pracowałaś nad tym projektem, jeszcze zanim przyszłam na świat!

Mama uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Wiem. Ale właśnie w tym sęk. To się działo, zanim przyszłaś na świat. A kiedy się urodziłaś... jak mogłam prosić, żebyś porzuciła Ziemię? To było moje marzenie, nigdy twoje.

Teraz naprawdę nie mogłam znaleźć słów. Zastanawiałam się, czy mama wie, że tato dał mi wybór - porzucić ich zamiast Ziemi.

Mama objęła mnie jedną ręką.

- Cieszę się, że tu jesteś - powiedziała cicho. Poczułam, że pieką mnie oczy, a policzki robią się coraz cieplejsze, więc po prostu uśmiechnęłam się, skinęłam głową i schowałam twarz w jej ramieniu.

Wiedziałam już, co chcę powiedzieć. Oderwałam się od mamy i spojrzałam jej prosto w oczy.

- Ja też się cieszę, że tu jestem - odparłam. I mówiłam szczerze. Pomimo strachu, pomimo kolejnych ciał - cieszyłam się. Przesunęłam wzrok na białe prześcieradło okrywające ciało Emmy. Pomyślałam o tym, co mówiła - o jej ostatnich słowach do mnie. I zrozumiałam, że to była prawda.

Kiedy w końcu oderwaaliśmy się od siebie, mama sprawiała wrażenie silniejszej. Bardziej zdeterminowanej. Pozbierała się, więc i ja mogłam to zrobić.

Zajęła się autopsją, której wcale nie chciała przeprowadzać. A ja wróciłam do badania

krwi Emmy na obecność fidusa. Nie byłam zaskoczona, gdy otrzymałam pozytywny wynik.

40

STARSZY

Pułkownik Martin nie miał ochoty na pogawędki. Od razu dał to wyraźnie do zrozumienia - ale nic mnie to nie obchodziło. Opuszczał kapsułę, a ja deptałem mu po piętach.

Wreszcie odwrócił się w moją stronę.

- Chcesz wiedzieć to, co ja? W takim razie chodź za mną.

Spodziewałem się po nim wiele, ale nie tego.

Ruszył przez las. Chociaż nie biegła tędy żadna ścieżka, a my coraz bardziej oddalaliśmy się od kolonii, nie miałem żadnych wątpliwości, że wie, dokąd zmierza.

Do kompleksu.

Maszerowaliśmy bez słowa - prawie biegliśmy. Gałęzie drzew smagały nas, pnącza zaczepiały o ubrania, mimo to nie zwalnialiśmy kroku. Gdy dotarliśmy na miejsce, tylko jeden żołnierz trzymał straż. Chris. Na nasz widok stanął na baczność.

- Co robisz w tym słońcu? - zapytał pułkownik Martin, po czym się poprawił: - W tych słońcach.

- Liczyłem... - Chris zerknął na mnie, zmieszany. - Liczyłem na wieści o Emmie.

- Martwa. - Głos pułkownika był szorstki. - Otwórz pomieszczenie komunikacyjne.

Chris rzucił mi pytające spojrzenie. Był wyraźnie zaskoczony, że pułkownik Martin mnie tu przyprowadził.

- Pan pierwszy - rzucił, schodząc z drogi pułkownikowi, który ruszył przodem i przycisnął kciuk do skanera. Chris patrzył na mnie tak, że zacząłem się zastanawiać, czy puścił pułkownika Martina pierwszego tylko po to, by zmierzyć mnie wzrokiem, kiedy przechodziłem obok. Odrzuciłem z twarzy spocone włosy i całkowicie go zignorowałem.

Chris zawahał się, czy podążyć za nami. Spojrzenie pułkownika złagodniało na ten widok.

- Ty też, synu - powiedział i Chris wszedł do środka, po czym zamknął drzwi.

- Nasz młody Starszy znalazł kompleks - wyjaśnił pułkownik Martin. - I odkrył, że pierwsza wiadomość, ta, którą odebraliśmy w kapsule, to nagranie. Fałszywka.

Chris cofnął się, próbując sprawiać wrażenie obojętnego. Zauważyłem jednak, że mnie obserwuje, oceniając, jak zareaguję.

- Oto, co nam wiadomo - pułkownik zwrócił się do mnie. - Wiemy, że przed nami żyli

tu inni koloniści. Wiemy, że to oni wzniesli budynki, w których obecnie mieszkamy, a także ten kompleks. - Przygarbił się, jakby dźwigał na barkach cały ciężar tego świata. A może obydwu światów. - Wiemy także, że wszyscy nie żyją.

Chwyciłem się krawędzi stanowiska. Chciałem zapytać: „Jak?”, ale nie potrafiłem wyartykułować nawet tego jednego słowa. Mimo to pułkownik Martin odpowiedział.

- Znaleźliśmy te nagrania. Czy raczej znalazł je Chris. - Skinął na Chrisa i ze zdumieniem dostrzegłem współczucie w jego spojrzeniu.

Odwrócił się do ekranu dotykowego, lecz zamiast przewijać kolejne menu, tak jak Amy i ja, otworzył szafkę na prawo od panelu sterowania i wyciągnął z niej wąski kawałek czarnego plastiku, długości mniej więcej mojego kciuka. Przypominał czarne medplasty, które Bartie miał na „Błogosławionym”. Na tę myśl aż skręciło mnie w żołądku. Pułkownik Martin wsunął plastik do otworu obok ekranu. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że ten materiał wygląda jak karty pamięci, z których korzystaliśmy na „Błogosławionym” do przechowywania danych.

- Oto, co nam wiadomo - powtórzył pułkownik, pukając w ekran. Pojawił się na nim obrazek kostki podobnej do tej, którą Emma dała Amy. - Coś w tutejszej glebie sprawia, że dzięki specyficznej obróbce każde powstałe na tej planecie szkło może z łatwością i efektywnie gromadzić energię słoneczną. Odkryli to pierwsi koloniści. Przez kilka lat wytwarzali tak zwane szkło solarne i wysyłali je z powrotem na Ziemię. Kompleks, w którym się obecnie znajdujemy, służył za centrum transportowe. Koloniści wysyłali szkło stąd na zautomatyzowaną stację na orbicie planety, a stamtąd na Ziemię.

- Na stację! - zakrzyknąłem. - Nie widzieliśmy jej podczas lądowania.

Pułkownik Martin uniósł brew.

- Wiesz, ten świat jest dość duży. - Przejechał dłonią po ekranie i ten zgasł.

- Co się z nimi stało? - zapytałem. - Z pierwszymi kolonistami? Mówił pan, że wszyscy nie żyją?

Spojrzał na Chrisa. Odniosłem wrażenie, że obaj próbują zdecydować, ile mi zdradzić. Chciałem już zażądać odpowiedzi, kiedy pułkownik przesunął się na drugą stronę panelu sterowania, gdzie znajdował się sprzęt do komunikacji głosowej. Przekręcił gałkę opisaną jako „ansibl” i powietrze wypełniły szumy statyczne.

Nie - nie statyczne. Nie tylko. Przebijały się przez nie słowa, słowa, które z trudem wychwytywałem.

-...zagrożenie zbyt wielkie... otrzymaliśmy zalecenia... życie ludzkie znowu na... „Błogosławiony”... przetrwać... wysłamy pomoc...

Wyteżalem słuch, żeby wyłowić słowa. Przez szum statyczny i akcent mówiącego trudno mi było je zrozumieć.

- Jest zapętłona - powiedział pułkownik, kiedy przekaz zaczął się od nowa.

- Z Sol-Ziemi? - zapytałem.

Skinął głową.

- To nie to samo, co prawdziwa łączność, ale wskazuje, że wiedzą o naszym lądowaniu. I wysyłają pomoc.

Prychnąłem.

- Nie możemy czekać kolejnych trzystu lat, aż do nas dotrą.

- Nie będziemy musieli. Nie, jeśli uda nam się wzmocnić sygnał na tyle, żeby odebrać odpowiedź z Ziemi. - Pułkownik wrócił do ekranu dotykowego i przesunął po nim palcem. - Nie do końca pojmuję tę technologię, ale Chris zdołał mi ją wyjaśnić na tyle, że rozumiem podstawy. Hipersześciiany, tunele czasoprzestrzenne i tak dalej. Dzisiaj taka podróż trwa o wiele krócej, bez porównania z czasami, kiedy budowano „Błogosławionego”.

- O ile krócej? - Ledwie odważyłem się oddychać. Może jednak mieliśmy jakieś szanse.

- Tydzień, być może mniej. Gdy już zdołamy wysłać wiadomość, spodziewam się, że pomoc dotrze do stacji orbitalnej, obecnie bezzałogowej, w ciągu zaledwie kilku dni. A potem będą mogli dotrzeć stamtąd na planetę.

- I wtedy rozpoczniemy ewakuację - dokończył Chris. Tak bardzo pogрузyłem się we własnych myślach, że prawie zapomniałem o jego obecności.

Pułkownik Martin stukał palcem o krawędź stanowiska. Miałem wrażenie, że zaczęłby krążyć w tę i z powrotem, gdyby pokój nie był taki mały. Po chwili spojrzał ponuro na Chrisa.

- Nie. Wtedy rozpoczniemy wojnę.

- Co? - Mój wzrok pomknął w stronę Chrisa. Był równie zaskoczony co ja.

- Bez względu na to, jacy obcy wybili pierwszych ludzi na tej planecie, są, jak to ujął Starszy, obdarzeni inteligencją. Wybierają moich ludzi i atakują. To nie są przypadkowe napaści - nie bronią swoich domów, nie szukają pokojowego rozwiązania naszej obecności. Oni mordują moich ludzi. I twoich, Starszy.

Pomyślałem o Lorin, o martwych, pustych oczach Kit i ziejącej dziurze w miejscu, w którym powinna mieć serce.

- Cokolwiek zabija moich ludzi, ja zabiję to pierwszy - oświadczył stanowczo pułkownik Martin. Spojrzał prosto na Chrisa. - Pomszczę ludzkość.

Jego słowa niosły ze sobą obietnicę i groźbę, splecione ze sobą w jedno.

AMY

Przez większość dnia pracowałyśmy z mamą w milczeniu, zbyt pogrążone w smutku, żeby skupić się na czymkolwiek innym. Gdybym zdołała odkryć, skąd pochodzi fidus, może znalazłabym odpowiedź na pytanie, skąd wziął się w ciele doktora Gupty, Lorin, Juliany Robertson... i Emmy.

Długo po porze kolacji ktoś zapukał do drzwi laboratorium. Zanim zdążyłam wstać, Starszy wszedł do środka.

Wystarczył jeden rzut oka na jego twarz i zapytałam:

- Co się stało?

Jego rozbiegany wzrok przeskakiwał ode mnie na podłogę, a stamtąd na mamę i z powrotem na mnie.

- Ja... ja muszę z tobą porozmawiać - wymamrotał.

- Teraz? - odezwała się mama na drugim końcu laboratorium. - Amy, jeszcze nie skończyłyśmy naszej pracy...

- Może zaczekać - odparłam. Odłożyłam próbkę na tacę i popędziłam do drzwi. Mama znowu podniosła sprzeciw, ale drzwi zasunęły się za mną, uciszając ją.

- Co się stało? - zapytałam natarczywie, lecz Starszy tylko pokręcił głową. Po kapsule kręciło się zbyt wielu ludzi. Pomimo późnej godziny geolodzy, którzy urządzili sobie laboratorium tam, gdzie niegdyś stały komory kriogeniczne, uwijali się i rozmawiali o czymś z podekscytowaniem. Na tackach między nimi spoczywały małe kopczyki ziemi.

Starszy milczał, dopóki nie znaleźliśmy się na ścieżce wiodącej do kolonii. Zwolnił kroku i spojrzał na mnie z dziką desperacją w oczach.

- Amy... - Przeczesał włosy palcami. - Amy, ta gzyfowa planeta jest zupełnie inna, niż sądziliśmy.

Podeszłam bliżej, marząc o tym, by przegnać niepokój z jego spojrzenia.

- Wiem.

Natychmiast popatrzył mi w oczy.

- Skąd? - zapytał ostro. - Co znalazłaś w tych ciałach?

- Nie... Najpierw ty powiedz, co cię gnębi.

Pokręcił głową.

- Niepotrzebnie odrywałem cię od pracy.

- Nie o to chodzi - odparłam, dotykając jego ręki. Wreszcie znowu odwzajemnił moje

spojrzenie. - Tylko że... - Poruszyłam zeszywniałymi ramionami. - To wszystko, co razem z mamą odkryliśmy w laboratorium, w ogóle nie ma sensu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Mama analizowała DNA pterów. Uważa, że powstały z połączenia DNA z Sol-Ziemi, Centauri-Ziemi i materiału modyfikowanego genetycznie.

- Z Sol-Ziemi? - powtórzył Starszy tak głośno, że z pobliskich zarośli pierzchły małe ptaszki, ćwierkając na nas ze wzburzeniem.

- Zupełnie jak w Parku Jurajskim - powiedziałam. Czekałam, aż Starszy uśmiechnie się do mnie z lekkim zmieszaniem, tak jak zawsze, kiedy wspominałam o czymś z Ziemi, ale był zbyt zmartwiony, żeby zauważyć. Zaciskał zęby, a jego jabłko Adama przesunęło się w górę i w dół.

Przesunęłam palcami w górę jego ramienia, próbując odciągnąć go od ponurych myśli.

- Co takiego dzisiaj odkryłeś?

- Nie tutaj.

Znów rozejrzał się gorączkowo, po czym chwycił moją dłoń i pociągnął mnie tak szybko, że praktycznie puściliśmy się biegiem w kierunku kolonii.

Lecz gdy tylko dotarliśmy do budynków, zatrzymał się jak wryty. W drzwiach pierwszego domu stał tato, osłaniając oczy przed słońcami i czekając, aż wrócimy z mamą. Serce waliło mi jak młotem.

Nie mogłam z nim teraz być, nie po tym, jak odkryłam, że trzymał istnienie kompleksu w tajemnicy. Kiedy wzrok taty powędrował w naszą stronę, Starszy wciągnął mnie głębiej do cienia, a ten nas otulił.

Starszy przytknął palec do ust. Oczekaliśmy, aż tato wróci do środka.

Dziękuję, powiedziałam bezgłośnie. Wiedziałam, że koniec końców będę musiała stawić czoła tacie, ale jeszcze nie byłam na to gotowa. Starszy poprowadził mnie za budynkami, a potem schodami na górny poziom. Wtedy zrozumiałam: nie zrobił tego tylko przez wzgląd na mnie. On również nie chciał oglądać mojego taty.

- Co się stało po tym, jak wyszliście z kapsuły? - zapytałam znowu. Żołądek skręcał mi się od niepokoju.

Nie odezwał się, dopóki nie weszliśmy do jego budynku.

- Twój ojciec pokazał mi kompleks.

- Naprawdę? - Zalała mnie fala ulgi. Skoro był szczery w kwestii kompleksu, jeśli przestał trzymać wszystko w tajemnicy...

Oczy Starszego zalśniły.

- Och, tak, opowiedział mi o nim. I o tym, że ludzie, którzy to zbudowali - rozłożył ręce, wskazując zakurzony kamienny budynek - nie żyją. Cała pierwsza kolonia. Zmiecieni z powierzchni planety przez jakichś obcych.

Przelknęłam ślinę. Z jakiegoś powodu do oczu napłynęły mi łzy. Domyślaliśmy się tego już wcześniej, ale teraz, kiedy Starszy mówił o tym w ten sposób...

- A twój tato... - powiedział to tak, jakby na samą myśl o nim czuł obrzydzenie. - On... on zawiązał się, żeby ich pomścić. Pierwsze, co mu przyszło do głowy - pierwsze, co przyszło do tej jego gzyfowej głowy - to wybić obcych. Po prostu ich wymordować.

Kręciło mi się w głowie na samą myśl o obcych. Nie o jakichś tam potworach, takich jak ptery, tylko obdarzonych inteligencją i czuciem. Obserwujących nas i pozostawiających dziwne ślady. Pokrytych twardymi, krystalicznymi łuskami, jak ta, którą znalazł Starszy.

Obcych pragnących nas zabić tylko dlatego, że tu jesteśmy.

- Powtórka z Najstarszego! - Starszy wpadł w szał, coraz bardziej podnosił głos. - Jeśli cokolwiek sprawiało mu problemy, to po prostu to zabijał, proste! Orion zadaje zbyt wiele pytań? Lepiej niech Doktorek go sprzątnie. Zjawiasz się ty, inna niż moi ludzie? Chciał cię wyrzucić w przestrzeń kosmiczną!

- Tato nie jest Najstarszym - zaprotestowałam natychmiast.

- Takiego gzyfa! Nie można tak po prostu zabić problemów, ale niech mnie gzyf, jeśli chociaż nie spróbuje! - Okręcił się na pięcie w moją stronę i wtedy poczułam pełnię jego gniewu. - Pośle moich ludzi na pierwszą linię, żeby zginęli przed jego ludźmi. Niewolnicy albo żołnierze, tak jak ostrzegął Orion.

Drgnęłam.

- Nie zrobi tego - zaprotestowałam, zasłaniając się tymi słowami jak tarczą.

Twarz Starszego wykrzywił gniew. Zastanawiałam się, jak długo po cichu zamartwiał się tymi myślami, nie mogąc skonfrontować się z tatą ani nikomu z nich zwierzyć. Gdyby podzielił się nimi ze swoimi ludźmi, wpadliby w panikę i podnieśli bunt, zupełnie jak w przypadku Bartiego. Kit odeszła. Przez cały ten czas niepokój i wściekłość wzbierały w nim, jak w przepełnionej filizance, a teraz wyładowywał je na mnie.

- Tato nie jest Najstarszym - powtórzyłam z całą mocą. - Nie pozwolimy mu na to.

To go pohamowało.

- Jest żołnierzem. I zawsze był uparty. Ale to dobry człowiek. Masz na to moje słowo, Starszy.

Widziałam, że mi nie wierzy. I może miał rację - nie byłam obiektywna, nie kiedy chodziło o mojego własnego ojca. Ale wiedziałam też, że mój tato jest lepszym człowiekiem,

niż sądzi Starszy.

- Poza tym - ciągnęłam - nie w tym tkwi prawdziwy problem.

Teraz naprawdę zwróciłam jego uwagę. Czekał, aż powiem coś więcej.

Zacisnęłam dłonie w pięści, żeby Starszy nie widział, jak bardzo mi drżą.

- Nie wiem, czego się spodziewałam po tej planecie - zaczęłam cicho. - Sądziłam, że zdołam stawić czoła potworom, przed którymi ostrzegał nas Orion, dawałam sobie radę z pterami. Ale...

- przerwałam. - Boję się. Fakt, że na tej planecie jest fidus... to mnie przeraża. To gorsze niż jakikolwiek potwór. Jeśli tu żyją obcy i mają fidusa... - Głos mi się załamał. Starszy słyszał, jak mój tato mówi o zabijaniu obcych, i instynktownie się temu sprzeciwił. Tyle że obcy mieli fidusa, a ja się bałam, że temu nigdy nie zdołamy się sprzeciwić.

- Powinniśmy byli zostać na „Błogosławionym” - powiedziałam, wbijając wzrok w ziemię. Wiele mnie to kosztowało, przyznać, że się myliłam, że lepiej było zostać w pułapce ścian, niż wystawiać się na niebezpieczeństwo.

- Nie - wyrzucił z siebie zduszonym szeptem Starszy. - Cokolwiek się stanie... warto było porzucić statek.

Nic nie powiedziałam.

Starszy stanął na wprost mnie. Nie patrzyłam na niego, więc dotknął mojej twarzy, aż wreszcie naprawdę skupiłam na nim wzrok. I dlatego wiedziałam - wiedziałam - że mówi szczerze, kiedy powtórzył:

- Warto było.

Przymknęłam powieki, a moje ciało ogarnęła ulga. Pomału zdałam sobie sprawę, jak blisko siebie stoimy, z ciepła bijącego ze skóry Starszego i ogrzewającego mnie. Wtedy podniosłam powieki i zobaczyłam w jego oczach odbicie własnego, dzikiego spojrzenia.

Dłoń mu drżała, kiedy przesunął ją w dół mojej twarzy i odgarniał mi pasmo włosów za ucho. Jego palce nie przystanęły, tylko powędrowały wzdłuż zarysu szczęki, a potem uniosły podbródek.

Znów zamknęłam oczy.

Nasze usta spotkały się. Smakował jak rzeczy, które nie mają smaku: ciepło, życie, prawda, dobro i miłość.

Moje pozostałe zmysły zamilkły.

Nie było już nic poza naszym pocałunkiem i świadomością, że Starszy pragnie - potrzebuje - mnie tak samo, jak ja potrzebuje jego.

Lecz wtedy odsunął się ode mnie i zapytał:

- Jesteś pewna?

I czekał na moją odpowiedź.

Wtedy, za pierwszym razem, na Ziemi z Jasonem, moim chłopakiem, sądziłam, że jestem pewna. Tylko że on nigdy nie zapytał, a ja nigdy nie odpowiedziałam. Zrobiliśmy to w milczeniu, po ciemku, szarpiąc się, jakbyśmy próbowali nadać naszym uczuciom fizyczną formę. To nie był wybór-tylko czyste działanie, ślepe poddanie się pożądaniu.

Przez całe swoje życie rzadko dokonywałam wyboru. Odpowiadałam na sytuację, reagowałam, ale nigdy nie obrałam żadnego kierunku, nigdy nie parlałam przed siebie z determinacją kapitana płynącego prosto w sztorm. Kiedy ojciec dał mi wybór, wsiąść na pokład „Błogosławionego” czy zostać na Ziemi, nie zdecydowałam, nie tak naprawdę. Po prostu pogodziłam się z losem, który uznałam za nieunikniony.

Tylko Starszy - i nikt poza nim - kazał mi wybierać, kim i czym jestem. Co robię.

- Wybieram to - odparłam głosem zduszonym od pożądania. - Wybieram ciebie.

Nigdy niczego nie pragnęłam tak, jak jego. Zaprowadził mnie do pokoju na piętrze, gdzie leżał już mój śpiwór. Podziękowałam zbiegowi okoliczności, który sprawił, że go tu zeszłej nocy zostawiłam.

Opadliśmy na siebie. Pozostałe głosy w mojej głowie - strach, zwątpienie, niepokój - ucichły. Umierałam pod koniec każdego pocałunku i wraz z początkiem następnego wracałam do życia. Zamknęłam oczy. Świat zniknął.

Byłam tylko ja, on i ten cud między nami, którego nie potrafiłam nazwać, nie na głos. Ale moje serce wiedziało, że to miłość.

Zadrzałam, kiedy w końcu uwolniłam się z ubrań. Pot na skórze sprawił, że chłodne nocne powietrze wydało mi się jeszcze zimniejsze. Lecz wtedy Starszy dotknął mnie i moja skóra zajęła się ogniem.

Pocałowałam go, mocno, a jego dłonie zsunęły się wzdłuż pleców, do bioder. Silne dłonie, dłonie, które mnie chwycą i nigdy nie puszczą. Jednocześnie czułam się bezpieczna i przerażona.

Raz jeszcze popatrzył mi pytająco w oczy. Ale pytania zostawiliśmy daleko za sobą. Znaleźliśmy się w miejscu, gdzie były już tylko odpowiedzi. A moja odpowiedź brzmiała tak.

42

STARSZY

Obudziłam ją pocałunkiem. Nie podnosząc powiek, zmarszczyła nos i machnęła rękami. Obudziłam ją więc pocałunkiem innego rodzaju i wtedy zaskoczona otworzyła oczy,

po czym natychmiast przytknęła je z rozkoszy.

A to wystarczyło, żeby na mojej twarzy zagościł uśmiezek, który na pewno nigdy z niej nie zniknie.

- Późno już? - zapytała zasnym głosem.

- Minęła dopiero godzina - odparłem z uśmiechem.

- Mmm. Spać. - Przytuliła się do mojego boku.

- Musisz już iść - odparłem, choć to ostatnie, co chciałbym jej powiedzieć. - Rodzice będą cię szukać.

Rzuciła mi gniewne spojrzenie.

- Hej, to nie moja wina! - zażartowałem, unosząc dłonie w udawanym proteście. - Dobrze wiesz, że twój tato wysłał całe wojsko na poszukiwania, jeśli się obudzi i zda sobie sprawę, że zniknęłaś.

Amy przewróciła oczami, ale szybko się ubrała.

- Hej. - Przyciągnąłem ją do siebie i pocałowałem raz jeszcze. - Żebyś o mnie pamiętała - powiedziałem cicho.

Zaśmiała się dźwięcznie.

- Jakbym mogła zapomnieć.

I już jej nie było.

Moje myśli natychmiast podryfowały z powrotem do wszystkich zmartwień, które nie dawały mi spokoju, odkąd pułkownik Martin złożył swoje oświadczenie.

Fidus.

Obcy.

Wojna.

Amy.

Trudno skupić się na tym, co złe, kiedy ona przypominała mi o wszystkim, co dobre. Zrzuciłem śpiwór i drżąc wśród nocnego chłodu, przeszedłem do innego pomieszczenia na drugim piętrze budynku. Miałem nadzieję, że zdążę jeszcze zerknąć na jej rude włosy, zanim zniknie.

Wpatrując się w ciemność, poczułem ucisk w żołądku.

Nie była sama.

43

AMY

Od nocnego powietrza aż dostałam gęsiej skórki, mimo to napawałam się ciepłem

najświeższych wspomnień.

- Amy? - rozległ się szept.

Odwrociłam się z uśmiechem, na wpół oczekując, że to Starszy poszedł za mną. Zamiast niego z cienia wyłonił się Chris.

- Co ty tu robisz? - zapytałam cicho.

Wzruszył ramionami. Na jego twarzy igrał szelmowski uśmiech.

- Jestem twoim ochroniarzem.

Przewróciłam oczami, ale nie zaprotestowałam, kiedy w charakterze eskorty ruszył ze mną schodami w dół, na niższy poziom, do domu moich rodziców.

Zauważył jednak, że z każdym krokiem idę coraz wolniej.

- Wcale nie chcesz wracać do rodziców, co nie? - zapytał poważnie.

Pokręciłam głową.

Złożył teatralny ukłon.

- Dobrze - stwierdził zdecydowanie. - Zostaw to mnie. Przekonam ich, że z jakiegoś powodu musimy wrócić do kapsuły.

Pospieszył przodem i wkrótce usłyszałam pomruk głębokich męskich głosów, kiedy rozmawiał z moim tatą. Nie rozumiałam poszczególnych słów, ale chwilę później Chris wyszedł z domu - sam.

- Dzięki - mruknęłam, gdy Chris poprowadził mnie w kierunku kapsuły. Centauri-Ziemia to kiepskie miejsce na nocne przechadzki, ale w tej chwili wolałam stawić czoła pterom i ciemności niż kłamstwu własnego ojca.

- Wiesz - odezwałam się, kiedy byliśmy już blisko. - Mogłabym przeprowadzić jeszcze jedno badanie.

Chris zaśmiał się.

- Ty i doktor Martin przeprowadziłyście ich dzisiaj chyba ze sto! Przecież w tych słojach nie zostało już nic, co mogłybyście jeszcze zbadać!

Trąciłam go w ramię, twarde jak skała.

- Spełnij moje zachcianki - powiedziałam, wchodząc po rampie i otwierając drzwi na mostek. Zbadaliśmy krew pter a pod kątem materiału modyfikowanego genetycznie, co doprowadziło mamę do odkrycia, że pter powstał z połączenia DNA z Ziemi i Centauri-Ziemi. Zbadaliśmy też krew ludzi na obecność fidusa, po tym jak razem ze Starszym wpadliśmy na pomysł, że mogli zostać odurzeni. Ale nikt nie szukał fidusa w organizmie ptera.

- To pewnie nic takiego - rzuciłam na wpół do Chrisa, na wpół do samej siebie. Jakie

były szanse, że wykryjemy fidusa u ptera? Wydawało się to niemożliwe. Ale z drugiej strony, jeśli fidus stanowi naturalny element tego świata, to dlaczego pter nie miałby być nim zainfekowany?

Wyciągnęłam krew ptera z lodówki i przygotowałam badanie.

- Co robisz? - Chris sprawiał wrażenie szczerze zainteresowanego.

- Starszy i ja odkryliśmy u większości ofiar... - Nie chciałam mówić „narkotyk”. - Mieli w organizmach pewną substancję, coś, co ich kontrolowało. Jeśli Starszy się nie myli i obcy na tej planecie naprawdę są obdarzeni inteligencją i naprawdę nas atakują, to może znajdziemy tę substancję także u pterów. Może obcy wykorzystują je do tych ataków.

- Trudno by było kontrolować dzikie zwierzę - stwierdził z po-wątpieniem Chris.

Nie z fidusem.

Siedziałam na skraju krzesła, kiedy aparat brzęczeniem oznajmił, że skończył analizę. I chociaż po części się tego spodziewałam, wynik i tak mnie zaskoczył.

Pozytywny.

W organizmach pterów był materiał modyfikowany genetycznie oraz fidus. Starszy myślał, że coś widział, kiedy po raz pierwszy został zaatakowany, a potem znalazł te trójpalczaste ślady. Obcy byli inteligentni. Obserwowali nas. Iz pewnością potrafili kontrolować ptery i wykorzystywać je do ataków.

- Znalazłaś to, czego szukałaś? - zapytał Chris, bacznie mnie obserwując.

Skinęłam głową.

- Możemy już wracać do domu. - Z jakiegoś powodu odkrycie ukrytej prawdy o tym świecie sprawiło, że łatwiej mi było stanąć twarzą w twarz z ojcem, którego nigdy nie posądziłabym o kłamstwo.

Chris zastygł, słysząc to słowo.

- Do domu? Jesteś tu dopiero od paru dni. Naprawdę uważasz tę planetę za swój dom?

Po jego tonie poznałam, że on tak nie uważał.

Ale ja tak. Naprawdę.

Kiedy wyszliśmy z kapsuły, na zewnątrz panowała głęboka ciemność, która ostro kontrastowała z wnętrzem skąpanym w elektrycznym oświetleniu.

Chris zatrzymał się i spojrzał na gwiazdziste niebo.

- Ten świat jest naprawdę piękny, prawda?

Skinęłam w milczeniu głową.

Odwrócił się w moją stronę. Na jego twarzy malowało się przejęcie, którego nie potrafiłam zrozumieć. Nigdy wcześniej nie widziałam w jego oczach podobnej zaciętości.

- Chodź za mną - powiedział. Złapał mnie za rękę i pociągnął w dół rampy. Z zapartym tchem próbowałam dotrzymać mu kroku. Zboczył ze ścieżki łączącej kapsułę z kolonią i zagłębił się w las.

- Czy to bezpieczne? - zapytałam, wolną dłonią dotykając trzydziestki ósemki przy biodrze.

- Tu nic nie jest bezpieczne.

Szedł coraz dalej i dalej między drzewa, dalej niż ośmieliłam się dotąd zapuścić na tej planecie. Już chciałam wyrwać swoją dłoń i pobiec z powrotem, kiedy Christ przystanął.

- Zamknij oczy.

Zaśmiałam się nerwowo.

- Mówię poważnie. Zamknij oczy.

Spojrzałam na niego z powątpieniem, po czym zrobiłam to, o co prosił.

Palce Chrisa musnęły mój podbródek, unosząc twarz w stronę świeżej bryzy.

- A teraz - szepnął mi prosto do ucha, łaskocząc skórę - słuchaj.

Moje oczy wypełniała czern. Wciągałam powietrze i wypuszczałam. Słuchałam.

Z początku nie słyszałam nic. Ale wtedy skądś dobiegło! {ap, kap \ap. Strumień albo mały wodospad. Szelest liści gdzieś w oddali. Szrrr-szrrr-szrrr, odgłos podobny do tego, jaki wydaje szarańcza. I dźwięk, który bez żadnych wątpliwości był skrzeczeniem żaby.

Pomału uniosłam powieki.

- Ten świat - Chris wpatrywał się błagalnie prosto w moje oczy.

- To naprawdę jest dom, o który warto walczyć, prawda?

Przytaknęłam milcząco.

- Bez względu na cenę - dodał. Wydawał się... udręczony. Jak gdyby usiłował podjąć decyzję, lecz nie potrafił się na to zdobyć. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie wie o śmierci Emmy więcej, niż sądziłam. Albo może odkrył to, co przyprawiło ją o taką paranoję.

I wtedy - zanim zdążyłam się odsunąć czy chociaż wydać z siebie cichy okrzyk zaskoczenia - Chris pochylał się i przywarł wargami do moich. Tak bardzo mnie zaskoczył, że rozchyliłam usta

- i wtedy prześlizgnął językiem po moim języku, z początku z wahaniem, a potem sięgnął głębiej, zupełnie jakby tym pocałunkiem próbował mnie do czegoś przekonać. Jakby rościł sobie do mnie prawa, sprawiał, że stanę się jego. Poczułam gorąco na policzkach, w głowie miałam mętlik.

Kiedyś sądziłam, że moja miłość do Starszego się nie liczy. Przecież w zasadzie nie

miałam innego wyboru.

A teraz zjawił się Chris, zaledwie kilka lat starszy ode mnie, bystry, silny i odważny - i zdałam sobie sprawę, że miałam wybór przez cały ten czas.

Odchyliłam się i zaczęłam wyrywać z jego objęć, aż w końcu mnie puścił. Odsunęłam się na parę kroków, próbując złapać oddech. Pozbierać myśli. Uspokoić trzepoczące serce.

- Ja... przepraszam - natychmiast powiedział Chris.

Cieszyłam się, że w tych ciemnościach nie mógł dostrzec, jak bardzo poczerwieniały mi policzki.

- Myślałem... nieważne. Przepraszam - powtórzył. - Widziałem, jak wychodzisz od Starszego, ale nie sądziłem... nie wiedziałem, że jesteście dla siebie kimś więcej, niż tylko przyjaciółmi... - Przeształ nerwowo z nogi na nogę, unikając mojego spojrzenia. - Znaczący... liczyłem...

- W porządku - odparłam. Wciąż brakowało mi tchu.

Ruszyłam w stronę ścieżki łączącej kapsułę z kolonią i nagle potknęłam się o wystający korzeń. Szybciej, niż sądziłam, że to ogóle możliwe, Chris rzucił się i uratował mnie przed uderzeniem twarzą o ziemię.

- Dzięki.

Puścił mnie i cofnął się niezręcznie.

- Przyjaciele? - zapytał. To z jego strony traktat pokojowy, przeprosiny.

Które przyjął.

- Przyjaciele - przytaknęłam. Nie uszło jednak mojej uwadze, że stał blisko mnie, zbyt blisko, jak gdyby miał bez wahania wziąć mnie w ramiona, gdybym tylko pozostawiła mu choć cień wątpliwości, że możemy być dla siebie kimś więcej.

44

STARSZY

Ubrałem się, po czym popędziłem schodami w ślad za nimi. Zdążyłem jeszcze dostrzec, jak Chris i Amy znikają w lesie po drugiej stronie łąki. Pewnie szli do kapsuły. Amy chciała przeprowadzić jeszcze jedno badanie czy coś w tym rodzaju. Właśnie. Na pewno.

Nie ruszyłem za nimi. Widzieliby, jak idę przez łąkę, zresztą to nie było zbyt bezpieczne. Pójść za nimi bez broni, w pojedynkę, to najgłupsze, co mogłem teraz zrobić.

Mimo to niewiele brakowało.

Zamiast tego wróciłem do kolonii. Powtarzałem sobie, że chcę tylko sprawdzić, co z moimi ludźmi, ale tak naprawdę czekałem, aż Amy wróci. I próbowałem nie myśleć o tym, co

teraz robili. Sami. W ciemności. We dwoje.

Minąłem budynki pełne chrapiących Ziemiaków. W każdym domu, do którego zajrzałem, przynajmniej jeden z moich ludzi nie spał. Heller, jeden z byłych żywicieli, siedział na ganku przed swoim budynkiem i wpatrywał się w niebo. Za nim dostrzegłem sylwetki ponad dwudziestu śpiących osób. Warunki nie były najlepsze, ale staraliśmy się ze wszystkich sił, by z odzieży i koców zrobić dla nich łóżka i okrycia.

- Ciągle o niej myślę - rzucił cicho Heller, kiedy przechodziłem.

Raczej nie miał na myśli tej samej dziewczyny, która nie dawała mi spokoju, dlatego zapytałem:

- O kim?

- O Lorin. - Pierwsza dziewczyna, która zginęła na tej planecie, pierwsza ofiara obcego zagrożenia, którego nie potrafimy zidentyfikować. - Była dobrym człowiekiem. Nie zasłużyła na śmierć.

- To chyba tak nie działa.

Heller pokręcił głową. Wciąż spoglądał w niebo. Zastanawiałem się, czy wypatruje na nim „Błogosławionego”, żałując, że w ogóle go opuścił.

Skończywszy swój obchód, przemknąłem się do pierwszego budynku, w którym mieszkała Amy razem z rodzicami. Zajrzałem przez okno jej pokoju, ale jeszcze nie wróciła. Jak długo już ich nie było? Gzy coś się stało? Nie wiedziałem, co przeraża mnie bardziej - myśl, że spotkało ich coś złego, czy myśl, że po prostu świetnie się razem bawią i nie mają ochoty wracać.

Po drugiej stronie domu Amy coś błysnęło. Z pochyloną głową podkradłem się pod okno, z którego miałem lepszy widok na to, co się działo w środku.

- Mam dosyć kłamstw - powiedziała matka Amy, doktor Martin. Nie mogłem się z nią nie zgodzić. Wspiąłem się na palce, żeby lepiej widzieć tę scenę.

- Koniec z kłamstwami. - Pułkownik Martin sprawiał wrażenie szczerego. - Ja tylko wykonywałem rozkazy.

- Ty i te twoje rozkazy. - Choć doktor Martin była rozdrażniona, chyba rozumiała swojego męża. - Więc to o to w tym wszystkim chodzi?

Światło wewnątrz budynku uniosło się i zobaczyłem coś małego, płaskiego, co lśniło pomimo panujących ciemności... Sapnąłem głośno i natychmiast zakryłem usta dłońmi. Łuska. To była tamta cienka łuska, którą znalazłem w tunelu, zanim Chris mnie stamtąd wyciągnął.

- Kto by pomyślał, że coś tak małego może być tak cenne? - ciągnęła zdumiona.

- Myślę... - pułkownik przerwał nagle. - Co to było?

Nadstawiłem uszu i usłyszałem to samo, co on. Kroki dobiegające z przeciwległej strony budynku.

- To pewnie Amy wraca - stwierdziła doktor Martin. Światło przygasło, gdy pułkownik schował łuskę.

Tak cicho, jak tylko zdołałem, okrążyłem budynek. W samą porę, by zobaczyć, jak Chris i Amy stają naprzeciwko siebie. Na powrót skryłem się w cieniu.

- Dzięki, że mnie odprowadziłeś - powiedziała Amy. - No i, wiesz. Za tamto.

Tamto? Tamto? Co zaszło między nimi?

- Nie ma sprawy. I... eee... - Chris ze skrępowaniem przestąpił z nogi na nogę.

I wtedy...

...pochylił głowę w stronę Amy...

...przymknął powieki, zbliżając się do niej...

Zacisnąłem dłonie w pięści, oczy zaszły mi mgłą. Urwę łeb temu cholernemu...

Amy odsunęła się, z gracją umykając Chrisowi.

- Przyjaciele, pamiętaj - rzuciła łagodnie.

Rozluźniłem dłonie. Ależ ze mnie dureń.

Chris uśmiechnął się półgębkiem.

- Jasne. Przyjaciele.

Patrzył, jak Amy znika wewnątrz budynku. Ale poznałem po jego spojrzeniu, że zrobiliby wszystko, byle tylko Amy na nowo zdefiniowała słowo „przyjaciele”.

45

AMY

Następnego ranka obudziłam się przed świtem. Podłoga była twarda i zimna, lecz to nie dlatego nie mogłam spać. Nie potrzebowałam śpiwora. Potrzebowałam Starszego. Na samo wspomnienie zeszłej nocy natychmiast uśmiechnęłam się szeroko.

Słyszając przyciszone głosy, rozchyliłam poły namiotu.

- Dzień dobry, słonko - powiedziała łagodnie mama, kiedy zobaczyli mnie razem z tatą. - Chcesz kawy?

Skinęłam głową i podeszłam do stołu, ziewając. Mama zanurzyła metalowy kubek w wiadrze z wodą, po czym wsypała do niego proszek i zamieszała.

- Prawie jak w domu - rzucił tato, stukając się ze mną swoim kubkiem i biorąc łyk „kawy”. Zrobił przy tym minę, na której widok nie zdołałam powstrzymać chichotu.

Na śniadanie mieliśmy liofdizowane racje żywnościowe z logo GZF. Jajka w proszku, zmieszane z wodą, i biszkopty, które bardziej przypominały krakersy. Ciekawe, ile takich racji jeszcze nam zostało. Ziemianie korzystali z nich oszczędnie - i za plecami ludzi ze statku, którzy dzielili się swoimi racjami.

Tato zanurzył „biskopt” w „kawie”, jak zawsze podczas śniadania na Ziemi.

- Cóż. - Mama strzepnęła okruszki z koszuli. - Idę do laboratorium.

Słyszając to, przypomniałam sobie, co odkryłam zeszłej nocy, razem z Chrisem. Miałam te słowa już na końcu języka, ale w ostatniej chwili je zdusiłam. Nie byłam gotowa, żeby powiedzieć o tym rodzicom. Jeszcze nie. Najpierw chciałam dać znać Starszemu.

Tato wyrzwał na zewnątrz, po czym zawołał do mamy:

- Chrisa nie ma. Odprowadzę cię do laboratorium. Amy, idziesz z nami?

Nie, ale wyszłam razem z nimi na podwórko, żeby się pożegnać. Słońce zaczęło wschodzić. Wokół nas słyszeliśmy odgłosy pobudki, cichej rozmowy i szurania, z którymi ludzie witali nowy dzień. Zdumiewające, jak szybko weszliśmy w rolę kolonistów. Jak szybko ruiny stały się naszym domem.

Uśmiechnęłam się.

I wtedy las eksplodował.

Tato zareagował pierwszy - rzucił mamę i mnie na ziemię, zasłaniając nam głowy masywnymi, silnymi dłońmi. Powietrze nad lasem rozgrzało się do czerwoności, a ziemia pod naszymi stopami - solidna, lita skała - grzmiała i trzęsła się. Słyszałam krzyki i wrzaski, które odbijały się echem w moim sercu, kiedy rozglądałam się na wszystkie strony i zastanawiałam, gdzie jest Starszy. Przenikliwe dzwonięcie przeszywało mi uszy. Nie wiedziałam, czy to efekt eksplozji, czy też znak, że pękła mi błona bębenkowa.

Ponad lasem wydeła się chmura, przesłaniając słońca i rzucając ciemny cień na całą kolonię. Z nieba niczym grad spadły odłamki skal i całe drzewa. Największe kawałki posypały się na las, lecz nawet tutaj, w kolonii, pył i zwęglone szczątki drewna pokryły kamienną ścieżkę.

- Co tu się, do diabła, stało!?! - ryknął tato. Żołnierze zaczęli gromadzić się wokół niego, gdy naraz rozległa się kolejna, mniejsza eksplozja, jakby wstrząs wtórny, targając wierzchołkami ocalałych drzew.

Nie mogłam oderwać oczu od tego widoku. Wielka, czarna wyrwa w ziemi.

Dokładnie tam, gdzie znajdowała się kapsuła.

STARSZY

Żołnierz próbował mnie zatrzymać, ale nie był w stanie - chyba że zastrzeliby mnie albo zostawił związanego. Gdy tylko rozległa się eksplozja, natychmiast zdałem sobie sprawę, co się stało. Pognałem z kolonii w stronę kapsuły. Amy spędzała z mamą w laboratorium każdy ranek. Każdy gzyfowy ranek. Jeśli była tam i teraz - moje serce tłukło się o klatkę piersiową, oczy mnie paliły. Nie mogła.

Dogoniłem pułkownika Martina i jego siły, zanim dotarli do lasu.

- Gdzie Amy? - zapytałem, spanikowany i zadyszany.

Pułkownik Martin spojrzał na mnie, jakby nie zrozumiał.

- Amy?

- Tak, co z nią?

- W porządku. Nie było jej tam.

Na dźwięk tych słów ugięły mi się kolana. Gwiazdom niech będą dzięki! Pułkownik Martin przemaszerował obok, nie tracąc czasu na odsyłanie mnie z powrotem do kolonii, a ja wziąłem się w garść na tyle, żeby podążyć za nim na miejsce eksplozji. Posuwaliśmy się do przodu, a gryzący dym palił nas w nozdrza i utrudniał widzenie.

Szliśmy zwartym szykiem, ze mną w samym środku. Wszyscy oprócz mnie trzymali broń w pogotowiu. Ich lufy, podobnie jak wzrok, były skierowane przed siebie.

Gdy dotarliśmy na miejsce eksplozji, wokół nas kłębił się dym, przez który praktycznie nic nie widzieliśmy. Oczy mi łzawiły, kiedy podkradaliśmy się bliżej. Z ogromną wdzięcznością powitałem wiatr, który rozwiął dym, dzięki czemu świat znowu nam się ukazał. Z drzew pozostały jedynie zwęglone, poczerniałe pnie. Sama ziemia była pokryta grudami, jakby świeżo zorana, tyle że osmalona i oszpecona.

Przystanęliśmy na widok kapsuły.

Jej elegancka, gładka sylwetka została rozszarpana na trzy części. Mostek, choć zniszczony w najmniejszym stopniu, znajdował się najdalej, jak gdyby dziecko oderwało go i cisnęło między drzewa. Pozostała część kadłuba kapsuły została rozerwana na pół, wzdłuż osi. Dach otworzył się niczym rozkwitły kwiat ze spalonego, dymiącego metalu.

- Rozproszyc się. Wypatrywać ofiar. Sprawców. Dowodów - rozkazał pułkownik Martin.

Ziemia bezpośrednio pod kapsułą - poczerniała, spalony piasek, który podczas naszego lądowania rakiety przetopiły na szkło - była spękana i potrzaskana, a światło dwóch słońc zgasło w małych kroplach zwęglonego szkła. Zastanawiałem się, czy to eksplozja spowodowała, że szkło pękło, czy też obcy wykorzystali je do wywołania eksplozji.

Ominąłem pustą skorupę kapsuły. Wszędzie postrzępione metalowe krawędzie i płomienie po wybuchu. Komory kriogeniczne były rozerwane, wokół leżały odłamki szklanych skrzyń. Laboratorium genetyczne pękło niemal równo na pół. Embriony zwierząt z Sol-Ziemi zniknęły. Dostrzegłem zniszczone cylindry, z których wyciekała żółta maź, i małe fasolki na płonącej ziemi. Inkubatory - naukowcy zaczęli produkcję koni i psów. Embriony spaliły się na skwarki.

Większość naszych zapasów żywności została w środku. Podobnie jak niezastąpiony sprzęt. A także - ta myśl dotarła do mnie jak cios prosto w brzuch - ostatni obraz Harleya, ten, który namalował dla Amy. Amy zabrała go ze sobą, ale trzymała w kapsule. Dla bezpieczeństwa. Teraz został z niego tylko popiół.

Potknąłem się o metalową płytę. Orzeł o czterech skrzydłach i słowo „Błogosławiony” wygrawerowane z jednej strony. To była tablica z kapsuły. Osmalenia wzdłuż jednej krawędzi sprawiały, że stała się nieczytelna.

Może to niezbyt wiele, ale kapsuła była ostatnim węzłem łączącym mnie z „Błogosławionym”. Ostatnim skrawkiem statku, jaki miałem. Pozostałością miejsca, które nazywałem domem.

A teraz przepadła.

Podrzuciłem tablicę stopą, odsłaniając idealnie zaokrąglony kawałek szkła.

Dopiero gdy podniosłem go ostrożnie spomiędzy szczątków, spostrzegłem, że to kula. Nie przypominałem sobie, by w kapsule znajdowało się coś o tym kształcie.

Z prawej strony padło na nią światło i wtedy ujrzałem w środku wirujące płynne złoto. Energia słoneczna.

Szlag.

- Pułkownika Martin? - zawołałem nerwowo.

Jeden z pozostałych żołnierzy podniósł na mnie wzrok. Widząc, co trzymam w dłoni, krzyknął na pułkownika i pognał, żeby go sprowadzić.

Kula była mniej więcej wielkości mojej głowy, ale wykonana z cieńszego szkła niż kostka Amy. W głębi ducha nie miałem żadnych wątpliwości, że może pęknąć - to cud, że jeszcze do tego nie doszło.

- Skur... - zaklął pułkownik Martin, kiedy mnie zobaczył. - Dlaczego to podniosłeś?

- Nie wiedziałem, że to... - Moje dłonie zrobiły się śliskie od potu, przez co jeszcze trudniej było mi utrzymać w nich kulę.

- Odłóż ją... delikatnie... delikatnie... - powiedział pułkownik. - Reszta cofnąć się.

Kącikiem oka dostrzegłem, jak wszyscy pozostali odsuwają się nerwowo, szukając

kryjówki. Zgiąłem kolana i bardzo ostrożnie opuściłem szklaną kulę. Jakiś cal nad ziemią zawahałem się. Niecała stopa dzieliła moją twarz od szklanej bomby, podobnej do tej, która wysadziła w powietrze całą kapsułę.

- Ostrożnie! - zawołał pułkownik Martin.

- Wiem - odwarknąłem.

Szklana kula z cichym brzękiem spoczęła na ziemi.

Zrobiłem krok w tył. Poturlała się o kilka cali. Wszyscy wstrzymali powietrze, ale kula zatrzymała się na równej powierzchni.

Gdy tylko schowałem się za drzewem, pułkownik Martin wyciągnął broń z kabury i wycelował. A potem pociągnął za spust.

Szklana kula pękła niczym przekłuty balon, a zamknięta w niej energia wystrzeliła na zewnątrz pod postacią eksplozji, która na chwilę mnie oślepiła. Mrugając, spojrzałem na zniszczenia.

Po kuli pozostał jedynie krater szeroki na dwie stopy.

Pułkownik Martin wysunął się naprzód, wpatrując się gniewnie w szczątki. Zaklął, solidnie i głośno.

- Dobrze. Teraz widzicie, z czym musimy się zmierzyć. Rozglądajcie się dalej i zachowajcie ostrożność - rozkazał.

Żołnierze rozproszyli się, a pułkownik podszedł do mnie.

- Nie ma już żadnych wątpliwości - stwierdziłem. - To robota obcych.

Nic nie odpowiedział.

- Czy dysponujemy jakąkolwiek bronią, która mogłaby się z tym równać?

Odwrócił się w stronę szczątków kapsuły.

- Nawet jeśli, to już przepadła.

Niech to gzyf. Miał rację. W kapsule znajdował się cały arsenał. Została nam jedynie broń, którą jego ludzie mieli przy sobie.

- Tyle dobrego, że do eksplozji doszło o tak wczesnej porze - ciągnął pułkownik. - W przeciwnym razie mielibyśmy liczne ofiary.

Amy. Niemal każdy dzień spędzała z matką w laboratorium genetycznym. Zamknąłem oczy i ujrzałem ją pośród eksplozji, tak samo jak na sekundę przed tym, kiedy wybuchła bomba - Amy pośrodku rozrywanego na strzępy statku, płonąca tak długo, aż nie dało się jej rozpoznać.

- Musimy coś zrobić - powiedziałem. Z tych wszystkich emocji mój głos był poszarpany tak samo jak krawędzie kapsuły.

Pułkownik Martin popatrzył mi prosto w oczy.

- Wiem.

Kiedyś sądziłem, że z przepowiedni Oriona prędzej spełni się ta o niewolnikach. Teraz zaczynałem jednak wierzyć, że pułkownik Martin zrobi wszystko, by zrobić z nas żołnierzy.

47

AMY

Przepchnęłam się przez tłum czekający na powrót taty i jego ludzi. Lecz to nie tato wyłonił się z płonącego lasu.

Tylko Starszy.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy i pospieszyliśmy w swoją stronę. Starszy pochwycił mnie w uścisk tak mocny, że zaparło mi dech.

- Co się stało? - zapytałam, kiedy wreszcie mnie wypuścił.

- Twój ojciec chce, żebym wszystkich wyprowadził.

- Wyprowadził? Dokąd?

Miał ponurą minę.

- Do kompleksu.

Z zaskoczenia prawie zaniemówiłam.

- Ale tato...

Starszy wzruszył ramionami.

- Kazał mi zabrać tam wszystkich.

- Dlaczego?

Rzucił mi nieprzeniknione spojrzenie.

- Nie wiem.

Niepokój zebranych wzrósł jeszcze bardziej, kiedy Starszy zebrał wszystkich i poprowadził przez las, aż za jezioro. Na widok kompleksu nagromadzenie nerwowej energii zmieniło nas w materiał wybuchowy, podobny do bomb, które rozerwały kapsułę.

Chris stał przed budynkiem komunikacyjnym.

- Co się dzieje? - zapytał, kiedy podeszliśmy do niego razem ze Starszym. Był zmęczony i brudny.

- Nie wiem - odparł Starszy. - Pułkownik Martin nic ci nie mówił?

- Kazał mi tylko czekać na was tutaj.

Wtedy z lasu wymaszerował tato, a za nim ludzie, których zabrał ze sobą na miejsce eksplozji. Nie odzywał się, dopóki nie dotarł do Starszego, mamy i mnie. Sprawiał wrażenie

niecو zaskoczonego widokiem Chrisa, ale nic nie powiedział, tylko przycisnął kciuk do zamka biometrycznego. Mignął komunikat CZŁOWIEK i drzwi się otworzyły. Tato skinął na Starszego, aby do niego dołączył. Ruszyłam tuż za nim, bezczelnym wzrokiem rzucając tacie wyzwanie, żeby nie ośmielił się mnie wykluczyć. Weszłam do środka, a za mną mama i na końcu Chris. Tato otworzył usta - żeby nas wyrzucić, jak sądziłam - ale po prostu zrezygnowany zamknął za nami drzwi.

- Bob, co to za miejsce? - mama natychmiast zażądała wyjaśnień. Przez duże szklane okno widziałam, jak żołnierze taty kierują ludzi na przeciwległy koniec kompleksu, z dala od asfaltu.

- Mario... - zaczął tato.

Mama wyglądała, jakby bardzo, ale to bardzo chciała mu przyłożyć.

- Więc to jest ten kompleks, o którym mi mówiłeś? Dlaczego nie powiedziałeś, że jest tak... tak nowoczesny!?

- Miałem rozkazy.

- Rozkazy! Do diabła z rozkazami! Jestem twoją żoną!

Tato przeszedł przez pomieszczenie i złapał mamę za dłoń.

- Mario, pozwól mi wyjaśnić.

Mama uwolniła ręce i wyrzuciła je w powietrze.

- Dobrze! Wyjaśniaj!

Westchnął.

- Ten kompleks został zbudowany przez pierwszych kolonistów z Ziemi. - Mama już otworzyła usta, żeby znowu krzyknąć, ale tato uciszył ją wzrokiem. - Natknęli się na pewne... problemy. Na obcych. Wysoce inteligentnych, wrogo nastawionych obcych. Obcy zabili wszystkich członków pierwszej kolonii. I bez żadnych wątpliwości zamierzają to samo zrobić z nami, odkąd tylko wylądowaliśmy.

Mama znowu otworzyła usta, ale tato uniósł dłoń, prosząc o ciszę.

- Mieliśmy problemy z nawiązaniem łączności z Ziemią. Na szczęście zeszłej nocy moi technicy zdołali rozgryźć, jak wzmocnić sygnał. Udało nam się przesłać wiadomość i odebrać przekaz zwrotny.

- Naprawdę? - Chris odezwał się po raz pierwszy, zszokowanym głosem. Tato uśmiechnął się do niego i wtedy przyszło mi do głowy, że ci dwaj żołnierze wiedzą coś jeszcze, czego nam nie zdradzają.

- Zdołaliśmy powiadomić Ziemię, że wylądowaliśmy i jesteśmy atakowani przez rdzennych mieszkańców planety. A Ziemia przysłała odpowiedź.

Odwrócił się do stanowiska komunikacyjnego i gestem przywrócił ekran dotykowy do życia. Przewinąwszy kolejne menu, wyświetlił blok tekstu, po czym się odsunął. Stłoczyliśmy się nad ekranem.

Wiadomość została odebrana.

Pomoc w drodze; szacowany czas pięć dni.

Na stacji znajduje się wszystko, co niezbędne do przeżycia pięciu tysięcy ludzi, oraz broń do wyeliminowania zagrożenia.

Każde z nas zwróciło uwagę na coś innego. Chris zapytał tatę o tę broń do „wyeliminowania zagrożenia”. Mama zapytała o stację. Starszy zapytał, jakiego rodzaju pomoc jest w drodze.

A ja? Zacięłam się przy pierwszym wersie. Wiadomość została odebrana. Tato rozmawiał z Ziemią... a Ziemia odpowiedziała. Z ulgą wypuściłam powietrze, choć wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że w ogóle je wstrzymuję.

- Oto wszystko, co wiem - podjął tato, odsuwając się Chrisa, Starszego i mamy, którzy zasypywali go gradem pytań. - Pod kompleksem znajduje się sterowany automatycznie prom kosmiczny, zaprojektowany po to, by transportować ładunki - i ludzi - na stację kosmiczną na orbicie i z powrotem na planetę. Nie pomieści nas wszystkich, ale wyślemy nim osoby najbardziej narażone, najsłabszych członków kolonii, niezdolnych do walki. A także kilku żołnierzy, specjalistów wojskowych, którzy sprawdzą, jakiego rodzaju broń GZF zostawiła nam do dyspozycji.

- Co to za broń? - natychmiast zapytał Starszy. Chris przyglądał się nam w milczeniu z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

- Wraz z wiadomością otrzymaliśmy również instrukcję zdalnego zdetonowania broni z tego stanowiska komunikacyjnego, nie podoba mi się jednak, że poza tym GZF nie udzieliła nam żadnych innych informacji na jej temat. Moi ludzie powiedzą nam więcej, kiedy ją zbadają.

Pozostali mieli kolejne pytania, głównie dotyczące broni, ale ja chciałam wiedzieć tylko jedno.

- Kiedy?

Słowo przecięło chaos i wszyscy zastygli w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Teraz.

Amy ścisnęła moją dłoń tak mocno, że straciłem czucie w palcach. Tymczasem pułkownik Martin, korzystając ze wzmacniacza, przedstawił całą sytuację zebranych na zewnątrz ludziom. Ze nie jesteśmy pierwszą kolonią, jaka wylądowała na Centauri-Ziemi i że poprzednia zginęła z rąk kosmitów, którzy nas również chcą zabić.

Niebo było bezchmurne, powietrze łagodne i spokojne, drzewa pełne życia - ale nikt nie zwracał na to uwagi. Wszyscy wciąż widzieli ciemnoszary dym, wciąż słyszeli huk eksplozji. Uważnie przyglądałem się twarzom moich ludzi, podczas gdy pułkownik Martin tłumaczył, że zostaną przeniesieni na stację orbitalną. Od razu zrozumiałem, że część z nich - wielu z nich - cieszy się na tę wiadomość. Pragnęli bezpieczeństwa, a to właśnie oznaczało dla nich życie w przestrzeni kosmicznej. Nie mogli się doczekać, kiedy wyruszą. Co prawda nie na „Błogosławionego”, ale lepsze to niż ta planeta. Przynajmniej dla nich.

Większość jednak wzdrygnęła się na ten pomysł. A to dodało mi odwagi.

- Kiedy dotrze do nas pomoc z Ziemi - ciągnął pułkownik Martin przez głośnik - zyskamy pewien wybór. Osoby przebywające na stacji orbitalnej będą mogły natychmiast wsiąść na pokład statku międzyplanetarnego.

Po tych słowach zapanował zamęt, dlatego pułkownik Martin szybko sprecyzował:

- Statku lecącego na Ziemię. Będziecie mogli wrócić na Ziemię.

To całkowicie zmieniało postać rzeczy. Wielu spośród moich ludzi nie było tym zachwyconych. Jeśli schronienie się na stacji miało oznaczać, że muszą potem polecieć na Ziemię, ich entuzjazm od razu osłabł. Ta planeta przynajmniej należała do nich. Ziemia z pewnością nie.

Opuściłem pomieszczenie komunikacyjne, żeby pomóc zapanować nad tłumem. Moi ludzie od razu otoczyli mnie jak drapieżne ptaki.

- Nie mogą nas zmusić! - jeden z dawnych sterników wrzasnął mi prosto w twarz. - Ta planeta to nasz dom, nie mogą nas zmusić, żebyśmy ją opuścili!

- To dla naszego bezpieczeństwa! - zaprotestował inny mężczyzna.

- I naszych dzieci! - dodała kobieta obok.

- Nigdzie nie jest bezpiecznie! - krzyknął żywiciel. - Równie dobrze możemy zostać tutaj.

- Nie możemy ufać GZF!

- Sol-Ziemia ma nas w nosie!

- Ale przecież nie możemy tu zostać!

- Dość! - wrzasnąłem najgłośniejszym głosem, jak tylko mogłem, po czym wyrwałem pułkownikowi Martinowi wzmacniacz. - Nikt was do niczego nie zmusza! - krzyknąłem przez

głośnik i mój głos zdołał uciszyć tłum. - Ale jeśli chcecie lecieć, to macie taki wybór.

- A co ty zrobisz? - zawołał ktoś z serca tłumu.

- Ja? - odparłem przez wzmacniacz. Przez ten cały gadżet mój głos brzmiał, jakby się łamał. Po raz kolejny żałowałem, że wi-komy nie działają. Pułkownik Martin spojrzał na mnie spode łba. - Ja zostaję tutaj.

Okrzyki radości - i protestu - wzniosły się ponad tłumem. Ludzie już zaczęli się dzielić na tych, którzy chcą zostać, i na tych, którzy chcą lecieć. Nie potrafiłem się oprzeć uczuciu dumy, że tak wielu nie przejmowało się zagrożeniem i zamierzało walczyć o to, co im się należy.

- Cisza! - ryknął przez wzmacniacz pułkownik Martin. Tłum uspokoił się, wciąż jednak niosło się po nim niespokojne mamrotanie. Pułkownik sięgnął do radia na ramieniu i wydał rozkazy swoim żołnierzom, a następnie wrócił do panelu sterowania w pomieszczeniu komunikacyjnym. Patrzyłem, jak uruchamia kombinację przycisków. Na zewnątrz ziemia zadudniła. Tłum wrzasnął, sądząc, że to kolejny wstrząs wtórny po niedawnej eksplozji. Amy i jej matka dopadły okna. Po raz pierwszy Amy odstała ode mnie.

Asfaltowy pas startowy zaczął się unosić, otwierając się z pomocą hydraulicznych dźwigów niczym drzwi na zawiasach. Spod niego dobiegał zgrzyt. Z rozdziawionymi ustami i wielkimi oczami patrzyłem, jak spod ziemi wyłania się olbrzymi prom kosmiczny. Wyglądał niczym przerośnięty samolot myśliwski z wielkim, ciężarnym brzuszyskiem pod lśnącymi skrzydłami. Potoczył się kawałek po asfalcie, a niezgrabny spód stanął otworem, odsłaniając setki pionowych boksów rozmiarów człowieka. Panel opadł z powrotem, zostawiając prom na pustym pasie startowym.

Pułkownik Martin mówił, że prom jest sterowany automatycznie, że wykorzystując sygnały samonaprowadzające, leci prosto na stację orbitalną i z powrotem do kompleksu. Ale ja ciągle się zastanawiałem, czy mógłby zboczyć z trasy i zahaczyć o „Błogosławionego”, żeby uratować uwięzionych tam ludzi. Sądząc po jego rozmiarach i kształcie, doszedłem do wniosku, że prom wznosi się jak samolot, aż dotrze do atmosfery, po czym odpala rakiety, a te wynoszą go na orbitę.

O ile wyjaśnienia pułkownika Martina i moje własne słowa nieszczególnie uspokoiły zebrany tłum, o tyle widok promy natychmiast wszystkich uciszył.

Wcześniej to były tylko słowa. Teraz widzieli fakty.

Prom oznaczał rozejście się dróg. Część do niego wsiądzie i już nigdy więcej ich nie zobaczymy. Polecą na Sol-Ziemię, zupełnie odrębną planetę, i przestaną być częścią naszej kolonii.

Pułkownik Martin wystąpił naprzód. Wykorzystując żołnierzy do liczenia ludzi, szybko wydzielił spośród „cywilów” tych, którzy powinni wsiąść na pokład w pierwszej kolejności. Ciężarne kobiety miały lecieć, sprawni mężczyźni zostać. Tyle że rodziny i przyjaciele wcale nie zamierzali się rozdzielać. Ociągali się albo wprost odmawiali, podczas gdy inni, o wiele bardziej chętni, zajmowali ich miejsce.

Ustalenie, kto chce, a kto nie chce lecieć, zdawało się ciągnąć w nieskończoność. W końcu wysiano ludzi na pokład. Pionowe boksy, które wcześniej dostrzegłem, były ustawione w szeregach we wnętrzu promu, po jednym dla każdej osoby.

- Wyglądają jak automatyczne suszarki w pralniach chemicznych - zauważyła Amy z piskliwym, nerwowym chichotem.

Pierwsi ludzie wsiedli na pokład promu. Pośrodku każdego boksu sterczała mała półka, podobna do siodełka rowerowego. Pasażer zapinał pasy biegnące przez klatkę piersiową i talię, po czym przezroczyste drzwi z cienkiego plastiku zamykały go w środku.

- Widzicie? - zawołał pułkownik Martin do grupy podenerwowanych ludzi ze statku, kiedy na prom wsiadła pierwsza grupa ziemskich naukowców. - Nie ma się czego bać.

Gdy pierwszy rząd indywidualnych boksów się zapełnił, automatycznie wysunął się drugi. Ludzie nerwowo sunęli naprzód, niepewni, czy mogą zaufać nieznanemu statkowi.

Paru moich ludzi podeszło bliżej promu i wtedy spostrzegłem, że inni pomału oddzielają się od grupy i cofają. Co rusz spoglądali przy tym na lewo, za drzewa i jezioro, tam, gdzie znajdowały się ruiny. Gdzie był ich dom.

Minęło kilka godzin, zanim prom został załadowany. Z nie-odgadnionym wyrazem twarzy Amy stała obok mnie i patrzyła. Dotknąłem jej dłoni, ale odsunęła ją gwałtownie. Zaczęło mnie gryźć jakieś dziwne, niepokojące przecucie, którego nie potrafiłem nazwać. Przecież... przecież nie mogła myśleć o tym, żeby mnie opuścić. Prawda?

Kiedy na pokładzie zostały już tylko dwa miejsca, pułkownik Martin przestał przyjmować ochotników.

W uszach słyszałem dudnienie. Coś tu było nie tak, tylko nie mogłem określić co.

Pułkownik Martin podeszedł do budynku łączności, gdzie stałem razem z Amy i jej matką.

Nie.

Wyciągnął rękę do żony.

- Już czas.

Skinęła głową.

Oboje odwrócili się w stronę Amy.

- Na nas już czas - powiedzieli oboje.
I wtedy zrozumiałem, że chcą ją odesłać.

49

AMY

Wiedziałam, że tak będzie.

Gdy tylko tato zaczął mówić, kto powinien zostać, a kto polecieć, wiedziałam, czego ode mnie oczekuje.

Chcieli, żebym wsiadła na prom.

Zerknęłam na Starszego. Kiedy zdał sobie sprawę, czego oczekuje ode mnie tato, na jego twarzy pojawiło się przerażenie.

- Amy - powiedział surowo tato. - Chodź.

Zawahałam się.

- Tym razem to nie jest opcja. Nie daję ci wyboru. Wsiadasz na prom. - Urwał, szukając mojego spojrzenia. - To dla twojego własnego bezpieczeństwa.

Zrobiłam krok do przodu.

Starszy wydał z siebie dźwięk, jakby ktoś go dusił, i rzucił się za mną, ale byłam już poza jego zasięgiem.

Otoczające mnie dźwięki zlały się w tło, kiedy podchodziłam do promu. Wiedziałam, co muszę zrobić, nie miałam tylko pojęcia, jak to zrobić. Widziałam ludzi wewnątrz ich boksów, jak spoglądali na nas przez przejrzysty plastik, który zamknął ich w środku. Boksy nie wydawały się szczególnie wygodne, ale podróż nie potrwa przecież długo. Ot, krótka wycieczka na orbitę, a potem na stację kosmiczną. Za kilka dni przybędzie inny statek, który pomknie na Ziemię, zabierając ze sobą wszystkich czekających na stacji.

To wszystko - całe to pakowanie się do boksów i powrót między gwiazdy - przypominało ucieczkę.

Nie podobało mi się to - zupełnie jakby obcy wygrali. Nie chcieli nas tutaj, więc nas przepłoszyli ze swojej planety.

Czułam się otępiała i półprzytomna, kiedy stanęliśmy przed boksami. Kątem oka widziałam Starszego, zbolalego i cierpiącego.

Na myśl o nim krajało mi się serce. Nawet mu nie wspomniałam o swoich planach. Ale teraz było już na to za późno.

- Wsiadę pierwsza - powiedziała moja matka, występując naprzód. Tato skinął głową. Spojrzała na niego z wyrazem twarzy, którego nie potrafiłam rozszyfrować. - Chcę zamienić

słówko z Amy. Babskie sprawy - dodała, bo wciąż przy nas stał.

Wtedy się odsunął.

Spojrzałam prosto w lśniące oczy mamy. Myślałam o tym, co muszę jej powiedzieć, o słowach, które złamią jej serce. Sięgnęłam do szyi i wyciągnęłam złoty krzyżyk, który przed trzema miesiącami wzięłam z jej rzeczy.

- Należy do ciebie. Przepraszam, że go zabrałam. - Zaczęłam gmerać przy zapięciu.

Mama dotknęła krzyżyka, przyciskając go do skóry na mojej piersi.

- Zatrzymaj go. Wiem, że go nosisz, odkąd zemdląłeś po tamtych kwiatach. Jest twój.

Dostałam go od matki, a teraz daję tobie.

- Mamo, nie mogę...

Pokiwała głową. I chyba zrozumiała to, czego nie mogłam z siebie wydusić.

Czego nie mogłam zrobić.

Odsunęła się, uśmiechnięta, z oczami pełnymi łez. Wtedy tato przypiął ją pasami w boksie transportowym i zamknął go na głucho.

Po czym odwrócił się do mnie.

- Ja nie lecę.

Cofnęłam się o krok - w stronę tłumu. W stronę Starszego.

- Co powiedziałaś? - Tato już był wściekły.

- Ja nie lecę. - Nie pozwoliłam, by w moim głosie zabrzmiała choćby nuta zwątpienia.

Tato ruszył w moim kierunku. W jego oczach płonęły dwa piekła.

- Dla niego? - zapytał! rozwścieczony, wskazując ponad moim ramieniem na Starszego. - Porzucasz swoją własną rodzinę dla niego?

- Nie - odparłam i to wystarczyło, żeby wstrząsnąć nim na tyle, by zapomniał o gniewie. - Nie zostaję dla niego. Ale też nie zamierzam nigdzie lecieć dla ciebie.

- Mogę cię zmusić - odparł, łapiąc mnie za ramię. Zanim zdołałam się uwolnić, pociągnął mnie kilka kroków bliżej promu.

- Możesz próbować. - Cofnęłam się nieco. - Ale będę walczyć o każdy krok, a potem znajdę sposób, żeby tu wrócić.

- Wracasz na Ziemię! - wrzasnął tato. - Polecisz tam, gdzie jest bezpiecznie!

Odpowiedziałam gorzkim, paskudnym śmiechem.

- Nigdzie nie jest bezpiecznie. Chciałeś wiedzieć, czego się nauczyłam przez te trzy miesiące, kiedy wy spaliście, a ja nie? Właśnie tego.

Tato sprawiał wrażenie, jakbym uderzyła go w twarz.

- Lecisz. Wszyscy lecimy. Dołączę do was na stacji, kiedy tylko misja dobiegnie

końca. Będziemy rodziną. Razem.

- Już raz byłeś gotów ze mnie zrezygnować.

- I co? Teraz ty jesteś gotowa zrezygnować z nas?

Jego słowa cięły mnie głęboko, trafiając prosto w serce. Mimo to cofnęłam się znowu, jeszcze dalej od promu. Ponad ramieniem taty spoglądałam na mamę w boksie transportowym. Uśmiechnęła się do mnie ponownie i wypowiedziała bezgłośnie dwa słowa. Chociaż nie mogłam ich usłyszeć, wiedziałam, co mówi - Kocham cię. Dotknęłam złotego krzyżyka na swojej szyi i bezgłośnie odpowiedziałam tymi samymi słowami.

A potem odwróciłam się i odeszłam.

Stałam u boku Starszego. Nie patrzyłam na niego. Nie patrzyłam na tłum za naszymi plecami. Patrzyłam na mojego ojca.

I czekałam.

Nigdy wcześniej nie widziałam go tak wściekłego.

Mimo to odwrócił się do panelu sterowania i uruchomił procedurę startową promu kosmicznego. Beze mnie.

Wpatrywałam się w mamę, która patrzyła na mnie tymi smutnymi, łagodnymi oczami. Z rur podpiętych do wszystkich boków dobiegł świst - tlen na czas lotu na stację krążącą po orbicie Cen-tauri-Ziemi.

Coś w twarzy mamy nagle się zmieniło.

Wśród kontrolki w dłoni taty zaczęło migać małe, czerwone światełko.

Wtedy moją uwagę przykuł jakiś łomot. Łup! Łup! Łup! Ludzie w boksach transportowych walili o plastik, który nie pozwalał im wysiąść.

Ogarnęła mnie zgroza.

Boksy transportowe podskakiwały na stojakach, podczas gdy uwięzieni w środku pasażerowie dygotali i łomotali w plastik, usiłując się wydostać.

Mój wzrok wystrzelił z powrotem do mamy. Miała dziwnie rozwarte usta, jakby nie panowała nad mięśniami twarzy. Jej oczy spoglądały prosto przed siebie. Puste.

- Coś jest nie tak! - wrzasnęłam, rzucając się do przodu. - Coś jest nie tak z powietrzem!

Tato kłął, walcząc z panelem sterowania, ale czerwone światełko nie przestawało mrugać, a gaz - gaz, który chyba wcale nie był tlenem - ze świstem wpadał do zamkniętych na głucho boksów transportowych.

Z impetem rzuciłam się na boks mamy. Plastik ugiął się, nie pękł jednak, nie ustąpił.

- Otwórz te boksy! - wrzasnęłam. - Otwórz je! To trucizna!

- Nie mogę! Nie mogę! - krzyczał tato, tłukąc w panel sterowania i klnąc.

Ze wszystkich sił ciągnęłam za plastikowe drzwiczki. Połamałam sobie paznokcie, ale miałam to gdzieś. Nie mogłam otworzyć boksów, w których siedziały moja mama, może już...

Naraz z pięciuset boksów dobiegł głośny syk i wszystkie otworzyły się w tej samej chwili.

- Mamo! - krzyknęłam. Omiotła mnie fala uwolnionego gazu. Runęłam, niejasno zdając sobie sprawę, że moje zmysły zamierają.

Tato dopadł do mnie, podniósł mnie od strony głowy. Starszy chwycił z drugiej.

- Amy? Amy? - tato krzyczał mi prosto w twarz, lecz gaz sprawił, że zastygłam.

Nie mogłam się ruszyć.

Wszystko działo się tak powoli.

Już raz się tak czułam.

Jakbym znalazła się pod wodą.

Niebo było takie niebieskie.

Tatuś. Tatuś na mnie krzyczy.

Ciekawe dlaczego.

A tam jest mamusia.

Nic nie mówi.

W ogóle się nie rusza.

50

STARSZY

Pośród krzyków i wrzasków ludzie rzucili się w stronę boksów transportowych, próbując uwolnić uwięzionych w środku pasażerów.

Ale za późno.

Wszyscy już nie żyli.

Nie musiałem badać próbki gazu, aby wiedzieć, że zabiło ich wysokie stężenie fidusa - zresztą i tak nie moglibyśmy tego sprawdzić, skoro laboratorium zostało zniszczone razem z kapsułą. Reakcja Amy powiedziała mi wszystko, czego potrzebowałem. Przyklęknąłem obok niej. Wiedziałem, że trzeba po prostu poczekać, aż działanie fidusa przeminie. Mimo to cały się trząsałem ze strachu. Niewiele brakowało, żeby Amy znalazła się w jednym z tych boksów. Zeby... Poczulem w gardle gulę, przełknąłem. Nie mogłem się załamywać przez coś, co się nie stało.

Pułkownik Martin sprawdził parametry życiowe matki Amy, a potem osunął się u jej

stóp. Spełniły się moje najgorsze obawy. Nie żyła. Usta i oczy miała otwarte, jak gdyby krzyczała, ale było już za późno. Umarła tak samo jak Najstarszy i Lorin - na skutek przedawkowania fidusa.

Ostatnie wątpliwości, czy obcy na tej planecie mają dostęp do fidusa i wiedzą, jak on działa, właśnie się rozwiały.

Za jednym zamachem zabili czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć osób.

Lekarze, którzy nie wsiedli do boksów transportowych - zostało ich tylko troje - biegali od jednego pasażera do drugiego, sprawdzając, czy ktoś przeżył. Część moich ludzi na widok takiej liczby ofiar wpadła w panikę i z krzykiem uciekła z powrotem do ruin. Część żołnierzy próbowała zebrać pozostałych w jednym miejscu, w bezpiecznej odległości od promu. Gaz już zniknął i teraz z wentylacji wydobywał się jedynie tlen, który zostawiał w powietrzu lepki, słodki zapach.

Chris stanął obok; nawet nie zauważyłem, kiedy do mnie podszedł. Był oszołomiony i usiłował coś powiedzieć, wpatrując się w ciało Amy i praktycznie nie zwracając uwagi na tych, którzy umarli naprawdę.

Ja również się jej przyglądałem, jednocześnie obserwując panujący wokół chaos. Patrzyła bezmyślnie przed siebie. Prosto na swoją matkę.

Od razu poznałem, kiedy działanie fidusa zaczęło ustępować. Widziałem, jak w jej pustym spojrzeniu zaświtało przerażenie na widok martwego ciała matki. Zwinęła się, po czym ze zduszonym, dławiącym szlochem przywarła do ojca i wybuchnęła płaczem. Po części się radowałem - fidus jej nie zabił, nie znieczulił umysłu - po części jednak żałowałem, że nie oszczędził jej bólu po śmierci matki.

- Jesteśmy za bardzo odsłonięci - odezwał się Chris, spoglądając w górę. Niebo wyglądało złowroźnie, jakby w każdej chwili mogły na nas spaść ptery albo obcy mieli przypuścić atak. Musieliśmy się stąd zbierać.

- Ruiny? - zapytałem. Zerknąłem na pułkownika Martina - to on powinien teraz wydawać rozkazy. Siedział jednak przed ciałem żony i szlochał. Zaskoczyła mnie ta chłodna, beznamiętnie kalkulująca strona mojej osobowości, która wyzbyła się współczucia.

Chris zmarszczył czoło w zamyśleniu.

Sam odpowiedziałem na własne pytanie.

- Tam nie będziemy bezpieczni. Ci... obcy, kimkolwiek są, wysadzili kapsułę w powietrze. Próbują nas wszystkich zabić. Na pewno wiedzą, gdzie znajdują się ruiny. Możliwe, że już tam na nas czekają.

- Nie mamy innego wyjścia - odparł ponuro. I miał rację. Gdzie indziej moglibyśmy

się schronić? W lesie - gdzie kwiaty odbierają nam przytomność, a nad głowami latają ptery? Tutaj, na otwartej przestrzeni, gdzie zginęło już pięćset osób? Ruiny to nic wielkiego, lecz tylko one zapewniały nam bezpieczeństwo i schronienie pośród kamiennych murów.

Oznaczałoby to powrót między ściany, ale jakie mieliśmy wyjście?

Pospieszyłem do pomieszczenia komunikacyjnego i chwyciłem za wzmacniacz. Ludzie już się rozproszyli. Część panikowała w lesie, część po prostu biegła przed siebie. Miałem nadzieję, że moje słowa dotrą do wszystkich.

- Słuchajcie! Wracajcie do ruin! Nie zostawajcie na otwartej przestrzeni! Wracajcie do budynków!

Przez wielkie szklane okno dostrzegłem poruszenie wśród ludzi. Zawrócili w stronę ruin. Żołnierze zadziałali jak jeden organizm, otoczyli grupę i poprowadzili do względnie bezpiecznych kamiennych murów.

Chris usiłował dogadać się z pułkownikiem Martinem, ale żadne jego słowo nie mogło się przebić przez żal.

- Amy, musimy iść. - Złapałem ją za łokieć, lecz wyślizgnęła się z mojego uścisku niczym woda przez sito.

Chwyciłem ją jeszcze raz, mocniej i pewniej, po czym podciągnąłem tak, że stanęła na równe nogi. Zachwiała się, mimo to nie puściłem.

- Nie możemy już nic zrobić! - krzyknąłem w nadziei, że usłyszy moje słowa przez swój smutek. - Musimy iść.

Pułkownik Martin także wstał. Byliśmy w połowie kompleksu, kiedy Amy krzyknęła cicho i zawróciła.

- Nie możemy zostawić mamy! - rzuciła dziko, odwracając głowę w stronę ojca. - Nie możemy jej tak po prostu zostawić!

Chris złapał ją w objęcia, żeby nie pobiegła z powrotem do promu.

- Musimy - sapnął, próbując utrzymać ją w miejscu.

- Nie możemy jej zostawić! - Na oślep wyciągała ręce w stronę matki.

- Amy - odezwał się pułkownik ciężkim, łamiącym się głosem. - Musimy iść.

Opadła bezwładnie. Wola walki opuściła ją tak nagle, że Chris zachwiał się pod ciężarem jej ciała.

- Za mną! - zawołałem. Serce mi pękało na widok przytłoczonej rozpaczą Amy. Ruszyliśmy przez łąkę, w ślad za grupą zmierzającą z powrotem do ruin. Chwilę później zaczęliśmy biec. Od czasu do czasu Amy potykała się, kiedy przez łyż nie dostrzegała jakiegoś korzenia albo kamienia.

Gdy dotarliśmy do pierwszego budynku, który stał się domem jej i rodziców, Amy z cichym płaczem opadła na jedno z ziemskich krzesełek turystycznych. Pułkownik Martin stanął przed Chrisem i mną. Policzki miał zapadnięte, a zaczerwienione oczy podkrążone. Ze swojej rozpaczy wykuł zbroję gotową do boju. Nigdy dotąd nie zrobił na mnie wrażenia tak śmiertelnie niebezpiecznego człowieka, jak teraz.

- Wyślę żołnierzy na zwiad do najbliższego obszaru z rozkazem wypatrywania tych kolonistów, którzy zgubili się w panice, i ujęcia każdego inteligentnego obcego, na jakiego się natkną. - Z dziką zaciętością w oczach spojrzał na Chrisa. - Czy możesz mi powiedzieć cokolwiek na temat tego, kto nas zaatakował? Coś, co pomoże nam ich wytropić i wybić co do jednego?

Chris bezgłośnie pokręcił głową.

Zmrużyłem oczy, niepewny, dlaczego pułkownik Martin sądzi, że Chris ma jakiegokolwiek pojęcie na ten temat.

- Czy pan coś ukrywa? - zapytałem. Nie mieliśmy czasu na tajemnice ani podstępny. Jeśli te informacje mogłyby nam pomóc...

- Wiesz to, co ja - odparł pułkownik. - Ziemia wysłała pomoc. Musimy przetrwać jeszcze kilka dni, najwyżej tydzień.

Prychnąłem.

- Najwyżej tydzień? Cóż, dziś rano zabili jedną trzecią z nas. Na pewno tyle wytrzymamy.

51

AMY

Próbowałam sprawiać wrażenie zainteresowanej.

Próbowałam się przejąć.

Powinnam się przejąć.

Byłam gotowa pożegnać się z rodzicami. Pożegnałam się z mamą. I nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek ją zobaczę. Miała polecieć na stację orbitalną, a stamtąd na Ziemię. To było jedno z tych pożegnań na zawsze.

Ale to jednak nie to samo, prawda? Pożegnanie i śmierć.

Tato, Chris i Starszy o coś się sprzeczali. O tę broń na stacji orbitalnej, magiczną różdżkę, która jednym machnięciem miała zmieść wszystkich obcych i nas ocalić. Starszy i Chris nie chcieli jej używać. Mówili, że nie wiemy, co to takiego, jak wiele zniszczeń spowoduje. Skoro zabije obcych, to może zabije i nas?

Ale tato miał to już chyba gdzieś. Nie przejmował się ofiarami. Nie kiedy mama stała się jedną z nich.

W pewnej chwili Starszy wysunął nasz pomysł, że może na „Błogosławionym” zostało coś jeszcze, jakaś wskazówka, która podpowie nam, kim są obcy i jak ich pokonać.

- Nie potrzebuję żadnych cholernych wskazówek - warknął na niego tato. - Nie obchodzi mnie, kim są obcy. Potrzebuję tylko na tyle dużej spluwy, żeby ich powybijają co do jednego. Dlatego muszę się dostać na stację.

- Jest pan gotów popełnić ludobójstwo? - zapytał cicho Chris.

- Zrobiliby z nami dokładnie to samo.

Starszy próbował wciągnąć mnie do rozmowy. Może zdołałabym zmiękczyć tatę, przekonać go, żeby posłuchał.

Lecz ja tylko wpatrywałam się w podłogę.

Starszy nie potrzebował słów. Po prostu chwycił mnie za dłoń i ciągnął, aż wstałam. Nie przestawał ciągnąć, więc chwiejnym krokiem poszłam za nim. Zatrzymał się przy drzwiach.

- Myślałem, że cię stracę - powiedział cicho, nie puszcżając mojej dłoni.

Tak jak ja straciłam matkę.

- Amy - zaczął, a potem zaczekał, aż na niego spojrzę. - Nie mogę cię stracić. Nie mógłbym...

Tyle że śmierć wcale tak nie działa. Nie przejmuje się, czy ktoś cię kocha, czy nie chce cię stracić. Po prostu cię zabiera. Zabiera i zabiera, aż wreszcie nic ci już nie zostaje.

Starszy chyba zdał sobie sprawę, że nic, co powie, nie przedrze się przez spowijającą mnie ciemność. Po prostu przyciągnął mnie bliżej i przytulił, a potem trzymał w objęciach, podczas gdy ja wspierałam się na nim, z całych sił przygryzając wargę, żeby się nie rozplakać. Bo bałam się, że jak raz zacznę, to już nigdy nie przestanę.

Po długiej chwili Starszy zapytał:

- Chcesz, żebyśmy zostali? - Spojrzał ponad moją głowę, na tatę. - Zostanę, bez względu na to, co on powie.

Pokręciłam głowę i odsunęłam się. Starszy po raz ostatni ścisnął moją dłoń, a potem zniknął pośród nocy.

Zostaliśmy sami, tato i ja w tym zimnym, kamiennym budynku wzniesionym przez ludzi, którzy już dawno umarli.

Tato przytulił mnie. Staliśmy tak razem przez długi czas. I chociaż trzymaliśmy się mocno w objęciach, wciąż miałam wrażenie, że coś jest między nami, coś, przez co nie

możemy tak naprawdę nawzajem się dosięgnąć. Aż zrozumiałam, że jest coś takiego, co już zawsze tam będzie: wspomnienie mamy, świadomość tego, co utraciliśmy.

Tato poszedł porozmawiać z żołnierzami. O broni i o tym, ile nam jej zostało. I jak uzbroić tę największą, na stacji orbitalnej.

Wtedy zostałam sama.

Usiadłam na podłodze i podciągnęłam kolana pod brodę. Trzydziestka ósemka dźgnęła mnie w miękką skórę brzucha, więc wyciągnęłam ją z kabury. W środku było pięć nabojów... jedyne, jakie mi zostały.

Położyłam broń obok. Nosiłam ją przy sobie, bo dzięki temu czułam się bezpiecznie, poza tym rozwiewała zmartwienia rodziców. Ale teraz myślałam tylko o tych pięciu nabojach i o tym, co mogą zrobić. Nie były już zwykłym środkiem ostrożności. Zamierzałam ich użyć.

Rozumiałam tę część mojego taty, która pragnęła zabić wszystkich obcych, nawet za cenę wysadzenia razem z nimi całej tej planety.

Przyciągnęłam kolana do siebie, schowałam twarz w ramionach.

Pomieszczenie było takie duże, a ja byłam taka mała.

52

STARSZY

Wiedziałem, co muszę zrobić.

Pytanie tylko: czy zdołam?

Zaczekałem, aż zapadnie noc. Koloniści przez cały dzień miotali się między napięciem a rozpaczą, strachem a paniką. Żołnierze byli na skraju wytrzymałości nerwowej. W każdej zmianie warty wystawiali więcej ludzi niż zwykle.

Wiedziałem jednak, że mogę liczyć na co najmniej jednego sprzymierzeńca.

Na Chrisa.

Być może nie był moim ulubieńcem, ale stanął po mojej stronie, kiedy kłóciłem się z pułkownikiem Martinem. Wiedziałem, że on również zrobi wszystko, co w jego mocy, aby chronić Amy.

Czekał na mnie godzinę po zachodzie słońca.

- Jaki masz plan? - zapytał cicho, kiedy szliśmy ścieżką przez kolonię.

- Żaden z nas nie chce, żeby pułkownik Martin bawił się tą bombą, którą GZF zostawiła na stacji, zgadza się?

Przytaknął.

- Nie ufam GZF.

- I dobrze. Ja również.

Przekradliśmy się przez kolonię zaułkami, po czym przemknęliśmy się za pierwszym rzędem budynków, żebym mógł podejść pod okno Amy. Chris zmarszczył czoło - w ciągu dnia Amy była pogrążona w żalu, dlaczego oczekiwałem, że teraz nam pomoże? Nie wyobrażałem sobie jednak, że zrobimy to bez niej.

- Amy - syknąłem. Pułkownik Martin chyba pomagał przy patrolach, ale wolałem nie ryzykować.

Amy siedziała pośrodku swojego pokoju, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Oczy miała zapadnięte i puste. Podniosła jednak wzrok, po czym wzięła głęboki, drżący wdech, wstała i podeszła do okna.

W jej oczach zalśniła ciekawość, kiedy spostrzegła, że za mną stoi zdenerwowany Chris.

- Co się dzieje?

- Mam plan - odparłem. - Idziesz ze mną? - Próbowałem ukryć nadzieję i niepokój w moim głosie. Amy miała wszelkie powody, żeby odmówić. Dopiero co zginęła jej matka, a my wszyscy baliśmy się, co teraz szykują obcy.

Jednak po chwili podciągnęła się na parapet i zeskoczyła po drugiej stronie.

- W porządku? - wyszeptalem.

- Nie - odparła zwyczajnie.

Właśnie szczerość tej odpowiedzi przekonała mnie, że to wszystko przytłoczyło Amy, lecz jej nie złamało.

- Ale chcę coś zrobić - dodała tylko do mnie. - Nie zniosę myśli, że miałabym być teraz całkiem sama.

- Nie chodzi ci o ten sam plan, który ma pułkownik Martin, prawda? Żeby użyć broni ze stacji orbitalnej?

Amy spojrzała na mnie tak, jak tylko ona potrafiła patrzeć.

- Pewnie, że nie. Nie jestem tatą.

- Chodźmy - rzucił Chris, rozglądając się. Pomaganie mi nie było tak do końca sprzeczne z rozkazami pułkownika Martina, ale gdyby nas przyłapał, Chris usłyszałby pytania, na które raczej nie chciał odpowiadać.

Poprowadziłem ich oboje w kierunku kompleksu, nie zawracając sobie głowy przekradaniem się przez wysokie trawy na łące. Tę stronę kolonii patrolowało dwóch wartowników, jednak żaden nie ośmielił się nas zatrzymać. Przywódca ludzi ze statku, córka pułkownika i żołnierz - nie mieli żadnych powodów do niepokoju. Poszliśmy prosto do

kompleksu, jakbyśmy otrzymali taki rozkaz. Wartownicy nawet nas nie zatrzymali, żeby o cokolwiek zapytać.

Odetchnąłem z ulgą, widząc zarys promu kosmicznego na pasie startowym - i żadnych strażników. Zerknąłem na Amy. Oczy miała szkliste, a twarz martwą, kiedy patrzyła na rząd boksów. W każdym z nich siedziała jedna osoba, a wśród nich jej matka. Dotknąłem wnętrza dłoni Amy. Spojrzała na mnie załzawionymi oczami.

- Nic mi nie jest - skłamała.

Być może udało nam się przejść przez kolonię, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Ale jeśli pułkownik Martin lub któryś z jego ludzi zobaczyłby nas tutaj, w cieniu blisko pięciuset zmarłych, to na pewno by nas nie przepuścił tylko dlatego, że sprawiamy wrażenie pewnych siebie.

- Jaki mamy plan? - szepnął Chris. Wyciągnąłem szklaną kostkę, którą Amy dała mi wcześniej, i osłaniając ją tak, by rzucała jedynie słaby blask, oświetliłem nią drogę do pomieszczenia komunikacyjnego. Zaciskałem palce tak mocno, że aż mnie rozboleły, i próbowałem nie myśleć o tym, do jakich zniszczeń by doszło, gdybym ją upuścił na cementową podłogę.

Chris cofnął się, rozglądając się nerwowo, jakby się spodziewał, że pułkownik Martin - albo gorzej, obcy - wyskoczy skądś zniecka. Amy przycisnęła kciuk do skanera biometrycznego. Mignął komunikatem CZŁOWIEK i odblokował zamki. Dopiero gdy drzwi się za nami zamknęły, odważyłem się odezwać normalnym głosem.

- Oto, co wiemy - zacząłem. Szklana kostka na podłodze rzucała na nasze twarze niesamowity blask. - Wiemy, że obcy są inteligentni, a także dysponują lepszą bronią i technologią niż my.

Amy wpatrywała się ponad moim ramieniem w prom kosmiczny. Chris po prostu na mnie patrzył.

- Nie wiemy za to, kim są. Nigdy żadnego nie widzieliśmy. Nie wiemy, jakie są ich słabe strony. GZF obiecała co prawda, że ta broń ich zabije, ale nie mamy pojęcia, co to w ogóle za broń.

- I właśnie dlatego jest niebezpieczna - dodał Chris.

- Zgadzam się - przytaknąłem. Broń, która zmiecie z powierzchni cały obcy gatunek? Dlaczego miałyby nie zabić także nas? Albo nie zniszczyć całej planety? Nie mogliśmy bezpiecznie użyć czegoś równie potężnego, czego nie rozumieliśmy.

- Więc... co? Co zrobimy? - zapytała Amy.

- Nie „my”. Ja. Wracam na „Błogosławionego”.

Amy otworzyła szeroko oczy i rozwarła usta. Chris patrzył na mnie tępo.

- A co to niby da? - zapytał.

- Mam bardzo dobry powód, by podejrzewać, że na statku znajduje się odpowiedź, której potrzebujemy. Po pierwsze, substancja, którą zabito... - Ucichłem, spoglądając na Amy.

- Którą zabito moją matkę - dokończyła bezbarwnym głosem.

- I pozostałych, tak. Muszę się dowiedzieć, jak to możliwe, że tę samą substancję mieliśmy na statku. A ostatnia wskazówka Oriona moim zdaniem sugeruje, że klucz do wszystkiego wciąż znajduje się na „Błogosławionym”. - Urwałem. Prom za oknem był wielki i ciemny. Próbowałem nie patrzeć na setki martwych ciał, które wciąż tkwiły uwięzione w boksach transportowych.

Spojrzałem na Chrisa. Nie chciałem mu o tym mówić, nie miałem jednak innego wyjścia.

- Poza tym na statku została część moich ludzi. - Pomyślałem o przekazie wideo, który widzieliśmy wcześniej. Oby nie było za późno. Miałem nadzieję, że Bartie zachował pomysł z czarnymi med-plastami dla siebie. - Mogę ich tutaj sprowadzić, razem z nowymi zapasami. Potrzebujemy pomocy. Żywność prawie się nam skończyła.

Nasze zapasy przechowywaliśmy w kapsule.

- Zamierzasz polecieć promem? - zapytała Amy. - A co z... - Przełknęła ślinę, a gdy znów się odezwała, w jej głosie pojawiło się dziwne drżenie. - A co z tymi ludźmi?

- Pomyślałem... - Zebrałem się w sobie, żeby spojrzeć jej w oczy i zmierzyć z bólem, który w nich odnalazłem. Nie wiedziałem, jak pocieszyć Amy po tym, co zaszło, ale przynajmniej mogłem dać jej odrobinę spokoju. - Pomyślałem, że wyślę ich do gwiazd.

Amy przygryzła wargę i spuściła wzrok. A potem skinęła głową.

- Ale... jak niby chcesz nim polecieć? - zapyta! Chris.

- Jest sterowany automatycznie, prawda? W zasadzie nie muszę nic robić.

- No tak, ale został zaprogramowany tak, żeby latał z planety na stację. Nigdzie indziej.

Przytaknąłem.

- Liczę na to, że uda mi się go przeprogramować. Jest... odkryliśmy, że dociera tu przekaz na żywo z pokładu „Błogosławionego”. Jeśli z pomocą tego sygnału uda nam się przeprogramować prom tak, by obrał kurs na „Błogosławionego”, a nie na stację orbitalną...

- Wtedy będziesz mógł tam polecieć, znaleźć potrzebne informacje i wrócić ze swoimi ludźmi - dokończył Chris z narastającym podnieceniem w głosie. - Tak, to może zadziałać!

- A jeśli istnieje szansa, że twoje informacje pozwolą nam powstrzymać obcych, tato

nie użyje tej broni - dodała Amy, po czym umilkła, a w jej oczach lśniła determinacja. - Nie pozwolimy mu na to, dopóki nie wrócisz.

- Zajmę się przeprogramowaniem - Chris ruszył do panelu sterowania. Po kilku minutach ekrany świeciły, a on szybko wstukiwał komendy.

- Rany, jesteś dobry w te klocki - stwierdziła Amy.

Chris znieruchomiał, nie odrywając palców od ekranów.

- Och, to wcale nie jest takie skomplikowane - odparł. Niedługo potem odsunął się od panelu. - No, zrobione! Powinieneś bez problemu dotrzeć promem na „Błogosławionego”.

Wziąłem głęboki wdech.

- Dobrze. W takim razie do dzieła.

Amy wyglądała na zaniepokojoną.

- Już? Chcesz lecieć teraz, od razu?

Chris spojrzał na nas. Dopiero co triumfalnie przeprogramował prom kosmiczny i teraz pomagał nam w znalezieniu sposobu na pokonanie obcych bez wykorzystania tajemniczej broni od GZF, a mimo to wydawał się przygnębiony.

- Pójdę przygotować prom - rzucił, po czym zostawił nas samych w pomieszczeniu.

Amy chwyciła mocno moje dłonie.

- Masz do mnie wrócić - powiedziała z zaciętością. - Zrób wszystko, co będzie trzeba, masz do mnie wrócić.

- Wrócę.

- Mówię poważnie - odparła z całą mocą. - Straciłam prawie wszystko, co kocham. Nie mogę stracić i ciebie.

- Ja zawsze do ciebie wrócę.

Przyciągnąłem ją do siebie.

Pocałowała mnie i już miałem się w niej zatracić, kiedy poczułem słony smak. Odsunąłem się i zobaczyłem, że znowu płacze. Opuszką kciuka otarłem jedną łzę. Amy z zażenowaniem przejechała ramieniem po twarzy.

Poszliśmy do promu, Amy kilka kroków za mną. Słyszałem, jak pociąga nosem, próbując zamaskować łzy, których nie potrafiła powstrzymać.

Chris uruchomił przycisk na panelu sterowania wpuszczonym w asfalt nieopodal promu. Boksy transportowe zniknęły, a metalowe płyty automatycznie zamknęły się za nimi z hukiem, który poniósł się echem. Potem Chris skinął na mnie, żebym poszedł za nim na przód promu, gdzie znajdowała się metalowa drabinka prowadząca na mostek.

- Wygląda na to, że masz rację. Wszystko powinno być sterowane automatycznie -

wyjaśnił. Powiedział, jakby nie żywił co do tego choćby cienia wątpliwości, że będę mógł sam polecieć przez orbitę Centau-ri-Ziemi, ale skórę wokół jego oczu znaczyły zmarszczki zmartwienia, a mięśnie miał napięte. - Na mostku znajduje się prosty panel i mechanizm ręcznego sterowania, na wypadek gdyby coś poszło nie tak.

Pokiwałem głową, starając się sprawiać wrażenie pewnego siebie. Kapsuła z „Błogosławionego” także lądowała w trybie automatycznym, a zginęły trzy osoby.

- Kiedy oglądałem mostek, znalazłem coś takiego - dodał Chris, ciągnąc mnie do rogu promu. - Kapsuła ratunkowa. Pomieści jedną osobę na wypadek awarii promu. Ma tylko dwa ustawienia - może polecieć albo na stację orbitalną, albo z powrotem tutaj. Jeśli coś się stanie, po prostu wsiądź do kapsuły i wracaj.

Spojrzałem na kapsułę. Była klaustrofobicznie mała, w porównaniu z promem przypominała papierowy samolocik. Wyglądała jak wybrzuszenie pod mostkiem i z jakiegoś powodu zwątpiłem, czy zdołałaby przetrwać odłączenie od promu, nie mówiąc już o podróży przez przestrzeń kosmiczną.

Chris odsunął się, dając Amy i mnie chwilę prywatności.

- Obiecuj - powiedziała, zahaczając swoim małym palcem o mój. - Obiecuj, że wrócisz.

Spojrzałem jej prosto w oczy.

- Obiecuję.

53

AMY

Patrzyłam, jak prom budzi się z rykiem i odlatuje, a żołądek skręcało mi złowieszcze przecucie. Byłam pusta w środku. Usiłowałam otrząsnąć się ze wspomnień, ale myślałam tylko o jednym: Nigdy więcej nie zobaczę Starszego.

- Niedługo zjawi się pułkownik Martin - powiedział Chris. - Tego nie mógł przeoczyć.

- Niech się zjawi - odparłam. Już i tak było za późno. Starszy odleciał. Podeszłam do stanowiska komunikacyjnego i zaczęłam czekać, aż Starszy odezwie się do nas przez radio. Chris stanął przy oknie. Czekał na tatę.

- Jest pułkownik Martin - odezwał się szybciej, niż sądziłam.

Spojrzałam przez szybę, niczego jednak nie dostrzegłam.

- Tam - wskazał Chris, ale ja widziałam tylko ciemność i cienie.

Odwróciłam się z powrotem do panelu. Na linii połączenia z promem mignęło ostrzeżenie: Rozpoczęto wyniesienie na orbitę. Nie chciałam rozpraszać Starszego, kiedy

musiał się skupić na układzie sterowania.

Znowu zerknęłam przez okno i wreszcie zobaczyłam to, co wskazywał mi Chris. Tatę i około dziesięciu innych żołnierzy. Wszyscy byli uzbrojeni i biegli w naszą stronę.

- Wspaniale - mruknęłam.

Chwilę później usłyszałam tubalny głos taty, tak głośno, jakby nie dzieliło nas szkło ani ściany.

- Wychodzić! - rozkazał. - Budynek jest otoczony.

- Nie wie, że to my - stwierdził Chris. W jego głosie pobrzmiwał autentyczny strach. Szklana kostka wciąż oświetlała pomieszczenie, ale rzucała też cienie, przez które tato pewnie nie mógł zobaczyć nic w środku. Podeszłam do drzwi i otworzyłam je. Przez ułamek sekundy słyszałam jedynie metaliczny szczęk blisko tuzina luf wymierzonych we mnie.

- Tato, możecie odłożyć broń i być cicho? - zapytałam niecierpliwie.

- Amy?

- Owszem. A teraz odłóż tę broń i wejdź do środka, zanim obcy nas zobaczą!

Tato zaklął siarczyście, po czym razem ze swoimi ludźmi wepchnął się do pomieszczenia komunikacyjnego.

- Naprawdę potrzebujesz tu ich wszystkich? - zapytałam. - Nie byłoby lepiej, gdyby ci ludzie strzegli kolonii?

Odwrócił się z rozkazem do swoich żołnierzy. Jedna kobieta i jeden mężczyzna oddzielili się od jednostki, podczas gdy reszta wróciła do ruin.

- Amy - podjął tato, odwracając się do mnie. - Co ty tu, do diabła, wyprawiasz? I dokąd poleciał prom? - Spojrzał na Chrisa z taką wściekłością, że bałam się, czy go zaraz nie uderzy... albo gorzej. - Co jej powiedziałaś? Co zrobiłaś?

- To był pomysł Starszego, tato, nie Chrisa. - Czułam, jak wzbiera we mnie wola walki. Tato mógł mieć coś przeciwko, ale Starszy też był przywódcą i w tej kwestii miał rację. Nie powinniśmy polegać na broni od GZF. I chociaż tato za nic w świecie by nie przyznał, że Starszy może nas wszystkich ocalić, to ja w to wierzyłam.

Tato rozejrzał się po pomieszczeniu.

- A gdzie jest Starszy?

Wskazałam za okno, w stronę odległych gwiazd. I chociaż byłam dumna ze Starszego, dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak daleko się znajduje. Tato potrzebował chwili, żeby zrozumieć, co mam na myśli.

- Poleciał uruchomić broń? - zapytał. - Co za dureń! Możemy ją obsługiwać zdalnie, z tego kompleksu. Chciałem tam posłać tylko kilku specjalistów od uzbrojenia, żeby ją zbadali.

- Nie - odparłam, prostując plecy. - Wrócił na „Błogosławionego”.

- Co? Dlaczego!?

Najlepiej, jak umiałam, wyjaśniłam mu, że potrzebujemy wskazówki, że ludzi ze statku trzeba ocalić, zanim rdzeń stopi się całkowicie, i że mogą nam wszystkim dostarczyć żywność. Widziałam jednak po tacie, że jego zdaniem postępujemy głupio i marnujemy szansę. Ucieszyłyby się tylko wtedy, gdybym mu odpowiedziała, że w tej właśnie chwili broń zostaje uruchomiona i wycelowana w obcych. Nie obchodziło go nasze przetrwanie, tylko zemsta.

- To nas nie ocali, Amy - spiorunował mnie wzrokiem. - Musimy raz na zawsze rozprawić się z zagrożeniem ze strony obcych. Ta broń...

- Jest czymś, czego w ogóle nie rozumiesz - weszłam mu w słowo. - Widzisz w niej jedynie sposób na zlikwidowanie obcych. W ogóle nie myślisz o tym, że nam również może wyrządzić krzywdę! Co to za broń masowej zagłady, która wybiera sobie, kogo zabije, a kogo nie?

Tato otworzył usta, żeby zaprotestować.

- Przynajmniej pozwól Starszemu znaleźć więcej informacji - dodałam. - Istnieje szansa, że odkryje, czym jest ta broń i w jaki sposób działa. Wtedy będziemy mogli jej użyć.

- Obcy zabili już jedną trzecią naszej kolonii - odparł tato. Wpatrywał się we mnie nieustępliwym wzrokiem. - Jedną trzecią naszej rodziny.

- Myślisz, że o tym nie wiem? - wydusiłam z trudem.

- Jak niby mamy się bronić, podczas gdy ten chłopak zabawia się w bohatera statku, który powinien był wylądować razem z kapsułą?

Jak? Nie znałam odpowiedzi na to pytanie.

54

STARSZY

Nie sądziłem, że prom może wznosić się tak szybko. Był coraz wyżej i wyżej, aż nagle zrównał się z zachodzącymi słońcami, które opadały za horyzont. Wystrzeliłem ponad nimi i spowił mnie wieczny zmierzch, dopóki prom nie wyszedł z atmosfery. Poczułem szarpnięcie w żołądku, moje włosy się uniosły, a ja w ślad za nimi. Chwilę potem uruchomiły się czujniki grawitacyjne.

Serce dudniło mi w klatce piersiowej. Wróć do Amy, powtarzałem sobie raz za razem. To nie była tylko obietnica, którą jej złożyłem, ale przysięga, którą składałem także sobie.

Na orbicie prom zwolnił. Na panelu sterowania rozbłysnął płaski ekran. Pasek czerwonych światełek wyznaczał krzywiznę planety w jego dolnej połowie, a ponad nim migotały dwie kropki. To pewnie jakiś system lokacyjny. Międzyplanetarna stacja przygotowawcza - Centauri-GZF, widniało pod jedną kropką, pod drugą zaś Niezidentyfikowany satelita na orbicie.

„Błogosławiony”. Zdegradowany ze statku do bezimiennego satelity.

Wyjrzałem przez okno na mostku. Pamiętałem, że podczas lądowania kapsuły z „Błogosławionego” widziałem jasny błysk na horyzoncie. Kiedy teraz spojrzałem w upstrzoną gwiazdami ciemność, nie widziałem ani stacji orbitalnej, ani „Błogosławionego”. Sądząc po wskazaniach systemu lokacyjnego, znajdowałem się pomiędzy nimi.

Panel sterowania rozbłysnął raz jeszcze komunikatem: Wymagane wprowadzenie ręczne.

Poniżej mogłem wybrać, czy chcę skierować prom kosmiczny na „Błogosławionego” czy na stację orbitalną. Przez krótką chwilę zastanawiałem się nad tą drugą opcją. Jakiego rodzaju broń się tam znajdowała? Czy naprawdę wyeliminowałyby obcych? Stacja nie mogła się znajdować tak daleko, jak sugerował pułkownik Martin.

Wtedy jednak przypomniałem sobie Bartiego i czarne medplasty i już wiedziałem, że nawet gdybym mógł zlikwidować obcych i zatrzymać całą planetę dla siebie, to i tak najpierw muszę dotrzeć na „Błogosławionego”. Ale przedtem czekało mnie jeszcze jedno zadanie.

Na promie panowała cisza, stosownie do okoliczności. Otworzyłem panel sterowania. Wciąż wydawał się przerażająco skomplikowany, ale ja szukałem konkretnej kontrolki.

W końcu ją znalazłem. Mała etykieta: Opróżnienie ładowni.

Przeczytawszy te słowa, zamknąłem oczy. Kiedyś to Amy została oznaczona jako nieistotny ładunek, a ja jej obiecałem, że zawsze będzie czymś o wiele więcej. Ale czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć ciał w ładowni promu nie usłyszało teraz mojej przysięgi.

Najpierw zwolniłem pasy zabezpieczające każde ciało, po czym otworzyłem boksy transportowe. Czujniki grawitacyjne działały jedynie na poziomie dowodzenia promem. Ciała poniżej pokładu unosiły się bez żadnego wysiłku. Zwolnione powietrze wprawiło je w ruch, jak kwiaty lotosu na powierzchni wody. Pozbawione ciężaru, wypływały spomiędzy trzewi promu, mijając okno naprzeciwko mnie. Rozpoznawałem poszczególne twarze, kiedy tak sunęły prosto w otchłań kosmosu. Próbowałem w milczeniu pożegnać każdego z nich - żywciami, którzy zaznali zaledwie paru miesięcy bez fidusa, zanim ich zabił, kobiety, które przybyły tutaj, by dać rosnącym w nich dzieciom dom bez ścian, sterników, robotników z miasta, inżynierów, wszystkich moich ludzi. Odeszli. Ale ja nigdy ich nie zapomnę. Zebrałem

się w sobie i na głos wypowiadałem imię za imieniem, utrwalając je w pamięci - Rhine i Lucien, i Cessy, i cała reszta. Nigdy, przenigdy ich nie zapomnę.

Czteryście dziewięćdziesiąt dziewięć ofiar.

Uniosłem się i z twarzą przyciśniętą do okna wypatrywałem poszczególnych osób, błagając każdą z nich o wybaczenie, że przyczyniłem się do ich tragicznego końca.

Kątem oka dostrzegłem przeblysłk czerwieni. Natychmiast obróciłem głowę.

Matka Amy.

Miała taką samą jasną skórę i rude włosy jak ona. Sunęła zbyt daleko ode mnie, żebym mógł zobaczyć jej otwarte oczy, ale wiedziałem, że są zielone.

Niewiele brakowało, by Amy wsiadła do pięćsetnego boksu. Gdyby to zrobiła...

Ciało jej matki sunęło w kosmicznej nieważkości niczym tancerka. Ramiona miała rozpostarte, blada skóra kontrastowała z czernią przestrzeni wszechświata. Wyobraziłem sobie, jak gwiazdny blask sprawia, że złote pasemka w jej włosach lśnią.

Stałem tak i patrzyłem na przepływające ciała, aż wreszcie ostatnie z nich zniknęło i na niebie zostały już tylko gwiazdy.

Do piekących oczu napływały mi łzy, kiedy wróciłem za panel sterowania. Dotknąłem kropki Niezidentyfikowany satelita na orbicie na ekranie systemu lokacyjnego. Ze skraju okna w kokpicie widziałem, jak wzdłuż prawej burty promu ozywają rakiety, pomału go obracając. Włączyły się kolejne, a ja wznosiłem się coraz bliżej i bliżej „Błogosławionego”.

Wkrótce go zobaczyłem.

Był zniszczony. Kapsuła ratunkowa, rzecz jasna, zniknęła, z Mostka zostało jedynie kłębowisko szczątków. A jednak moje serce radowało się, kiedy spoglądałem na statek, który niegdyś uważałem za mój dom na całe życie.

Prom kosmiczny zbliżał się coraz bardziej - tak bardzo, że zacząłem się martwić, czy w ogóle się zatrzyma, czy nie rozbije się o statek. Zamiast tego rakiety przeszły na ciąg wsteczny i prom stanął. Od „Błogosławionego” nadal dzieliło mnie kilka metrów, ale znalazłem się na tyle blisko, że w oknie kokpitu nie widziałem nic poza statkiem.

Czerwono-biały system lokacyjny wyświetlił komunikat: Dotarto do stacji docelowej. Rozbłysnął kolejny panel. Rozpoczynam proces rozładunku.

Niech to gzyf. O tym nie pomyślałem. Jedyne drzwi prowadzące na zewnątrz „Błogosławionego”, czyli śluza, przez którą wyrzucił się Harley, stanowiły część kapsuły ratunkowej, która wylądowała na Centauri-Ziemi, a potem została wysadzona w powietrze przez obcych. Prom został zaprojektowany tak, by automatycznie połączył się ze stacją orbitalną.

Problem?

Nie dotarłem do stacji orbitalnej.

Bip, bip-bip! Zastanawiałem się właśnie, czy zdołam podpiąć się do śluzy wewnątrz stawu, kiedy mój wi-kom ożył. Dotknąłem szyi. Byłem na tyle blisko, że odbierałem sygnał bezpośrednio ze statku, tak jak na to liczyłem.

- Połącz: Bartie - poleciłem.

Czekałem z głupawym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

- Starszy?! - głos Bartiego odezwał się prosto do mojego ucha.

- Cześć, Bartie.

- Niech to gzyf! Starszy! Co? Jak?!

Byłem taki szczęśliwy, że roześmiałem się w głos. Bartie nie był zwykłym buntownikiem, który przejął po mnie przywództwo nad statkiem. Był moim przyjacielem, który kiedyś urządził ze mną wyścigi bujanych foteli na werandzie Sali Nagrań.

- Nieważne jak - odparłem. - Chciałem tylko sprawdzić, czy nowy przywódca „Błogosławionego” zgodzi się wpuścić starego z powrotem.

Po krótkim milczeniu Bartie wybuchnął śmiechem.

- Dobrze! Coś ci powiem. Ty wymyśl, jak się tu do nas dostać, a my ci urządzimy powitalne przyjęcie.

- Bierz się za tort - odparłem z szerokim uśmiechem. - Bo ja już tu jestem.

55

AMY

Trzymając się blisko drzew, tato prowadzi! nas z powrotem do kolonii. Jakaś część mnie chciała z nim walczyć, zostać w pomieszczeniu komunikacyjnym. A co jeśli Starszy będzie nas potrzebował? Nigdy dotąd nie oddali! się ode mnie tak bardzo, jak teraz - mogłam przynajmniej utrzymać z nim połączenie. Ale tato zostawił na miejscu jednego ze swoich żołnierzy i razem z pozostałymi wrócił do ruin.

Żałowałam, że nie poszliśmy krótszą drogą, prosto przez łąkę i dalej do budynków, wtedy jednak znaleźlibyśmy się na widoku. Drzewa były co prawda ciemne i niebezpieczne, dawały nam za to złudzenie bezpieczeństwa. Nie podnosiłam wzroku. Każdy cień przypominał mi o Starszym, każdy podmuch ciepłego wiatru, który muskał moją skórę, sprawiał, że chciałam polecieć razem z nim.

Zaczął padać delikatny, ożywczy deszcz.

- Uważaj na kwiaty - szepnął do mnie tato. Prawie o nich zapomniałam.

Obserwowałam je kątem oka. Gdy tylko woda spadła na delikatne płatki, pąki zawirowały elegancko i rozpostarły w piękne, niemal przejrzyste kwiaty. Takie piękne... pamiętałam jednak, jak otępiły mój umysł, jak nie mogłam poruszyć własnym ciałem. Jeden z kwiatów zwisał nisko, prawie na poziomie mojej twarzy. Złapałam go i zgmiotłam w dłoni. Fioletowe płatki przykleiły mi się do skóry.

Zakradliśmy się z powrotem do ruin. Wszędzie panowała cisza. Powietrze było ciężkie od wyczekiwania, jak gdyby ta cisza zapowiadała jedynie nadejście czegoś gorszego.

Tato nie odzywał się do mnie, dopóki nie znaleźliśmy się wewnątrz budynku, z dala od pterów i obcych, którzy w jakiś sposób je kontrolowali, wykorzystując w tym celu materiał modyfikowany genetycznie. Chris wszedł za nami do środka. Tato chciał zaprotestować, ale zrezygnował. Opadł na to samo krzesło, na którym siedział jeszcze tego ranka, zanurzając biszkopt w swojej „kawie”, jak gdyby wszystko grało.

I chyba na swój sposób grało. Wtedy wciąż mieliśmy mamę.

A ja wciąż miałam Starszego.

Oczy mnie zapiekły. Odwróciłam wzrok. Nie mogłam sobie pozwolić na słabość.

- Musimy się ukryć - powiedział ciężko tato.

Popatrzyłam na niego.

- Skoro jak na razie wstrzymujemy się z użyciem broni, będziemy musieli się ukrywać. Tylko przez kilka dni, może tydzień. Dopóki nie nadleci pomoc z Ziemi.

- A co jest nie tak z tymi budynkami? - zapytałam.

Tato pokręcił głową.

- Obcy wiedzą, że tu jesteśmy. W każdej chwili mogą zaatakować. Mamy tylko tę broń, którą noszą przy sobie moi ludzie. A kiedy skończy nam się amunicja, zostaniemy z niczym. - Poczekał, aż to przyswoimy, po czym dodał: - Jakies pomysły?

Podniosłam wzrok - ale tato zwracał się do Chrisa, nie do mnie.

Chris pokręcił głową. Spojrzałam na swoją dłoń, całą w fioletowych plamach z kwiatu, który wcześniej zgmiotłam.

- Kwiaty.

Obydwaj odwrócili się w moją stronę.

- Te fioletowe kwiaty - powtórzyłam z narastającym podekscytowaniem. - Tato, a co jeśli zrobimy z nich broń? Powaliły mnie w ułamku sekundy! Moglibyśmy obezwładnić nimi obcych, jeśli zbliżą się do kolonii.

- Jak? - zapytał tato, wyraźnie sfrustrowany. - Te kwiaty kwitną tylko wtedy, kiedy zmokną. Nawet jeśli uda nam się zmusić je do zakwitnięcia, to jak skłonimy obcych, żeby je

powąchali?

Oderwałam płatki przyklejone do mojej dłoni i ułożyłam w sto-sik na kolanie.

- Możemy je zmielić - odparłam, głośno myśląc. - Cisnąć obcym pył prosto w twarz.

- Podczas gdy oni będą nas ostrzeliwać eksplodującą amunicją.

- Możemy rozwiesić je w pobliżu i polewać z wodociągu...

- A oni je zobaczą i wstrzymają oddech - odparował tato. - Albo po prostu przypuszczają atak z dystansu. Nie mamy na to czasu, Amy. Potrzebny nam prawdziwy plan.

- Możemy je palić - odezwał się Chris.

Przez chwilę oczami duszy widziałam, jak skręcamy kwiaty w papierosowej bibułce i zapalamy.

- To znaczy, możemy wykorzystać dym jako broń - wyjaśnił.

- Nie będziemy dosłownie palić tych kwiatów, ale moglibyśmy skierować dym w stronę obcych. Przynajmniej raz na jakiś czas muszą przecież zaczerpnąć powietrza. Przy odrobinie szczęścia właściwości kwiatów pod postacią dymu zostaną zachowane... a może nawet wzmocnione.

- Tyle że dymu nie da się kontrolować - zaprotestował tato.

- Równie dobrze może obezwładnić nie obcych, tylko nas. A my wciąż nie wiemy, czy neurotoksyny zawarte w kwiatkach działają na te istoty, czykolwiek one są.

Widziałam jednak, że już myśli nad tym planem. Poderwał się z krzesła i zaczął przechadzać się w tę i z powrotem. Kiedy zorientował się, że go obserwuję, przystanął, spojrzał mi prosto w oczy

- tak zielone jak oczy mamy - i powiedział:

- Twojej matce spodobałby się ten plan.

- Może zadziałać - odparłam z nadzieją.

W głosie taty słychać było zwątpienie:

- Twoja matka wiedziałaby, jak przebadać kwiaty i dym, jak sprawdzić jego wpływ na obcych. Gdyby tu była...

- To lepszy plan niż ucieczka - rzekł cicho Chris. - Pomyślcie tylko, w jaki sposób nas atakowali. Znają nasze słabe strony, co oznacza, że prawdopodobnie je z nami dzielą.

Nietrudno być słabym w porównaniu z atakującym pterem, ale zainteresowanie fidusem ze strony obcych rzeczywiście skłaniało mnie do przyznania Chrisowi racji.

- Sam nie wiem... - Tato znowu zaczął krążyć.

- Nie sądzi pan, że obcy nas obserwują? - zapytał gniewnie Chris. - Obserwują. Zwyczajnie się z nami bawią. Czekają. Jeśli spróbujemy uciekać, wykoszą nas co do jednego.

Możemy tylko postawić na agresję - tego się nie spodziewają. Zróbmy coś, cokolwiek, co pozwoli nam zyskać na czasie.

Tato spiorunował Chrisa wzrokiem. Chyba nie przywykł, żeby ktoś młodszy rozstawiał go po kątach, a już zwłaszcza ktoś, kto pod nim służył. Ale słysząc słowa Chrisa, zaczął mieć wątpliwości.

- Ja też uważam, że powinniśmy zostać - wtrąciłam. - Z jednej strony mamy górę, więc pewnie stąd nas nie zaatakują. Nadciągną od frontu, a tu przynajmniej osłaniają nas kamienne ściany.

- Przed bronią, która potrafi wysadzić w powietrze stalową kapsułę kosmiczną - wytknął tato, ale zaczynał mięknąć.

- Lepsze to niż nic - zripostowałam. - Posłuchaj, oni nas nienawidzą. Chcą nas zabić. Jest ich więcej i dysponują lepszym zaopatrzeniem, a my nie mamy nic. W mojej broni zostało pięć naboju. Ile jest w twojej?

Tato zmarszczył brwi i już wiedziałam, że trafiłam w sedno - jego największe zmartwienie. Jeśli uciekniemy, nie zdołamy się bronić. Będziemy mogli co najwyżej liczyć, że ich prześcigniemy.

- Nie możemy walczyć. Tak naprawdę nie możemy też uciec. Musimy się zaszyć tutaj, gdzie mamy chociaż dostęp do wody pitnej i szansę na przetrwanie ataku.

Tato parsknął zgorzkniałą parodią śmiechu.

- Przetrwanie? - Rozejrzał się po starych, przykurzonych żółtych murach budynku. - Pierwszym kolonistom udało się doskonale.

Chris miał ponurą minę i przez chwilę wydawało się, że mój ojciec pożałował swoich słów.

Strzepnęłam zmiażdżone fioletowe płatki z powrotem w zagłębienie dłoni.

- To dla nas najlepsze wyjście - stwierdziłam. - Jedyne, jakie mamy.

56

STARSZY

- Co? - powiedział Bartie tak głośno, że poczułem ból w uchu.

- Jestem na promie kosmicznym - nie w kapsule z „Błogosławionego”, tylko na promie z Centauri-Ziemi...

- Skąd na Centauri-Ziemi wziął się gzyfowy prom?

- Słuchaj, to długa historia, ale...

- O czym ty mówisz, do gzyfa?!

- Bartie, uspokój się!

- Takiego gzyfa! Jesteś na gzyfowym promie? Tutaj?! Wyszczrzyłem się od ucha do ucha.

- Technicznie rzecz biorąc, tak.

- Technicznie rzecz biorąc? O co tu chodzi, do gzyfa?!

- Bartie, posłuchaj. Wsiadłem na prom z Centauri-Ziemi

- nieważne, skąd go wzięłem, po prostu posłuchaj - i przyleciałem nim tutaj. Jestem na zewnątrz. Widzę „Błogosławionego”. Jestem tak blisko, że mógłbym go trącić.

- Do gzyfa! - zakrzyknął Bartie. Dałbym wszystko, żeby widzieć teraz jego minę.

-I tutaj zaczynają się schody - ciągnąłem. - Mam coś w rodzaju rękawa, który muszę podłączyć do statku. Nie został zaprojektowany z myślą o „Błogosławionym”, ale może mi się uda.

- Jak?... Starszy, mówisz poważnie? - zapytał z niedowierzaniem.

- Bardzo poważnie. Upewnij się, że teren wokół wjazdu w stawie jest pusty, a ja rzucę okiem na rękaw.

Przerwałem kom-link, po czym przeszedłem z mostka do pomieszczenia abordażowego. Według map i diagramów na ścianie to tam powinien znajdować się automatyczny rękaw, którym mógłbym się dostać na „Błogosławionego”. Moje kroki niosły się echem po korytarzu i poczułem się przeraźliwie samotny.

Przez chwilę żałowałem, że nie ma ze mną Amy. Po tym jak wysłałem zmarłych między gwiazdy, prom kosmiczny był wielki i pusty. Wiedziałem jednak, że muszę to zrobić sam, bo to ja odpowiadałem za „Błogosławionego”, nie ona. Poza tym tylko Amy potrafiła złagodzić gniew w sercu ojca na tyle, by uciszył żądzę natychmiastowej zemsty. Broń od GZF budziła mój niepokój. Nie wiedzieliśmy, co to takiego. Pułkownik Martin zdradził tylko, że można ją zdetonować zdalnie i że zmiecie z powierzchni planety całą populację obcych. Coś mi mówiło, że GZF chętnie zmiotłaby przy okazji także nas, aby zapobiec ewentualnym zażaleniom.

Pomieszczenie abordażowe znajdowało się tuż za mostkiem, tak jak sugerowała mała mapa na ścianie przy drzwiach. Drzwi były hermetycznie zamknięte, otworzyły się jednak po naciśnięciu guzika. Na ścianie po prawej wisiała szafka z awaryjnymi zbiornikami tlenu. Po lewej znajdował się panel sterowania. A dokładnie na wprost drzwi ujrzałem klucz do wyjścia z tego promu.

Wszedłem do środka. Pomieszczenie było małe, z okrągłą śluzą przesłoniętą hermetycznymi, metalowymi skrzydłami, która zajmowała całą ścianę. Wisząca obok tablica

przedstawiała, w jaki sposób rękaw wykonany z jakiegoś metalicznego materiału zostanie wystrzelony ze śluzy w przestrzeń kosmiczną i połączy się ze stacją orbitalną za pomocą hermetycznych zaczepek magnetycznych.

Tylko że ja nie chciałem się dostać na stację orbitalną. A „Błogosławiony” nie został stworzony z myślą o współpracy z promem kosmicznym.

Dotknąłem wi-komu i wywołałem Bartiego.

- Jesteś przy włazie?

- Tak. Starszy, czy ty naprawdę...

- Tak, jestem tutaj. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za kilka minut otworzysz właz, a ja będę stał po drugiej stronie.

- Jeśli?

- Nie przerywaj kom-linka, dobrze? - Przeczesałem włosy palcami. - Będziesz musiał otworzyć mi właz, jeśli będę po drugiej stronie.

- Jeśli? - powtórzył Bartie.

- Bądź gotów, dobrze? - Nie czekając na odpowiedź, wyciszyłem go. Musiałem się skupić.

Odwróciłem się do panelu sterowania. Ekran natychmiast rozbłysnął. Kiedy już rozgryzłem wszystkie kontrolki, włączyłem wysięgniki mechaniczne.

Rozległo się zgrzytanie i rękaw zaczął wysuwać się z promu. Na ekranie wyświetlał się obraz przestrzeni na zewnątrz. W drzwiach rękawa musiała znajdować się kamera. Rękaw rozciągał się, coraz bliżej i bliżej „Błogosławionego”.

Nie wykryto kompatybilnych zaczepek hermetycznych, pojawiło się na monitorze. Nie wykryto automatycznego podłączenia.

Oczywiście, że nie wykryto; nie dotarliśmy na stację orbitalną, tylko na „Błogosławionego”, który nie miał kompatybilnych zaczepek hermetycznych. Obym tylko się nie mylił, oby magnesy po tej stronie wystarczyły, żeby umocować rękaw do śluzy „Błogosławionego”.

Wymagane podłączenie ręczne.

Próbowałem wcisnąć guzik, żeby sterować wysięgnikami, lecz na ekranie wyświetlił się ten sam komunikat: Wymagane podłączenie ręczne.

Wyjrzałem na zewnątrz. Wysięgniki maksymalnie rozprostowały rękaw, tyle że jego koniec wciąż znajdował się kilka jardów od śluzy „Błogosławionego”.

Wróciłem do panelu sterowania. Nic nie działało. Uruchomiłem wszystkie przyciski, które mogły poruszyć rękawem, i za każdym razem na ekranie pojawiał się ten sam

komunikat.

Koniec rękawa wcale nie był tak daleko od celu. Wystarczyłoby pchnąć go mocniej w prawo...

Podszedłem do śluzy. Metalowe skrzydła były zamknięte na głucho. Gdybym je otworzył, w pomieszczeniu abordażowym doszłoby do dekompresji, a mnie wyssałaby próżnia. Stąd nie mogłem poruszyć rękawem.

Przez krótką chwilę zastanawiałem się, czy nie przesunąć całego promu. Ale rękaw od śluzy dzieliło co najwyżej kilka jardów, a ja nie potrafiłem sterować na tyle umiejętnie, żeby przybliżyć się na tak niewielką odległość.

Musiałem jedynie zakołysać mostkiem, tylko odrobinę, żeby rękaw sięgnął „Błogosławionego”. Śluza na statku miała o wiele mniejszą średnicę niż sam rękaw. Wystarczy, żeby szerszy koniec rękawa zakrył mniejszą śluzę „Błogosławionego”, a magnetyczne zaczepy połączą się hermetycznie z metalową powierzchnią.

Zdusiłem śmiech.

Musiałem tylko jakimś sposobem przesunąć rękaw o kilka jardów w prawo. W próżni kosmosu. Bez skafandra.

Na wszelki wypadek przetrząsnąłem całą część transportową, rozglądając się za skafandrem kosmicznym. Jedyne, co znalazłem, to butle z tlenem na ścianie pomieszczenia abordażowego, ale to mnie nie urządziło. Jeśli spróbuję wyjść w przestrzeń kosmiczną bez skafandra, oddychając tlenem, moje płuca eksplodują niczym balony.

Wpatrując się z butle z tlenem, wpadłem jednak na pewien pomysł.

Niebezpieczny pomysł.

Głupi pomysł.

Ale jednak pomysł.

Wiedziałem, co muszę zrobić.

Wcisnąłem wi-kom.

- Bartie, jesteś tam?

- Jestem, Starszy. Stoisz za włazem?

- Jeszcze nie. Słuchaj, to będzie trochę trudniejsze, niż sądziłem. Muszę... zresztą nieważne, słuchaj. Musisz się skupić. Nie rozłączaj się. Zamierzam czegoś spróbować. Kiedy powiem „już”, zacznij liczyć. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zanim dojdiesz do trzydziestu, poproszę, żebyś otworzył właz.

- A co jeśli dojdę do trzydziestu, a ty mi nie powiesz, żebym otworzył właz? - zapytał Bartie.

- Nic. Nie otwieraj wężu.

-1 spróbujemy czegoś innego?

- Nie mamy nic innego. Mam tylko jedno podejście - powiedziałem. Bartie zaczął protestować. Gdyby Amy tu była, pewnie urwałaby mi łeb. Mimo to dodałem: - Proszę, muszę się skupić. Powiem „już”, ty policzysz do trzydziestu. Otwórz, kiedy... jeśli coś powiem.

Poszedłem po tlen. Do butli pod ciśnieniem były podłączone przewody i maseczki na twarz. Chwyciłem jedną z nich i wyszarpnąłem przewód, nie otwierając zaworu. Nie mógłbym oddychać tym tlenem w kosmosie, ale też wcale nie zamierzałem tego robić. Przywiązałem do siebie cztery butle, po dwie na biodrze. Każda była skierowana zaworem w dół.

Wróciłem do panelu sterowania.

Został jeszcze jeden przycisk, którego nie uruchomiłem. Otworzyć śluzę.

Po wciśnięciu tego guzika metalowe skrzydła się rozsunały. Śluza się otworzyła - a mnie wessie kosmos. Będę miał może pół minuty, choć prawdopodobnie mniej, żeby złapać jedną z pętli na zewnątrz rękawa i przesunąć go w stronę śluzy na „Błogosławionym”. Nie będę miał tlenu - powietrza - ani żadnej osłony. A doskonale wiedziałem, jak szybko umiera człowiek, kiedy znajdzie się w przestrzeni kosmicznej bez skafandra.

Widziałem to na własne oczy.

Wziąłem głęboki wdech. Przymknąłem powieki. Wypuściłem całe powietrze z płuc. Odliczyłem, jak długo wytrzymam bez oddychania.

Dwadzieścia sekund.

Serce mi waliło.

Wdech. Wydech. Wytrzymaj. Licz.

Dwadzieścia osiem sekund.

Po cichu poprosiłem Amy o wybaczenie.

To musiało wystarczyć.

57

AMY

Tato skonsultował się z garstką naukowców, którzy pracowali z mamą, żeby sprawdzić, czy sposób zaproponowany przez Chrisa sprawdzi się na obcych. Wydawało się, że dym odbiera przytomność ludziom jeszcze skuteczniej niż same kwiaty, niewiele nam to jednak dawało. Obcy nie byli ludźmi. Pokrywały ich dziwne krystaliczne łuski i zostawiali

osobliwe ślady. Tylko tyle wiedzieliśmy na ich temat. Nigdy żadnego nie widzieliśmy, nie mówiąc już o przeanalizowaniu ich słabości czy wrażliwości. Może wcale nie oddychali. Może od tych fioletowych kwiatów stawali się jeszcze silniejsi, zamiast stracić przytomność. Nie mieliśmy pojęcia.

I to właśnie było w tym wszystkim najgorsze.

Nie wiedzieliśmy nawet, z kim - lub z czym - walczymy.

Za to oni wiedzieli o nas wszystko i potrafili nas zabijać.

- Nie podoba mi się to - warknął do mnie tato, wysławszy pięciu żołnierzy, żeby zebrali w lesie pasma fioletowych kwiatów. - Nie podoba mi się, że całą obronę kolonii opieramy na jakichś kwiatach.

- Ucieczka i chowanie się to żadna obrona. Musimy spróbować.

- To zadziała tylko raz... o ile zadziała w ogóle. Zorientują się, co robimy, i potem już będą wiedzieli, jak uniknąć dymu.

- Wystarczy ten jeden raz - odparłam. - Wystarczy, że przetrwamy jeszcze kilka dni, zanim zjawi się pomoc z Ziemi, prawda?

- I może uda nam się wziąć zakładników - zastanawiał się głośno tato. Jego głos złagodniał.

Nie myślałam o zakładnikach.

Zerknęłam na tatę. Nie myślałam, że tato mógłby brać zakładników.

Gdy już zebraliśmy wystarczająco dużo fioletowych kwiatów, tato rozkazał swoim ludziom, żeby wzięli się za przygotowanie płytkiego okopu. Pomysł był prosty: wrzucimy do niego kwiaty razem z bezpiecznikiem, a kiedy zobaczymy nadciągających obcych, odpalimy bezpiecznik i ich wykurzymy.

Darliśmy wszystko, co łatwopalne - papier, tkaniny, wysuszone liście - i owijaliśmy tym lepkie fioletowe kwiaty. Jeden z żywicieli miał słoiczek wazeliny. Korzystaliśmy z niej oszczędnie, cieniutką warstwą pokrywając łatwopalną mieszankę, żeby ogień był większy i szybciej się rozprzestrzeniał. Przygotowanie i ułożenie wszystkiego w okopie zajęło nam kilka godzin.

Mieliśmy nadzieję, że nawet jeśli obcy nas obserwują - a prawdopodobnie tak właśnie było - to uznają, że szykujemy zasieki, albo coś w tym rodzaju. Liczyliśmy również, że bezpieczniki szybko zaskoczą, wiatr nie zdmuchnie dymu w naszą stronę i cały plan naprawdę wypali.

Krótko mówiąc, modliliśmy się o cud.

STARSZY

- Bartie? - odezwałem się do wi-komu.

- Tak, Starszy?

- Zacznij odliczać.

Odkręciłem zawory butli tak, żeby tlen wystrzeliwał z nich prosto w dół. Chciałem posłużyć się nimi jak silnikiem odrzutowym, który przesunie mnie tam, gdzie musiałem się dostać. Niestety, siła odrzutu nie była dość wielka, a dekompresja w pomieszczeniu abordażowym zapewne przerośnie moje siły. Zdusiłem śmiech, wyobrażając sobie, na ile możliwych sposobów Amy nazwałaby mnie idiotą, gdyby mnie teraz widziała.

Stąd już nie było powrotu. Wdech. Wydech.

Och, gwiazdy, Amy, przepraszam cię.

Uderzyłem pięścią w przycisk otwierający służę.

Metalowe skrzydła na mostku rozsunęły się i pomknąłem w przestrzeń kosmiczną. Przed oczami przemykały mi chaotyczne błyski na powierzchni lśniącego, metalicznego materiału, z którego zrobiono rękaw. Leciałem przez niego, odbijając się to od jednej ściany, to od drugiej i modląc się, żebym tylko nie pogorszył sprawy. Coś raz za razem smagało mnie po głowie - ciągnące się u góry wzdłuż rękawa pętle ze sznura, które służyły za poręcz. Błądźnik płatał mi figle: młóciłem rękami, leciałem co rusz w innym kierunku, ale czułem się, jakbym bez przerwy spadał. Ogarnęły mnie mdłości. Widziałem pomarszczony materiał rękawa, czułem pętle, ale nic nie słyszałem. Mój mózg krzyczał: To nie tak! Wszystko jest nie tak.

Ziejąca paszcza na końcu rękawa pędziła w moją stronę. Niech to gzyf! Gzyf! Dekompresja w pomieszczeniu abordażowym postępowała o wiele bardziej gwałtownie, o wiele szybciej, niż zakładałem. Rękaw zachowywał się jak tunel aerodynamiczny, przez który uciekało naraz całe powietrze z pomieszczenia. Wykręciłem ciało i tlen wydostający się z butli przy biodrach spowolnił mnie na tyle, że zdołałem zaczepić palcami o jedną z pętli.

Moje ciało wydawało się obrzmiałe, a stawy zastałe. Sznur wyslizgnął mi się z ręki.

Szamotałem się, próbując chwycić za inną pętlę.

Moje płuca wrzeszczały. Tlenu!

Było mi zimno, w ustach miałem mdły posmak. Zawodził mnie wzrok.

Moje dłonie szukały kolejnej pętli.

Nie.

Bolały mnie ramiona. Miałem wrażenie, że coś rozrywa mnie na kawałki.

Szarpnąłem się, wykręcając ciało. Butle przy moich nogach wciąż wypuszczały tlen i pomogły mi się podźwignąć - do ostatniej ze wszystkich pętli. Przeciągnąłem przez nią całe ramię, po czym obiema dłońmi przywarłem do wielkiej metalowej krawędzi magnetycznego zaczepu. Ledwo widziałem na oczy; zasnuła je czerwień i łzy.

Ale byłem już blisko.

Uniosłem się, kierując biodra - i butle z tlenem - w dół. Koniec rękawa przesunął się w prawo. Śluza. Już... prawie... Czułem, jakby moje ciało lada chwila miało pęknąć na pół, mimo to dosięgłem do śluzy.

Nie usłyszałem szczęku metalu o metal, bo w przestrzeni kosmicznej nie ma żadnych dźwięków. Wiedziałem jednak - zaczepy magnetyczne zamknęły się.

Tyle że w rękawie nie było już powietrza.

Nie było go we mnie.

59

AMY

Teraz pozostało nam tylko czekać.

Czekaliśmy więc.

Tato rozdzielił wodę, po wiadrze na każdy budynek. Ostrzegł też, że wyjście do latryny może być niebezpieczne. W południe zjedliśmy ostatnie racje żywnościowe, jakie przechowywaliśmy w kolonii - reszta znajdowała się w kapsule. Sądziliśmy, że najbardziej potrzebne nam rzeczy, takie jak żywność czy leki, będą bezpieczniejsze za stalowymi drzwiami kapsuły. Od tej ironii losu zbierało mi się na mdłości.

W pierwszym budynku byliśmy tylko tato i ja. Bez mamy już nigdy nie stanie się dla nas prawdziwym domem, dlatego służył teraz za centrum dowodzenia. Wszyscy żołnierze meldowali się tutaj po nowe rozkazy albo pozwolenie na odpoczynek po patrolu.

Wiszące w powietrzu nerwowe napięcie zaczynało nas dusić.

Czekaliśmy - na atak, który wcale nie musiał nadejść, na wroga, którego nigdy nie widzieliśmy. Uzbrojeni w kwiaty.

A mimo to żadne z nas nie było na to przygotowane, kiedy radio na ramieniu taty ożyło z trzaskiem.

- Widzimy ich - przekazał żołnierz z patrolu.

Tato zerwał się w okamgnieniu, wypadł na zewnątrz z lornetką w dłoni i zaczął przepatrywać las. Nie potrzebowałam lornetki, żeby widzieć przeblyski czegoś, co nadciągało

między drzewami.

Nadchodzili.

Zmrużyłam powieki, żeby ich lepiej widzieć. Od stóp do głów byli zieloni jak las i tak ciemni, że zlewali się z drzewami. Nie potrafiłam powiedzieć, czy mieli taką skórę, czy założyli jakiś kamuflaż. W okolicach pasa dostrzegłam złote przebłyski - łuski, takie jak ta, którą opisał Starszy. Obcy byli wysocy, ale nie wyżsi niż Starszy, o gładkich głowach kształtem przypominających cebulę, z jednym, okrągłym okiem, w którym odbijało się światło słoneczne.

- Do środka - polecił mi tato, po czym warknął przez radio: - Przygotować się do odpalenia! Snajperzy na dachy budynków. Zaczyna się!

Wróciłam do środka, tak jak kazał tato. Zaraz jednak znalazłam się przy oknie, podźwignęłam na parapet i zeskoczyłam po drugiej stronie budynku, tak samo jak wtedy, kiedy wykradałam się do Starszego. Na wspomnienie tamtych nocy przystanęłam. Gdyby był ze mną teraz, tak samo jak wtedy, serce nie waliłoby mi tak ze strachu.

Przemykając pod ścianą, zmusiłam się do skupienia na tym, co działo się wokół. Nie zamierzałam tego przegapić.

Trzymałam się cienia w kącie między budynkami a górą. Obcy podkradali się coraz bliżej. Coś we mnie obawiało się, że będą przypominali robaki sunące po ziemi na patykowatych pajęczych odnóżach albo pełzające jak węże. Poruszali się jednak na dwóch nogach, niosąc broń w obydwu rękach, tak samo jak my.

Gdybym ich nie wypatrywała, pewnie umknęliby mojej uwadze - może dlatego nigdy wcześniej nie widzieliśmy żadnego z nich. Ich skóra jak gdyby zmieniła barwę, przybierając jaśniejszy odcień zieleni, kiedy brodzili w wysokich trawach łąki, która rozciągała się między lasem a naszymi domami.

Podchodzili coraz bliżej i bliżej. Dwadzieścia, może trzydzieści postaci. Uznali, że w starciu z blisko tysiącem ludzi taki oddział w zupełności wystarczy. Ale wiedzieli - musieli wiedzieć - że spośród tego tysiąca zaledwie połowa ma broń, a w tej broni zostało niewiele nabojów.

I wtedy - czekałam na niego, więc go dostrzegłam - błysk. Odpalony bezpiecznik.

Wstrzymałam oddech.

To działo. Bezpiecznik zapłonął jasno, ogień szybko się rozprzestrzenił. Dym rozchodził się coraz wyżej i wyżej po niebie, niemal niewidoczny.

To już.

Znaleźli się na tyle blisko, że było ich doskonale widać.

Dotarli do okopów.

I weszli prosto w dym.

Który nic im nie zrobił.

Otworzyłam szerzej oczy z przerażenia, ale rozsiani po całej kolonii żołnierze nie wahali się ani chwili. Natychmiast rozległ się dźwięk wystrzałów - to snajperzy taty, rozstawieni na dachach. Ani jeden z obcych nie padł na ziemię, chociaż spadł na nich grad kul, zdolny zatrzymać całą armię. Wpatrywałam się w nich z niedowierzaniem - jak to w ogóle możliwe? Dlaczego nie zatrzymał ich ani dym, ani kule?

Nie było szans, żebyśmy wygrali.

Jeden z obcych rzucił w stronę kolonii szklaną bombę, a ta rozbiła się o chodnik, obracając w ruinę połowę budynku, przy którym stałam. Czułam przez skały dudnienie, kiedy zaprawa zaczęła pękać, a potem puściła, uwalniając kamienie. Zgniotłyby mnie, gdybym została w środku.

- Ognia! Ognia! Ognia! - ryknął tato z ulicy. Padły kolejne strzały, a przez niebo w kierunku kolonii poszybował żółty, świetlisty obiekt. Kolejna bomba solarna. Tym razem uderzyła wyżej. Ludzie wewnątrz budynków krzyczeli, próbując uciec.

- W górę zbocza! Wyżej! - krzyknął tato.

Ale ja go nie słuchałam.

Kryłam się za budynkiem, a ścieżka, z której korzystaliśmy razem z Chrisem i Starszym, żeby wymknąć się do kompleksu, świeciła teraz pustkami. Nikt nie patrzył w tę stronę; walka skupiała się na ulicach i w centrum kolonii. Mogłabym przekraść się za latrynami, a potem skrótem kolo jeziora.

Jeśli dotrę do kompleksu, może Starszy powie mi, czego się dowiedział.

A jeśli nie zdołam się z nim połączyć, to może zdetonuję broń, która zabije obcych.

Wzięłam głęboki wdech.

Będę musiała pobiec.

307

Kolejna eksplozja, tym razem za moimi plecami. Obcy byli już niemal na skraju kolonii i ciskali swoje bomby tak daleko w głąb budynków, jak tylko zdołali.

Dasz radę, powtarzałam sobie. Szybko biegasz. Możesz prześcignąć armię obcych.

A potem puściłam się biegiem.

Kiedy się obudziłem, z czterech butli wycelowanych prosto w moją twarz wiał chłodny tlen.

- Trzydzieści siedem - powiedział Bartie, nachylając się nade mną.

Mrugnąłem.

- Niech mnie, Starszy, masz całkiem czerwone oczy.

- Popękały mu naczynia krwionośne w gałkach ocznych - odparł znajomy głos, którego nie potrafiłem do nikogo przyporządkować. - To wylew podspojówkowy.

Moje ciało uniosło się, lecz ramiona zawyły w proteście. Zasko-wyczałem, opadając z powrotem na ziemię.

Doktorek pochylił się nade mną z zatroskanym wyrazem twarzy. Przycisnął medplast do mojej skóry. Załzawionymi oczami spojrzałem na swoje ramię i zobaczyłem, że przylegają do niego już trzy inne medplasty.

- Co się stało? - wychrypiałem.

- Policzyłem do trzydziestu, tak jak kazałeś - wyjaśnił Bartie. - Ale nie zakomowałeś.

- Więc jak? - zaskrzeczałem. Nie byłem w stanie dokończyć zdania.

- Liczyłem dalej. Przyciskałem ucho do włazu. Przy trzydziestu siedmiu usłyszałem tępy łoskot.

- Otworzyłeś właz?

- Bałem się jak cholera, mówię ci! Ale uznałem, że w razie czego dam radę go zamknąć, i...

Zamknąłem oczy. Światło za bardzo je raniło.

Butle przy mojej twarzy zacharczały, a potem umilkły z ostatnim sykiem. Wziąłem głęboki wdech, wyobrażając sobie, jak ostatnie podmuchy tlenu wypełniają moje płuca, całe moje ciało.

- Skutki twojej małej wyprawy powinny minąć z czasem - stwierdził Doktor. - Serce nie przestało bić i chociaż wykazujesz objawy choroby dekompresyjnej, jesteś w zaskakująco dobrej formie, jak na kogoś, kto był na tyle głupi, żeby wyskoczyć w przestrzeń kosmiczną.

Rozchyliłem powieki. Nie spojrzałem jednak na Doktor, tylko na Bartiego.

- Udało się?

Wyszczrzył się do mnie i zobaczyłem w nim starego przyjaciela z czasów, kiedy miałem trzynaście lat i żaden z nas nawet nie przypuszczał, że poza statkiem istnieje jakiś inny świat.

- Udało.

Usiadłem z trudem. Ramiona mnie rwały, stawy bolały, skóra była nadwrażliwa. Zaryzykowałem i całkiem otworzyłem oczy. Zorientowałem się, że leżę na dnie dawnego stawu. Właz pośrodku był otwarty na oścież. Bartie pomógł mi wstać i zerknąłem w ciemność. Rękaw z promu kosmicznego trzymał się pewnie na swoim miejscu.

- Nie mogę uwierzyć, że się udało - powiedziałem, odwracając się do Bartiego.

Wzdrygnął się.

- Twoje oczy wyglądają koszmarnie - odparł, ale on również się uśmiechał, równie podekscytowany jak ja. - Nie mogę uwierzyć, że miałeś odwagę to zrobić!

Rozejrzałem się po statku. Był o wiele większy, niż pamiętałem, lecz jednocześnie o wiele mniejszy. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo, chociaż inaczej. Zupełnie jakbym wszedł do swojego pokoju. Chociaż wszystko było w tym samym miejscu, co poprzednio, od razu wiedziałem, że ktoś obcy naruszył moją prywatność.

- Zabierzemy cię do szpitala - oświadczył Doktorek. - Mam tam krople do oczu, które ci pomogą.

- Strasznie chce mi się pić - stwierdziłem. Zrobiłem krok i omal się nie przewróciłem. Bartie złapał mnie pod łokieć i przytrzymał. Chciałem się uwolnić, powiedzieć, że mogę iść sam, tylko nie byłem pewien, czy rzeczywiście dam radę.

Kiedy znaleźliśmy się w Szpitalu, Doktorek, nie zważając na moje protesty, podłączył mi kroplówkę i wstrzyknął dożylnie jeszcze kilka innych leków. Potem wręczył mi lusterko, żebym siebie zobaczył. Moją skórę znaczyły sińce i siateczka drobnych żył. Białka oczu zrobiły się całkowicie czerwone, jakby wypełniała je krew. Nic dziwnego, że Bartie ciągle o nich mówił. Doktorek zakropił je jakimiś gęstymi, żółtymi kroplami. Piekło, ale twierdził, że mi pomogą.

- To wszystko - zwrócił się do niego Bartie.

Doktorek wyglądał, jakby chciał zaprotestować, ale Bartie był nieprzejednany. Już prawie zapomniałem - to Bartie decydował, jaką karę powinien ponieść Doktorek za zbrodnie, które popełnił na statku tuż przed naszym odlotem.

Doktorek ostrożnie ściągnął stetoskop i odłożył go starannie na stół. Poprawił instrumenty medyczne na mniejszym stoliku, sprawdził kroplówkę, kiwnął do mnie głową i wyszedł. Zanim zdążył zniknąć za rogiem, dwaj żywicieli - jeszcze przed rebelią Bartiego byli rzeźnikami - ruszyli po jego obu stronach, eskortując Doktorka... dokądś indziej.

Zastanawiałem się, jak teraz wygląda jego życie - życie więźnia, z wyjątkiem tych rzadkich chwil, kiedy może uprawiać swój fach. Czy miał praktykanta, który przejmie po nim praktykę, przez co sam Doktorek prędzej czy później stanie się zbędny?

To mi przypomniało o Kit. Teraz, kiedy o niej myślałem, przed oczami stawała mi wyłącznie jej śmierć.

Przełknąłem pytania o Doktorka i jego karę. W porównaniu z bieżącym problemem były nieistotne.

Bartie przyciągnął sobie krzesło.

- Skąd wiedziałeś?

- Co wiedziałem?

- Ze silnik zawodzi. Ze nie zdołamy przetrwać na „Błogosławionym”. - Powiedział to ze szczerością, która dowodziła, że już się z tym pogodził. Z tym i z czarnymi medplastami.

Uśmiechnąłem się do niego z wyższością.

- Wiedziałem, że beze mnie nie dasz sobie rady.

Bartie próbował się zaśmiać, ale nie był to temat, który mógłby potraktować z taką lekkością.

- To wszystko przez Doktorka. Uszkodził silnik, kiedy wysadził Mostek.

Mordując Shelby i pozostałych, pomyślałem.

- Uszkodził?

Pokiwał ponuro głową.

- Więc przybyłeś, żeby nas ocalić. - W jego głosie przebijała świadomość porażki. Uczucie, które znałem aż za dobrze.

- Prom kosmiczny jest duży - odparłem. - Pięćset osób może wsiąść do boksów transportowych, reszta do ładowni. Na sam ładunek nie będzie więc wiele miejsca, a to, co zostanie, musimy zapakować każdym kęsem jedzenia, jaki się tylko zmieści. Nasze zapasy na planecie zostały zniszczone. Wszystko, co zdołamy zabrać ze statku, będzie miało wielkie znaczenie dla naszego przetrwania. - Zawahałem się. - Ale musisz wiedzieć, że te „potwory”, o których mówił Orion... one są bardzo prawdziwe. I bardzo skutecznie nas zabijają. Zanim tutaj przybyłem, posłałem do gwiazd pięćset ciał.

- Jeśli to kwestia wyboru, umrzeć tutaj czy umrzeć tam - odparł Bartie, nawet na mnie nie patrząc - to chyba chciałbym najpierw zobaczyć ten nowy świat.

- Nie zawsze myślałeś w ten sposób - stwierdziłem sucho.

Bartie ani drgnął.

- To było zanim się dowiedziałem, że statek tak szybko zawiedzie.

Wyłożyłem mu wszystko, od przedśmiertnych słów Oriona aż po ostatni atak obcych na kolonię. W tym samym czasie, w miarę jak lekarstwa i płyny dostawały się do mojego organizmu, pomału wracały mi siły. Zacząłem od zniszczenia kapsuły ratunkowej i śmierci

tak wielu spośród naszych ludzi. Wyszliśmy na zewnątrz, do ogrodu, nie przerywając rozmowy. Kręciło się tu dziwnie mało osób, ale Bartie wyjaśnił, że większość woli trzy-mać się Miasta. Z włazem w dawnym stawie wiązało się zbyt wiele mrocznych wspomnień. Ludzie nie lubili, kiedy coś przypominało im o wyborze, którego dokonali, o przyjaciółach, którym pozwolili odejść.

Zatrzymaliśmy się przy posągu Najstarszego Plagi i przez chwilę wpatrywaliśmy się w niego w milczeniu.

- Więc wszystko zaczyna się i kończy tutaj, co?

Nie wiedziałem, o czym myśli Bartie, ale przypomniałem sobie, jak sam patrzyłem kiedyś na Najstarszego Plagi. Jakby był wzorem czegoś, czym sam powinienem się stać, ideałem, do którego mogłem co najwyżej aspirować. Potem odkryłem jednak, że powstałem z tego samego materiału genetycznego co on. I że nie wystarczy samo DNA, by którykolwiek z nas został przywódcą, jakiego potrzebował statek.

Teraz to nie miało już znaczenia. Ten Najstarszy Plagi powstał ze zwykłego betonu, nie z replikowanego DNA i złamanych obietnic. Jego twarz była zniszczona, policzki znaczyły żłobienia, jakby od łez.

- On wiedział - powiedziałem Bartiemu. - Najstarszy Plagi. Wiedział, co jest tam, na dole. To na pewno jego miał na myśli Orion we wskazówce z Królem. Brakuje nam tylko informacji, kim są obcy i czego chcą. Jak ich powstrzymać.

Bartie nie wyglądał na przekonanego.

-I to wszystko wyczytałeś w jakiejś zabazgranej bajeczce dla dzieci?

Pokręciłem głową.

- Nie wiesz, jak Orion się z nami bawił. Dla niego wszystko to była gra. Zawsze gra.

- A to... coś... co ukrył Orion, to jakiś sposób na... pokonanie tych „obcych”? - Bartie był nastawiony sceptycznie, zarówno do wskazówki, jak i do zagrożenia czającego się na planecie.

Westchnąłem, spoglądając na betonowe oblicze Najstarszego Plagi. Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia. Najmniejszego. Może tak. Może nie. Żałowałem, że Orion nie może sam mi tego powiedzieć... Ale było już na to za późno.

- Nie podobają mi się wasze szanse na przetrwanie. - Bartie nachylił się. - Ale moim zdaniem są i tak większe niż nasze. - Skinął głową w stronę posągu. - Jak myślisz, co jest w środku?

- Nie wiem. Może nagranie wideo albo książka. Może kolejna gzyfowa wskazówka, która zaprowadzi nas w głąb kolejnej „króliczej nory”, jak mawia Amy. - Wyszczrzyłem się

do niego, lecz tak naprawdę ten uśmiech był przeznaczony dla Amy, chociaż nie mogła go zobaczyć. - Tak czy owak, sprawdźmy to.

61

AMY

Biegłam w stronę łąki. Na wzgórzu powyżej eksplodowała jedna ze szklanych bomb, a na mnie spadł deszcz ziemi. Zakryłam głowę rękami i pędziłam dalej ile sił w nogach, wstrzymując oddech, kiedy dym leciał w moją stronę. Liczyłam, że latryny zapewnią mi osłonę, zanim popędzę do jeziora, a potem lasem do kompleksu. Jeśli dotrę do pomieszczenia komunikacyjnego, będę mogła zatrzasnąć się przed obcymi. Właśnie do tego służył zamek biometryczny. Dawał pewność, że do środka dostaną się tylko ludzie.

Pomyślałam o wielkich oknach. Oby były zrobione z czegoś mocniejszego niż szkło, w przeciwnym razie obcy po prostu wejdą do środka razem z nimi. Potrząsnęłam głową, odpychając od siebie te myśli. Pobiegnę do budynku komunikacyjnego, porozmawiam ze Starszym i wspólnie wymyślimy, jak powstrzymać obcych. I wszystko będzie dobrze.

Zaczęłam truchtać w miejscu, szykując się do biegu w kierunku jeziora, kiedy ktoś złapał mnie za rękę. Prawie wrzasnęłam, ale zostałam szarpnięta w tył i czyjaś dłoń zasłoniła mi usta.

- To ja!

Wyrwałam się i odwróciłam. Przede mną stał Chris. Jego niebieskie oczy lśniły.

- Co ty wyprawiasz? - sapnęłam, chowając się głębiej w cieniu latryn. Wysokie trawy łąki były kiepską kryjówką.

- Ciii! - Potoczył wzrokiem dookoła.

Walka toczyła się w takim hałasie, że szczerze wątpiłam, by ktokolwiek nas usłyszał. Mimo to zniżyłam głos.

- Szłam właśnie do kompleksu.

Skinął głową.

- Dobry pomysł. Idę z tobą.

Chciałam zaprotestować. Udało mi się dotrzeć do latryn, bo były blisko, a wokół panował chaos. Ale podczas biegu do jeziora nic mnie nie osłoni, a dwoje ludzi rzuca się w oczy bardziej niż jeden człowiek.

Chris uniósł swoją broń, karabin z lunetą celowniczą o dużym zasięgu. Wyciągnęłam trzydziestkę ósemkę. Jeśli dojdzie do wymiany ognia, wołałam dysponować jeszcze jedną sztuką broni.

Oboje ruszyliśmy biegiem w stronę jeziora. Bez przerwy obracałam głowę, żeby sprawdzić, czy nikt za nami nie idzie, ale w kolonii działo się tak wiele, że zostaliśmy zignorowani. Z kilku pierwszych budynków unosiły się kłęby dymu. Moje serce zamarło na chwilę. Obcy wdarli się do kolonii. Grupa ludzi wspinała się pospiesznie zboczem wzgórza, podczas gdy pozostali u podnóża żołnierze próbowali ich osłaniać. Niedługo wszyscy dostaną się do niewoli.

Albo zginą.

- Gotowa? - zapytał Chris, nie podnosząc głosu, gdy już dobiegliśmy do jeziora.

Przytaknęłam. Nie mieliśmy czasu na postój.

Nigdy nie biegłam tak szybko jak teraz. Nie było w tym żadnego tempa, żadnej metody. Po prostu gnałam, najszybciej, jak tylko mogłam, aż dotarłam do asfaltu.

Pot ze mnie kapał, zostawiając ciemne plamy na czarnej nawierzchni. Pochyliłam się z rękami wspartymi na kolanach, z trudem łapałam oddech.

Chris czekał już przy wejściu.

- Co zamierzasz zrobić?

- Najpierw sprawdzę, co odkrył Starszy - odparłam odruchowo. Jeśli rozwiązał ostatnią zagadkę Oriona, to może miał już informacje, które pozwolą nam powstrzymać obcych. A jeśli nie... Chciałam przynajmniej usłyszeć jego głos.

- A potem?

- Aktywuję broń, jeżeli będę musiała. - Przełknęłam ślinę. Nie chciałam popełniać ludobójstwa, nawet jeśli chodziło o obcych, którzy próbowali nas zgładzić. Ale nie zamierałam też pozwolić, żeby zabili mojego ojca i przyjaciół, skoro mogłam ich powstrzymać. Nie po tym, jak zabili już moją matkę.

Otworzyłam zamek biometryczny. Chris wszedł za mną do środka, wciąż trzymając broń w gotowości. Schowałam trzydziestkę ósemkę do kabury i skierowałam się prosto do stanowiska.

Włosy przykleiły mi się do czoła, koszulkę miałam przemoczoną. Powietrze wewnątrz pomieszczenia było duszne i wilgotne. Oderwałam koszulkę od ciała i zaczęłam wachlować się tkaniną, jakbym próbowała ochłoniąć.

- Nie mam pojęcia, jak się tym posługiwać - stwierdziłam, wpatrując się w panel.

Chris podszedł bliżej.

- To nie jest wcale takie skomplikowane. Podpiąłem już prom Starszego do sieci, zobacz. - Przełączył kontrolkę i w powietrzu zabrzmiały szumy statyczne. Kolejny przycisk i szumy przerwało bip-bip-bip. - Wywołuję go. Powinien odpowiedzieć, kiedy tylko zobaczy

mój sygnał.

Stanęłam obok niego, wpatrując się w panel.

- Ciekawe, która z tych kontrolek pozwala obsługiwać broń.

Chris spojrzął na mnie tymi swoimi zadziwiająco niebieskimi oczami. Na jego twarzy malował się nieodgadniony wyraz.

- Nie sądzę, żeby zdetonowanie tej broni było bezpieczne - odparł. - Za mało o niej wiemy.

Zacisnęłam pięści. Pamiętałam, jak tato dawał rozkaz do ataku, ale po eksplozji pierwszej bomby już go nigdzie nie słyszałam. Czy w tej właśnie chwili walczył o oddech, brocząc krwią na przykurzone, żółte kamienie, podczas gdy jakiś obcy nad nim triumfował?

- Co to były za istoty? - zapytałam cicho.

- Jak dla mnie, wyglądem przypominały człowieka - rzekł Chris. - Może wcale się tak bardzo od nas nie różnią.

- To dobrze. Jeśli się od nas nie różnią, będzie ich łatwiej zabić.

62

STARSZY

Bartie spojrzął na zniszczoną twarz Najstarszego Plagi.

- No więc... idziemy po jakieś dłuta i młotki? - zapytał sarkastycznie.

- Och, nie. Myślałem o czymś nieco większym. - Popatrzyłem za posąg, ledwo kryjąc podekscytowanie tym, co chodziło mi po głowie.

Bartie podążył za moim wzrokiem na przeciwległą ścianę statku, po której biegł grawiszyb. Zrobił wielkie oczy.

- Zamierzasz go rozbić?

- A masz lepszy pomysł?

Zaśmiał się.

- Moim zdaniem ten jest gzyfowo genialny.

Potrzebowaliśmy blisko pół godziny, żeby przenieść posąg z piedestału na wózek elektryczny. Używaliśmy łomów i klinów, w końcu jednak wskoczyliśmy na piedestał i zaczęliśmy pchać, aż cały posąg runął i z hukiem wylądował na wózku. Bartie zeskoczył na dół, żeby rzucić okiem na nasze dzieło.

- Jedna ręka odpadła! - podniósł ją i pomachał do mnie. - Patrz, jest pusty w środku.

Ręka odsłoniła wąski otwór z boku posągu, rzeczywiście pustego. Wsunąłem do niego palce i próbowałem nimi poruszyć, ale beton był gruby. Bez narzędzi nigdy nie dostaniemy

się do środka.

- Chyba będziemy musieli go rozbić - stwierdził Bartie z udawaną niechęcią.

- Jaka szkoda.

- Wspaniałe dzieło sztuki.

Przytaknąłem z namysłem.

- Musimy się zdobyć na to poświęcenie.

Uśmiech przepłoszył obłudną szczerość z twarzy Bartiego.

- Chodź! - rzucił podekscytowany.

Praktycznie bieглиśmy ścieżką między Szpitalem a Salą Nagrań, ciągnąc za sobą wózek. Ale rozbawienie po części przygasło, kiedy przyszło mi go głowy, że tym razem opuszczę „Błogosławionego” i już nigdy na niego nie wrócę. Przemierzałem tę ścieżkę niezliczoną ilość razy. Spacerowałem po niej razem z Harleyem i Kayleigh, zanim odeszli. Ściagałem się na niej z Bartiem i Victrią. Tam, przy stawie, całowałem się z Amy w strugach „deszczu”.

Będzie mi go brakowało. Myślałem, że już raz pożegnałem się z „Błogosławionym”, ale tak naprawdę zawsze wierzyłem, że statek tu pozostanie, że spojrzę w niebo i zobaczę, jak krąży po orbicie, światełko na tle nieba, przypominające mi o domu, który niegdyś miałem. Teraz zrozumiałem jednak, że to pożegnanie będzie ostatnie.

Bartie i ja musieliśmy popchnąć wózek, żeby cały posąg znalazł się w grawiszybie. Bartie zablokował sam wózek, żeby go nie wciągnęło, po czym uruchomił ciąg na niskich obrotach. Grawiszyb uniósł posąg na kilka jardów, dzięki czemu mogliśmy zabrać wózek z powrotem.

- Życzysz sobie czynić honory? - zapytał z szerokim uśmiechem.

- Z radością. - Wcisnąłem swój wi-kom. W moim uchu rozległo się znajome bip-bip-bip. Tęskniłem za tym dźwiękiem, a mimo to brzmiał teraz dziwnie. - Grawiszyb, sterowanie: Poziom Sternika.

Grawiszyb uruchomił się z pełną mocą, wsysając posąg.

- Lepiej się cofnijmy - Bartie pociągnął mnie za wózek. - Odłamki posypią się wszędzie!

Posąg wznosił się i wznosił, szorując o przejrzyste ścianki grawi-szybu, który zakręcał wzdłuż zarysu statku.

Ponownie wcisnąłem swój wi-kom.

- Grawiszyb, sterowanie: wyłącz.

- Uwaga: wewnątrz grawiszybu znajduje się ładunek transportowy. Dostęp:

Najstarszy? - odezwał się miły komputerowy głos w moim uchu.

- Potwierdzam dostęp - odparłem z szerokim uśmiechem.

- Grawiszyb, sterowanie: wyłącz.

Znajomy odgłos grawiszybu nagle się urwał. Bartie i ja spojrzeliśmy w górę. Przez krótką chwilę posąg stał nieruchomo, a potem runął, przekręcając się wewnątrz szybu. Tu i ówdzie akryl popękał, uderzony betonową krawędzią. Dotarłszy do prostego odcinka grawiszybu, posąg nabrał prędkości. Widzieliśmy już tylko szaroczną smugę.

BUM! Posąg rozbił się u stóp grawiszybu i eksplodował. Wszędzie poleciał szary pył i kawałki betonu. Razem z Bartiem zanurkowaliśmy za wózek, kiedy spadł na nas deszcz żwiru. Nie zdążył całkiem opaść, a ja już pędziłem w stronę rumowiska.

Pośród betonowych i akrylowych szczątków dostrzegłem lśniące srebrne pudełko. Sięgnąłem po nie, a szary pył przykleił się do wierzchu mojej spoconej dłoni.

- Co to takiego? - zapytał Bartie cicho z zapartym tchem.

Uniosłem zatrzask i uchylilem pokrywę.

W środku znajdowało się stare urządzenie rejestrujące i odtwarzające przekaz audiowizualny, jedno z tych, których używano przed plastplejami. Było mniej więcej wielkości moich złączonych dłoni, wysokie na blisko cal i ciężkie. Pod spodem znajdowała się mała książka w oprawie z brązowej skóry. Kartki pożółkły ze starości, ale pismo pozostało wyraźne. Jakaś formuła chemiczna i szczegółowe naukowe notatki.

- Od lat takiego nie widziałem. - Bartie sięgnął po urządzenie.

- W Sali Nagrań chyba zostało ich jeszcze kilka.

Miał rację. Już od dawna nikt nie posługiwał się tą technologią. Prawdopodobnie od czasów Najstarszego Plagi.

Nagranie było opisane. Na białym tle widniała informacja zapisana odręcznie czarnym tuszem:

Oto oryginalne nagrania zebrane przez kapitana Alberta Davisa, pierwszego Najstarszego „Błogosławionego”, kiedy wprowadził system Najstarszych. Dodatkowe kopie będą przekazywane każdemu kolejnemu Najstarszemu, ta zaś zostanie zachowana i ukryta na wypadek buntu.

Zostawiając wskazówkę w egzemplarzu Małego Księcia, Orion musiał wiedzieć o dwóch sprawach. Po pierwsze, że kopia przeznaczona dla Najstarszych przepadła. Po drugie, że oryginał znajduje się tutaj - zapewne był to kolejny sekret Najstarszego, którego nigdy mi nie ujawnił. Najstarszy Plagi pewnie uznał, że jeśli ludzie kiedykolwiek podniosą bunt przeciwko systemowi Najstarszych, wówczas zniszczą ten posąg i odkryją prawdę ukrytą w

jego betonowym sercu.

Włączyłem urządzenie i położyłem sobie na kolanach, żeby Bartie wszystko widział.

Ekran wypełniła twarz mężczyzny. Wyglądała prawie zupełnie jak moja, tyle że naznaczona wiekiem i troską. Mężczyzna był w wieku gdzieś między Orionem a Najstarszym, liczył około pięćdziesięciu lat. Na policzku miał bliznę, przez którą lewy kącik ust opadał mu jakby w wiecznym grymasie niezadowolenia. Jego siwiejące włosy były poprzetykane czarnymi pasmami i krótko obcięte. Przesunąłem wzrokiem po jego rysach i poznałem, że odpowiadają moim własnym.

Był Najstarszym Plagi. Pierwszym z nas. Oryginałem, podczas gdy ja, Orion, Najstarszy i wszyscy pozostali byliśmy jedynie jego sklonowanymi kopiami. Z biegiem czasu „udoskonalął nas”, dodawał modyfikacje genetyczne do naszego DNA, abyśmy byli lepsi, silniejsi, bardziej monoetniczni z wyglądu i charyzmatyczni z charakteru. Ale wciąż widziałem w nim siebie.

- Obawiam się - przemówił głosem głębszym niż mój - że to już goniec.

63

AMY

-...lo? - w głośniku zatrzeszczał głos Starszego. Chris i ja rzuciliśmy się w stronę panelu.

- Halo? Halo? - odpowiedziałam niecierpliwie, a serce mi zamarło, kiedy wyobrażałam sobie wszelkie najgorsze scenariusze, jakie tylko były możliwe.

- Amy, to ty?

- Tak! - Prawie rozplakałam się ze szczęścia. - Starszy, ty żyjesz! Tak bardzo się martwiłam.

Jego śmiech dobiegał z odległości wielu mil, ale to wciąż był jego śmiech.

- Oczywiście, że żyję. A co myślałaś?

Nie potrafiłam nawet wyrazić swoich najgorszych obaw,

- Amy, muszę ci coś powiedzieć... - Urwał i przez krótką chwilę sądziłam, że straciliśmy połączenie. - Znalazłem ostatnią wskazówkę.

Zamrugalam, zaskoczona. Nie sprawiał wrażenia nazbyt uradowanego.

- Naprawdę?

- Tak i nie... Nie będziesz z niej zadowolona.

- Co to takiego? - Moje usta były tak blisko interkomu, że czułam smak metalu na osłonie mikrofonu. Chris poruszył się za mną, aż prawie podskoczyłam. Po tym, jak

usłyszałam głos Starszego, całkiem zapomniałam o jego obecności.

- Chyba... chyba mogę ci to pokazać. Zaczekaj chwilę.

Chris dotknął ekranu na panelu sterowania.

- Pewnie ma przekaz wideo, który może nam puścić - stwierdził. - Spróbuję mu w tym pomóc. - Przejechał palcem po ekranie, wywołując menu.

- Nic ci nie jest? - zapytałam Starszego.

- Nie - rzucił, wyraźnie czymś rozproszony. Po chwili dodał: - Czemu pytasz? Z wami wszystko w porządku?

Zerknęłam na Chrisa, a ten pokręcił delikatnie głową. Nie powinniśmy wspominać Starszemu o ataku, nie teraz, kiedy i tak nie może nic zrobić. Dalej za Chrisem widziałam las, a za nimi smugę dymu. I nie był to dym z naszego okopu - w kolonii płonęło coś znacznie większego.

- Gotowe - powiedział Chris, pukając w ekran, kiedy ściągnął się przekaz wideo.

- Doszedł? - zapytał Starszy.

- Tak - odparłam.

- Obejrzyjcie to. Muszę wracać i pomóc w pakowaniu. Ludzie z „Błogosławionego” przylecą razem ze mną. Przywieziemy zapasy dla wszystkich.

Jeszcze raz spojrzałam na dym. Możliwe, że nie będzie komu tych zapasów rozdać.

Interkom zamilkł. Chris odsunął się, żebym mogła usiąść naprzeciwko ekranu, a sam stanął za mną. Znowu trzymał karabin w gotowości, zerkając nerwowo za okno.

Ekran wypełniła twarz mężczyzny.

- To pewnie Najstarszy Plagi - powiedziałam na głos. Zerknęłam za siebie na Chrisa. - Ostatni kapitan „Błogosławionego”, ten, który postanowił, że statek nie wyląduje, kiedy dotarli do planety.

- Obawiam się - zaczął mężczyzna - że to już koniec.

Nachyliłam się, nasłuchując z całych sił.

- Nazywam się Albert Davis i jestem kapitanem „Błogosławionego”. Oto, co zaszło.

Obraz na ekranie zmienił się błyskawicznie. To ujęcie pochodziło z Mostka. Obraz trząsał się trochę, kiedy ustawiano kamerę na panelu sterowania. Ogarnęła Mostek, pokazując wszystkich zebranych. To było jeszcze przed monoetnicznością. Zgromadzeni na Mostku członkowie załogi wywodzili się z różnych ras - i religii, sądząc po gwiazdzie Dawida, którą jeden z nich nosił na szyi. Moje palce powędrowały do mojego własnego łańcuszka z krzyżykiem, a na ustach rozkwitł nieśmiały uśmiech. Ucieszyła mnie świadomość, że na „Błogosławionym” nie zawsze panowały takie dziwne porządki.

Wszyscy rozmawiali, ale za cicho, żebym mogła wyłowić poszczególne słowa. Wydawali się podekscytowani albo podenerwowani. Kamera wróciła do punktu wyjścia, pokazując planetę.

„Błogosławiony” wszedł na orbitę niebiesko-zielono-białej Centauri-Ziemi.

- Oto i on! - zza kamery odezwał się kobiecy głos. Chwilę później ja również go zobaczyłam - lśniący, srebrny prom mknący ponad horyzontem w stronę „Błogosławionego”.

Ekran pociemniał, po czym wyświetlił kolejny obraz. Aż krzyknęłam, rozpoznając znajomy widok: to była śluza, przy której zginął Harley.

Przyściśnięta do okienka kamera pokazywała otwartą śluzę, a za nią ciemność.

- Odrobina historii - przemówił zza kamery kapitan Albert Davis. W jego głosie pobrzmiwała gorycz. - Dwadzieścia lat przed planowanym lądowaniem wysialiśmy sondę na Centauri-Ziemie. Zgodnie z założeniami mieliśmy zyskać ogląd środowiska, a następnie dostosować do niego nasze badania tak, abyśmy byli przygotowani, kiedy już wylądujemy. Sol-Ziemia odkryła jednak, że na planecie znajdują się cenne bogactwa naturalne. I wymyśliła, jak jeszcze bardziej przyspieszyć transport. Wylądowali pierwsi. Zbudowali kolonię.

Coś metalicznego zbliżało się do śluzy. Nie były to drzwi, tylko coś cylindrycznego, co połączyło się z burtą „Błogosławionego”. Most między statkiem a promem, który widzieliśmy wcześniej.

Kapitan Davis zaśmiał się z goryczą.

- Teraz muszą jeszcze wymyślić, co zrobić z nami.

Wysoka, szczupła kobieta o kruczoczarnych włosach i kościach policzkowych tak ostrych, że chyba zdolnych ciąć szkło, przeszła przez śluzę, poprawiając obcisłą, prążkowaną spódnicę. Sprawdziwszy ciśnienie, kapitan Davis otworzył właz i kobieta weszła na pokład, uśmiechając się. Za nią z promu wyłoniło się kilku mężczyzn niosących skrzynie termiczne. Na widok skrzyń kapitan Davis zmarszczył czoło.

- Wolalabym, żeby nasze rozmowy nie były rejestrowane - odezwała się kobieta. Głos miała uprzejmy, ale nawet ja zrozumiałam, że z jej strony padł rozkaz, nie prośba.

Ekran poczerniał na chwilę, a potem kamera włączyła się ponownie. Teraz znajdowała się wyżej i była stabilna - została gdzieś zamocowana. Po sposobie, w jaki wszyscy ją ignorowali, wywnioskowałam, że kobieta z promu nie wie o jej istnieniu. Kapitan Davis zorganizował spotkanie z nią w pomieszczeniu nawigacyjnym na Poziomie Strażnika. Ponad nimi widniały żarówki odwzorowujące układ gwiazd. Pośrodku pomieszczenia znajdował się stół. Kapitan Davis siedział naprzeciwko kobiety.

- Oryginalna polonia okazała się... trudna - stwierdziła kobieta.

- W jaki sposób? - Kapitan nachylił się nad stołem. Najwyraźniej był człowiekiem przyzwyczajonym do posłuchu, widziałam jednak, że ta kobieta go onieśmiela. Dostrzegłam srebrny błysk na jej klapie - małą przypinkę z orłem o czterech skrzydłach. Kobieta reprezentowała GZF.

- Szkło solarne, które wytwarza ta planeta, zapewniło nam niemal nieograniczone zasoby energii wolnej od skażenia. Zrewolucjonizowało sposób, w jaki Ziemia wytwarza i wykorzystuje energię. To odpowiedź na modlitwy, jakie odmawialiśmy, odkąd wyczerpały się zasoby paliw kopalnych.

Kapitan Davis z powagą pokiwał głową. Ale kobieta nie odpowiedziała jeszcze na jego pytanie.

- Problem w tym - westchnęła teatralnie - że oryginalna kolonia ogranicza rodzaj produkcji, którą do nas wysyła. Potrzebujemy więcej.

- Więcej szkła solarnego na potrzeby energetyczne czy więcej na potrzeby zbrojeniowe?

Kobieta zmrużyła oczy, zaśmiała się jednak sympatycznie i machnęła ręką, zbywając pytanie.

- Wiem, że jest pan przeciwny produkcji zbrojeniowej, którą wdrożyliśmy. Proszę się jednak 111 e obawiać, pańscy ludzie nie będą musieli wytwarzać broni. Jedynie kostki energetyczne, tak jak to wcześniej ustaliliśmy.

Kapitan Davis nie wyglądał na przekonanego, ale nic nie powiedział.

- Jak już mówiłam, problemem jest tempo produkcji - ciągnęła. - Nasi ludzie, czyli oryginalna kolonia, a kiedy już wylądujecie, także pańscy, źle znoszą promieniowanie słoneczne. Chorują od nadmiaru słońca.

Zacisnęłam zęby. Nieprawda. Spędziliśmy na Centauri-Ziemi blisko tydzień i żadne z nas nie zachorowało z powodu wystawienia na działanie promieni słonecznych.

Kobieta skinęła dłonią i w polu widzenia pojawili się towarzyszący jej mężczyźni, niosąc skrzynie termalne. Otworzyli jedną z nich, po czym wręczyli kobiecie strzykawkę ze złotym płynem.

- To szczepionka zawierająca modyfikację genetyczną. Zagadam, że orientuje się pan w temacie?

Kapitan Davis przytaknął.

- Żywy inwentarz został zmodyfikowany genetycznie, żeby lepiej przystosował się do warunków życia w biokopule.

Uśmiechnęła się.

- Modyfikacje genetyczne okazują się w naszej sytuacji niebywale przydatne. Połączyliśmy szczepionkę m promieniowanie słoneczne z materiałem modyfikowanym genetycznie. Wystarczy ją po prostu wstrzyknąć... - Sięgnęła do ręki kapitana Davisa, lecz ten cofnął ją gwałtownie. Kobieta zaśmiała się, jakby to był tylko dowcip. Nie dało się jednak ukryć, że obydwójce nie mają do siebie nawzajem zaufania. - Po wstrzyknięciu szczepionka wpisuje się w kpd genetyczny danej osoby, dzięki czemu nie tylko ona sama będzie do końca życia zabezpieczona przeciwko promieniowaniu słonecznemu, ale także wszyscy jej potomkowie. Jeden zastrzyk * Już żadne pokolenie żyjące na tej planecie nie musi się przejmować promieniowaniem słonecznym!

Kapitan Davis milczał.

- Mam dość szczepionek, by wystarczyło dla wszystkich na pokładzie „Błogosławionego”. Zostawię je panu. - Kobieta raz jeszcze skinęła dłonią i mężczyźni zamknęli skrzynie, po czym je zabrali.

- Kiedy zakończycie szczepienia, porozmawiamy ponownie i wtedy pomożemy wam wylądować na powierzchni planety. - Rozejrzała się po pomieszczeniu, przesuając wzrokiem po metalowym suficie.

- Zapewne z przyjemnością opuści pan tę przestarzałą kupę złomu. Przyprawia o klaustrofobię.

Obraz zastąpiła czerń.

- Co to ma być? - zapytałam cicho. - Przecież to w ogóle nie pasuje do naszych domysłów...

Chris nie odpowiedział. Zerknęłam w jego stronę. Zaciskał kurczowo zęby, jego oczy lśniły. Był wściekły.

Obraz na ekranie znowu się zmienił, więc odwróciłam się z powrotem do niego. Kapitan Davis znajdował się w laboratorium - w laboratorium genetycznym na poziomie kriogenicznym. Dwaj mężczyźni i kobieta w fartuchach laboratoryjnych stali wokół młodej dziewczyny, mniej więcej piętnastoletniej, o długich ciemnych włosach i wąskich oczach, które przypominały mi kapitana. Siedziała na krześle pośrodku pomieszczenia. Za nią dostrzegłam pompę z fidusem - tyle że pompa nie rozprawdzała fidusa. Zamiast niego obok stała duża kadź podpisana WITAMINY I SUPLEMENTY. Ponad ramieniem dziewczyny widniały cylindry z embrionami z Ziemi, ale w żadnym z nich nie było klonów Starszego. Jeszcze nie.

- Czy to odwracalne? - zwrócił się do jednego z mężczyzn w fartuchach kapitan Davis.

Ten pokręcił głową.

- Z tego, co wiemy, ta „szczepionka” zamienia jedynie człowieka w posłusznego psa. -

Podał kapitanowi jedną ze strzykawek, które przywiozła ze sobą czarnowłosa kobieta.

Drugi mężczyzna ze smutkiem pokręcił głową nad młodą dziewczyną.

- Nie mieliśmy pojęcia, że wpłynie w ten sposób na naszego ochotnika.

- Może należało ją najpierw przebadać, zanim na ochotnika wzięliście moją córkę ~ warknął kapitan Davis. - Powinniście byli pomyśleć, zamiast takszybkp wypróbować „szczepionkę” m żywym człowieku.

Naukowcy nerwowo spojrzeli po sobie, wystraszeni gniewem kapitana. Jediną osobą w pomieszczeniu, która nie okazywała żadnych emocji, była dziewczyna. Jego córka.

- Wyodrębniliśmy składniki tej „szczepionki” - podjęła kobieta piskliwym, przerażonym głosem. - Zawiera materiał modyfikowany genetycznie oraz inną substancję, której nigdy nie widzieliśmy na oczy. Po jej wstrzyknięciu człowiek staje się... cóż, staje się taki-

Wszyscy popatrzyli na dziewczynę na krześle. Gapiła się na nich bezmyślnie.

- Co to za substancja? - wycedził przez zęby kapitan Davis.

- Mówimy na nią fidus. Przyjęta doustnie albo dożylnie sprawia, że człowiek staje się SI? tymczasowo posłuszny. Ale w połączeniu z modyfikacją genetyczną ów stan jest nieodwracalny.

- Właśnie tego chce od nas GZF. Bezmózgich robotników. Niewolników idealnych. - Kapitan Davis wyglądał na zgorzkniałego i rozwścieczonego. Przez chwilę miałam wrażenie, że zaraz uderzy własną córkę, lecz zamiast tego odwrócił się do niej plecami.

- Z naszych kontaktów z pierwszą kolonią na planecie wiemy, że GZF naciskała na nich, aby zwiększyli produkcję szkła solarnego i wytwarzali więcej broni - rzekła kobieta w fartuchu laboratoryjnym. - Po załamaniu negocjacji handlowych nigdy więcej nie otrzymaliśmy od nich żadnych wiadomości.

Kapitan Davis z otwartymi ustami wpatrywał się w kobietę.

- Sądzicie... że cała pierwsza kolonia?... Ze już zrobili z nich odurzonych niewolników? Zmienili w coś nie do końca ludzkiego?

- Na to wygląda - odparła kobieta. Jej głos brzmiał, jakby zaraz miała się rozpląkać. - Może GZF ich oszukała, tak samo jak próbowała oszukać nas, wmówiła im, że to szczepionka. A może znalazła sposób, żeby podać im tę substancję siłą. Tak czy owak -

- Tak czy owak, dla nich jest już za późno. - Kapitan Davis skrzywił się. - I dla niej.

- Pracujemy nad substancją niwelującą właściwości fidusa. - Drugi z naukowców

postąpił krok naprzód. - Może uda nam się wynaleźć lekarstwo.

Kapitan Davis obrócił się w stronę córki, a na jego twarzy niespodziewanie pojawiła się nadzieja - i równie szybko zniknęła.

- A co jeśli wylądujemy i podamy lekarstwo pierwszej polonii? - zapytał stanowczo. - GZF znowu zrobi to samo. Oni chcą szklą, chcą broni. Jest nas za mało, nawet jeśli połączymy siły z kolonią, nawet jeśli zdołamy ich uleczyć.

- Skoro GZF jest gotowa na wszystko, byle nas kontrolować - powiedziała kobieta - to co możemy zrobić, żeby się ratować?

Obraz znowu się zmienił. Grupa ludzi stała wokół stołu w pomieszczeniu nawigacyjnym, pogrążona w rozmowie.

- Głosowali - odezwała się młoda kobieta. - Większość załogi chce lądować. - Była silna, wysoka i gniewna, z burzą włosów, ubrana w żywą czerwień, chociaż wszyscy pozostali nosili ubrania w stonowanych barwach. I wszyscy wydawali się przygnębieni.

Kapitan Davis huknął pięścią w stół.

- Czy oni nie widzą zagrożenia? Nie widzą, jaki straszliwy los spotkał moją córeczkę? GZF nie chce kolonii, tylko niewolników!

- Możemy walczyć... - zaczęła młoda kobieta.

- Jak? Nie mamy zbyt wiele broni, a już na pewno nie takiej, jaką dysponuje GZF. Jeśli nie będą mogli nas kontrolować za pomocą fidusa, to zrzucą nam bomby solarne na głowy. - Wszyscy z wyjątkiem młodej kobiety zdawali się podzielać jego zdanie.

- Więc... co? Tak po prostu zostaniemy na statku? Na zawsze?

Kapitan Davies rozłożył ręce.

- A jakie mamy wyjście?

- Będziemy walczyć - odparła kobieta w czerwieni. - Będziemy walczyć z panem, jeśli będziemy musieli!

- Nie - odparł zwyczajnie kapitan Davis. - Me będziecie.

Obraz zniknął, lecz to nie miało znaczenia. Wiedziała, co było potem, widziała to w swojej głowie równie wyraźnie, jak na ekranie. Kapitan Davis posłużył się fidusem - lecz nie tym zmieszonym z materiałem modyfikowanym genetycznie, który dała mu GZF, tylko inną wersją - żeby kontrolować buntowników i opanować statek.

Najpierw strach przed fidusem powstrzymał ich przed lądowaniem, a potem sam fidus ich poskromił.

Więc to stąd w zwichrowanym umyśle Oriona narodził się pomysł, że wszyscy zostaniemy niewolnikami albo żołnierzami. Już raz tak było.

Nagle na ekranie pojawił się kolejny obraz. Bez dźwięku. Tylko dziewczyna, córka kapitana Davisa. Wyglądała na wzburzoną, lecz jednocześnie przygaszoną, opanowaną. Ujarmiona lwica. Siedziała na stołku, bezmyślnie zapatrzona w przestrzeń. Ciekawe, co się z nią stało. Ciekawe, czy inhibitory kiedykolwiek jej pomogły.

Kamera zrobiła zbliżenie na jej twarz. Jej oszałamiająco niebieskie oczy. Co za dziwny kolor, taki czysty, i te tęczęwki... niezwykle tęczęwki...

Do tej pory tylko raz widziałam podobne oczy.

Nagle zdałam sobie sprawę, że Chris od dłuższej chwili się nie odzywa. Odwróciłam się powoli

Lufa jego broni była wycelowana prosto w moją głowę.

64

STARSZY

Bartie stał przy drzwiach na mostek i rozglądał się z niedowierzaniem szeroko otwartymi oczami, podczas gdy ja odtwarzałem przekaz wideo dla Amy na Centauri-Ziemi. „Błogosławiony” był naszym - jego - domem. Owszem, to statek kosmiczny, ale również po części farma, po części biokopuła, zużyta, stara i zamieszkana. Prom kosmiczny powstał z lśniącego chromu i bieli. Wyglądał nieskazitelnie, zwłaszcza w porównaniu z nami, całymi w szarym pyłe, po tym jak rozbiliśmy posąg Najstarszego Plagi.

Jego wzrok spoczął na oknie ponad panelem sterowania. Już raz Bartie widział gwiazdy i planetę, z mostka kapsuły, zanim odlecieliśmy. Lecz od tamtej pory stracił nadzieję, że je znowu zobaczy. Na „Błogosławionym” nie było już żadnych śluz, żadnych działających włazów.

- Prawie zapomniałem... - powiedział, zapatrzony.

Uśmiechnąłem się do niego szeroko.

- Zaczekaj, aż zobaczysz je z powierzchni planety.

Widziałem po jego minie, że nie do końca ogarnia, co go czeka.

- Powinniśmy jak najszybciej wyruszyć - dodałem, wracając do najbardziej palącej kwestii.

Bartie wykonał kom-link globalny do mieszkańców statku, informując ich w pierwszej kolejności o moim przybyciu, w drugiej zaś o przeniesieniu wszystkich na pokład promu. Poleciał zarznąć pozostałe zwierzęta i zapakować mięso do transportu. Rozkazał również zabrać jedynie to, co niezbędne do przeżycia.

Patrzyłem, jak wydaje polecenia swoim ludziom - bo teraz to byli jego ludzie, nie moi.

Chyba wyczytał coś w moim spojrzeniu, bo uśmiechnął się do mnie.

- Wiem, kiedy wylądujemy, nie będzie już tak jak wcześniej. Nie zamierzam obalać rządów, jakie ustaliliście na Centauri-Ziemi. Po prostu chcę mieć pewność, że przetrwamy.

Pokręciłem głową.

- Nie o to chodzi. Zamrozeni obudzili się i mają swojego własnego przywódcę. Dokładnie rzecz biorąc, ojca Amy. I wcale nie siedzieliśmy przez cały ten czas na tyłkach, próbując powołać rząd. Póki co skupialiśmy się wyłącznie na przetrwaniu, a i to nie wychodziło nam najlepiej.

- Może po lądowaniu zdołamy jakoś pomóc.

- Będą protestować? - zapytałem. Pamiętałem, jak pierwszy raz przymierzaliśmy się do lądowania.

Bartie pokręcił głową.

- Już im powiedziałem o czarnych medplastach. Wiedzieli, że nadciąga nasz koniec. To... to jest nasza jedyna nadzieja na przetrwanie, zdają sobie z tego sprawę. Powinienem pomóc w przygotowaniach - zmienił temat, ruszając do wyjścia.

- Sprawdź, czy wszystko jest gotowe - odparłem. Prom kosmiczny został zaprojektowany z myślą o transporcie ludzi i ładunku, wołałem się jednak upewnić, że wszystko zostało starannie zapakowane. Nie chciałem mieć znowu krwi na rękach, nie po śmierci trzech osób podczas pierwszego lądowania.

Zbierając się do wyjścia, zauważyłem, że skończył się przekaz wideo, który odtwarzałem dla Amy. Podeszedłem do panelu, żeby odłączyć urządzenie - dlaczego nic nie powiedziała?

Dotknąłem kontrolek obsługujących kom-link i głos Amy wypełnił mostek.

- Co robisz z tą bronią? - zapytała nad interkomem.

Zastygłem. Coś było bardzo nie tak.

- Zrozumiałaś, prawda? Kiedy oglądałaś ten przekaz. Zdałaś sobie sprawę, że mam takie same oczy jak ona. - Głos Chrisa wydawał się szorstki... zdesperowany. - Wcześniej nie chciałaś tego widzieć. Ty i twój ojciec... nie chcieliście widzieć tego, co mieliście przed samym nosem.

- Owalne tęczęwki. - Amy urwała na chwilę. - Zauważyłam, że twoje oczy są inne, że nie są...

- Ze nie są normalne? - wyrzucił z goryczą Chris.

Próbowałem sobie przypomnieć jego oczy. Nigdy tak naprawdę im się nie przyglądałem. Nawet kiedy w nie patrzyłem, zawsze rozpraszała mnie uwaga, jaką darzył

Amy. Miał owalne tęczęwki? Zupełnie jak... zupełnie jak tamta dziewczyna, której wstrzyknięto mieszanę fidusa z materiałem modyfikowanym genetycznie.

- Dlaczego? - zapytała Amy głosem spiętym ze strachu. Wyobraziłem sobie celującego do niej Chrisa. - Jesteś... jesteś naszym żołnierzem - wyjąkała. - Jesteś jednym z nas... zamrożonych... - Ucichła.

Usiłowałem przypomnieć sobie listę wojskowych, którą dał mi Orion. Było na nich tak wiele nazwisk... tylko czy był tam jakiś Chris? Nie... chyba nie...

Dlaczego nie wpadłem na to wcześniej? Przecież Orion uczył mnie wątpić we wszystko.

Chris odpowiedział na moje myśli.

- To było łatwe. Kiedy twój ojciec po raz pierwszy opuścił kapsułę, szukając sondy, pamiętasz? Wszedł z dziewięcioma osobami, ale wrócił z dziesięcioma. Ze mną.- Jego szyderczy głos ochoczo niszczył zaufanie Amy. - Jestem potomkiem oryginalnej kolonii, którą wy, ludzie - wypowiedział to słowo z obrzydzeniem - postanowiliście genetycznie zmodyfikować.

Tak mocno zaciskałem pięści, że poczułem, jak paznokcie przecinają skórę wnętrza moich dłoni. Oddałbym wszystko, byle nie być całe mile ponad Centauri-Ziemią, w pułapce kosmosu, nie mogąc ocalić Amy.

- Ale... ale fidus...

- Tylko tyle możesz z siebie wydusić, Amy? Spodziewałem się po tobie czegoś więcej. Cóż, jak sama widzisz, jestem jednym z nielicznych odpornych na działanie substancji, którą nazywacie fidusem.

- Jak to możliwe?

- Wada genetyczna. Związek chemiczny, który podali moim ludziom, genetycznie zmodyfikował ich przysadkę mózgową i nadnercza. Zamiast opcji „walcz albo uciekaj” zostali przeprogramowani na „słuchaj i wykonuj”. Na szczęście ja mam uszkodzone nadnercza. Wytwarzają więcej adrenaliny niż fidusa. Po kilku pokoleniach bezmózgich, kontrolowanych fidusem dziwadeł moi przodkowie zaczęli mutować.

- Czy są jeszcze inni tacy jak ty? - zapytała Amy. - To znaczy tacy, na których nie działa fidus? - Mówiła bardzo spokojnym głosem. Nienaturalnie spokojnym. Z łatwością wyobraziłem sobie, jak wiele musiało ją to kosztować. Przypominało mi to błyskawicę podczas burzy - grzmot był głośny i przerażający, ale to milcząca błyskawica przecinała ciemne niebo.

Czekałem na jej błyskawicę.

- Tuziny - odparł Chris. Mimo dzielącej nas odległości słyszałem szyderstwo w jego głosie. - Ci, których GZF nie zdołała znaleźć ani zabić. Poznałeś dzisiaj kilku z nas. Nazywają nas zbuntowanymi hybrydami. Zostaliśmy zmodyfikowani genetycznie, ale nie ulegamy ich kontroli. Od lat próbują nas zabić za wszelką cenę.

- Dlaczego? - Amy poprzestawała na krótkich, szybkich słowach. Zastanawiałem się, czy jest uwięziona. Albo gorzej, czy Chris ją krzywdzi.

- Nie rozumiesz? Te potwory, którymi tak bardzo się martwiłaś. To nie obcy. Tylko ludzie. Tymi potworami zawsze byli ludzie.

Milczała przez długą chwilę, przyswajając tę informację. Rozluźniłem pięści, aż zatrzeszczały mi knykcie, ale dłonie trzęsły się i tak.

- To żadne wyjaśnienie.

- Dlaczego pan nienawidzi niewolnika, który nie chce pracować? Sabotowaliśmy dostawę, niszczyliśmy tyle sprzętu, ile tylko zdołaliśmy.

Ekran na moim pulpicie rozbłysnął. Amy nie zerwała połączenia między promem a kompleksem, zapewne w nadziei, że do mnie dotrze. Nie odzywałem się - stąd i tak nie mogłem nic zrobić, jedynie słuchać, jak Amy ze wszystkich sił stara mi się pokazać, co się dzieje tam, na dole.

- Myślałem, że jesteś inna. - Chris powiedział to tak cicho, że ledwo go usłyszałem.

Ale głos Amy był donośny. I wściekły.

- Odsuń się ode mnie! - wrzasnęła. Poczulem smak krwi. Tak mocno przygryzałem wargę, że nawet nie zauważyłem, kiedy przeciąłem skórę. Jeśli Chris ją tknie... jeśli ją skrzywdzi...

Pozycje menu na ekranie przewijały się jedna za drugą. To pewnie robota Chrisa. Zatrzymały się na: ZAPIS NADZORU: KOMPLEKS, po czym odtworzyło się nagranie ukazujące teren wokół budynku komunikacyjnego. Chris szybko przewinął je do tyłu - zobaczyłem, jak Amy i Chris uciekają - przed czym? - potem mija noc. Start promu. Ja, Amy i Chris ze szklaną kulą zakradamy się do środka. Żołnierze. Amy i ja odkrywamy istnienie kompleksu. Żołnierze. Żołnierze. I Chris.

Zatrzymał przewijanie i nacisnął Play, pokazując Amy, co się stało. Na nagraniu Chris nie miał na sobie żadnego z wojskowych mundurów, w których go widywałem. Był ubrany w ciemny kamuflaż, przypominający zieloną skórę. Usiłował dostać się do budynku. Przycisnął kciuk do skanera biometrycznego, lecz ten, zamiast komunikatu CZŁOWIEK, błysnął ostrzegawczo ODMOWA DOSTĘPU.

Chris na ekranie walnął w drzwi pięścią - a dźwięk, który rozległ się po drugiej stronie

interkomu, zdradził mi, że prawdziwy Chris uderzył w coś wewnątrz kompleksu, w coś metalicznego i twardego. Jeśli ośmieli się podnieść rękę na Amy...

- Przecież... ty jesteś człowiekiem - powiedziała Amy, ale chyba sama w to nie wierzyła.

- Ich zdaniem nie jestem - wycedził Chris. - Zmienili nasze geny. Jesteśmy zbuntowanymi hybrydami, a nie pełnowartościowymi ludźmi.

- Dlaczego? - Amy chyba próbowała rozproszyć Chrisa, uspokoić, złagodzić jad w jego głosie. - Dlaczego GZF miałyby zmieniać wasze geny?... Przecież tak naprawdę nie ma żadnego zagrożenia ze strony promieniowania słonecznego, prawda? Wystarczyłby im sam fidus, żeby was kontrolować. - Urwała. - Nie żebym to popierała. Ale wcale nie musieli zmieniać was w coś... coś innego niż człowiek.

Zauważyłem, jak dobrała słowa, chociaż Chris pewnie nie zwrócił na to uwagi. Amy nie powiedziała, że GZF zmieniała zbuntowane hybrydy w coś n i e l u d z k i e g o, tylko innego niż człowiek.

- Chcieli stworzyć wydajnych robotników, więc udoskonalili nasze ciała. Ale to nie wszystko - dodał gorzko Chris. Słyszałem go teraz wyraźniej, musiał podejść bliżej interkomu. - Zrobili tak, żebyśmy z technicznego punktu widzenia nie liczyli się już jako ludzie. A przynajmniej nie według nich. Dzięki temu chyba lepiej śpią, święcie przekonani, że ich niewolnicy nie są ludźmi.

Nie chciałem o tym myśleć, jednak nie mogłem nic na to poradzić: czy GZF uznałyby, że ja również jestem czymś gorszym niż człowiek? Bo jestem klonem?

W głosie Chrisa pojawiła się nuta dumy.

- Wszyscy dysponujemy możliwościami, jakie GZF wpisała w nasze geny, żeby zyskać lepszych, silniejszych niewolników, ale mamy wolną wolę.

- Widzisz w ciemności - powiedziała Amy wolno, z namysłem. - Tamtej nocy, w kapsule...

Nie miałem pojęcia, o jakiej nocy w kapsule mówiła. Musiałem zebrać się w sobie, żeby nie skierować promu z powrotem na dół, teraz, zaraz, prosto do Amy i kompleksu.

- Lepsze widzenie nocne... ogólnie bardziej wyczulone zmysły. Siła. Prędkość. Zręczność. GZF sądziła, że stworzyła coś mniej ludzkiego, a tymczasem udoskonaliła oryginalny model.

- Dla mnie wciąż jesteś człowiekiem - odparła Amy łagodnym głosem.

- Zamknij się! - W interkomie rozległ się jakiś głośny odgłos. Chyba ją uderzył. Zalała mnie krew. Zabiję tego gzyfowego zdrajcę.

Nagranie wciąż się odtwarzało. Nie zdoławszy dostać się do pomieszczenia komunikacyjnego, Chris wyglądał, jakby zamierzał uderzyć w drzwi czymś w rodzaju broni - czyżby to była łuska, podobna do tej, którą znalazłem w tunelu? Nagle podniósł wzrok. Szybko schował szkło solarne - to musiało być to - i wtedy zjawił się pułkownik Martin ze swoimi ludźmi. Trzymali broń. Nagranie nie miało dźwięku, ale pułkownik bez wątplenia krzychał, mierząc dokładnie w serce Chrisa. Chris powoli podniósł ręce. W prawej dłoni trzymał jednak jakieś małe urządzenie o cielistej barwie, które szybko wsunął sobie do ucha.

Pewnie dzięki temu mógł się z nami porozumiewać. Skoro nasz akcent zmienił się na statku w takim stopniu, że Ziemianie mieli problem ze zrozumieniem nas, to ludziom urodzonym na Centauri-Ziemi musiało być jeszcze trudniej. To urządzenie pozwalało Chrisowi zrozumieć nas i odpowiedzieć w tym samym języku. GZF tworzyli ludzie różnych narodowości. Bez wątplenia potrzebowali takich udogodnień.

Chris na ekranie zaczął coś mówić, ale bez dźwięku nie potrafiłem określić co. Chwilę później pułkownik Martin opuścił jednak broń.

- Mój ojciec wiedział? - zapytała wstrząśnięta Amy.

- Oczywiście, że tak. A przynajmniej o tym, co chcieliśmy, aby wiedział. Powiedziałem mu, że tylko ja ocalałem, że całą kolonię wymordowali obcy. Żaden problem. Moi ludzie włamali się do systemu i przerwali wiadomość wysłaną z Ziemi po waszym lądowaniu. Zmanipulowali ją tak, aby wyszło, że to obcy stanowią zagrożenie. Dałem mu szkło solarne. Ale wtedy dotarła prawdziwa wiadomość. Pułkownik Martin był wytrwały - o wiele bardziej, niż przypuszczałem. GZF wie o waszym lądowaniu i właśnie tu leci.

Zapadła cisza. Wiedziałem, że Amy również próbuje przetrwać te wszystkie informacje.

- Wiadomość o broni - podjęła powoli. - Jest prawdziwa. To właśnie tę wiadomość GZF nam przesłała.

- Próbowaliśmy ją zablokować, ale zanim nam się to udało, spora część wiadomości dotarła do celu. Nie ma nas zbyt wielu. „Zbuntowanych hybryd” czy jak tam wolisz o nas mówić. Ale jest nas więcej niż kiedykolwiek dotąd. A GZF odkryła, jak nas wszystkich zabić.

- Broń.

- Właśnie. Sęk w tym, że nasz kod genetyczny nieznacznie różni się od ludzkiego. GZF o tym wie. Ta broń? To bomba biologiczna. Zawiera chorobę, która zaatakuje każdego ze zmutowanym DNA - wszystkie hybrydy, zbuntowane czy nie. Zabije nas wszystkich.

Czyli że każdy człowiek zniewolony przez GZF, każdy człowiek ze wszczepionym do organizmu fidusem, jak również każdy człowiek pokroju Chrisa, na którego fidus nie działał -

zginie. Dlatego GZF nie przejmowała się, że broń zabije także i nas. My nie mieliśmy mutacji, przez którą Chris i jego ludzie byli podatni na chorobę. Oni zginą, a my przeżyjemy.

Żołądek stanął mi dęba, kiedy zrozumiałem, co to tak naprawdę oznacza. Gdy tylko GZF pozbedzie się hybryd, weźmie się za nas. Będziemy kolejną partią niewolników.

Orion od początku miał rację.

- Więc dlaczego... dlaczego zabijaliście nas?- zapytała Amy i cały ten smutek, który aż bił przez interkom, odciągnął mnie od moich czarnych myśli i pogрузzył w jej rozpacz. - Dlaczego zabiliście moją mamę?

- Słyszałaś, co mówił pułkownik Martin - głos Chrisa zatrzęszczał w głośniku. - Zamierza użyć tej broni.

- Zabiliście moją matkę, bo znalazła się na pokładzie promu lecącego na stację orbitalną - odparła głucho Amy. - Znalazła się tam przez przypadek. Nie miała nic wspólnego z tą bombą. Ale zabiliście ją i tak. Zabiliście prawie pięćset osób!

- To nie była moja decyzja! - Teraz w głosie Chrisa słyszałem panikę, strach. - O wszystkim informowałem moich ludzi. Oni... oni uważają, że trzymacie z GZF, że zrobicie, co tylko wam każe. I mają rację, prawda? Pułkownik Martin naprawdę zamierzał zdetonować bombę. Wciąż zamierza to zrobić.

- O ile jeszcze żyje! - krzyknęła Amy. - Powiedziałeś swoim przyjaciółom o kwiatach. Dlatego wiedzieli, że muszą założyć maski przeciwgazowe. - Chwila ciszy, o wiele dłuższa, niż bym sobie tego życzył. - Bo właśnie to założyli, prawda? Maski przeciwgazowe? Całkiem praktyczne, dzięki nim wyglądają jak „prawdziwi” obcy.

Drwiła z niego sposobem, w jaki wymawiała słowo „prawdziwi”. Tak bardzo się bałem, co teraz robi Chris, że ledwie mogłem oddychać. Nie miałem pojęcia, o czym mówi Amy, wiedziałem jednak, że muszę coś zrobić.

Tak mocno zaciskałem palce na krawędzi panelu, że aż zbieleły mi knykcie. Nigdy, przenigdy nie czułem się równie bezradny. Przyszła mi na myśl kapsuła ratunkowa, którą pokazał mi Chris. Miałem z niej skorzystać, gdyby coś poszło nie tak. Może zdołalbym się nią dostać na stację orbitalną.

I zdetonować bombę.

Nie chciałem ich wszystkich zabić. Nie wierzyłem GZF. Wcale nie chciałem odpowiadać za śmierć niezliczonej rzeszy ludzi, a już zwłaszcza niewinnych, bezmyślnych trutni, oszołomionych fidusem.

Spojrzałem na brązową książeczkę, którą znaleźliśmy razem z odtwarzaczem od Najstarszego Plagi. W środku znajdowała się formuła inhibitora. Mieliśmy szansę...

- Albo wy, albo my - odezwał się Chris wysokim głosem.

- Tylko dlatego, że tak sobie postanowiliście.

- Pułkownik Martin nie pozostawił żadnych wątpliwości, i to wielokrotnie, że użyje tej broni, jeśli tylko zdoła. Zawsze będzie stanowiła dla nas zagrożenie, które on kontroluje. A kiedy GZF tutaj dotrze - bo dotrze, pułkownik Martin już o to zadbał - zabije wszystkich, których znajdzie. Tu chodzi o przetrwanie. Ta planeta jest naszym domem, a wy jesteście intruzami. - Posługiwał się słowami niczym bronią, każdą sylabą dźgając, wymierzając cios.

- Nie... - Amy po raz pierwszy pisnęła z przerażenia. - Proszę, nie.

Zrozumiałem. Błagała o życie.

Włączyłem interkom.

- ZACZEKAJ!

65

AMY

Chris spojrział na interkom, a potem z powrotem na mnie. Całkiem zapomniał o połączeniu. Nie zdawał sobie sprawy, że go nie zerwałam.

Zacisnął dłoń na broni.

- Jeśli zabijesz Amy - w interkomie odezwał się głos Starszego, pełen żaru i gniewu - to ja zabiję was. Polecę promem prosto na stację orbitalną i zdetonuję bombę biologiczną, a wtedy ty i twoi ludzie zginiecie.

Chris nie opuścił broni.

- Ale jeśli darujesz jej życie - ciągnął Starszy - to wyląduję. Najstarszy Plagi zostawił nam coś więcej niż samo nagranie. Znaleźliśmy także formułę inhibitora, który neutralizuje działanie fidusa.

- Le... lekarstwo? - wydusił Chris. Wylot lufy obniżył się, kiedy zaczął opuszczać broń. - Będziecie mogli wyleczyć moich ludzi, pozostałe hybrydy?

Drzwi do pomieszczenia otworzyły się z hukiem i do środka wpadł mój ojciec.

- Ty sukinsynu! - wrzasnął, całym ciałem uderzając w Chrisa i ciskając go na podłogę. Karabin poleciał gdzieś w bok. Chris zrzucił z siebie tatę i zanurkował po broń.

- Amy? Amy? Co się dzieje? - z interkomu dobiegał zaniepokojony głos Starszego.

Wyszarpnęłam swoją trzydziestkę ósemkę i wycelowałam w podłogę, nieopodal karabinu. Pociągnęłam za spust. Kula wryła się w beton. Chris znieruchomiał, a potem odwrócił się i zobaczył mnie, z palcem na spuście broni wymierzonej w jego klatkę piersiową. Tato poderwał się z ziemi i chwycił za karabin.

- Mamy Chrisa - powiedziała Starszemu.

- Nic ci nie jest?

- W porządku.

Tato usiadł przy stanowisku komunikacyjnym.

- Tak dla twojej informacji - rzucił przez ramię do Chrisa. - Tak naprawdę nigdy ci nie ufałem.

Nie potrafiłam powiedzieć, ile w tym prawdy. Tato chyba jednak ufał Chrisowi, i to dość mocno. Nie z początku - tamtego pierwszego dnia nie dał mu broni. Ale potem chciał mu ufać. Nie widziałam innego powodu, dla którego Chris zdołałby tak długo nas zwodzić. Albo to, albo tato coś planował. Przyglądałam im się uważnie, czekając, aż tato uderzy.

- Pracowaliście dla GZF - odparł Chris. - Miałem dość rozumu, żeby nigdy wam nie wierzyć.

- No cóż, a teraz GZF wybije was wszystkich co do nogi. Jest w tym pewne pocieszenie. Przynajmniej dla mnie. - Z triumfalnym uśmiechem na twarzy tato wprowadzał na ekranie kombinację cyfr i liter, żeby uruchomić proces detonacji bomby na stacji orbitalnej.

- Zaczekajcie! - powiedział Chris. Zrobił ruch w kierunku taty, ale ja skorygowałam swoją pozycję, przypominając mu o sobie i o trzydziestce ósemce. - Ja... ja tylko chcę wam najpierw pokazać, kogo zabijecie. Macie stąd dostęp do przekazu wideo z kamer nadzoru.

Wzrok taty przeskoczył na mnie. Na dłoniach i twarzy miał ślady prochu, a na jego lewym ramieniu dostrzegłam plamę krwi. Chyba ledwo co zdołał się wydostać z pola walki. Musiało być naprawdę źle, skoro zostawił kolonię, żeby przyjść tutaj. Detonację bomby uważał za naszą ostatnią szansę.

- Co z kolonistami? - zapytałam cicho.

- Większość dostała się do niewoli.

- Do niewoli - powtórzył Chris. - Do niewoli. Staraliśmy się nie zabijać...

- Coś kiepsko wam to wychodzi - przerwał mu tato. - I w tej bitwie, i wcześniej, z Emmą, z doktorem Gupta, z ludźmi ze statku i tymi pięciuset osobami na promie kosmicznym, wliczając w to moją własną żonę, ty chory skurwysynie.

Tato wyglądał tak... Nie potrafiłam opisać wściekłości na jego twarzy, furii w jego spojrzeniu. Gdyby nie moja obecność, chyba zabiłby Chrisa tu i teraz, gołymi rękami.

Chris zapadł się w sobie na znak porażki.

- Po prostu... po prostu obejrzyjcie przekaz z miasta, gdzie żyją pozostałe hybrydy. Błagam.

Skinęłam na tatę. Chciałam to zobaczyć.

Tato przeleciał przez kolejne menu w panelu sterowania, aż wreszcie znalazł przekaz z kamer nadzoru. Chwilę później ekran ożył.

Miasto hybryd musiało znajdować się w dolinie górskiego łańcucha, który widziałam daleko za kolonią i jeziozem - dlatego nigdy wcześniej go nie zauważyliśmy. W tle rysowały się wysokie, poszarpane szczyty.

Przekaz wideo był bez dźwięku, lecz i tak niewiele byśmy usłyszeli. Ludzie na ulicach poruszali się beznamiętnie jak automaty. Idąc, gapili się tępo przed siebie. Obraz przeskakiwał z kamery na kamerę i ukazywał nam ulicę, pakownię, ludzi pchających taczki pełne żółtego piasku, hutę szkła. Ludzie w hucie wydmuchiwali szklane rzeźby. Poruszali się metodycznie, w idealnym rytmie, tworząc dziesiątki identycznych figurek ze szkła - jakichś kwiatów. Gdybym zobaczyła tylko te kwiaty, gdybym nie widziała, jak powstają, nazwałabym je dziełami sztuki - o idealnych proporcjach, delikatne i urocze, z pasmem płynnego złota zamkniętym w środku. Wiedziałam, że to pasmo nigdy nie wyblaknie, tylko sprawi, że kwiaty rozbłyszczą od środka, rozświetli płatki, które wyglądały niemal jak żywe. Zobaczyłam jednak, z jak beznamiętną precyzją powstają, a przez to wydały mi się odrażające i fałszywe.

- Wszyscy zachowują się tak samo - odezwał się Chris, gdy wpatrywaliśmy się w ekran. - Tysiące ludzi, urodzonych niewolników, tak przyzwyczajonych do wrytej w pamięć powtarzalności, że gdy coś pójdzie nie tak, nie wiedzą, co począć, więc wyrządzają sobie krzywdę albo... - Podniósł się, patrząc na robotników z huty. - Albo umierają. Czasami wkładają dłonie do ognia albo dotykają stopionego szkła bez rękawic. Potrafią tylko pracować, więc kiedy zginą im szczytce, pracują dalej, gołymi rękami. Nie znają lepszego losu, bo GZF upewniła się, że nigdy nie podniosą buntu, nigdy nie pomyślą samodzielnie.

Już raz to widziałam. Na „Błogosławionym”. I nienawidziłam tego. A teraz nienawidziłam jeszcze bardziej.

- Co kilka lat zjawiają się przedstawiciele GZF i sprawdzają nas, upewniają się, że wszyscy pracują, że wszyscy są pod kontrolą. Kiedy widzą dzieci takie jak ja - wolne od działania fidusa - to po prostu je zabijają. Widziałem, jak mordują moją siostrzyczkę. Strzelili jej prosto w głowę i zostawili na ulicy. Odurzeni fidusem ludzie po prostu robili krok nad jej ciałem, dopóki się nie rozłożyło.

Zaschło mi w gardle.

- Chciałem, żebyście to zobaczyli - zwrócił się do tyłu głowy mojego taty. - Żebyście wiedzieli, jaką organizację wspieracie.

Tato przesunął dłonią po ekranie, a ten poczerniał.

- Oni przynajmniej żyją - odparł z goryczą. - W przeciwieństwie do mojej Marii. Zabiliście zbyt wielu moich ludzi, żebym teraz znalazł w sobie współczucie dla waszych.

Jego dłonie poruszały się pospiesznie, wprowadzając kody i przewijając nowe menu.

- Co pan robi? - dopytywał natarczywie Chris. Postąpił krok do przodu. Kiwnęłam na niego bronią, aż znów znieruchomiał. - Co pan robi? - zapytał ponownie. W jego głosie pobrzmiwał strach.

- Uzbrajam bombę - odparł tato jak gdyby nigdy nic.

- Popęlnia pan ludobójstwo!

- Chronię swoich ludzi. A przynajmniej tych, którzy ocaleli po tym, jak wy próbowaliście ich wszystkich zabić.

Na ekranie coś zapiszczało i tato zaczął uruchamiać kolejne przyciski.

Nagle rozległo się walenie do drzwi, a ja odwróciłam się, zaskoczona. Chris natychmiast wykorzystał tę okazję i uderzył mnie w rękę, wytrącając z niej trzydziestkę ósemkę. Rzuciliśmy się po nią oboje. Tato skoczył w stronę Chrisa - i to uratowało mu życie. Sekundę później szklana szyba nad stanowiskiem komunikacyjnym posypała się i do środka wpadło trzech mężczyzn w kamuflażu - nie mogłam uwierzyć, że wzięłam ich za obcych porośniętych zielonymi łuskami. Przeszli ponad panelem sterowania. Słyszałam, jak Starszy desperacko wykrzykuje moje imię, a potem czerwone światełko rozbłysło na znak, że połączenie zostało zerwane.

Zastanawiałam się, czy to był ten ostatni raz, kiedy usłyszałam głos Starszego. Czy teraz właśnie umrę.

Jeden z mężczyzn oderwał tatę od Chrisa. Chris wstał - z moją trzydziestką ósemką w dłoni, wycelowaną we mnie. Mężczyźni byli wysocy, wyżsi nawet niż Starszy, ale o wiele bardziej masywni. Ich mięśnie pod obcisłym ubraniem wyglądały jak wyrzeźbione w kamieniu. Tato nie skulił się jednak ze strachu. Ja też nie.

- Kończymy to tu i teraz - oznajmił jeden z mężczyzn i wycelował do taty. Jego broń była płaska i lekka, z dyskami zamiast naboju. Wokół pasa nosił zapas amunicji - rzędy wąskich szklanych dysków o złotym poblasku. Westchnęłam. Ta broń strzelała eksplodującym szkłem, a dyski... miały dokładnie ten sam rozmiar i kształt co łuska, którą Starszy znalazł w tunelu. Lecz to nie była łuska, tylko element uzbrojenia. I wcale nie zabije taty - po prostu rozerwie go na strzępy.

Mężczyzna z udawaną uprzejmością skłonił przed tatą głowę.

- Stoję na czele zbuntowanych hybryd. - Zauważyłam, że miał krystalicznie niebieskie

oczy o owalnych tęczęwkach, takie same jak Chris. Teraz, gdy widziałam je w obcej twarzy, poczułam się jeszcze bardziej wstrząśnięta, że nigdy wcześniej nie zwróciłam uwagi, jakie są niesamowite.

Dwaj pozostali, z bronią w gotowości, zajęli pozycje po obu stronach stanowiska komunikacyjnego.

- Jestem dowódcą ludzi, których próbowaliście zabić - odparł tato.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

- Muszę przyznać, że nie brak panu odwagi. Mieliście pecha, że wylądowaliście właśnie teraz. Parę dekad wcześniej i nie byłoby nas aż tak wielu. Parę dekad później i rewolucja dobiegłaby już końca. Wtedy moglibyśmy żyć w przyjaźni. Ale teraz? Teraz jesteście sprzymierzeńcami GZF, a na to nie możemy pozwolić. - Uśmiechnął się szyderczo do taty. - Zrobi pan dla nas dwie rzeczy.

- Prędzej umrę - odwarknął tato.

Przywódca hybryd spojrział na Chrisa, a ten zaczął się przesuwając, aż poczułam wylot lufy przyciśnięty do skroni. Chłodny, metalowy okrąg wbijał się w moją czaszkę. Czułam zapach smaru i prochu.

- Co mam zrobić? - zapytał tato.

- Zaczniemy od waszej kapitulacji. Połączy się pan stąd z GZF, a następnie podda się mnie i moim ludziom w imieniu własnym oraz w imieniu GZF.

-I tak przylecą.

- Jedyna broń, jaka może nas zabić, to bomba biologiczna. Od dziesięcioleci gromadziliśmy zapasy bomb solarnych, że nie wspomnę już o ludzkich zakładnikach, którzy posłużą nam za kartę przetargową. Bez broni biologicznej GZF nie ma z nami żadnych szans.

Skręciło mnie w żołądku. Świat za oknem był cichy i spokojny. Wyobraziłam sobie, jak eksploduje, rozdierany na strzępy bombami i wojną.

Tato zajął miejsce przy stanowisku komunikacyjnym i zgarnął z niego odłamki szkła. Wszyscy patrzyliśmy, jak wpisuje swoje kody dostępu.

- Tam nie ma funkcji rozbrojenia... - zauważył przywódca hybryd. - Co pan robi?

Pomieszczenie wypełnił zupełnie nowy głos.

- Pułkownik Martin, odebraliśmy pańskie wezwanie pomocy. GZF jest gotowa udzielić wsparcia.

- Hybrydy przejęły planetę! - zdążył krzyknąć tato, zanim przywódca rzucił się w jego stronę.

- Czy mamy aktywować zdalnie bombę biologiczną? - zapytał mężczyzna po drugiej

stronie połączenia całkowicie odartym. z emocji głosem. - Proszę podać kod autoryzacji wojskowej.

- Nie! - wrzasnął przywódca. Odepchnął tatę od stanowiska.

- Zero-alfa-cztery-dwa-gamma! - wykrzyczał tato. Połowa kodu.

Nie zdążył dokończyć, bo przywódca hybryd uderzył go pięścią w twarz. Mocowali się przez chwilę. Tato trzymał go oburącz za prawe ramię, próbując wyrwać mu broń solarną - a ta naraz wystrzeliła, wrywając dziurę w ścianie budynku. W końcu tato zdołał wybić ją z dłoni przywódcy. Jeden z towarzyszących przywódcy mężczyzn skoczył mu na pomoc. Chris obserwował ich, nie odrywając lufy trzydziestki ósemki od mojej głowy.

- Proszę zauważyć - podjął głos w interkomie - że bez pełnego kodu nie będziemy mogli autoryzować zdalnego aktywowania bomby biologicznej. Nie chcemy uciekać się do likwidacji siły roboczej, chyba że w ostateczności.

I wtedy to do mnie dotarło. Ludzie, którzy w pierwszej kolejności nas tu przysłali, którzy obiecywali nas chronić, nie mieli nic przeciwko poświęceniu nas, byle nie zaburzać „produkcji”. Woleli, żebyśmy pozabijali się nawzajem, niż stracić wydobywane tu bogactwa naturalne. Byli gotowi użyć fidusa - lub czegokolwiek innego, co pozwoli im rozwiązać ten problem.

Trzeci z mężczyzn, którzy zjawili się w budynku, podszedł do Chrisa i do mnie. Mięśnie szyi miał napięte. Odniosłam wrażenie, że zadaje Chrisowi jakieś milczące pytanie.

Chris skinął głową, po czym odwrócił się do mnie.

- Wiesz co? Myślałem... Myślałem, że między nami coś jest.

- Na pewno nie to, czego byś chciał.

Uśmiechnął się kpiąco.

- Dlatego, że jestem hybrydą? - zapytał. - Czy z powodu tamtego chłopca?

Ciekawe, czy w ogóle zauważył, że mówi o Starszym tak samo jak mój tato.

Wpatrywałam się w niego gniewnie, w nadziei, że dostrzeże nienawiść w moich oczach.

- Starszy jest lepszym mężczyzną niż ty, a twoje DNA nie ma z tym nic wspólnego.

Drugi hybryda zniknął z mojego pola widzenia. Nagle krzyknęłam z bólu, gdy coś ostrego wbiło się w moje ramię. Mężczyzna

346

trzymał je mocno, wpijając palce w ciało. Tkwiłam uwięziona między tym uściskiem a lufą, nie mogąc się poruszyć.

Wiedziałam jednak, co się dzieje. Mężczyzna miał strzykawkę. A ja czułam, jak

lodowato-gorący płyn dostaje się do mojego krwiobiegu.

Przywódca hybryd i jego pachołek wreszcie zapanowali nad tatą. Posadzili go na krześle i okręcili w moją stronę.

Płyn był lodowaty. Przez krótką, przyprawiającą o mdłości chwilę przypomniałam sobie, jak wpompowywano we mnie płyn kriogeniczny.

- Co to takiego? Co wy robicie mojej córce? - ryknął tato, próbując rzucić się na ratunek, lecz przywódca hybryd ze złośliwym uśmiechem pchnął go z powrotem na krzesło.

- Już za kilka chwil przestaniesz być człowiekiem. Przynajmniej z genetycznego punktu widzenia. Jeśli zdetonuje pan tę bombę, pańska córka także zginie. Teraz jest hybrydą.

- Nie! - Tato zerwał się, odpychając przywódcę. - Amy!

Oczy mnie paliły, łzy lały się z nich strumieniami. Zacisnęłam powieki, nie potrafiąc znieść oślepiającego światła.

- Ból minie - powiedział Chris cicho. Ze współczuciem. Opuścił broń, kiedy drugi mężczyzna odstał ode mnie.

Zbierało mi się na mdłości na samą myśl, że moje ciało przechodzi nieodwracalną zmianę. Nie mogłam tego znieść. Tego ani sposobu, w jaki teraz patrzył na mnie Chris. Jakbym właśnie stała się jedną z nich.

- Amy! - krzyknął tato. Potrzeba było dwóch mężczyzn, żeby go przytrzymać.

- Nic jej nie będzie - odparł przywódca hybryd. Ich głosy były metaliczne, zbyt głośne. Wczepiłam palce we włosy, ciągnąc głowę w dół, bujając się w tył i przód. Nie zniosę tego, nie zniosę. - Ten związek chemiczny zawiera jedynie modyfikatory genetyczne, bez fidusa. Pańska córka będzie dysponowała wszelkimi mutacjami, ale bez zewnętrznej kontroli nad jej świadomością.

- Skurwysyny - warknął tato. - Jak śmiecie! To moja córka!

- Niech pan siada, pułkowniku Martin - rozkazał przywódca hybryd. - Albo panu pomogę.

Osunęłam się na podłogę. Chris coś powiedział, nie rozumiałam co. Ledwie byłam w stanie mrugać zapuchniętymi powiekami, a mimo to spostrzegłam, że zbuntowane hybrydy noszą ten sam rodzaj obuwia z metalowymi obcasami. Zostawiały identyczny ślad, jak ten, który znaleźliśmy nieopodal kapsuły. Starszy od początku miał rację. Obserwowali nas, począwszy od tamtego pierwszego dnia.

Bolało. DNA mojego organizmu zmieniało się w jakąś zmutowaną hybrydę. Nawet nie byłam pewna, co się dzieje. Po prostu wiedziałam, że to nie ludzkie. Bolało, jak gdyby gdzieś w środku płonął ogień, obejmując moją krew. Próbowałam otworzyć oczy. Tato

walczył z hybrydami, podczas gdy ja stawałam się jedną z nich.

Odepchnął przywódcę, rzucając nim o stanowisko komunikacyjne.

Przez jedną krótką chwilę myślałam, że idzie po mnie. Ze mnie podniesie, zabierze jak najdalej stąd i uśmierzy ten ból.

Tyle że on nie szedł po mnie. Skoczył na Chrisa, wyrywając trzydziestkę ósemkę z jego dłoni.

Broń wypaliła.

Tato z łoskotem runął na ziemię. Zaledwie cale dzieliły jego otwarte oczy od mojej twarzy, ale już nie mogłam go dosięgnąć.

66

STARSZY

Próbowałam przywrócić kom-link, ale bezskutecznie. Usłyszałam tylko brzęk szkła, głośne łomoty i huki, a potem mnie rozłączyło. - Jeszcze nie jest za późno, pomyślałam. Amy żyje.

Powtarzałam to sobie. Wmawiałem.

Wypadłem z mostku i pobiegłem na „Błogosławionego”. Bartie stał nieopodal wjazdu, radosny jak skowronek.

- Moim zdaniem załadunek promu nie powinien potrwać aż tyle - powiedział z uśmiechem.

- Natychmiast - wydyszałem.

- Co?

- Natychmiast. Musimy lecieć natychmiast. Mają Amy, mają całą gzyfową kolonię.

- Starszy, co ty wygadujesz? - Bartie złapał mnie za ramiona. - Uspokój się.

Odrąciłem jego ręce.

- Ty nic nie rozumiesz! Słyszałem ich kom... Bartie, oni mają Amy. Przejęli kolonię.

- Kto?

- Hybrydy! - Wyrzuciłem ręce w górę. - Obcy! Jak zwał, tak zwał! Potwory, z którymi walczyliśmy, które nas atakowały! Mają naszych ludzi!

Zmarszczka niepokoju pojawiła się na czole Bartiego.

- Co możemy zrobić?

- Musimy wyruszać teraz. Wyprowadź ludzi. Niech biorą, co zdołają unieść, ale musimy wyruszać teraz.

Bartie wykonał globalny kom-link. Część ludzi szła już przez pola, zmierzając do

włazu. Zobaczyłem, jak przyspieszają kroku.

- Ale co możemy zrobić? - zapytał Bartie. - Nawet jeśli wylecimy w tej właśnie sekundzie, to co właściwie możemy zrobić?

- Chodź ze mną.

Musiał biec, żeby dotrzymać mi kroku, kiedy przeszedłem przez właz i pędem dotarłem do panelu sterowania na mostku.

- Tu są kontrolki - wyjaśniłem. - Dzięki nim pokierujesz prom z powrotem na planetę.

- Ja? - Bartie odsunął się o krok. - To ty pokierujesz prom!

- Nie. Nie pokieruję. Ty to zrobisz. A teraz słuchaj.

Podczas gdy ja pokazywałem wszystko Bartiemu, ludzie z „Błogosławionego” napływali na pokład promu. Wyjaśniłem mu, jak posługiwać się kontrolkami i systemem łączności. To naprawdę proste - w końcu prom został zaprojektowany tak, aby funkcjonował bez udziału człowieka. Upewniwszy się, że Bartie wie, co robić, wypadłem z mostka, minąłem tłum gromadzący się przy boksach transportowych i zbiegłem schodami.

Kapsuła ratunkowa, którą pokazał mi Chris, była mniejsza, niż mogło się wydawać z zewnątrz. Musiałem się powierzyć, żeby przepchnąć się przez właz i opaść z niego prosto na siedzenie. Kontrolki były takie same, jak na promie, tyle że bardziej upchnięte, z dodatkową opcją sterowania ręcznego, która wyglądała jak dżojstik. Ich prostota wcale mnie nie uspokoiła, ale musiały wystarczyć.

Włączyłem system łączności i wywołałem Bartiego, który znajdował się tuż nade mną, na mostku.

- Tak? - odezwał się natychmiast. Był zdenerwowany.

- Tylko sprawdzam. Chciałem mieć pewność, że wszystko działa.

- Starszy, to jakiś obłąd. - W interkombie jego głos był nieco brzęczący, ale rozumiałem go doskonale.

- Tak, chyba tak. Ale tylko tak mogę ocalić Amy. - Mogę polecieć na stację orbitalną i własnoręcznie aktywować broń. Ocalę Amy, bez względu na koszt.

Zakończyłem kom-link z Bartiem i przestawiłem system na kompleks. Czerwone światelko zamrugało kilkakrotnie podczas nawiązywania łączności z planetą.

- Nie zrywaj połączenia - rzuciłem szybko, gdy tylko system potwierdził, że wszystko gotowe.

- Dlaczego? - zapytał obcy głos, przeciągając samogłoski.

- Obecnie znajduję się w kapsule ratunkowej. Polecę prosto na stację orbitalną. Połączę się z nią. I osobiście zdetonuję bombę biologiczną.

- Starszy, nie! - krzyknął ktoś inny. Amy.

- Amy, co się dzieje?

- Mnie też to wstrzyknęli - odparła stłumionym głosem. Zupełnie jakby ktoś odciągał ją od interkomu.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Cisza. - Do gzyfa, co się tam dzieje?

- Wstrzyknęliśmy Amy związek hybrydowy. Będzie podatna na działanie broni biologicznej. Próbowaliśmy negocjować z tym drugim dowódcą, pułkownikiem Martinem. Negocjacje zostały zakończone.

- Chcę porozmawiać z pułkownikiem.

- Nie żyje! - krzyknęła Amy. Jej głos wydawał mi się bardziej szorstki, niż zapamiętałem, może trochę niższy. - Zabili go!

Kolejne stłumione dźwięki. Nie miałem już żadnych wątpliwości, że próbowali uciszyć Amy, odciągnąć ją od interkomu. Ale nie wątpiłem też w śmierć pułkownika Martina. Amy nigdy by tego nie powiedziała - nie z takim cierpieniem w głosie - gdyby to nie była prawda.

Dłonie mi drżały. Nigdy w życiu tak się nie bałem.

Mogłem zrobić tylko jedno.

- Zrobimy tak - zacząłem. Liczyłem na to, że mówię przekonująco. Nie mieliśmy nic, by powstrzymać hybrydy, mogliśmy jednak coś im zaoferować. - Znaleźliśmy formułę inhibitora. Chris potwierdzi, że na „Błogosławionym” również mieliśmy fidusa. Musicie mi uwierzyć na słowo, że dysponujemy antidotum na jego działanie.

Nikt nie odpowiedział, kiedy urwałem, więc po prostu mówiłem dalej.

- Mój przyjaciel Bartie wyląduje promem. Ma ze sobą formułę. Zestrzelicie prom albo zabijecie moich ludzi, kiedy wylądują - i stracie formułę.

Tym razem głos odparł:

- Nie zniszczymy promu.

- Siedzę teraz w kapsule ratunkowej. Unieszkodliwię bombę biologiczną. Kiedy to zrobię, wypuścicie Amy i pozostałych.

Śmiech po drugiej stronie interkomu zmroził mi krew w żyłach.

- Nie chodzi o samą bombę. GZF już tu zmierza, a jedyny człowiek, który mógł to odwołać, nie żyje. Przybycie GZF oznacza wojnę dla nas wszystkich. Zdziiesiątkują całą planetę.

- Zakomujemy do nich! - odparłem desperacko. - Powiemy, żeby nie przylatywali! - Nie miałem pojęcia, czy GZF wysłucha moich błagań, ale zamierzałem spróbować.

Zrobiłbym wszystko, żeby ocalić Amy.

- To nie wystarczy. Jedynie całkowite zniszczenie stacji orbitalnej mogłoby ich powstrzymać. Ich system szybkich podróży międzyplanetarnych wymaga sygnału ze stacji. Bez niej GZF nie zdoła tu dotrzeć przez następne dziesięciolecia. Ale ty pewnie nie masz żadnej broni na tym swoim stateczku, co?

W gardle miałem kulę. Przez chwilę nie mogłem mówić.

- A co jeśli zdołam?

- Jeśli zdołasz - co? - warknął mężczyzna.

- Jeśli zdołam zniszczyć stację orbitalną? Jeśli to zrobię... GZF nie będzie w stanie nas osiągnąć i wyeliminuję bombę biologiczną. Jeśli to zrobię, zostawicie moich ludzi w spokoju?

- Jeśli zdołasz to zrobić, osobiście podpiszę traktat pokojowy.

Nie odpowiedziałem od razu. Siedziałem w kokpicie kapsuły ratunkowej i myślałem o tym, co poświęcę w imię pokoju między nami. Spojrzałem w gwiazdy i pożegnałem się bezgłośnie.

Amy nigdy mi tego nie wybaczy, ale „Błogosławiony” był martwy. Po prostu unosił się w kosmosie. Wystarczyło go lekko pchnąć. Mógłbym polecieć kapsułą za statek, a potem skierować na stację orbitalną. Inercja powinna w zasadzie załatwić sprawę - „Błogosławiony” uderzy w stację orbitalną, stacja - a wraz z nią cała broń

- zostanie zniszczona, żołnierze z Sol-Ziemi nie będą mogli tu dotrzeć i wszystkiego zniszczyć.

- Dajcie mi tylko trochę czasu - powiedziałem do interkomu.

- I pozwólcie mi porozmawiać z Amy.

67

AMY

Chris złapał mnie za ramię i zaczął ciągnąć do stanowiska komunikacyjnego. Czułam nacisk jego palców na skórze. Kolory pływały mi przed oczami; obce zapachy wypełniały nozdrza. Chris postawił mnie z powrotem na nogi, kiedy potknęłam się, zdawszy sobie z przerażeniem sprawę, że węższe powietrze jak zwierzę, które złapało trop - bo tym właśnie teraz byłam. Nie człowiekiem. Zwierzęciem.

Miałam wrażenie, że lód przeszywa moje mięśnie, odrywając je od kości. Szarpnięciem uwolniłam się z uścisku Chrisa i z zaskoczeniem stwierdziłam, że jestem w stanie to zrobić - potrzebował wszystkich sił, żeby pociągnąć mnie dalej.

Aby dostać się do stanowiska, musieliśmy przestąpić nad ciałem mojego ojca. Prawie się wtedy załamalam. Żaden szczegół nie umknął moim nowym oczom: krople potu wciąż perlące się na grzbiecie nosa, spłaszczona twarz przylegająca do podłogi, zagięty mały palec lewej dłoni, jakby tylko czekał, aż zahaczę o niego swój własny i szeptem złożę obietnicę, której już nigdy nie zdołam dotrzymać. Nie teraz, kiedy nie żył.

- Starszy? - odezwałam się szorstkim głosem, obcym nawet moim uszom... Bo moje uszy nagle zaczęły odbierać jeszcze więcej dźwięków niż kiedykolwiek.

- Amy. - W jego głosie słyszałam ulgę i coś jeszcze, czego nie potrafiłam nazwać.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytałam. Złowieszczy strach popłynął moimi żyłami, zatruwając cały organizm.

- Zamierzam staranować stację orbitalną „Błogosławionym”.

Chris przesunął dłonią po ekranie dotykowym obok mnie. Przywódca buntowników spojrział ponad moim ramieniem na mapę satelitów krążących po orbicie planety, która rozświetliła całe stanowisko. Ekran na przemian gasł i ożywał, co kilka sekund aktualizując dane. Prom kosmiczny był widoczny na prawo od „Błogosławionego”. Ich kropki znajdowały się tak blisko siebie, że jeden podpis zachodził na drugi. Wyobraziłam sobie, jak ludzie ewakuują się ze statku na pokład promu.

Niedaleko, zaledwie jakieś cztery cale na mapie, znajdowała się kolejna kropka podpisana Międzyplanetarna stacja przygotowawcza.

- Jesteś tam? - zapytał Starszy cichym, wystraszonego głosem.

- Jestem.

- Muszę ci coś powiedzieć... - zaczął, po czym urwał. Sprawdziłam ekran pod interkodem. System nie szwankował; po prostu Starszy próbował znaleźć właściwe słowa. Wreszcie odezwał się:

- Przepraszam.

Połączenie zostało zerwane.

- Co się stało? - zapytałam. Chciałam uderzyć pięściami w kontrolki, chciałam znów usłyszeć głos Starszego, ale nie wiedziałam jak.

Chris spojrział na kontrolki.

- Nic. Starszy musiał się rozłączyć. Próbuję go wywołać, ale nie odpowiada.

Podniosłam wzrok na przywódcę zbuntowanych hybryd, który uważnie mi się przyglądał. Na widok współczucia w jego oczach mój żołądek się skrzył.

STARSZY

Załadowanie promu trwało i trwało. Opóźnienie działało mi na nerwy. Teraz, gdy już postanowiłem, co muszę zrobić, chciałem działać. Czekanie było przygnębiające.

Jeszcze zanim Bartie przypiął pasami wszystko i wszystkich, wsiadłem do kapsuły ratunkowej i odłączyłem ją od promu kosmicznego. Sterując ręcznie, ustawiłem kapsułę bezpośrednio za „Błogosławionym”. Mapa na ekranie przedstawiała linię kropek: ja, potem „Błogosławiony”, potem stacja orbitalna. Musiałem tylko przesunąć środkową kropkę, żeby uderzyła w tę ostatnią.

Proste.

Bartie zakomował do mnie z pokładu promu.

- Jesteśmy gotowi - oznajmił. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego. - Na pewno chcesz to zrobić?

- Na pewno.

- Wyruszamy.

- Bartie?

- Tak?

- Dzięki za wszystko.

- Widzimy się na ziemi, prawda?

Nie odpowiedziałem. Rozłączyłem kom-link i patrzyłem, jak prom kosmiczny odrywa się od „Błogosławionego” i odlatuje. Płomienie strzelały z rakiet, kierując go w stronę planety.

„Błogosławiony” unosił się przede mną, niesamowicie zawieszony na czarnym niebie. Zniszczony. W poszarpanym brzuchu brakowało kapsuły, po wysadzonym Mostku zostały jedynie poskręcane skrawki metalu. I choć nie mogłem widzieć pustki, która panowała wewnątrz statku, wydawał się równie pusty, jak trup.

„Błogosławiony” był martwy.

Ale zostało mu jeszcze jedno zadanie, jeszcze jedna powinność wobec ludzi, którzy w nim żyli.

Tak samo jak mnie.

Nie była to oficjalna część nauk, których udzielał mi Najstarszy, kiedy mieszkałem razem z nim na Poziomie Strażnika. To Orion podsunął mi kiedyś książkę o Titanicu, starym statku z Sol-Ziemi, który zatonął, zabijając wielu swoich pasażerów. Zastanawiałem się teraz, czy Orion chciał mi w ten sposób przekazać coś więcej. Może na temat różnic klasowych albo zamrożonych ludzi z głębin Titanica? A może tylko tyle, że wszystkim nam jest pisana

śmierć, tak samo jak tamtym pasażerom.

Ale to, co naprawdę zapadło mi w pamięć, to kapitan idący na dno razem ze swoim statkiem.

Kapsuła ratunkowa wydawała się maleńka w porównaniu z olbrzymią masą „Błogosławionego”, wiedziałem jednak - z tej samej książki, którą dał mi Orion - że maleńki holownik może poruszyć wielkim statkiem. Wystarczyło, że lekko popchnę „Błogosławionego”.

Przesuwałem się powoli, bardzo powoli, aż wreszcie od statku dzieliło mnie zaledwie kilka jardów. Nie chciałem wbić się w burtę; musiałem popchnąć olbrzyma w stronę stacji orbitalnej. Wziąłem głęboki wdech i sprawdziłem pasy bezpieczeństwa. Na szczęście dno kapsuły było wysunięte bardziej niż kokpit. Mimo to balansowałem na granicy, zwłaszcza jeśli nabiorę zbyt wiele prędkości.

Dostosowawszy moc wyjściową rakiet orbitalnych, pokierowałem kapsułę przed siebie.

Spodziewałem się tego uderzenia, a mimo to zaparło mi dech w piersi i poniosło się echem po wszystkich kościach. Jak oszalały przebiegłem wzrokiem po spawach wokół okna kokpitu, szukając pęknięć w hartowanym szkle.

- Wykryto zderzenie - oznajmił komputerowy głos. Na desce rozdzielczej migwały czerwone światła. - Uwaga: uszkodzenia zewnętrzne. Uwaga: uszkodzenia zewnętrzne - ciągnął komputer. Powtarzał ten komunikat raz za razem, a ja nie miałem pojęcia, jak go uciszyć.

- Jeszcze sporo oberwiesz, zanim tutaj skończymy - powiedziałem, po czym zwiększyłem moc wyjściową rakiet. Mrugające kropki na ekranie, które oznaczały mnie i „Błogosławionego”, ożyły, przesuając się coraz bliżej stacji.

Nie minęło dużo czasu, kiedy ją zobaczyłem, przesłoniętą skorupą „Błogosławionego”. Stacja orbitalna była duża, ale nie większa od samego statku. Przypominała mi owady z Sol-Ziemi, tak zwane ważki. Środek był podłużny i cylindryczny. Wierzch znaczyły mechaniczne wysięgniki i okrągłe włazy, służące najwyraźniej do połączenia z rękawem promu kosmicznego. Środkowa część była na tyle duża, żeby zapewnić wygodne warunki życia sporej grupie ludzi. Teraz jednak świeciła pustkami. Może GZF uznała kiedyś, że stacja doskonale posłuży za miejsce pokojowej komunikacji ludzi i hybryd. Teraz nie było już na to szans.

Sama stacja orbitalna nie służyła wyłącznie za magazyn dóbr z Centauri-Ziemi, obsługiwała również kom-linki między planetami. Płaskie „skrzydła” wystające po obu jej

stronach były usiane satelitami i przekaźnikami. Gdzieś wewnątrz tego metalowego ciała znajdowało się oparte na hipersześcianach urządzenie, które umożliwiała szybkie podróże międzyplanetarne. Niszcząc je, odetnę komunikację z Centauri-Ziemią i na następne dekady, jeśli nie dłużej, zapobiegnę jakimkolwiek wizytom z Sol-Ziemi.

Pod długimi płytami po obu stronach stacji ciągnęły się rzędy spiczastych pocisków, wycelowanych dokładnie w Centauri-Ziemię. Bomby biologiczne zdolne zabić każdą hybrydę.

W tym Amy.

Miałem tylko jedną szansę.

„Błogosławiony” przechylił się w stronę stacji.

Wszystkie możliwe scenariusze w zwolnionym tempie przewijają mi się przez głowę. „Błogosławiony” uderzy w stację. Stacja się rozpadnie.

Może pociski odpalą się samoczynnie w kierunku planety, po czym wybuchną z siłą, której nie potrafiłem sobie wyobrazić.

A może najpierw eksploduje silnik statku, chłodzony ołowiem reaktor zasilany uranem.

A ja, w mojej maleńkiej kapsule, zostanę pochłonięty w całości.

- Przepraszam, Amy - szepczę, chociaż odciąłem cały system łączności. Nie może mnie słyszeć, ale wiem, że pewnego dnia wybaczy mi tę złamaną obietnicę.

Tym razem do niej nie wrócę.

69

AMY

Chyba nie do końca rozumiałam, dlaczego Starszy zerwał połączenie, dopóki nie zobaczyłam, jak kropki na elektronicznej mapie zaczynają powoli sunąć w swoją stronę. Kapsuła ratunkowa i „Błogosławiony” na kursie kolizyjnym ze stacją orbitalną.

I wtedy do mnie dotarło. Nie chciał, żebym słyszała, jak umiera.

Zamknęłam oczy i zasłoniłam uszy, próbując zdławić wrzask, który we mnie narastał.

Nie mogłam oddychać. Nie mogłam oddychać. Poczułam mdłości.

- Spójrz - powiedział Chris, wskazując na mapę, która zamigotała i zgasła. Został jedynie czarny ekran.

Dopałam do drzwi i otworzyłam je szeroko. Hybrydy nawet nie próbowały mnie powstrzymać. Chyba dlatego, że teraz byłam jedną z nich. A może po prostu wiedziały, że nie mam dokąd uciec. Uderzył mnie podmuch chłodnego powietrza, od którego włosy

zawirowały mi przed twarzą. Zgarnęłam je z powrotem i pobiegłam do serca kompleksu, gdzie nie tak dawno stał prom kosmiczny, zanim Starszy w nim odleciał.

Odchyliłam głowę i wbiłam wzrok w niebo.

I zobaczyłam.

Ciemne niebo.

Setki milionów gwiazd.

Więcej niż kiedykolwiek widziałam. Moje nowe oczy pozwoliły mi spojrzeć jeszcze dalej, nie pokazały mi jednak tego, co chciałam zobaczyć. Oddałabym wszystkie gwiazdy wszechświata, żeby go odzyskać.

W pobliskich drzewach szumiał wiatr, przeplatany śpiewem ptaków.

Z budynku wyszły hybrydy z głowami uniesionymi w stronę nieba.

Wtedy zobaczyliśmy koniec.

Silnik „Błogosławionego” miał napęd nuklearny; kto wie, co zasilalo broń biologiczną. Ekspłodowały razem. W przestrzeni kosmicznej nie powstała znajoma chmura w kształcie grzyba. Nie rozległ się huk Wybuchającej bomby.

Na tle ciemnego nieba zobaczyliśmy krótki rozbłysk światła. Pełen kolorów, zupełnie jak mgławica albo zorza polarna. Pękł niczym przekłuta bańka.

Nic więcej - żadnego odgłosu eksplozji, żadnych wstrząsów, żadnego zapachu dymu. Nie tutaj, na powierzchni planety.

Żadnego śladu, że Starszy zginął.

Tylko światło.

A potem ono także zniknęło.

Zniknął i on.

71

AMY

Byłam cała odrętwiała.

Wpatrywałam się w zimne, nocne niebo, aż stało się tak puste jak ja.

Hybrydy rozmawiały za moimi plecami. Zdusiłam drżenie. Teraz i ja byłam hybrydą. Moje oczy widziały w ciemnościach o wiele lepiej niż dotychczas. Dostrzegałam pojedyncze liście skąpanych w cieniu drzew. Słyszałam wyraźnie każdy dźwięk.

Słyszałam rozmowę hybryd.

- Zagrożenie zostało wyeliminowane. Nasi specjaliści to potwierdzają - rzekł jeden z nich.

- Starszy nas ocalił - stwierdził Chris.

Przywódca coś odmruknął.

Odwrociłam się. Straciłam wszystko, co kochałam. Lecz przy tym braku miłości wypełniła mnie żelazna determinacja. Stanowczym krokiem podeszłam do przywódcy. Chris bez przekonania skierował w moją stronę broń - moją broń, tę, z której zabito mojego ojca. Odtrąciłam jednak jego rękę, jakby trzymał w niej coś równie niebezpiecznego, jak kwiat. Stałam dokładnie na wprost przywódcy hybryd i spojrzałam mu w oczy. Byłam nieprzyjemnie blisko. Naruszyłam jego prywatną przestrzeń i wcale mu się to nie podobało. Nie chciał jednak się cofnąć.

- O ile mi wiadomo - odezwałam się bezbarwnym głosem - czekają nas pertraktacje w sprawie traktatu pokojowego. Myślę, że zaczniemy od uwolnienia członków mojej kolonii, których obecnie trzymacie w niewoli.

- To może poczekać, aż... - zaczął przywódca.

Nie dałam mu dokończyć.

- Nie, nie może. Uwięziliście moich ludzi, znęcaliście się nad nimi, zabijaliście ich. Teraz zaczniecie od ich uwolnienia. Natychmiast. A potem porozmawiamy na temat tego, co jesteście nam winni.

Przywódca hybryd zadarł głowę, spoglądając na mnie z góry. W końcu wyciągnął rękę. Kiedy uścisnęliśmy sobie dłonie, dodał:

- Mam na imię Zane. I myślę, że teraz, kiedy GZF już nie wchodzi w rachubę, nasi ludzie mogą się bez trudu nauczyć, jak żyć razem w zgodzie.

Zane dysponował pewnym urządzeniem komunikacyjnym, które biło na głowę nasze radia i wi-komy. Wezwał ciężarówki, żeby po nas przyjechały, jednocześnie wysyłając rozkaz uwolnienia członków kolonii i sprowadzenia ich z powrotem do ruin.

- Ile budynków ocalało? - zapytałam. Zanim uciekłam, co najmniej trzy budynki - w tym ten, który zajmowałam razem z moją rodziną - zostały zniszczone.

- Próbowaliśmy maksymalnie ograniczyć zniszczenia - odparł Zane. - Możesz nam wierzyć lub nie, ale dotyczy to także liczby ofiar.

W to akurat nie wierzyłam. Ani trochę. Mogli zniszczyć prom kosmiczny, zamiast zabijać ludzi siedzących w środku, kiedy moja mama odlatywała. Nie zrobili tego. Chcieli nas zastraszyć, wziąć przemocą, żebyśmy się poddali. A może po prostu łatwiej było nas zabić.

Zmrużyłam oczy. Rzeczywiście, byłoby łatwiej.

- Próbowaliście rozbić kapsułę, jeszcze zanim wylądowaliśmy - stwierdziłam, przypominając sobie, jak zepchnęło nas z kursu.

Zane wolno skinął głową. Obserwował mnie, jakby w obawie, że zaraz go zaatakuję. Byłam jednak za bardzo pochłonięta łączeniem wszystkich elementów układanki. Urwana wiadomość, którą tato i Starszy usłyszeli tuż po naszym lądowaniu. Odcięcie kapsuły. Kolejne przeszkody i nieporozumienia. Wszystko to przez zbuntowane hybrydy.

- Wiesz - podjęłam z rozgoryczeniem - gdybyście od początku byli z nami szczerzy, moglibyśmy współpracować.

Zane uniósł brew.

- Pułkownik Martin nie sprawiał wrażenia człowieka, który porzuciłby swoją misję.

Zmusiłam się, by spojrzeć na ciało ojca. Nijak nie potrafiłam uciszyć tej części mnie, która rozumiała, że Zane może mieć rację. Może tato nie zechciałby negocjować ze zbuntowanymi hybrydami. Nie sądziłam, żeby zgadzał się z GZF i ich programem przymusowego niewolnictwa. Możliwe jednak, że mój ojciec, żołnierz przez całe życie, który zaraz po lądowaniu na Centauri-Ziemi w pierwszym odruchu udał się po rozkazy od GZF, nie pomyślałby o pokoju, nie ujrawszy wpierw rozlewu krwi.

Powiedziałam tej wkurzającej - lecz prawdopodobnej - części mnie, żeby się przymknęła.

Zjawily się ciężarówki. Rozmiarami przewyższały nawet największe pożeracze paliwa z Sol-Ziemi, a mimo to poruszały się w ciszy. Na dachu każdej z nich znajdowały się rzędy z kostek szkła solarnego. Najwyraźniej hybrydy odkryły sposób, jak wykorzystywać energię słońce do zasilania pojazdów, ale nie zwracałam sobie głowy wypytywaniem o to, kiedy Chris i Zane zaprowadzili mnie do pierwszego z nich. Pozostałe ciężarówki zostały w budynku komunikacyjnym. Po wylądowaniu promu kosmicznego miały zawieźć Bartiego i formułę inhibitora w bezpieczne miejsce.

- Najpierw zabiorę cię do miasta - odezwał się w końcu Zane. Milczałam, odsunął się więc z zażenowaniem, spoglądając na przelatujący za oknem krajobraz. Razem z Chrisem denerwowali się w mojej obecności - czekali, kiedy się załamie.

Ani myślałam się załamywać.

Nie w ich obecności.

Ciężarówka minęła jezioro i powiozła nas w kierunku wysokich, poszczerbionych gór za kolonią. Rozmyślałam o tym, że przez cały ten czas w naszym bezpośrednim zasięgu znajdowało się ukryte miasto, kiedy nagle zdałam sobie sprawę, jakie to nienaturalne, że

hybrydy nie rozprzestrzeniły się bardziej. Fidus nie tylko sprawił, że słuchali rozkazów GZF - zabił również ich ciekawość świata.

Nie odzywaliśmy się do siebie, podczas gdy ciężarówka przejechała przez długi,

ciemny tunel wycięty w górze i wyłoniła się z drugiej strony, na zaludnionym obszarze. Byliśmy jedynym pojazdem na ulicy, otaczali nas jednak mieszkańcy i rozliczne budynki wzniesione ze szkła i stali - głównie fabryki, sądząc po brudzie i pocie pokrywającym ludzi, którzy wyłaniali się z ich wnętrza.

Powłóczęgami, człapali zapatrzeni prosto przed siebie. Chociaż każdy z nich wyraźnie zmierzał do jakiegoś celu, szli zgarbieni, z rękami zwieszonymi bezwładnie wzdłuż ciała. Przypominali zombie bardziej niż potwory z horrorów, które widziałam. Kierowca zatrzymał ciężarówkę pośrodku największego skrzyżowania. Otaczało nas tylu ludzi, że spodziewałam się hałasu, ale gdy Zane otworzył drzwiczki, usłyszałam jedynie rytmiczny tupot stóp na chodniku.

Coś wpadło na drzwiczki, których nie zamknął. Kobieta o krótkich kręconych włosach i pustym spojrzeniu - oczy miała krystalicznie niebieskie, z owalnymi tęczęwkami, tak samo obojętne. Jej stopy unosiły się i opadały, unosiły i opadały, lecz ona sama nie zauważała, że nie posuwa się do przodu. Nie widziała nawet drzwi blokujących przejście. Zane zatrzasnął je - nikt się nie wzdrygnął na dźwięk, który poniósł się echem - i kobieta ruszyła dalej, jakby nic nigdy nie stało jej na drodze.

- Dlaczego mi to pokazujecie? - zapytałam szeptem.

- Chciałem, żebyś zobaczyła, o co walczymy - odparł Zane. Jego głos poniósł się po okolicy, ale nikt nie zwracał uwagi na naszą obecność.

Widziałam Fidusa. Widziałam Miasto na pokładzie „Błogosławionego”, widziałam puste spojrzenia, obojętne twarze.

To było jednak gorsze. Chyba z powodu otwartego nieba, które rozciągało się ponad nami. Najstarszy sprawił, że pośród stalowych ścian użycie fidusa stało się niemal uzasadnione. Ale nic podobnego nie miało uzasadnienia w świecie bez ścian.

Zane skupił się na mnie. Próbował odrzeć swoją twarz z wszelkich emocji, by przypominała twarze mijających nas ludzi. Nic z tego.

- Wiedziałaś, że substancja, którą nazywasz fidusem, powstała po części na podstawie badań, jakie pierwsza kolonia przeprowadzała na odkrytych tu roślinach? Bez tej planety nie byłoby fidusa, a mimo to spowodował... to wszystko. - Machnął słabo ręką, wskazując całe miasto.

Rozejrzałam się, próbując oszacować, ilu ludzi tu żyje. Tysiące, co najmniej. Wszyscy bez wyjątku odurzeni fidusem.

Zane zauważył moją reakcję.

- Połączyli fidusa z materiałem modyfikowanym genetycznie. Myślę, że ostatecznie

zamierzali go sprawdzić pod kątem zastosowania na Sol-Ziemi.

Drgnęłam. Nie wiedziałam, co gorsze - jego założenie, że większość populacji na współczesnej Ziemi jest odurzona tak samo jak ci przypominający zombie ludzie, czy wzmianka o tym samym materiale modyfikowanym genetycznie, który moja matka pomagała opracować, jeszcze zanim jej stopa w ogóle powstała na „Błogosławionym”.

- Powstały w ten sposób środek miał atakować nadnercza, przysadkę mózgową i zmysły. W rezultacie fidus stał się naturalną częścią reakcji organizmu na stymulację. Wyparł indywidualne myślenie, zastępując je pasywnością.

- Pierwsi ludzie zostali zarażeni przed wieloma pokoleniami - wtrącił Chris. - GZF nie wzięła pod uwagę takich osób jak my - z uszkodzonymi gruczołami.

- Mutacja. - Zane wzruszył ramionami. - Prędzej czy później musiało do tego dojść.

Puste skorupy sunęły automatycznie ulicą. Ledwie przypominały istoty ludzkie.

Spojrzałam po sobie. Mięśnie wciąż mnie bolały, a w kościach czułam rwanie, po tym jak wstrzyknięto mi substancję hybrydową. Kim byłam, żeby oceniać, kto przypomina człowieka, a kto nie?

Zane wpatrywał się w coś wysoko w górze. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że spogląda na osadzony w chodniku słup z wielkim głośnikiem na szczycie.

- Kiedyś ciągle przysyłali ludzi z GZF - wyjaśnił. - Mieszkali tu, dopóki dostawa nie była gotowa, po czym zjawiali się nowi panowie, którzy wydawali rozkazy aż do ukończenia następnej dostawy. Teraz już nie zawracają sobie tym głowy. Wiedzą, że wystarczy oznajmić, czego chcą, a moi ludzie to zrobią.

Sposób, w jaki to powiedział - moi ludzie - przypomniał mi Starszego i jego stosunek do ludzi ze statku. Przełknęłam gulę, która narastała mi w gardle.

- Co najmniej przez ostatnią dekadę po prostu wydawali rozkazy za pośrednictwem satelitów. A teraz nie robią nawet tego. Ale moi ludzie nadal pracują.

I będą pracowali dalej, bo nawet bez rozkazów GZF fidus w ich organizmach nie pozwalał im przestać.

- Inhibitor, który przywiezie Bartie, pomoże im - zapewniłam Zanea.

Wzruszył ramionami. Nie chciał się łudzić.

- Cieszę się, że przynajmniej nie ma tu już ludzi z GZF. - Wbił we mnie wzrok, zmuszając, żebym na niego spojrzała. - Źle się działo, kiedy tu byli. Czasami się zastanawiam...

- Tak? - Dopiero po chwili rozpoznałam, co we mnie wzbiera. Współczucie.

- Zastanawiam się, czy zbuntowane hybrydy, takie jak ja, nie powstały tylko dlatego,

że ludzie z GZF... - Odwrócił głowę. Nie potrafił dokończyć.

Ale nie musiał mi niczego wyjaśniać. Skoro dowódcy z GZF żyli tutaj, doglądali codziennej działalności kolonistów, których zmienili w bezmózgich niewolników... Potarłam nadgarstki. Tutejsze kobiety przychodziły na świat z fidusem zapisanym w genach. Dla panów z Sol-Ziemi były niczym więcej jak pustymi lalkami. Mężczyźni, którzy bez skrupułów zmieniali ludzi w bezmyślne automaty, nie mieli również żadnych zahamowań, by robić z tymi kobietami wszystko, czego tylko zapragnęli. Z kobietami, które nawet nie potrafiły pomyśleć o proteście.

Przełknęłam ślinę. Nie mogłam nic poradzić na to, co już zaszło. Ale nie pozwolę, żeby coś podobnego powtórzyło się na mojej planecie. W moim domu.

73

AMY

Pertraktacje szły zdumiewająco dobrze. Zane nakazał zespołowi swoich naukowców zapoznać się z formułą, którą przywiózł Bartie. Wyglądali na przekonanych, że środek zadziała.

Mimo to negocjacje ciągnęły się całymi godzinami. Głównie przez mój upór, żeby wszystko zostało spisane w obecności świadków i potwierdzone ich podpisami. Żadnego ryzyka, żadnych obietnic na gębę.

- Jedną sprawę chcę postawić jasno - powiedziałam, kiedy zbliżaliśmy się do końca. - Moi ludzie są niezależni od was. Nie łączymy kolonii. Jesteśmy samodzielni. Wybierzemy własnych przywódców, stworzymy własne prawa.

Zane chciał coś powiedzieć, ale Bartie mu przerwał - to był jeden z tych nielicznych momentów, kiedy w ogóle zabrał głos. On i pozostali pasażerowie „Błogosławionego” wciąż dochodzili do siebie po podróży.

- Starszy by tego chciał.

Uniosłam brew, spoglądając na Zanea i czekając, aż zaprotestuje. Nie zrobił tego jednak. Skinął głową, dodał to do traktatu i złożył swój podpis.

Najgorsza była pierwsza noc. Kiedy dotarło do mnie, że ja tu jestem, a on nie. Ze ja żyję, a on...

Tej nocy pozwoliłam sobie na płacz. W samotności, w jednym z kamiennych budynków, których nie zniszczyły hybrydy, szlochałam, dopóki nie zabrakło mi łez.

Miałam teraz cały nowy świat. Tyle że bez niego.

* * *

Zane dotrzymał słowa. Pierwszego dnia po zawarciu traktatu pokojowego przysłał połowę zbuntowanych hybryd, aby uprzątnęły z budynku zniszczenia po walce. Żaden z moich ludzi - czy to Ziemiannin, czy to ze statku - nie chciał z nimi pracować.

- Zabili naszych - powiedział mężczyzna ze statku, Tiernan. W dłoni trzymał broń, którą zabrał jednemu ze zmarłych żołnierzy, i wskazywał nią w stronę nadjeżdżających ciężarówek. - Zabili Starszego!

- Owszem, zabili naszych. I moich rodziców - dodałam, patrząc mu spokojnie w oczy. Wzdrygnął się, nie mogąc znieść widoku moich owalnych tęczy. - Ale nie zabili Starszego. Starszy sam wybrał śmierć. Zrobił to, żebyśmy mogli tu żyć. Razem z nimi.

Wokół nas zebrał się tłum ludzi ze statku. Niebo zasnuwały chmury, w powietrzu unosiła się wilgoć. Zanosilo się na burzę. Teraz już wiedzieli, czym jest burza i jak ją przetrwać. Jedna z kobiet opiekuńczym gestem położyła dłoń na brzuchu, co przypomniało mi, że większość żeńskiej części populacji spodziewa się dziecka. Za kilka miesięcy w naszej małej wiosce przyjdą na świat noworodki nieznaną z życia na „Błogosławionym”. Rodzice będą im opowiadać o metalowych ścianach i malowanym niebie, a one nie zrozumieją. Nie tak naprawdę. Nigdy nie poznają klatki udającej dom.

Nigdy nie zdołają pojąć w pełni, ile poświęcenia kosztowało to, że mogą oglądać bezkresne niebo.

- Nie możemy im ufać... - rzekł Tiernan. Opuścił broń, ale jej nie odłożył.

- Musimy - odparłam, kładąc dłoń na jego ramieniu. - Nie przetrwamy w tym świecie bez pomocy. Rozejrzyj się. Prawie nic nam nie zostało. Zapasy z „Błogosławionego” pomogły, ale potrzeba nam więcej. Potrzeba nam wiedzy, pomocy i nauki.

- Nie podoba mi się to - warknął Tiernan.

- Mnie też. - Raz jeszcze spojrzałam za siebie, a potem na pozostałych ludzi ze statku, którzy tłoczyli się za Tiernanem z szeroko rozwartymi oczami i lękiem wypisanym na twarzach. - Ale najwyższy czas, żebyśmy zaczęli współpracować - dodałam głośniejszym głosem, żeby inni też mnie słyszeli. - Właśnie tego chciałby Starszy.

Oto prawdziwa spuścizna Starszego. Jego ludzie byli gotowi przyjąć pokój.

Kilka dni po tym, jak spisaliśmy traktat, Zane przyjechał do kolonii jedną z tych swoich wielkich ciężarówek.

- Chciałem, żebyście zobaczyli pierwszą kurację - powiedział.

- Bez was nigdy byśmy tego nie dokonali.

Bartie i ja pojechaliśmy w imieniu całej kolonii. Zane i Chris zajęli miejsca naprzeciwko nas. Napięcie było wprost namacalne - nie tylko między nami a nimi, ale

również w tym, jak Bartie bał się usiąść zbyt blisko mnie. Bez przerwy zerkał w moją stronę, przekonany, że nie patrzę, i porównywał, czym różnię się od dziewczyny, którą kiedyś znał.

Teraz uważał mnie za jeszcze większego dziwoląga, widziałam to.

Zane założył swoją bazę w starych tunelach, wykorzystywanych przez pierwszych kolonistów podczas wydobywania - stanowiły przedłużenie tuneli, które odkrył Starszy, kiedy pomagał przy kopaniu latryn. Wejście blokowały nowoczesne drzwi, podobne do tych w kompleksie. Zane przycisnął kciuk do czytnika. Na ekranie mignęło słowo HYBRYDA. Spuściłam wzrok na własne dłonie. Teraz, kiedy moja transformacja dobiegła końca, wcale nie wydawały się inne. Wiedziałam jednak, że jeśli przycisnę kciuk do czytnika, skaner biometryczny we mnie również rozpozna hybrydę. Nie człowieka. Już nigdy nie będę człowiekiem.

Zastanawiałam się, co pomyślałby o mnie Starszy, gdyby żył. Moje oczy były teraz niebieskie, nie zielone, a tęczęwki owalne. Widziałam o wiele lepiej, o wiele dalej. Potrafiłam wyczuć, z której strony wieje wiatr, jeszcze zanim musnął moją twarz. Mogłam zamknąć oczy i po samym zapachu ocenić, gdzie kto stoi.

W końcu Starszy był klonem. Na pewno wiedział, jak to jest rozmyślać, czy twoje DNA w ogóle należy do ciebie.

I wtedy przypomniałam sobie. Starszy odszedł.

Coś w mojej duszy strzeliło, jak zbyt mocno napięta struna. Stawiałam jednak krok za krokiem, patrzyłam prosto przed siebie.

Zane maszerował do laboratorium. Chociaż jego kwatery główna mieściła się w opuszczonych tunelach kopalni, okradał GZF wystarczająco długo, by wyposażyć ją w sprzęt równie nowoczesny, jak wyposażenie naszej kapsuły. Zbuntowane hybrydy wyglądały z wydzielonych pomieszczeń i go pozdrowiały.

Zane naprawdę był ich przywódcą. Miał niespełna albo niewiele ponad trzydzieści lat. Przejęcie kontroli nad całą populacją zbuntowanych hybryd na pewno nie przyszło mu łatwo. Ciekawe, jak się czuł, gdy zdał sobie sprawę, że ma władzę nad swoim umysłem, a jego rodzice nie. Ukrywając się, kiedy GZF przylatywała na inspekcję fabryk szkła. Pragnąc ocalić swoich ludzi - ludzi, którzy nawet nie zdawali sobie sprawy, że zostali zniewoleni.

Tak bardzo przypominał mi Starszego.

Przygryzłam policzek, aż poczułam smak krwi. Nie będę płakać. Nie będę okazywać uczuć. Nie teraz. Nie tutaj.

Chris przysunął się bliżej. Jego obecność mnie krępowała, ani myślałam jednak dać znać po sobie cokolwiek. Odwróciłam się do niego plecami, ale to go nie powstrzymało. I tak

się odezwał.

- Widzisz, jak Bartie się od ciebie odsuwa? - zapytał szeptem tak cichym, że nikt poza mną nie mógł go usłyszeć. Nawet ja nie mogłabym go usłyszeć, gdyby nie moje zdradzieckie hybrydowe uszy, niczym nietoperz bez trudu wychwytyjące dźwięki.

Zignorowałam go.

- Widziałem, jak traktowali cię wcześniej. Jak długo mieszkałaś pośród nich? Kilka miesięcy? A mimo to bali się twojej całkowicie normalnej barwy skóry. Jak sądzisz, co myślą o tobie teraz?

Patrzyłam prosto przed siebie.

- Nigdy cię nie zaakceptują.

Okręciłam się na pięcie i złapałam Chrisa za kołnierzyk jednym, błyskawicznym ruchem. Tak bardzo zaskoczyłam Bartiego, że aż zaklął.

- Jeśli masz mi coś do powiedzenia - warknęłam - to powiedz mi to prosto w twarz, tchórze.

Chris wyszarpnął się i przez chwilę wyglądał na wściekłego. Wyglądził jednak koszulę i odparł, jakby usprawiedliwiając moje zachowanie:

- Skłonność do przemocy. Efekt uboczny hybrydyzacji. Innymi słowy, twoje nadnercza prędzej pchną cię do walki niż do ucieczki.

Nie powiedziałam mu, że zawsze wołałam walczyć.

- Między tobą a mną jest pewna różnica - powiedziałam. - Ja wiem, że pewnego dnia moi ludzie w końcu znów mnie zaakceptują. Już raz to zrobili. Zapomną o tym, jak wyglądam, bo przypomną sobie, kim jestem i jak postępuję. Ale nigdy nie zapomną, co zrobiłeś ty. To ciebie nigdy nie zaakceptują. Nie mnie.

Chris uciekł wzrokiem.

Czułam, jak moje mięśnie się naprężają, poruszają, stają coraz silniejsze, podczas gdy ciało godzi się z faktem, że nie jestem już zwyczajnym człowiekiem. I czułam strach emanujący z Chrisa.

Nie szeptał mi już okrutnych słów. Ale fakt pozostawał faktem. Jakaś część mnie ogarnął gniew, bo wiedziałam, że mówił prawdę.

75

AMY

Zane w końcu doprowadził nas do laboratorium. Tak jak się spodziewałam, było ono o wiele bardziej zaawansowane, niż można by sądzić po prostocie prowadzących do niego

tuneli.

Pośrodku pomieszczenia stał mężczyzna. Pustym wzrokiem gapił się w przestrzeń.

- Usiądź - powiedział Zane i mężczyzna natychmiast usiadł. Niewiele brakowało, żeby nie trafił w krzesło, które Chris podsunął mu w pośpiechu.

Pomachałam ręką tuż przed twarzą młodego mężczyzny. Nic. Był równie pusty, jak czysta kartka papieru.

- Eksperymentujemy z metodami dystrybucji masowej - podjął Zane. - Dlatego podawałem mu inhibitor w postaci rozcieńczonej, za pośrednictwem systemu dystrybucji wody.

Uśmiechnęłam się szeroko do Bartiego, który - mimo początkowego wahania - odpowiedział mi tym samym. To był nasz pomysł, zainspirowany pompą wodną, która rozprzodzała fidusa na pokładzie „Błogosławionego”.

Zane podał mężczyźnie wysoką szklanę z wodą.

- Wypij - dodał, bo mężczyzna tylko się w nią wpatrywał.

Wypił wodę jednym haustem.

Zane i Chris śledzili jego parametry na komputerach, ale Bartie i ja wiedzieliśmy, na co patrzeć, kiedy fidus przestanie działać. Dlatego jako pierwsi zauważyliśmy oznaki życia w jego oczach.

- Co się dzieje? - zapytał łamiącym się głosem.

- Byłeś odurzony... przez całe swoje życie - wyjaśnił mu Chris. Nigdy dotąd nie słyszałam z jego ust tonu tak pełnego życzliwości.

- A teraz odzyskujesz autonomię.

Mężczyzna rozglądał się po laboratorium szeroko rozwartymi, przerażonymi oczami.

- Napij się wody - powiedziałam, podając mu kolejną szklanę.

- Zaraz poczujesz się lepiej.

Podczas gdy Zane i Bartie omawiali sposoby szerszej dystrybucji inhibitora, Chris skinął na mnie, żebym wyszła za nim z laboratorium.

- Chciałbym ci coś pokazać.

Zawahałam się.

- No, Amy - powiedział rozpaczliwie. - Przecież jesteśmy przyjaciółmi.

- Nie jesteśmy przyjaciółmi. Już nie.

- Ale... - Wyglądał na zdruzgotanego. Owalne tęczęwki zaszyły łzami, ale to jedynie przypomniało mi, że Chris nie do końca jest człowiekiem. Ze ja też nim nie jestem. - Zrobiłem to, co uważałem za konieczne.

- Zabiłeś moich rodziców.

- Chcę, żebyś wiedziała...Musisz wiedzieć, że jest mi przykro. W jego ustach to słowo nie miało absolutnie żadnego znaczenia.

Chris ruszył tunelem, a ja za nim - nie chciałam wysłuchiwać kolejnych przeprosin, tylko zrozumieć, dlaczego zrobił to, co zrobił. Szliśmy w niezręcznym milczeniu.

Wciągnęłam powietrze nosem. Coś się zmieniło.

- Zauważyłaś.

Czułam... miedź i coś... coś zwierzęcego. Nie rozpoznawałam tego zapachu, a mimo to był znajomy, jak wspomnienie woni, na którą wcześniej nie zwracałam uwagi. Drobne włoski na moich ramionach stanęły dęba, skóra pokryła się gęsią skórą.

To niemożliwe. Nie tutaj. Byliśmy pod ziemią. W jedynym miejscu na całej Centauri-Ziemi, gdzie nie mogło być żadnych...

- Ptery! - krzyknęłam, kiedy skręciliśmy za rogiem i zobaczyłam je, stłoczone na końcu tunelu. Już miałam rzucić się do ucieczki, ale dostrzegłam szkło, które oddzielało potwory ode mnie.

- W porządku, to szkło solarne - powiedział Chris. - Na pewno nie zdołają go przebić.

Pter - jeden z najmniejszych w grupie - podskakując na swoich potężnych zadnich nogach, zbliżył się do okna. Ja również podeszłam. Pter wolno rozpostarł skrzydła, tylko po to, żeby je rozprostować. Tutaj nie miał gdzie latać. Zakrzywione szpony drapnęły o szkło. Wzdrygnęłam się na ten dźwięk.

- Ptery zostały stworzone przez pierwszych kolonistów, jeszcze przed modyfikatorem genów i fidusem - wyjaśnił Chris. - Ich naukowcy chcieli sprawdzić, czy na tej planecie można wskrzesić zwierzęta, które na Ziemi już wyginęły.

Mama wiedziała, pomyślałam. Podobieństwo DNA pterów i prawdziwych pterozaurów.

- Ale krew ptera także zawierała fidusa - rzekłam. Chris był razem ze mną, kiedy ją badałam.

- Chciałem powiedzieć ci o tym wcześniej, ale... - Nie patrzył mi w oczy. - To byliśmy my. Zbuntowane hybrydy. Między innymi dlatego przyprowadziłem cię tutaj. Chciałem ci pokazać, że miałaś rację. Nauczyliśmy się je kontrolować. Wykorzystywać, żeby dla nas walczyły. - Wyciągnął małą, srebrną rurkę, coś w rodzaju gwizdka na psy, i wydobyl z niego kilka nut. Wszystkie ptery spojrzały w jego stronę, kołysząc się do dźwięku, dopóki Chris nie schował gwizdka z powrotem.

Najmniejszy pter potarł łbem o szkło, okręcił się trzykrotnie i opadł na ziemię,

skulony.

Zamknęłam oczy i przypomniałam sobie innego ptera. Tego, którego zastrzeliłam. Tego, z którego dzioba kapłała krew i pozostałości doktora Gupty.

- Wykorzystaliście je przeciwko nam - powiedziałam bezbarwnym głosem. - To właśnie chciałeś mi pokazać?

Chris uniósł ręce w obronnym geście.

- Nie! To znaczy... tak, ale nie... Ja tylko... chciałem wyjaśnić.

- Więc wyjaśnij! - warknęłam.

- Nie wiedziałem, że będzie tak źle. Ja... Zane i pozostali... mieli tylko porwać tamtą kobietę odurzoną fidusem. Ale był z nią lekarz, więc jego też zabrali. A potem zjawiała się tamta kobieta w mundurze...

- Więc zabili ich wszystkich. - Może ptery rozszarpały Julianę Robertson już po jej śmierci? A może zbuntowane hybrydy chciały, żeby to wyglądało na sprawkę pterów? Tak czy owak, nie żyła.

- Z tą odurzoną kobietą to był wypadek. Nie chcieliśmy, żeby umarła z przedawkowania.

- A co z doktorem Gupta?

Chris zmarszczył czoło.

- Nie wiedziałem, że go zabiją. Oni... oni myśleli, że wiedział o fidusie coś więcej, bo był razem z tą kobietą, która nosiła zielony plaster. Kiedy nic im nie zdradził...

- Uznali, że mogą go kontrolować. Zmusić do mówienia pod wpływem fidusa. - Z moich słów przebijała gorycz. Pomyślałam o tym, co kiedyś powiedział Starszy. Ze świat byłby zupełnie inny, gdyby ludzie po prostu mówili prawdę.

- Doktor Gupta został pożarty. Żywcem.

Chris skrzywił się.

- To nie miało tak być.

- Ale było.

- Próbuję przeprosić - odparł cicho.

- Kiepsko ci to idzie. - Ledwo mogłam znieść jego widok. Zastanawiałam się, czy ta kula, którą wpakował w czaszkę doktora Gupty, miała miłosiernie zakończyć męczarnie lekarza, czy też dać Chrisowi pewność, że ofiara nikomu nie zdradzi prawdy.

- Mówiłem im, że ziemscy lekarze nie wiedzą nic o fidusie, że tylko ta lekarka ze statku... - Umilkł.

- Zapewne Kit również nie udzieliła satysfakcjonującej odpowiedzi na wszystkie

wasze pytania. Sama dopiero co została lekarzem, wiesz? Przed naszym lądowaniem była zaledwie praktykant-ką. Więc tak po prostu ją zabili?

- To nie było tak! - Chris zaczął protestować, ale widziałam po jego twarzy, że było dokładnie tak.

- A Emma?

Chris wpatrywał się w ptera śpiącego po drugiej stronie szkła.

- Za dużo wiedziała.

Zmarszczyłam brwi. Chris odszedł kilka kroków, po czym przystanął. Wyraźnie liczył, że pójde za nim, że o tym wszystkim zapomnę.

I wtedy dotarło do mnie to, czego nie chciał mi mówić.

- Ona nie wiedziała nic o fidusie. Wiedziała za dużo o tobie. To tobie nie ufała. To przed tobą próbowała mnie ostrzec. Domyśliła się, że jesteś zdrajcą.

- Nie byłem zdrajcą! - zaprotestował natychmiast. Wiedziała, że mówi szczerze. Zrobił to, co musiał, dla dobra swoich ludzi, zbuntowanych hybryd.

- Dla niej byłeś. I dla mnie.

- Nie - odparł błagalnie. - Amy, proszę, posłuchaj...

- Ty posłuchaj. - Patrzyłam na niego gniewnie. - Gdybyś od początku był ze mną szczerzy, nie doszłoby do tego wszystkiego. W ogóle! - Emma wciąż by żyła. Lorin. Doktor Gupta. Juliana Robertson. Mama i tata.

I Starszy.

- Nie wiedzieliśmy! - teraz Chris prawie krzyczał. - Twój ojciec współpracował z GZF. Ufał im ślepo!

- Ale ja nie. Ani Starszy.

- Skąd miałem to wiedzieć? - zapytał z desperacją w głosie.

Wzruszyłam ramionami.

- Mogłeś zapytać.

- Ale...

Miałam już dość wymówek. Dość słów.

- Mogłeś spróbować - odparłam spokojnie. - Mogłeś cenić nasze życie bardziej niż własne sekrety.

Odeszłam w milczeniu.

Sol-Ziemia - i GZF - po raz ostatni próbowały się z nami skontaktować. Zane przyjechał po mnie ciężarówką.

- Nie mam pojęcia, jak to zrobili. Na orbicie musi krążyć jeszcze jeden, mniejszy satelita komunikacyjny. Albo znaleźli sposób, jak wzmocnić sygnał ze swojej strony. Cały system komunikacji w mieście włączył się w tej samej chwili. To znak. Próbują się z nami skontaktować.

Zabrał mnie do stanowiska komunikacyjnego w kompleksie. Prom kosmiczny, teraz opustoszały, wciąż stał na asfalcie, rzucając cień na budynek. Prawie zapomniałam o strzaskanym szkłe, o dziurze w ścianie. Weszliśmy przez nią do środka. Zamek biometryczny powstrzymałby nas oboje.

Na stanowisku migotało czerwone światło. Większość systemu nie działała - na stacji orbitalnej znajdowały się największe satelity - ale kiedy włączyliśmy ansibl, usłyszeliśmy głos.

-...próbujemy się skontaktować z ocalałymi członkami misji „Błogosławionego”. Powtarzam wiadomość: z tej strony GZF, próbujemy się skontaktować z ocalałymi członkami misji „Błogosławionego”. Powtarzam wiadomość...

Włączyłam interkom.

- Halo? Mówi Amy Martin, córka pułkownika Martina.

Wiadomość ucichła.

- Halo? - rozległ się głos.

- Czego chcecie? - zapytałam, nie panując nad gniewem.

- Mówi przewodniczący Li z Giełdy Zasobów Finansowych, przedstawiciel wszystkich narodów zjednoczonych w GZF.

Mój wzrok powędrował do srebrnego orła o czterech skrzydłach ponad stanowiskiem.

- Czego chcecie? - powtórzyłam.

- Chcielibyśmy poznać wasz status. Cała łączność została zerwana. Nie sprawujemy już zdalnej kontroli nad dotychczas dostępnymi funkcjami stacji kosmicznej na orbicie...

- Stacja kosmiczna wyleciała w powietrze.

- Czy hybrydy podniosły bunt? - zapytał Li. - Co się stało? Czy hybrydy mają większą liczebność, niż dotychczas zakładaliśmy?

- Połączyliśmy nasze siły z hybrydami. Dysponujemy lekiem na „szczepionkę”, którą im podawaliście. - Podniosłam głos, bo przewodniczący Li próbował wejść mi w słowo. - Upewniamy się, że wszystkie hybrydy są w stanie myśleć samodzielnie, i póki co żadna z nich nie postanowiła, że pozostanie waszym niewolnikiem.

- Proszę potwierdzić status dowódcy misji „Błogosławionego”! - krzyknął przewodniczący Li.

Myślał, że rozmawia ze zbuntowanymi hybrydami - że włamali się do systemu.

- Jestem dowódcą - odparłam. - Nie podam panu żadnych kodów, powiem za to coś innego. Połączyliśmy nasze siły z hybrydami, zbuntowanymi czy nie. Nie macie już nad nami kontroli.

- Wysłaliśmy statek na waszą planetę - rzekł rozwścieczony Li.

- Skoro właśnie tego chcecie, będziemy was traktować jak buntowników i stosownie zareagujemy!

- Nie ma sprawy. Powinien pan jednak wiedzieć, że bez tej stacji dotarcie do nas zajmie wam większość następnej dekady. Będziecie dysponować jedynie tą bronią, którą ze sobą przywieziecie, za to my przez ten czas zgromadzimy tyle bomb solarnych i pocisków, ile tylko zechcemy. Po czym wycelujemy je prosto w niebo. Kiedy tylko wasz statek dotrze do celu, wysadzimy go w powietrze.

- To n a s z a planeta! Nasze szkło solarne! Nie możecie tak po prostu odciąć nas od dostaw!

- Ich planeta? - syknął Zane, wpatrując się gniewnie w inter-kom. Całe szczęście, przynajmniej dla przewodniczącego Li, że dzieliły nas lata świetlne.

- Tylko spróbujcie nam ją odebrać - odparłam. - Ale coś mi mówi, że nasze pociski są większe niż wasze. Zdradzę wam coś, czego nigdy się nie spodziewaliście: grupa ludzi zniewolona przez tak długi czas, jak hybrydy, w pewnym momencie wpada w lekką złość. Ja osobiście też jestem wściekła. Więc jeśli chcecie wojny, to proszę, proszę, wpadnijcie do nas. Z radością będziemy z wami walczyć.

W interkombie odezwały się szумы statyczne. Przełączyłam kontrolkę, zrywając ostatnie połączenie z Sol-Ziemią.

Zane zapał triumfalnie.

- To było genialne!

Obdarzyłam go bladym uśmiechem. Być może właśnie wywołałam międzyplanetarną wojnę. Za dekadę, kiedy - jeśli - nadciągnie ziemski okręt wojenny, Zane nie będzie się już tak cieszył z buntowniczej natury, która obudziła się we mnie wraz z hybrydyzacją.

Ale mówiłam szczerze. Jeśli wybuchnie wojna, będziemy walczyć. Ja będę walczyć.

Nigdy więcej nie zrezygnuję z własnego domu.

AMY

- Co to takiego? - zapytał Zane, wskazując na jedno z nielicznych światełek, które wciąż migotały na stanowisku.

Zgarnęłam kurz i gruz, jakie zebrały się na panelu sterowania.

- Sygnał samonaprowadzający - przeczytałam podpis pod światełkiem.

- Sygnał samonaprowadzający? - powtórzył. - Czego? Prom kosmiczny wylądował, kapsuły z „Błogosławionego” już nie ma...

W uszach zaczęło mi dzwonić, aż dostałam zawrotów głowy.

Ma tylko dwa ustawienia - może polecieć albo na stację orbitalną, albo z powrotem tutaj.

Sygnał nie przestawał migać.

- Możliwe, że to?... - Zane spojrzał na mnie.

Uruchomił przycisk i wtedy z otworu poniżej światełka wysunął się mały, przypominający kompas gadżet, podobny do tego, którym posługiwał się mój tato, żeby znaleźć sondę. Migał i migał, pokazując punkt jakąś milę stąd, w lesie.

Nie, pomyślałam. Przecież to niemożliwe.

Mimo to chwyciłam kompas i pędem wybiegłam z pomieszczenia.

Przedzierałam się przez las, a sygnał samonaprowadzający brzęczał coraz głośniejsze. Biegłam bez namysłu, bez strachu. Teraz nosiłam przy sobie broń solarną, ale nawet nie myślałam o jakimkolwiek zagrożeniu, kiedy uchylałam się przed konarami drzew i przeskakiwałam nad odsłoniętymi korzeniami. Minęłam wypalony obszar, na którym spoczywały pozostałości kapsuły, i zagajnik, gdzie Chris mnie pocałował. Miałam gdzieś, czy się zgubię, czy znajdę drogę z powrotem.

Musiałam sprawdzić, na co naprowadza ten sygnał.

Biegłam, a gałęzie smagały mnie, drapiąc po rękach i twarzy, szarpiąc za ubranie. W uszach dudniła mi krew, idealnie zsynchronizowana z brzęczeniem kompasu w mojej dłoni.

Byłam bliżej.

Bliżej.

Zwolniłam, a potem zaczęłam się obracać, próbując się zorientować, w którą stronę naprowadza sygnał. Przedarłam się między kolejnymi gałęziami. Słyszałam szelest i ruch, kiedy drobne zwierzęta i ptaki pierzchały mi z drogi.

Wtedy ją zobaczyłam.

Kapsuła ratunkowa.

Najwyraźniej rozbiła się, przy okazji ścinając pół drzewa. Poszarpana szrama

pokazywała, którądy sunęła po ziemi, zanim się zatrzymała. Choć żar wygasł już dawno, wciąż czułam zapach dymu, jakim przesiąkły spalone drzewa, pochłonięte przez płomienie strzelające z silnika.

Przód kapsuły został zgnieciony jak kartka papieru, a spiczasty dziób spłaszczony. Ostre krawędzie sterczały na wierzchu. Kokpit był przeszklony, ale kurz i szczątki zakrywały go tak dokładnie, że nie mogłam zajrzeć do środka.

Upuściłam kompas na ziemię.

Zamknęłam oczy.

Próbowałam nie myśleć o tym, że lada chwila znajdę ciało Starszego.

Wspięłam się po złamanym skrzydle kapsuły ratunkowej, chwytając się czego popadnie, żeby dostać się do kokpitu. Poślizgnęłam się i rozciąłam ramię o odsłonięty metal. Moja dłoń była śliska od krwi.

Kiedy dotarłam do kokpitu, wytarłam go rękami, własną krwią rozmazując brud na szkle. Wyteżyłam hybrydowy wzrok, żeby dostrzec to, co znajdowało się wewnątrz.

Nic.

Nie zobaczyłam Starszego - nikogo.

Kokpit był pusty.

- Amy? - od strony lasu dobiegł mnie głos.

Obróciłam się tak szybko, że straciłam niepewne wsparcie na krawędzi kapsuły i z metalicznym łomotem spadłam na skrzydło. Podźwignęłam się, spoglądając gorączkowo w stronę, z której usłyszałam głos.

Spomiędzy drzew wyłoniła się postać.

Wysoka, o ciemnobrązowej skórze, ciemnych włosach, ciemnych, migdałowych oczach, wysokich kościach policzkowych i pełnych ustach.

I chociaż całe moje ciało krzychało, że to niemożliwe, serce wypowiedało śpiewnie tylko jedno imię:

Starszy.

Powoli wstałam. A potem ja biegłam w jego stronę, on biegi w moją i nie zatrzymaliśmy się, tylko wpadliśmy na siebie, a ja śmiałam się i płakałam, a on był cały brudny i utykał. Na głowie miał zaschniętą krew, jedna jego ręka dziwnie zwisała. Krzyknął, kiedy jej dotknęłam.

Dłonie mi drżały, kiedy je uniosłam, żeby ująć jego twarz.

To on. On. On.

- Kiedy „Błogosławiony” uderzył w stację orbitalną, kapsuła straciła połączenie -

zaczął Starszy, gdy tylko uwolniłam jego usta, żeby mógł mówić, zamiast całować. - Zamiast tego pochwyciła sygnał samonaprowadzający z kompleksu i skierowała się w tę stronę. Ale wybuch zepchnął mnie z kursu.

- Dlaczego nie wróciłeś wcześniej?

Mówił łamiącym, zgrzytliwym głosem.

- Próbowałem. Nie wiedziałem, gdzie jestem. - Rozejrzył się po lesie. - Znalazłem w pobliżu strumień, więc miałem wodę. No i moja noga... - Spuścił wzrok i zobaczyłam prowizoryczną szynę, którą sobie zrobił. Nie mógł chodzić, nie wiedział nawet, w którą stronę iść.

- Po prostu miałem nadzieję, że mnie znajdziesz.

A potem już nie mógł więcej mówić, bo znowu go całowałam i myślałam, że już nigdy nie przestanę. Ale przestałam. Odsunęłam się i spojrzałam mu w oczy, aż wreszcie zobaczyłam w nich blask, który mi uświadomił, że to prawda. Wrócił.

Nigdy nie widziałam, żeby był tak chudy. Sądząc po tym, jak ją przyciskał do ciała, miał złamaną rękę. Nogę na pewno. Był przemoczony, ranny i brudny, ale był.

Zamrugał. Dotknął mojej twarzy, blisko oczu. Miały teraz niebieską barwę, nie zieloną. I owalne tęczęwki.

- To nadal ja - powiedziałam, bo teraz najbardziej w świecie bałam się, że Starszy nie zechce Amy hybrydy.

Uniósł brew.

- Myślisz, że mnie obchodzi, czy masz niebieskie, czy zielone oczy? Obchodzisz mnie tylko ty. - Jego dłoń zsunęła się wzdłuż mojej ręki, a potem mały palec owinął się wokół mojego.

- Wróciłeś do mnie. - Głos mi się załamał pod ciężarem napływających łez radości.

- Zawsze do ciebie wracam - odparł, przyciągając mnie blisko.

Zawsze.

Podziękowania

Kiedy pisałam Cienie Ziemi, miałam wrażenie, że to prawdziwy cud; za pomocą atramentu i papieru stworzyłam zupełnie nowy świat, a potem wysłałam swoich bohaterów, aby go odkryli. Ale prawda jest taka, że atrament i papier nie wystarczą, a Centauri-Ziemia - a nawet cała ta książka - nigdy by nie powstała, gdyby nie pomoc ze strony cudownych ludzi.

Jak zawsze dziękuję mojej wspaniałej agentce, Merrilee Heifetz, która wiedziała, że ta historia zaprowadzi mnie aż na powierzchnię planety, jeszcze zanim sama to rozumiałam, i Cecilii de la Campie z Writers House, za to, że rozesłała książkę po powierzchni tej planety, aby trafiła w ręce czytelników różnych narodowości.

Problem z tworzeniem nowego świata polega na tym, że można z nim zrobić wszystko. Bez przewodników w postaci Bena Schranka i Gillian Levinson Centauri-Ziemia byłaby zaledwie wyblakłą imitacją tego, czym się stała. Kazali mi przekopać piaszczystą glebę i odkryć to, co kryło się pod powierzchnią; skierowali moje spojrzenie ku niebu, abym zobaczyła latające tam ptery; zaprowadzili mnie aż do zatrutego serca tego świata i pomogli mi znaleźć lekarstwo. Dodatkowe podziękowania należą się Gillian za to, że nigdy nie pozwoliła mi poprzestać na „może być”, tylko naciskała, abym poszukała czegoś jeszcze lepszego. To właśnie kocham w Tobie najbardziej, nawet kiedy marudzę.

Gwiazdom niech będą dzięki za to, że wylądowałam w tak cudownym zespole wydawniczym jak Razorbill. Nawet nie wiem, od czego zacząć - jesteście przewspaniali! Dziękuję Natalie Souse i Emily Osbourne za okładki, które uchwyciły ducha każdej części; Erin Gallagher i Annie Jarzab za pomoc z marketingiem sieciowym; Jessice Shoffel za organizację Breathless Tour i reklamę; Erin Dempsey za to, że zawsze przy mnie trwała, i wszystkim pozostałym pracownikom Razorbill - jesteście gzyfowo genialni.

Mam na Sol-Ziemi najlepszych przyjaciół i słów mi brakuje, żeby im dziękować. Lauro Parker, dzięki, że pomogłaś mi z francuskim. Jennifer Randolph, byłaś przy mnie, kiedy Cię potrzebowałam. Lauren DeStefano, jesteś pokrewną wariacką duszą. Carrie Ryan, zawsze chciałam zostać Tobą, kiedy dorosnę. Stephanie Perkins, jesteś tak wspaniała, że ludzkie słowo tego nie wypowie. Elano Johnson, inspirujesz mnie. Heather Zundel, nie znam nikogo innego o tak wielkim sercu. Erin Anderson, oby zombie nigdy nie pożarły Twojego mózgu. Christy Farley, jak dobrze, że Cię ukradłam!

The Breathless Girls towarzyszyły mi we wszystkich najtrudniejszych i najlepszych chwilach podczas powstawania Cieni. Dzięki ich przyjaźni ta książka jest jeszcze lepsza. Andreo Cremer, Marie Lu, Jessi-co Spotswood, tak bardzo Wam dziękuję. Niech Wasze

przygody trwają!

Szczególne podziękowania kieruję do uczniów Burns High School, którzy wciąż proszą, żebym pozabijała ich w swoich książkach. Mam nadzieję, że makabryczny los, jaki Was spotkał, przypadł Wam do gustu!

Księgarnie i biblioteki to miejsca magiczne, a wśród tych najbardziej magicznych są Malaprops, Books of Wonder, Fireside Books and Gifts, Little Shop of Stories, Anderson's Bookshop, Politics and Prose, Towne Center, Doylestown Bookshop, Blue Willow, Barnes & Noble (zwłaszcza oddział w Dallas), Once Upon a Time, Blue Bicycle Books, BookPeople, Morganton Public Library, Irving Public Library i wiele, wiele innych.

Największe wyrazy miłości i wdzięczności należą się moim rodzicom, Tedowi i JoAnne Graham, dla których warto zagłębić się w każdą otchłań, i mojemu mężowi, Corwinowi Revisowi, którego miłość jaśnieje bardziej niż milion słońc. To dzięki Wam stworzyłam wszystkie cienie Ziemi.

Dziękuję Wam wszystkim.

BETH REVIS

mieszka z mężem w Północnej Karolinie w USA. Pierwsza część jej futurystycznej trylogii)N otchłani błyskawicznie zdobyła status bestsellera „New York Timesa”. Została Najlepszą Książką Amazon.com w styczniu 2011 oraz nominowano ją do prestiżowej nagrody Carnegie Medal i Nagrody Książki Roku w kategorii literatury dla młodzieży przez „Romantic Times Book Reviews”. Prawa do cyklu sprzedano do ponad 20 krajów!

Czy Beth Revis w ogóle wierzy w „i żyli długo i szczęśliwie”? Tego Wam nie zdradzimy... Niewiele serii doczekało się równie perfekcyjnego zakończenia.

„MTG Reviews”

Pełna napięcia, wspaniała lektura - świetne zamknięcie trylogii.

„The Examiner”